

MAEVE BINCHY
CZERWONY
BUK





Maeve Binchy

CZERWONY

BUK

przełożył

Mieczysław Dutkiewicz

S

R

Dla Gordona, który uczynił moje życie dobrym i szczęśliwym

- z wdzięcznością i miłością

Szkoła w Sdancarrig

Ojciec Gunn zdawał sobie sprawę, że jego gospodyni, pa-ni Kennedy, potrafiłaby zrobić wszystko znacznie lepiej niż on sam. Rzeczywiście, umiałyby wywiązywać się lepiej ze wszystkiego, niezależnie od tego, czy chodziłoby o wysłuchi-wanie spowiedzi, rozgrzeszanie, odśpiewanie „Tantum er-go” przy okazji udzielania błogosławieństw czy też przy chowaniu zmarłych. Pani Kennedy miała również stosowny ku temu wygląd: była wysoka i kanciasta jak biskup, a nie pulchna i niska jak ojciec Gunn. A jej oczy, pełne uczucia, S

sprawały wrażenie, jakby rozumiały smutek świata.

Ojciec Gunn czuł się zazwyczaj bardzo szczęśliwy w Shancarrig, cichej, spokojnej miejscowości w środkowej części kraju. Większość ludzi słyszała o tym miejscu jedynie ze względu na olbrzymi głąz wieńczący wzgórze, u podnóża któ-

R

rego rozciągał się las Barna. Kiedyś ów głąz budził spore zainteresowanie, intrygował swoją obecnością. Może był dawniej fragmentem czegoś większego? Może przedstawiał jakąś dużą

wartość pod względem geologicznym? Ale eksperci, któ-

rzy przybyli na miejsce, orzekli, że nawet jeśli wznosiły się tu kiedyś mury jakiegoś domu, ulewy i burze stuleci zmyły wszelkie jego ślady. W każdym razie nie wspominały o czymś takim żadne podręczniki do historii. Jediną rzeczą, której istnienia nikt nie kwestionował, był ów głaz. A ponieważ irlandzkim odpowiednikiem słowa „głaz” jest „carrig”, tak właśnie nazwano miejscowość: Shancarrig, Stary Głaz.

Życie w kościele pod wezwaniem Świętego Zbawiciela w Shancarrig biegło spokojnym trybem. Proboszcz parafii monsinior O'Toole, człowiek uprzejmy i delikatny, pozostawiał wikaremu wolną rękę, nie narzucał mu niczego. Ojciec Gunn ubolewał, że dla parafian nie robi się czegoś więcej, tak aby nie musieli, jak to się często zdarzało, stawać na peronie stacji kolejowej i machać na pożegnanie synom i córkom, emigrującym do Anglii lub Ameryki. Ubolewał, że jest tu tak dużo zawilgoconych domów, stanowiących pożywkę dla gruźlicy, która nie przestaje zapełniać cmentarza ludźmi zbyt jeszcze młodymi, aby umierać. Ubolewał, że zapracowane, pozbawione sił kobiety muszą wydawać na świat tak wiele dzieci i utrzymywać je potem z trudem. Wiedział jednak, że jego rówieśnicy, którzy ukończyli seminarium wraz z nim i osiedli w podobnych parafiach, miewają obecnie takie sa-me problemy jak on. Nie uważał się za człowieka zdolnego zmienić świat. Przede wszystkim nie wyglądał wcale jak ktoś, kto mógłby tego dokonać. Oczy ojca Gunna przywodziły na myśl dwa rodzynki w pulchnej, słodkiej bułeczce.

Dawno temu, na długo przed nastaniem w parafii ojca Gunna, żył tu pan Kennedy, zmarł jednak na zapalenie płuc.

Co roku w rocznicę śmierci odbywała się msza w jego intenS

cji i co roku smutek na twarzy pani Kennedy pogłębiał się z tej okazji bardziej, choć wydawało się to już niemożliwe. Teraz jednak, choć do rocznicy śmierci jej męża brakowało jeszcze dużo czasu, twarz pani Kennedy była szczególnie posęp-R

na - a fakt ten wiązał się ze szkołą w Shancarrig.

Zbliżał się termin przyjazdu biskupa, a ona była do tej pory przekonana, że w takiej sytuacji jej jako gospodyni pro-boszcza przysługuje przywilej trzymania ręki na pulsie. Nie zamierzała niczego narzucać, powtarzała to wielokrotnie, ale czy ojciec Gunn wie, co robi. Dlaczego całą ceremonię organizują nauczyciele, ci świeccy nauczyciele z tutejszej szkoły wraz z uczącymi się tam dziećmi?

- Oni nie nawykli do obcowania z biskupem - protestowała, dając do zrozumienia, że jadła już śniadania, obiady i podwieczorki z reprezentantami wyższych sfer duchowień-

stwa.

Jednak ojciec Gunn okazał się nieugięty. Biskup miał

przyjechać po to, aby poświęcić szkołę, a więc na kolejną ce remonię związaną z obchodami Roku Świętego. Do przygotowania uroczystości należy jednak zaangażować dzieci i nauczycieli. Nie jest to

zadanie dla Kościoła.

-Ale wszystkim kieruje przecież monsinior O'Toole - nie dawała za wygraną pani Kennedy. Proboszcz, człowiek cichy i już w podeszłym wieku, nie uczestniczył jednak zbyt aktywnie w życiu parafii; wyręczał go w tym jego żwawy, tryska-jący energią wikary, ojciec Gunn.

Pod wieloma względami byłoby oczywiście znacznie pro-

ściej zlecić wszystko pani Kennedy, pozwolić jej wprawić ca-

łą maszynę w ruch, zająć się nieśmiertelnymi biszkoptami i dużymi dzbankami herbaty, podawanymi zazwyczaj na uroczystościach tego rodzaju. Jednak ojciec Gunn nie dał się przekonać. To wydarzenie było związane ze szkołą i do szko-

ły należała organizacja imprezy.

Pomyślał na moment o pani Kennedy, stojącej tam w kapeluszu, w rękawiczkach i z pełnym dezaprobaty wyrazem twarzy - i natychmiast zaczął po cichu prosić Boga, aby wszystko poszło jak należy, aby nauczyciele Jim i Nora Kelly, poprowadzili uroczystość składnie, a także aby ta zgraja młodych dzikusów, których oboje uczą, nie wymknęła się S

spod kontroli.

Przecież w końcu Bóg też jest chyba zainteresowany odpowiednim przebiegiem całej ceremonii, tak aby parafia uczi-

ła w odpowiedni sposób Rok Święty. Z pewnością Bóg chce, R

aby wszystko się powiodło; chodzi nie tylko o to, żeby biskup był usatysfakcjonowany, lecz także aby uczniowie zapamięta-li na zawsze swoją szkołę i sens wartości, jakie tu poznali.

Ojciec Gunn lubił bardzo tę szkołę, niewielki murowany dom pod olbrzymim, czerwonym bukiem. Z przyjemnością składał

tam wizyty i spoglądał na głowy dzieci, pochylone nad zeszytami.

„Odkładanie spraw na później to marnowanie czasu”, pisali posłusznie uczniowie.

Jak myślicie, co to znaczy? - zapytał kiedyś.

Tego nie wiemy, ojcze. Mamy to tylko przepisać do zeszytów - pośpieszył z wyjaśnieniem jeden z uczniów.

Te dzieciaki naprawdę nie były złe - regularnie wysłuchiwał przecież ich spowiedzi. Największym grzechem, za jaki mógł im wyznaczyć stosowną pokutę, było czepianie się cię-

zarówek. Jeśli ojciec Gunn rozumiał należycie charakter te-go uczynku, dzieci chwycyły się tyłu

samochodu i bez wiedzy kierowcy przejeżdżały w ten sposób kawałek drogi. Nic więc dziwnego, że wywoływało to gniew i dezaprobatę u rodziców i przechodniów, on natomiast musiał potępiać zło tkwiące w tego typu wybrykach, zadając do odmówienia dziesiątek różańca; pokutę rzadko stosowaną wobec dzieci. Ale pomijając czepianie się samochodów, dzieciaki naprawdę nie były złe. Z pewnością nie przyniosą wstydu szkole ani całemu Shancarrig, kiedy przyjedzie biskup.

Uczniowie rozmawiali niemal wyłącznie o czekającym ich spotkaniu z biskupem. Nauczyciele zapewniali ich bezustannie, że to dla nich wielki zaszczyt: biskup zazwyczaj nie odwiedza tak małych szkół. Będą mieli okazję gościć go pod swoim dachem, nie tak jak inne dzieci w kraju, które mogą ujrzeć biskupa dopiero podczas ceremonii bierzmowania w dużym mieście.

Całymi dniami porządkowano szkołę. Odmalowano drzwi i okna, szopę na rowery odnowiono nie do poznania, klasy wysprzątało do połysku. Może Jego Wielbność zechce zwiedzić wszystkie pomieszczenia w szkole, kto wie? Na wszelki wypadek lepiej się na to przygotować.

S

Pod czerwonym bukiem, który królował na szkolnym dziedzińcu, miano ustawić długie stoły na kozłach, nakryte białymi czystymi prześcieradłami. Pani Barton, miejscowa krawcowa, obszyła je pięknymi haftowanymi lamówkami, aby przybrały R

wygląd prawdziwych obrusów. Stół ozdobią wazoniki z kwiatami; głównie będą to bukietki bzu, ale także cudownie purpurowe storczyki, rozkwitające zawsze w czerwcu w lesie Barna.

Na specjalnie ustawionym stoliku z prawdziwym białym obrusem będzie woda święcona, tak aby Jego Wielbność mógł ująć srebrną łyżeczkę i skropić wodą szkołę, poświęcając ją Bogu. Dzieci odśpiewają „Wiarę naszych ojców”, a z okazji zbliżającego się święta Bożego Ciała także „Najświętszy sakrament boży”. Próby przeprowadzano codziennie i już teraz śpiew wypadał bez zarzutu.

Wielką niewiadomą pozostawała na razie kwestia uzyskania przez uczniów zgody na udział w samym przyjęciu. Bardziej odważni pytali wprost, ale odpowiedzi nie usunęły wątpliwości.

Zobaczmy - powiedziała pani Kelly.

Nie myślcie stale o swoich żołądkach - przestrzegł ich pan Kelly.

Nie napawało to zbytnim optymizmem.

Wszystko miało się odbyć w szkole, ale dzieci wiedziały, że tak naprawdę nie one będą w centrum uwagi. Tu chodziło o całą parafię.

Z pewnością znajdzie się coś i dla nich, to oczywiste, ale dopiero, kiedy najedzą się już dorośli. A wtedy pozostaną jedynie proste kanapki z jakąś pastą albo suche ciasteczka, bo po tych z polewą czekoladową nie będzie nawet śladu.

Uroczystość odbywała się dzięki ofiarnej pomocy całego Shancarrig. Niemal każda mieszkająca tu

rodzina miała w tym swój udział, dlatego też dzieci znosiły kolejne wieści.

Podadzą galaretkę z kremem i truskawkami na wierzchu - dowiedziała się Nessa Ryan.

Dla dorosłych?! - Eddie Barton nie ukrywał zgorszenia; uważał, że to niedorzeczny pomysł.

Moja mama przyrządzi galaretkę i krem. Pani Kelly radziła, żeby ubić go w szkole i ozdobić galaretkę w ostatniej chwili, żeby się nie rozpuściła.

Będzie też ciasto czekoladowe. Nawet dwa - oznajmiła S

Leo Murphy.

Trudno im było się pogodzić z tak jaskrawym przejawem niesprawiedliwości: tyle smakołyków dla biskupa, księży i tłumu dorosłych, podczas gdy dla nich szykowano jedynie in-R

strukcje i nakazy dotyczące dobrego zachowania!

Uprzedzono ich też, że na uroczystości nie zabraknie sier-

żanta Keane'a - tak jakby zamierzał odwiedzić ich osobiście do aresztu w mieście, gdyby odezwali się nie tak, jak należy.

-

Muszą zostawić coś dla nas - powiedziała z przekonaniem Maura Brennan. - Nie mogą postąpić inaczej, to by nie było w porządku.

„Ileż niewinności tkwi w tych dzieciach”, uśmiechnął się ojciec Gunn, słysząc jej słowa. To wzruszające, że dziewczynka taka jak Maura, której ojciec Paudie przepija każdego pensa, jaki wpadnie mu w ręce, wierzy nadal w porządek i uczciwość.

-Na pewno zostanie coś dla ciebie i twoich przyjaciółek, Mauro - zapewnił ją czym prędzej. Miał nadzieję, że pocieszy ją w ten sposób, ale na twarzy dziecka dostrzegł nagle ciemny rumieniec. Dziewczynka cofnęła się o krok, skryła oczy za woalką z włosów. A więc ksiądz usłyszał, że tak podniosłe wydarzenie kojarzy się jej z jedzeniem! Co za wstyd!

Jednak ojciec Gunn miał w tej chwili inne zmartwienia.

Biskup był chudym, cichym mężczyzną, który zdawał się nie chodzić, lecz szybować, tak jakby poruszał się nie na nogach, ale na kółkach. Zapowiedział już zresztą, że drogę od stacji kolejowej do szkoły woli przejść pieszo niż przejechać samochodem. Ojciec Gunn nie miał nic przeciw takiej prze-chadzce, jeśli dzień okaże się chłodny. Gorzej jednak, gdyby dzień był upalny. Poza tym podczas takiego spaceru biskup może dostrzec rozmaite brzydkie zakątki Shancarrig.

Na przykład gospodę Johnny'ego Finna, który oświadczył

już, że z szacunku dla tak ważnego dnia zamknie drzwi, jednak nie zamierza wypraszać swoich klientów na ulicę.

Ale oni mogą się zachowywać hałaśliwie, wykrzykiwać coś nieprzyzwoitego! - błagał ojciec Gunn.

Proszę w takim razie pomyśleć, ojcze, jak by się zachowali poza gospodą, gdybym rzeczywiście wyrzucił ich za drzwi. - Johnny Finn mówił stanowczym tonem.

Dzień przyjazdu biskupa stał się głównym tematem rozmów wszystkich dokoła, a gorączkowa atmosfera udzieliła S

się dzieciom.

-Nie ma żadnej pewności, czy w ogóle dostaniemy choć-

by trochę galaretki z kremem - pokręcił głową Niall Hayes.

Nie słyszałam, aby ktoś wspominał coś o dodatkowych ta-R

lerzach lub widelcach.

-A jeśli takim ludziom jak Nellie Dunne pozostawi się wolną rękę, wyjedzą wszystko do ostatniego okruszka. - Nessa Ryan aż przygryzła usta z przejęcia.

-Sami się poczęstujemy - zaproponował Foxy Dunne.

Spojrzały na niego oczyma okrągłymi z emocji. Przecież wszystko zostanie przedtem policzone! Zamordowaliby ich za to, on chyba oszalał!

-Załatwię to, gdy przyjdzie pora - obiecał.

Już na parę dni przed ceremonią ojciec Gunn zaczął źle sypiać. Dobrze, że nie wiedział nic o planach, jakie knuł Foxy.

Pani Kennedy oświadczyła, że przygotuje trochę zapasów w kuchni, tak na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek... Po-wtórzyła to parę razy.

Ojciec Gunn nie dał jej satysfakcji, nie zapytał: na wypadek czego? Zbyt dobrze wiedział, co pani Kennedy ma na myśli: mianowicie jego nieroztropne przekonanie, że ci świeccy ludzie w małej szkółce zdołają zapewnić prawidłowy przebieg ważnej ceremonii religijnej. Pokręciła głowę z dezaprobatą. Aby uczcić tak doniosły dzień, ubrała się na czarno od stóp do głów.

Trzy dni trwały prace upiększające stację, wykonywane przez ochotników. Towarzystwo kolejowe CIE nie wyasygnowało żadnych pieniędzy na odnowienie. Naczelnik stacji, Jack Kerr, nie chciał, aby jakaś grupa pseudomalarzy używała sobie do woli na jego terenie lub raczej terenie należącym do towarzystwa kolejowego, malując wszystko w kolorach tęczy.

-Pomalujemy na szaro - błagał go ojciec Gunn.

Nic z tego. Jack Kerr nie chciał nawet o tym słyszeć, zareagował też z oburzeniem na samowolę ochotników, którzy odchwaścili trawnik przed stacją i wycięli mlecze.

Biskup lubi kwiaty - mruknął ze smutkiem ojciec Gunn.

To niech sam się postara o bukiet i ozdobi nim swoją sutannę - zawołał Mattie, listonosz, jedyny człowiek w Shan-S

carrig na tyle nierozważny, aby oświadczyć publicznie, że nie wierzy w Boga i nie jest hipokrytą; dlatego nie będzie uczęszczał na msze i inne uroczystości religijne.

Mattie, to nie pora na dysputy teologiczne - mitygował

R

go ojciec Gunn.

Wrócimy do tego, kiedy ojciec będzie znowu sobą. - Mattie był

nieskończenie uprzejmy i jak na gust ojca Gunna nieco zbyt protekcyjny.

Okazało się jednak, że ma też dobre serce. Z lasu Barna przywiózł pęki kwiatów i zasadził je na klombach przed stacją.

- Powiedzcie Jackowi, że rozkwitną, kiedy spulchni się ziemię - poradził. Zdołał już przejrzeć zawiadowcę; wiedział, że ten człowiek nie zna się na przyrodzie i nie interesuje się ogrodnictwem.

- Według mnie to miejsce wygląda wspaniale - mruknął

Jack Kerr, kiedy wszyscy stali już na peronie, czekając na pociąg biskupa. Rozejrzał się po swojej odmienionej stacji i doszedł do przekonania, że również przedtem nie wygląda-

ło tu źle.

Biskup wysiadł z pociągu krokiem pełnym godności.

„Przypomina swoim wyglądem haczyk w kształcie litery S”, pomyślał ze smutkiem ojciec Gunn. Gość poruszał się z wdzię-

kiem, bez względu na to, czy się nachylał do kolejnego rozmówcy, czy też się prostował. Był nad podziw zrównoważony, nie szukał słów, nie okazywał zmieszania, pamiętał nazwiska wszystkich - nie tak jak ojciec Gunn, który niemal natychmiast zapominał, jak się nazywają dwaj dość ważni duchow-ni towarzyszący biskupowi. Grupka dzieci odzianych w białe komże czekała już w pogotowiu, aby poprowadzić procesję do miasta.

Słońce grzało niemiłosiernie. Modlitwa ojca Gunna o choć-

by jeden z tych deszczowych dni, jakie niedawno nawiedziły całą okolicę, okazała się bezowocna. A z pewnością wolałyby już ulewę niż ten uciążliwy żar.

Biskup zdawał się interesować wszystkim, na co padł jego wzrok. Po opuszczeniu stacji ruszyli wąską drogą ku miejscu, które mogłoby zyskać nazwę centrum miasta, gdyby Shancarrig nie było tak małe. Zatrzymali się przed kościołem pod wezwaniem Świętego Zbawiciela, gdyż Jego Wielebność pragnął zmówić cichą modlitwę u stóp ołtarza. Następnie po-

dążyli dalej, mijając przystanek autobusowy, niewielki ciąg handlowy, hotel Ryana i The Terrace, gdzie mieszkali lekarz, adwokat oraz inni przedstawiciele miejscowej śmietanki to-warzyskiej.

R

Biskup kiwał z uznaniem głową na widok zadbanej, dobrze utrzymanych domów, marszczył za to nieznacznie brwi, kiedy przechodzili obok zabudowań w gorszym stanie. Ale może to tylko ojciec Gunn odnosił takie wrażenie, a Jego Wielebność w rzeczywistości nie zwracał w ogóle uwagi na otoczenie i jedynie odmawiał w duchu swoje modlitwy?

W pewnym momencie ojciec Gunn zdał sobie sprawę z nieprzyjemnego zapachu unoszącego się nad rzeką Grane, płyt-ką obecnie i mulistą. Przechodząc mostem, dostrzegł kątem oka jakieś twarze przyklejone do okna gospody Johnny'ego Finna, znanej z najlepszych trunków. Gorączkowo pomodlił się, aby nikomu z tamtych ludzi nie przyszło teraz do głowy otwierać okna.

Mattie, listonosz, siedział nieruchomy na odwróconej do góry dnem beczce. Był jednym z nielicznych tu widzów, gdyż niemal cała reszta Shancarrig czekała przed szkołą.

Biskup wyciągnął powoli rękę, jakby dawał do pocałowania swój pierścień.

Mattie skłonił lekko głowę i dotknął dłonią czapki. Gest nie był obraźliwy, ale też nie wyrażał zbyt wysokiego szacunku.

Jednak biskup nie skomentował go nawet jednym słowem.

W dalszym ciągu uśmiechał się na prawo i lewo, jego szczupła arystokratyczna twarz zdawała się nie odczuwać w ogóle żaru słońca. Twarz ojca Gunna natomiast stanowiła okrągłą czerwoną kałużę potu.

Pierwszym zwiastunem budynku szkolnego był olbrzymi stary buk, czerwony buk, który ocieniał cały dziedziniec szko-

ły. Dopiero potem oczom idących w procesji ukazała się nie-duża murowana szkoła, wybudowana jeszcze na przełomie wieków. Ceremonia jej poświęcenia została już z góry bardzo skrupulatnie opisana i przeanalizowana przez tych biurokra-tycznych duchownych, którzy nie odstępowali biskupa nawet na krok. Sprawdzono każde pojedyncze słowo - jakby się obawiano, że ojciec Gunn mógłby przemycić do tekstu jakąś poważną herezję lub świętokradztwo. Celem imprezy było poświęcenie w

tym Roku Świętym zarówno szkoły, jak i przyszłości wszystkich uczących się w niej młodych ludzi S

Bogu. Ojciec Gunn nie potrafił zrozumieć, dlaczego to wydarzenie ma być powiązane z jakimś drażliwym problemem doktrynalnym. On pragnął jedynie dotrzeć do dusz mieszkańców parafii, pomóc im uzmysłowić sobie, że nadzieją R

i przyszłością są ich własne dzieci.

Od trzech niemal miesięcy mówiono o tym wydarzeniu podczas każdej mszy. Wyrażano pobożne życzenie, aby w mo-dłach i samej ceremonii poświęcenia wzięli udział wszyscy.

Modlitwy, śpiewy i krótkie przemówienia miały zająć czterdzieści pięć minut, następną godzinę przewidziano na poczę-

stunek.

Wspinając się na wzgórze, ojciec Gunn spoglądał przed siebie z niepokojem, ale nawet z tej odległości wyglądało na to, że nie ma powodów do obaw.

Wokół dziedzińca zgromadził się tłum, liczący niemal dwie-

ście osób. Niektórzy mężczyźni stali oparci o mur szkoły, kobiety tworzyły niewielkie grupki, dyskutując z ożywieniem.

Jedni i drudzy ubrali się odświętnie.

Wszystko było bez zarzutu i aż lśniło; ojciec Gunn nie wątpił w to, gdyż już z samego rana odbył stosowną inspekcję.

Nie widział nigdzie żadnych nieprawidłowości, brudnego no-sa ani bosej stopy. Dzieci zachowywały się należycie, nawet takie jak Maura Brennan lub Foxy Dunne. Ustawiły się teraz wszystkie grzecznie przed szkołą, w sześciu szeregach po ośmioro; ci w tyle weszli na ławki, aby można ich było widzieć. „Wyglądają jak małe aniołki”, pomyślał ojciec Gunn.

To doprawdy zdumiewające, jak bardzo się wydają odmie-nieni ludzie, którzy się umyli i doprowadzili do porządku!

Odetchnął z ulgą. Dochodzili już na miejsce. Jeszcze tylko parę chwil i ceremonia może się rozpocząć. Wszystko bę-

dzie dobrze.

„Szkoła wygląda imponująco. Nawet pani Kennedy nie może jej teraz niczego zarzucić”, pomyślał ojciec Gunn i przeniósł wzrok na przystrojone stoły, ustawione w ożywym cieniu czerwonego buku.

Dopiero teraz poczuł, jak opada z niego napięcie. Dzieci są bardzo dobrze przygotowane do

uroczystości, grzeczne i schludne, wszystko jest posprzątane jak należy. Wątpliwe, aby w jakimkolwiek zakątku swojej diecezji biskup zetknął

się z lepszą organizacją tego typu uroczystości.

S

Ceremonia rzeczywiście przebiegała z precyzją zegarka.

Przezornie przyniesiono krzesło dla monsiniora O'Toole'a, najstarszego wiekiem duchownego w parafii. Chóralny śpiew, nawet jeśli nie był zbyt melodyjny, to jednak wypadł zadowa-

lająco. Nie stwierdzono żadnych dysonansów.

Zbliżała się pora poczęstunku - najwspanialszego, jaki kiedykolwiek serwowano publicznie w Shancarrig. Wszystkie potrawy przechowywano w szkole ze względu na upał i mu-chy. Kiedy przebrzmiały już ostatnie dźwięki pieśni, pan i pa-ni Kelly weszli do środka.

Coś w wyrazie twarzy pani Kennedy skłoniło ojca Gunna do podjęcia decyzji, aby pójść za nimi i pomóc im. Nie zniósł-

by, gdyby jakaś tacka z kanapkami spadła na podłogę albo gdyby krem zsunął się z tortu. Po cichu wszedł do środka, a tam jego oczom ukazała się scena, która wprawiała go w zdumienie. Państwo Kelly oraz pani Barton, która zaoferowała się z pomocą przy noszeniu talerzy, stali w miejscu jak skamie-niali, ich twarze wyrażały zgrozę.

-

Co się stało? - zapytał, z trudem odzyskując głos.

-Oto co zostało z babki z rodzinami! - Pani Kelly podniosła ciasto ozdobione lukrem; na pierwszy rzut oka wygląda-

ło bez zarzutu, ale pod białym szlaczkiem ślady zębów świadczyły wyraźnie, że nadzienie zostało wyjedzone.

A tort czekoladowy! - jęknęła Una Barton, biała jak papier. Przednia część olbrzymiego ciasta sprawiała zachęcają-

ce wrażenie, ale tylną podpierał kawałek kory; co najmniej jedna trzecia tortu zniknęła.

To samo z szarlotką! - Pani Kelly nie wstrzymywała już łez, które spływały jej teraz swobodnie po policzkach. -

Z pewnością dzieciaki!

Foxy Dunne i jego szajka! Powinienem był to przewidzieć! Do diabła, powinienem był to

przewidzieć!

Ale jak się tu dostał?

Ten mały zbój powiedział, że pomoże nosić krzesła, a potem przyprowadził ze sobą resztę bandy. Ostrzegłem go, że ciasta są dokładnie policzone. I, do diabła, policzyłem je, ale gdy wyszli.

Nie przeklinaj w obecności ojca Gunna - upomniała mę-

S

ża Nora Kelly.

-Gdyby chociaż zjedli tylko trochę! Ale nie, zniszczyli wszystko!

-Właśnie! Zniszczyli wszystkie ciasta! - zawołała pani R

Barton - Zniszczyli! - Jej głos przybrał histeryczne brzmienie i to nie pomogło ojcu Gunn dojść do siebie.

- Ależ skąd, pani Barton, jeszcze nic straconego. Pani Barton, proszę wynieść filiżanki i wziąć do pomocy panią Kennedy. Lubi częstować herbatą i chętnie tu przyjdzie. Niech Conor Ryan z hotelu zacznie już podawać lemoniadę. Potrzebny jest mi też doktor Jims. Jak najszybciej!

Mówił tak stanowczo, że pani Barton wybiegła, jakby ją kto gonił. Ojciec Gunn wyjrzał po chwili przez małe okno: go-

ście otrzymywali już herbatę, a Conor Ryan - uszczęśliwiony, że robi to, do czego przywykł - napełniał szklaneczki lemoniadą.

Niebawem zjawił się doktor, zaniepokojony wezwaniem.

Czyżby ktoś zachorował?

Potrzebne nam pańskie umiejętności chirurgiczne, doktorze. Proszę wziąć nóż, ja wezmę drugi. Pokroimy ciasta na mniejsze i ułożymy z nich mozaikę.

Na Boga, proszę ojca, po cóż to?

Bo te małe diablęta, które dla niepoznaki zachowują się jak niewiniątka, nadgryzły większość z tych ciast - wyjaśnił

ojciec Gunn.

Z uczuciem triumfu wyszli na dziedziniec z talerzami pełnymi mieszanych ciastek.

-Proszę się częstować, przygotowaliśmy ich więcej! - Ojciec Gunn, rozpromieniony, częstował gości. Nie wszyscy mieli dość odwagi, aby próbować z każdego rodzaju, tym bardziej się więc cieszyli, widząc, jak obfity jest wybór.

Cicho, aby nie usłyszał go nikt inny, ojciec Gunn wypytywał pana Kelly'ego o nazwiska domniemanych sprawców. Powtarzał je sobie potem w duchu wielokrotnie, jak człowiek starający się nie zapomnieć imion tych, którzy sprowadzili nieszczęście i zagładę na jego rodzinę. Częstując z uśmiechem gości i krzątając się niezmordowanie tam i z powrotem, mówił bezgłośnie raz po raz:

S

-Leo Murphy, Eddie Barton, Niall Hayes, Maura Brennan, Nessa Ryan i cholerny Foxy Dunne...

Kątem oka dostrzegł, że Mattie, listonosz, zamierza dołączyć do gości i znajduje się już niebezpiecznie blisko biskupa.

R

Jak widzę, chce pan uszczknąć trochę tego opium dla mas - syknął.

Pańskie słowa nie brzmią zbyt mile, ojczy - odparł Mattie, nie odstawiając talerza z ciastkiem.

-Radzę nie odzywać się w ogóle do biskupa, bez względu na to, w jakiej sprawie; w przeciwnym razie nigdy już nie będzie pan roznosił listów w tej parafii - ostrzegł go ojciec Gunn.

Uroczystość zbliżała się ku końcowi. Nadchodził moment powrotu na stację kolejową.

Tym razem mieli udać się tam samochodem. Doktor Jims i adwokat, pan Hayes, zaoferowali się odwieźć biskupa i towarzyszących mu obu duchownych, których nazwiska pozostały nieznane.

Ojciec Gunn wezwał winowajców do szkoły.

-Poprawcie mnie, jeśli mylnie zidentyfikowałem największych niegodziwców, jakich miałem nieszczęście poznać w życiu - zaczął złowróżbnym tonem.

Wyraz ich twarzy powiedział mu, że podejrzenie skierowano pod właściwy adres.

No więc? - zagrzemiał ponownie.

Niall nie ma z tym nic wspólnego - szepnęła Leo Murphy, drobna dziesięcioletnia dziewczynka o rudych włosach.

Mieszkała w The Glen, dużym domu na wzgórzu. Gdyby to od niej zależało, jadałaby ciastka codziennie.

Trochę jednak mam - sprostował Niall.

Pan Kelly, jak wiecie, ma olbrzymie dłonie. Zadeklaro-wał się już, że użyje ich do skręcenia wam karków, wszystkim bez wyjątku. Powiedziałem mu, że skontaktuję się jeszcze z Watykanem, ale na pewno będzie mógł liczyć na rozgrzeszenie. Może nawet otrzyma za to medal! - Ostatnie słowo wykrzyknął tak tubalnie, że przerażeni cofnęli się o krok. - Potem jednak poradziłem panu Kelly, aby nie zajmował

cennego czasu ojca świętego tymi prośbami o rozgrzeszenie i uzyskanie dyspensy. Obiecałem mu, że ja się zajmę całą sprawą i że zgłosiliście się na ochotnika do zmywania wszyst-S

kich talerzy, filiżanek i szklanek - w ramach rehabilitacji.

I że zbierzecie najdrobniejsze nawet śmieci, jakie znajdzie-cie wokół szkoły. A potem zameldujecie panu i pani Kelly o zakończonej pracy.

R

Spoglądali po sobie skonsternowani. Czekala ich nie lada praca! Poza tym było to zajęcie raczej dla kobiet.

A co z ludźmi takimi jak pani Kennedy? Czy nie chcieliby...? -

zaczął Foxy.

Nie, nie chcieliby. Ludzie tacy jak pani Kennedy przyję-

li z zadowoleniem i uznaniem wieść, że chcecie to zrobić. My-

ślą o was z podziwem, bo nie zajrzeli jeszcze w wasze czarne dusze.

Zaległa głucha cisza.

-Ten dzień pozostanie bardzo długo w naszej pamięci.

Chcę, abyście o tym wiedzieli. Nawet jeśli inne złe uczynki pójdą w zapomnienie, ten będzie zawsze zajmował w naszych umysłach poczesne miejsce. Dzisiejszy dzień czerwcowy 1950

roku wryje się tam na stałe. - Widział, jak marszczą się twarze Eddiego Bartona i Maury Brennan; z pewnością przeraził

ich nie na żarty. - To tyle. Teraz podejdziecie do reszty, aby pożegnać się z biskupem. Każde z was całym swoim obłudnym sercem pożegna się z Jego Wielbnością, którego wizytę staraliście się tak intensywnie zniweczyć, unicestwić. A teraz wynoście się. - Przeszywał ich płomiennym wzrokiem. - Wynoście się w tej chwili!

Biskup w otoczeniu swojej świty szykował się już do wyjazdu. Lekkim krokiem podchodził kolejno

do poszczególnych gospodarzy przyjęcia, dziękował im i wyrażał uznanie, w gorących słowach podziwu wypowiadał się też o tym pięknym, sielskim zakątku Irlandii, podkreślając, iż rośnie mu serce, kiedy może czasem ujrzeć na własne oczy cudowne dzieło boże, naturę, zamiast przebywać w swoim pałacu w mieście.

Jakież to wspaniałe drzewo i jaki nam cudowny zaofiarowało cień. - Biskup powiódł spojrzeniem po czerwonym buku, jakby składając drzewu podziękowanie, chociaż najwyraźniej sprawiał wrażenie człowieka, który potrafi stać godzinami na pustyni Sahara, nie dostrzegając w tamtejszym klimacie żadnej niedogodności. To raczej ociekający potem ojciec Gunn winien był olbrzymią wdzięczność drzewu za je-go dające cień listowie.

A cóż to za napisy wryte na pniu? - Biskup ponownie S

spojrzał na drzewo, jego twarz wyrażała teraz żywe zainteresowanie. Ojciec Gunn usłyszał zgodne sapnięcie pana i pani Kelly; oboje wstrzymali nagle oddech. To właśnie na tym drzewie dzieci wypisywały zawsze swoje inicjały, uzupełniaR

jąc je rysunkami serca i informacjami o tym, kto kogo kocha.

Wszystko to zbyt świeckie, zbyt nieprzyzwoite, zbyt erotycz-ne, aby mogło się podobać biskupowi. Może nawet kryje się w tym element wandalizmu.

A jednak nie!

Chyba jakiś cud sprawił, że napisy na drzewie spodobały się biskupowi.

- To przyjemnie widzieć, że dzieci oznaczają miejsce swojego pobytu - powiedział, wodząc wzrokiem po zebranych, którzy otoczyli go wianuszkami i chłonęli każde wypowie-dziane na zakończenie wizyty słowo. - Podobnie jak to drzewo, które stoi tu od dziesięcioleci, a może nawet od wieków, będzie też stała ta szkoła w Shancarrig, aby otwierać umysły dzieci i przygotowywać je do życia w szerokim świecie.

Nie odrywał wzroku od małego budynku szkoły i olbrzymiego drzewa nawet wtedy, kiedy samochód, którym jechał, zostawił za sobą wzgórze i skierował się w stronę stacji.

Ojciec Gunn otworzył drzwiczki drugiego auta, aby podą-

żyć za biskupem i pożegnać się z nim na peronie, zanim jednak wszedł do środka, odwrócił się i jeszcze raz ogarnął spojrzeniem grupkę winowajców. Ponieważ jednak miał wielkie serce, a dzisiejsza uroczystość mimo wszystko nie została zni-weczona, obdarzył ich nikłym uśmiechem. Nie śmieli wierzyć własnym oczom.

S

R

Maddy

Kiedy Madeleine Ross przyniesiono na chrzciny do ko-

ścioła w Shancarrig, miała na sobie stary strój, który wiele lat temu należał do jej babci. Ubranko obszyte takimi pięknymi koronkami widywano rzadko w kościele pod wezwaniem Świętego Zbawiciela; pasowałoby raczej do kościoła Świętego Mateusza, porośniętego bluszczem kościoła prote-stanckiego, oddalonego stąd o jedenaście mil. Ale był to rok 1932, rok Kongresu Eucharystycznego w Irlandii, żarliwość S

katolików osiągnęła swój punkt kulminacyjny i nastroje te sprawiały, że tak wspaniałe koronki na ubranku dziecka przystępującego do chrztu nie wydały się nikomu przesadą.

Stary ksiądz powiedział na widok Madeleine, że to dziecko najprawdopodobniej nie będzie nigdy narzekać na brak R

czegokolwiek, sądząc po przepychu, z jakim wstępuje w życie.

Ale księża parafialni nie wiedzą wszystkiego.

Ojciec Madeleine zmarł, kiedy miała osiem lat; poległ na wojnie. A jej jedyny brat wyemigrował do Rodezji i tam zamieszkał z wujkiem, który posiadał farmę tak olbrzymią, jak cała prowincja Munster.

Kiedy w 1950 roku Maddy Ross ukończyła osiemnaście lat, brakowało jej w życiu wielu rzeczy: na przykład jakiegokolwiek planu działania na przyszłość, a także możliwości odejścia stąd, aby stanąć na własnych nogach.

Matka potrzebowała kogoś do pomocy w domu, a ponieważ brat Maddy wyjechał, ona musiała zostać.

Myślała nawet o tym, żeby znaleźć sobie dobrego męża, ale Shancarrig nie było miejscem, gdzie mogłoby się to jej udać.

Problem nie polegał nawet na byciu wielką rybą w ma-

łym stawie. Rodzina Ross nie należała do wyróżniającej się klasy wielkich właścicieli ziemskich; gdyby było inaczej, Maddy miałyby możliwość obracania się w dobrym towarzystwie i szukania sobie męża właśnie tam.

Chodziło jednak o pewien niuans.

Maddy i jej matka były zbyt dobrze sytuowane, a zarazem sytuowane w stopniu niewystarczającym, aby móc się dostosować do małomiasteczkowego stylu życia. Na szczę-

ście Maddy lubiła towarzystwo siebie samej, nie bardzo bowiem mogła liczyć na inne.

A może tak właśnie ukształtowały ją okoliczności?

Ludzie pamiętali Maddy jako małą dziewczynkę, zbierają-

ca w lesie Barna całe naręcza dzwoneczków albo znoszącą do domu dziwacznie ukształtowane kamyki, które zalegały teren u podnóża wielkiego głazu.

Rodzina Ross posiadała mały domek nad brzegiem rzeki Grane - nie w pobliżu walących się zabudowań, lecz nieco dalej, w stronę lasu Barna, ciągnącego się do Starej Skały.

S

Niemal wszystko wokół domu Maddy Ross mogło budzić jej zainteresowanie - czy to boczna ścieżka, która wiodła do szkoły, czy droga obok domków, którą można było dojść do mostu, a nawet do serca miejscowości, gdzie stały The Terra-R

ce, hotel Ryana i ciąg sklepików. Jednak najbardziej ulubio-nym terenem spacerów Maddy był las, który z każdą porą roku przybierał inną szatę, stwarzając wrażenie, jakby istniało kilka różnych lasów. Podobało jej się tu szczególnie jesienią, kiedy wszystko okrywała piękna pożłota, a ziemia ginęła pod dywanem z liści.

Mogła sobie wyobrazić, że drzewa to ludzie, wysocy ludzie, którzy chcą ją objąć swoimi konarami, albo że otacza ją świat małych istot, które żyją pomiędzy korzeniami - istot niewidzialnych dla zwykłych śmiertelników.

Lubiła opowiadać historyjki, częściowo z myślą o innych, częściowo dla samej siebie - historyjki o złotych i purpurowych gałęziach, znalezionych przez nią jesienią, o oczach starej kobiety, obserwującej ją spomiędzy drzew, albo o dzieciach, ba-wiących się bosko wokół dużego głazu, który dominował nad miejscowością, ale umykających co tchu na widok obcych.

Były to niewinne historyjki, jakie dzieci opowiadają czę-

sto, nikt też nie zwracał na nie uwagi, zwłaszcza iż ustały, kiedy Maddy w wieku jedenastu lat zaczęła uczęszczać do szkoły z internatem. Szkoła w Shancarrig nie była wystarczająco dobra dla małej Madeleine Ross. Wysłano ją do kon-wentu oddalonego o dwa hrabstwa od Shancarrig.

W następnych latach ludzie obserwowali, jak dziewczynka dorasta. Jakiś czas jej długie jasne włosy splecione w war-kocze spływały po plecach, ale potem, kiedy ukończyła siedemnaście lat, oplatały już głowę niczym wianek.

Była szczupła i wiotka jak jej matka, ale uwagę zwracały jej osobliwie blade oczy. Gdyby miały jakiś zdecydowany kolor, Maddy mogłaby uchodzić za piękną dziewczynę. Ale tak wyglądały na bezbarwne i nadawały jej wygląd nieziemski, jakby nie była człowiekiem.

Jeśli ktoś w Shancarrig zastanawiał się nad nią, mógł dojść do przekonania, że jest to słaba istota, niezbyt dobrze zo-rientowana co do siebie.

Inna, bardziej stanowcza kobieta na jej miejscu podjęła-by decyzję, że musi znaleźć dla siebie pracę lub przyjaciół.

Niezależnie od tego, jak bardzo hermetyczna wydawała się S

społeczność Shancarrig, młoda Maddy Ross nie powinna by-

ła żyć w odosobnieniu.

Mogła oczywiście spotykać się z ciotkami i wujkami. Wraz z matką odwiedzała bliskich w czterech hrabstwach; byli to R

krewni ze strony matki. Rodzina ojca mieszkała w Anglii.

Jednak w domu Maddy trzymała się stale na uboczu wszelkich wydarzeń. Podobnie jak tego dnia, kiedy do Shancarrig przyjechał biskup, aby poświęcić szkołę.

Stojąc z dala od innych, w słomkowym kapeluszu na głowie, który miał uchronić jej jasną skórę przed promieniami słońca, obserwowała ojca Gunna, wspinającego się po wzgó-

rze w stronę szkoły, a także starego monsiniora O'Toole'a na wózku inwalidzkim. Nie podchodziła jednak do innych, któ-

rzy czekali na nadejście procesji.

Państwo Kelly i ich mała siostrzenica Maria... jakżeż oni się ubrali! Nora Kelly powinna była założyć taki słomkowy kapelusz jak ona, a nie tę beznadziejną prostą mantylę, w któ-

rej wygląda nie jak Irlandka, lecz jak obca, przybyła tu nie wiadomo skąd.

A jednak dobrze by było należeć gdzieś, tak jak państwo Kelly. Będąc gospodarzami tej szkoły, znaleźli się od razu w centrum miejscowej społeczności, podczas gdy ona, Maddy, mieszkając tu od urodzenia, pozostaje nadal na zewnątrz.

Wzięła swój talerzyk z ciasteczkami, które nie wiadomo dlaczego pokrojono już i ułożono, zanim ludzie zdążyli wybrać sobie sami takie, na jakie mieli akurat apetyt.

Pani Kelly spojrzała na nią z namysłem.

-Chyba nadeszła już pora na JAM*1 - zasugerowała.

Maddy nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

Jeśli o mnie chodzi, nie sądzę, aby był tu potrzebny dżem

- odparła, patrząc na swój talerz.

Ale mnie chodzi o stanowisko asystentki nauczycielki -

wyjaśniła pani Kelly, jakby miała przed sobą pięcioletnie dziecko.

Och, przepraszam.

To jak, może powinniśmy porozmawiać o tym z pani matką?

Maddy zaczęła się zastanawiać, czy nie działa już na nie upał.

Ja... myślę, że ona jest teraz trochę... że nie byłaby te-S

raz w stanie uczyć - wyjąkała po chwili.

Miałam panią na myśli, panno Ross.

Och! Tak, oczywiście. No cóż...

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak nieumiejętnie plaR

nuje własne życie. Nie podjęła przecież do tej pory żadnych decyzji co do przyszłości.

Tego roku rozmawiano wiele o wizycie w Rzymie. Bo to był

przecież Rok Świąty. Taka wizyta miałaby szczególny wy-dźwięk. Ciocia Peggy odwiedziła kiedyś Rzym, bez przerwy pokazywała potem zdjęcia, opowiadała o swoich wrażeniach, ubolewała jedynie, że brakowało jej tam dobrej, mocnej herbaty.

Jednak matka nie potrafiła nigdy podjąć decyzji nawet w drobnych sprawach, takich jak wybór dżemu do herbaty.

Jakim więc cudem miałaby się zdecydować na coś tak do-

** Gra słów: Jam (ang.) czyt: dżem = dżem; tu: skrót od: Junior Assistant Mistress = młodsza asystentka nauczycielki. Przyp. tłum.*

niosłego jak podróż do Rzymu? Nastąpiła jesień, wieczory stawały się coraz chłodniejsze i wszyscy orzekli zgodnie, że ta-ka pogoda zaczyna grozić poważnym przeziębieniem.

Właśnie dlatego zrezygnowały z ubiegania się o paszpor-ty i nie zarezerwowały dla siebie biletów lotniczych. Zresztą, jak mawiała matka, Boga można kochać nie tylko z Włoch, ale także z Shancarrig.

Maddy początkowo czuła się zawiedziona, widząc, że z tych od dawna omawianych planów nic chyba nie będzie. Potem jednak przestała sobie tym zawracać głowę. Potrafiła odsu-wać na bok wszelkie rozczarowania, a przeżyła ich już wiele, zanim ukończyła osiemnaście lat.

Jej najserdeczniejsza przyjaciółka ze szkolnej ławy, Kathleen White, nie zdradziła się nawet jednym słowem, że postanowiła wstąpić do klasztoru i zostać zakonnica. W szkole ona, Maddy, dowiedziała się o tym ostatnia; trzęsła się cała z emocji, kiedy zażądała wyjaśnień od przyjaciółki.

Kathleen zachowała niesamowity spokój.

- Nie powiedziałam ci, bo do wszystkiego podchodzisz zbyt żywo i emocjonalnie - wyjaśniła

po prostu. - Zapewne chciałabyś pójść do klasztoru razem ze mną albo za-

częłabyś rozpaczać. A ja już podjęłam decyzję. Chcę tak po-stąpić. To wszystko.

Po namyśle Maddy postanowiła jej wybaczyć. Ostatecznie powołanie to nie byle co. A Kathleen kierowała się zapew-

ne troską o swoją wrażliwą przyjaciółkę. Maddy napisała do niej kilka długich listów, oświadczając, że już się na nią nie gniewa. Dużo miejsca poświęciła też sprawie zaangażowania się w życie religijne. Kathleen odpowiedziała tylko jeden raz. W krótkim liście informowała, że za dwa miesiące zostanie postulantką w klasztorze i w związku z tym nie będzie mo-gła pisać ani otrzymywać listów. Lepiej więc zrezygnować z góry ze zbyt zażyłej korespondencji.

Ale na tym nie kończyły się jeszcze rozczarowania tego la-ta. W klubie sportowo-tanecznym Maddy odniosła wrażenie, że spodobała się pewnemu młodemu mężczyźnie. Tań-

czył z nią częściej niż ktokolwiek inny, skwapliwie przynosił też szklaneczki z ponczem owocowym. Siedząc na hama-ku, rozmawiali z ożywieniem na najprzeróżniejsze tematy.

A jednak nic z tego nie wyszło. Zdobyła się na to, aby podać mu swój adres, a potem nawet zatelefonowała do niego dwukrotnie. Wszystko na nic. Tak jakby przestała dla niego istnieć.

Niekiedy, podczas swoich długich samotnych spacerów na wzgórze do starego głazu, który zdawał się czuwać nad ca-

łym miasteczkiem, Maddy oddawała się posępny-m rozmyślaniom. Chyba robi wszystko na opak, nie tak jak trzeba. W fil-mach, które oglądała, życie jej rówieśniczek układało się zupełnie inaczej.

Wiedziała doskonale, że nie będzie miała nigdy dość pieniędzy, aby podjąć naukę na uniwersytecie, w-mówiła więc sobie, że nie pragnie wcale zostać profesorem, doktorem ani prawnikiem. Nie potrafiła jednak sobie wyobrazić, co by ją naprawdę interesowało. Jej koleżanki kończyły kursy dla pielęgniarek, sekretarek, starały się o zatrudnienie w banku lub w dużych firmach ubezpieczeniowych, zdobywały zawód technika radiografa lub fizykoterapeutki.

Maddy, dziewczyna o długich blond włosach i leniwym uśmiechu, który powoli ogarniał całą twarz, kiedy już się na niej pojawił, była przekonana, że wcześniej lub później coś się zmieni w jej życiu.

Prawdopodobnie pod koniec wakacji.

S

Tamtego upalnego dnia pani Kelly wcale nie żartowała: na samym początku września ona i pan Kelly przyszli, aby zobaczyć się z matką Maddy.

Niewielki murowany budynek szkolny znajdował się R

w pewnej odległości od miasteczka; dzięki temu dzieci farmerów mają krótszą drogę na zajęcia,

mawiano. Pan i pani Kelly zgłosili się tuż po ślubie do pracy w szkole w odpowiedzi na apel ojca Gunna. Nauczyciele zatrudnieni tu poprzednio odeszli w niemałym pośpiechu i zamęcie. Do uszu Maddy doszły jakieś wieści o pijaństwach i karnej odprawie, ale - jak zwykle - były to informacje przeredagowane i ocenzone skrupulatnie przez jej matkę.

Państwo Kelly tworzyli osobliwą parę. On był wysoki, sprawiał wrażenie człowieka dobrodusznego. Ona była niska i za-sadnicza, jej usta tworzyły często cienką kreskę - wyraz dezaprobaty.

Maddy, patrząc na nią, zastanawiała się parokrotnie, co w niej zdołało oczarować tego poczciwego olbrzyma, będące-go jej mężem. Oboje byli zaledwie o dziesięć lat starsi od niej.

Rozmyślała także nad tym, czy pani Kelly przyglądała się jej bacznie już od dawna, a dopiero teraz, nie mogąc znaleźć nikogo bardziej odpowiedniego, zaproponowała funkcję swojej asystentki. Z pewnością sprawia wrażenie, jakby była z czegoś niezadowolona. Oboje przyszli tu bez zaproszenia, aby spotkać się z matką, wyglądają zaś jak ludzie, którzy za-mierzają złożyć jakąś skargę.

Maddy nie widziała nic złego w fakcie, że rozmawiają z matką, a nie z nią. Ostatecznie pani Ross musi mieć jasne spojrzenie na tę sprawę. A może uzna, że jej córka Madeleine jest stworzona do większych rzeczy niż praca w miejscowej szkole? W każdym razie powinna się wypowiedzieć na ten temat, zanim zostanie podjęta ostateczna decyzja.

Jednak matka orzekła, że to wspaniały pomysł. To im „spadło jak z nieba” - tak właśnie określiła to nazajutrz przy obiedzie, podczas rozmowy z kuzynkami.

A Madeleine nie musi przedtem ukończyć jakiegoś kursu dla nauczycieli? - zapytała jedna z kuzynek.

Nonsens - parsknęła wzgardliwie matka. - Jakiż to kurs może być potrzebny, aby nauczyć dobrych manier takich nieszczęśników jak ci młodzi Brennenowie, Dunne'owie i inni?

S

Przyznały jej rację. Nie była to prawdziwa kariera, taka, jaką robiły ich córki: jedna, pracując w banku, druga, uczęszczając na kurs dla sekretarek o zaawansowanym stopniu, po-

łączony z nauką języka francuskiego w dziedzinie biznesu, co R

dawało jej w przyszłości niemal nieograniczone możliwości zatrudnienia na całym świecie.

Ku własnemu zaskoczeniu Maddy uświadomiła sobie niebawem, że lubi tę pracę.

Nie miała gromkiego głosu pana Kelly ani pewnego siebie, stanowczego tonu jego żony. Mówiła cicho i jakby z wahaniem, ale uczniowie słuchali jej. Nawet rozbrykane dzieci Paudie Brennana, pijaczyny i próżniaka, zachowywały się wobec niej grzecznie. A Dunne'owie, których twarze były zawsze umazane dżemem, dość potulnie zgodzili się myć bu-zie przed rozpoczęciem lekcji.

W szkole mieściły się trzy klasy: jedną prowadził pan Kelly, drugą jego żona, trzecią zaś, największą, Maddy Ross. By-

ła to klasa mieszana i właśnie tu Maddy zaczęła przygotowywać te młode umysły do czegoś, co stanowiło dość ograniczony typ procesu edukacyjnego. Zdawała sobie sprawę, że w klasie są dzieci, które czeka szersza edukacja niż ta, z jakiej skorzystała ona sama. Na przykład córki Hayesa, prawnika, albo mała Nuala Ryan, której ojcem jest właściciel hotelu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Dunne'owie i Brennanowie pożegnają się definitywnie z wszelką formą nauki, kiedy już opuszczą szkołę w Shancarrig. Popłyną statkiem za granicę albo udadzą się do innego miasta, aby rozejrzeć się za ofertami pracy przeznaczonymi dla czternastolatków.

Ale teraz wszyscy wyglądali podobnie. I tylko ubranie zdradzało, kogo będzie stać na dalsze kształcenie, a kogo nie.

Przed rozpoczęciem pracy Maddy nie zwracała raczej uwagi na dzieci ze szkoły. Obecnie wiedziała o nich wszystko: kto ma jakieś zmartwienie, kto przyniósł całą furę kanapek na lunch, a kto nie ma w ogóle nic do jedzenia. Niektóre dzieci lgnęły do niej, opowiadały jej wiele o sobie i swoich rodzinach, inne z kolei pozostawały przed nią zamknięte.

Nigdy dotąd nie sądziła, że może czerpać tyle radości z widoku dziecka piszącego mozolnie jakieś zdanie i odczytują-

cego je potem na głos albo z obserwacji dziewczynki, która zastanawiając się nad działaniem arytmetycznym, obgryzła S

już prawie cały ołówek. Codziennie z niezmiennym uczuciem radości wodziła kijkiem po mapie Irlandii, czekając, aż uczniowie zgodnym chórem wymienią nazwę kolejnej miejscowości.

R

- Jak nazywają się główne miasta w hrabstwie Cavan? Dobrze. A teraz wszyscy razem. Cavan, Cootehill, Virginia...

W szkole były dwie toalety, jedna dla dziewcząt, druga dla chłopców. Pachniały środkiem dezynfekującym, którym polewano oba pomieszczenia wieczorami, kiedy nie było już tu uczniów.

Miejsce byłoby dość niegościnne i ponure, gdyby nie olbrzymi czerwony buk, który sprawiał wrażenie, jakby obejmował budynek szkolny swoimi opiekuńczymi ramionami.

W dzieciństwie Maddy czuła się bezpiecznie w lesie Barna, teraz doświadczała podobnych uczuć, przebywając w pobliżu te-go drzewa, które zmianami swoich barw zapowiadało kolejne pory roku.

Dni upływały spokojnie, jedne podobne do drugich. Madeleine sporządziła duże tablice pogładowe dla dzieci, aby urozmaicić trochę zajęcia. Miała rysunki kwiatów, jakie zbierała w lesie Barna, czasem też suszyła rośliny i wpisywała ich nazwy. Codziennie uczniowie w Shancarrig, siedząc w swoich małych drewnianych ławkach, powtarzali na głos nazwy paproci, naparstnic, pierwiosnków i bluszczu. Potem, patrząc na obrazki świętego Patryka, świętej Brygidy i innych, wymawiali także ich imiona.

Maddy dbała, aby imiona świętych były im tak samo dobrze znane jak nazwy kwiatów.

W hierarchii wartości ojca Gunna święci znajdowali się znacznie wyżej niż kwiaty. Wikary, który zarazem zarządzał

szkołą, był miłym człowiekiem. Nosił małe druciane okulary, w których sprawiał wrażenie, jakby patrzył zza butelki le-moniady. Ostatnio rzadko gościł w szkole - musiał troszczyć się o wiarę i moralność parafian. Lubił jednak, podobnie jak Maddy, drzewa i kwiaty, zawsze też odnosił się życzliwie wobec młodej asystentki nauczycielki.

Maddy zastanawiała się nieraz, ile on może mieć lat. Trudno ocenić wiek księży, tak samo jak i zakonnic. Ale pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie, sam jej o tym powiedział. - Poinformował ją, że urodził się tego samego dnia, kiedy w 1921

S

roku podpisano układ.*2

- Jestem więc rówieśnikiem naszego państwa - dodał z dumą. - Mam nadzieję, że państwo i ja będziemy żyli wiecznie.

Cieszę mnie te słowa, ojcze. - Maddy ustawiła kwiaty R

na oknie. - Oznaczają one bowiem, że ojciec raduje się życiem. Moja matka nie może się doczekać, kiedy rozwinie skrzydła.

Rozwinie skrzydła?! - Ksiądz spojrział na nią zdumiony.

W jej ustach znaczy to tyle, co znaleźć się w niebiosach, blisko Boga. Stale o tym mówi.

Przez chwilę wyglądało na to, że ojciec Gunn nie może znaleźć odpowiednich słów.

To godne podziwu, oczywiście, postrzegać nasz świat jedynie jako cień niebiańskiego szczęścia, do jakiego przygotowuje nas Stwórca, ale...

*2 * Układ o utworzeniu Wolnego Państwa Irlandzkiego jako członka Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, podpisany 6 XII 1921.*

Przyp. tłum.

Ale matka skończyła dopiero pięćdziesiąt lat. Myślę, że w tym wieku nie powinno się jeszcze myśleć o takich sprawach, nieprawdaż? - pomogła mu wybrnąć z sytuacji.

Pokiwał z wdzięcznością głową.

Oczywiście. I mnie przybywa lat. Może i ja zacznę niedługo myśleć w ten sposób. - Ton jego głosu wskazywał, że żartuje. - Ale na razie mam tyle do zrobienia, że nie czuję się stary.

Powinien ojciec mieć kogoś do pomocy. - Maddy wypowiedziała głośno to, o czym przebąkiwali wszyscy w Shancarrig. Stary ksiądz był już zniedołężniały. Ojciec Gunn wy-ręczał go we wszystkim. Potrzebny był nowy wikary.

Gospodyni księdza nie stanowiła chyba dla niego niezbędnej pomocy. Pani Kennedy miała nieszczęście wypisane na twarzy, cały czas chodziła w żałobie, oplakując męża, który zmarł już tak dawno temu, że w Shancarrig nie pamiętał go dziś nikt. A przecież dobra gospodyni powinna być podporą, odgrywać rolę oddanej matki i przyjaciela rodziny.

Pani Kennedy z pewnością nie była zdolna do żadnej z tych ról. Zdawało się, że usycha z żalu, bo nie jej było dane kierować parafią. Parskała szyderczo, kiedy ktoś inny oferował pomoc w sprawach parafian. To dzięki dobroci ojca Gun-S

na tak wielu ludzi próbowało wnieść swój wkład w rozwiązywanie problemów, jakie stwarzali monsinior O'Toole, nie uczestnicząc w życiu parafii, oraz pani Kennedy, uczestnicząc w nim zbyt natarczywie.

R

Aż pewnego dnia nadeszła wieść o nowym księdzu, który nastanie w Shancarrig. Ktoś znał kogoś w Dublinie, a tamten z kolei miał pewne źródło informacji. Nowy duchowny był

podobno bardzo miłym człowiekiem.

Nowy wikary przyjechał sześć miesięcy później, na wiosnę 1952 roku. Ojciec Barry był młodym mężczyzną o jasnej kar-nacji, długich, delikatnych białych dłoniach, jasnych włosach i ciemnych, zaskakująco niebieskich oczach. Krokiem pełnym godności, w sutannie szeleszczącej cicho przy każ-

dym poruszeniu, przechadzał się po całym Shancarrig ze spo-kojem i swobodą - i tym między innymi różnił się od ojca Gunna, który zawsze sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo, nieco skrępowany w swoich szatach kapłańskich.

Kiedy ojciec Barry odprawiał mszę, promienie słońca muskały jego bladą twarz, czyniąc ją bardziej natchnioną niż zwykle. Mieszkańcy Shancarrig polubili ojca Barry'ego, a Maddy często przyłapywała się na tym, że w głębi duszy jest jej trochę żal ojca Gunna; od jakiegoś czasu znalazł się jakby w cieniu swojego następcy.

To nie jego wina, że wygląda tak masywnie, przekonywa-

ła sama siebie. Jest życzliwy i troskliwy wobec starych oraz słabych, wyrozumiął podczas spowiedzi i zaangażowany w sprawy szkoły. A jednak musiała przyznać, że z ojca Barry'ego emanuje jakaś ożywcza siła, której nie posiadał jego poprzednik.

Kiedy ojciec Barry przychodził do klasy i rozmawiał

z uczniami, nie mówił mgliście o misjonarzach i potrzebie zbierania dla nich znaczków pocztowych oraz cynfolii, lecz o rozrzuconych wśród wzgórz wioskach peruwiańskich, któ-

rych mieszkańcy łakną nauki o Bogu, a ich jedyna niewielka rzeka zanika podczas okresów suszy, zmuszając biedaków do długich wielomilowych wędrówek po rozgrzanej suchej ziemi w poszukiwaniu wody dla starców i dzieci.

Siedząc w wilgotnym, niewielkim budynku szkolnym w Shancarrig, Maddy i jej uczniowie przenosili się myślami na tamten odległy kontynent. Brennanowie chodzili w znisz-

czonych butach i podartym ubraniu, na ich twarzach widnia-

ły często ślady pięści wiecznie pijanego ojca, a jednak czuli się jak bogacze w porównaniu z mieszkańcami tamtej oddalonej o tysiące mil wioski Vieja Piedra.

R

Jej nazwa oznaczała to samo, co nazwa ich miejscowości: Stary Głaz, a tamci ludzie zdawali się wołać do nich przez cały świat, prosząc o pomoc.

Ojciec Barry rozpalał w duszach uczniów nie znany dotąd w tej szkole entuzjazm. Nie tylko w klasie Maddy Ross. Nawet pod bardziej surowym okiem pani Kelly, po której moż-

na się było spodziewać, że każe najpierw zadbać o siebie, a dopiero potem udzielać pomocy w innych krajach, kwesta dawała coraz większe owoce. A pan Kelly powtarzał ochoczo niczym echo słowa młodego księdza, przekształcając je na swój sposób.

- Zastanów się nad sobą, Jeremiahu O'Connor! Zasłużysz na tak potężne kopnięcie w tyłek, że polecisz do lasu Barna i z powrotem, jeśli nie dasz szylinga na tych biedaków z Vieja Piedra!

W trakcie niedzielnego kazania ojciec Barry często zamykał swoje niepokojąco niebieskie oczy i mówił o wielkim szczęściu, jakie spotkało tutejszych wiernych, skoro mogą żyć w tak pięknej zielonej krainie wokół Shancarrig. Nawet kiedy kościół był pełen ludzi kichających i kaszlących, którzy przemokli do suchej nitki, brnąc trzy mile przez pola i rozmiękłe drogi, aby przyjść na mszę, ojciec Barry sprawiał swoimi słowami, że to miejsce wydawało się prawdziwym rajem w porównaniu z peruwiańską wioską o tej samej nazwie.

Część ludzi zaczęła się w końcu zastanawiać, dlaczego dobry Bóg okazał się tak niesprawiedliwy wobec mówiących po hiszpańsku ludzi po drugiej stronie oceanu, którzy zrobili-by wszystko, aby też mieć u siebie kościół i księży.

Ojciec Barry miał i na to odpowiedź. Twierdził mianowicie, że Bóg postanowił przetestować miłość i dobroć, jakie ludzie okazują sobie wzajemnie. Zapewniał, że nie ma nic łatwiejszego niż pokochać Boga. Nikt nie miał z tym nigdy żadnego problemu. Problem pojawia się natomiast wtedy, gdy trzeba okazać miłość ludziom w małych, odległych wioskach i traktować ich jak braci i siostry.

S

Maddy często rozmawiała z matką o ojcu Barrym i jego wrodzonej świątobliwości. A ponieważ miały na jego temat podobne zdanie, rozmawiały o nim tym chętniej. Było jednak tak wiele spraw,

które je różniły.

R

Maddy zastanawiała się nieraz, czy zdoła wyjechać do Rodezji na ślub Josepha. Jej brat żenił się z dziewczyną pochodzącą ze szkockiej rodziny w Bulawayo, a wyglądało na to, że ślub odbędzie się bez udziału kogokolwiek spośród jego bliskich. Joseph wysłał im pieniądze na bilety, a ceremonię za-planowano na okres wakacji, ale pani Ross twierdziła, że nie nadaje się na tak daleką podróż. Innego zdania był doktor Jims: uważał, że matce Maddy nic nie dolega, a rejs przez ocean tylko ją wzmocni.

Jak określił to ojciec Gunn, więź rodzinna jest podstawą wszystkiego, zwłaszcza w tak doniosłym momencie, a więc pani Ross powinna jednak zdobyć się na ten wysiłek. Major i pani Murphy, którzy mieszkali w The Glen, wspinałym do-mu z żelaznym ogrodzeniem i szklarniami, orzekli, iż taka szansa zdarza się tylko raz w życiu. Pan Hayes, prawnik, przyznał, że gdyby sprawa dotyczyła jego, pojechałby na pewno.

Jednak matka pozostała nieugięta. Nadal twierdziła, że szkoda pieniędzy, aby wysyłać w podróż kobietę w jej wieku.

Zresztą niedługo rozwinię na pewno skrzydła. Wtedy ujrzy i pozna wszystko, co trzeba.

Jej postawa coraz bardziej wytrącała Maddy z równowagi.

Wyglądało na to, że ta teza o skrzydłach odnosi się już do każdej sytuacji. Gdyby Maddy zapragnęła nowego płaszcza al-bo pomyślała o podróży do Dublina lub o trwałej ondulacji, matka z pewnością westchnęłaby ciężko i powiedziała, że na takie marnowanie pieniędzy będzie jeszcze sporo czasu po jej śmierci.

Matka miała pięćdziesiąt kilka lat i nie czuła się gorzej niż inni zdrowi mieszkańcy Shancarrig, roztaczała jednak wokół

siebie aurę kruchości i braku sił. Maddy zajmowała się domem, gdyż matka zapowiedziała, że dopóki nie rozwinię skrzydeł, nie wolno marnować pieniędzy na taki zbytek jak służąca. Pensja młodszej nauczycielki, jaką otrzymywała Maddy, była zbyt niska, aby mogła odgrywać znaczącą rolę.

Maddy miała dwadzieścia trzy lata i ogarniał ją coraz większy niepokój.

Jedyną osobą w Shancarrig, która ją rozumiała, był oj-S

ciec Barry. Miał trzydzieści trzy lata i jego również przepel-

niało uczucie niepokoju. Za zbyt gorliwe wypowiedanie się o ludziach z Vieja Piedra został przywołany do porządku przez samego biskupa i teraz dręczyła go bolesna świado-R

mość, iż potraktowano go niesprawiedliwie. Kto złożył na niego donos? Monsinior O'Toole nie wiedział już w ogóle, co się wokół niego dzieje, nie znał treści kazań. Z pewnością więc to sprawka

ojca Gunna, to on za jego plecami porozumiał się z biskupem. Sam nie mógłby wiele zdziałać, nie był

bowiem zwierzchnikiem nowego wikarego.

Ojciec Brian Barry przechadzał się po lesie Barna, odgarniając z furją gałęzie, które zagradzały mu drogę. Kto daje małym i zawistnym ludziom prawo do podejmowania prób unicestwienia dzieła bożego, skierowanego ku umierającym, ku braciom i siostram potrzebującym pomocy?

Gdyby ojciec Barry cieszył się lepszym zdrowiem, został-

by misjonarzem. Zamieszkałby w Vieja Piedra, wśród tamtejszych ludzi, tak jak uczynił to jego przyjaciel z czasów seminarium, Cormac Flynn. To właśnie Cormac informował go w swoich listach o tym, co należy uczynić w Peru.

W kościele pod wezwaniem Świętego Zbawiciela było okno poświęcone pamięci rodziny Hayes, która zasłużyła na wieczne zbawienie. Było w niej wielu księży. Na oknie widniał napis: „Żniwo jest wielkie, ale robotników mało”. Tak właśnie napisano w ich kościele, a tamten zniedołężniały ksiądz i zadufany w sobie ojciec Gunn są tak ślepi, że tego nie widzą.

Podczas jednej z takich samotnych, gniewnych przechadzek ojciec Barry natknął się na pannę Ross; siedziała na ściętym pniu drzewa, przeglądając jakiś list. Wikary nakazał

sobie spokój, zanim się odezwał. Nie chciał, aby ta łagodna kobieta poznała głębię jego furii, towarzyszącej walce o ludzkie dusze, oraz ogrom przeszkód, które niczym kłody rzuca-no mu pod nogi.

Zaskoczona jego widokiem podniosła na moment wzrok, a potem przesunęła się trochę, robiąc mu miejsce na pniu.

- Pięknie tu, prawda? Wydaje mi się, że tu zawsze można dojść do siebie, poczuć się lepiej.

Poprzez rozcięcie w sutannie sięgnął do kieszeni, wyjął

papierosy i usiadł obok niej bez słowa.

Rozumiejąc widocznie, że potrzebna mu teraz chwila ciszy, S

umilkła. Z dłońmi splecionymi na kolanach patrzyła w dal, a popołudniowe słońce słało świetliste smugi pomiędzy rosną-

ce w tym miejscu lasu jarzębiny i buki. Jakby spod ziemi zjawiała się nagle przed nimi wiewiórka, zastygła w bezru-

chu, patrząc na nich z zaciekawieniem, aż w końcu pobiegła dalej.

Roześmieli się oboje. Teraz, kiedy przysło napięcie, a cisza została przerwana, mogli porozmawiać

swobodnie.

W dzieciństwie nigdy nie widziałem wiewiórki - wyznał

ojciec Barry. - Tylko na obrazku w książce, ale na tej samej stronie widniała żyrafa i dlatego wydało mi się, że oba zwierzęta są tej samej wielkości. Lękałem się zawsze spotkania z żywą wiewiórką.

A kiedy doszło do tego po raz pierwszy?

Dopiero, gdy byłem w seminarium... Któryś z kolegów powiedział, że widuje w zaroślach wiewiórkę, a ja zawoła-

łem, żeby się pochować czym prędzej... Myśleli, że oszala-

łem.

To nic takiego - pocieszyła go Maddy. - Jeśli o mnie chodzi, myślałam, że na wojnie wysyła się do boju goryle zamiast żołnierzy.

Na pewno chce mi pani tylko dodać otuchy - zawołał.

Wcale nie. Czy wszyscy się wtedy śmiali, czy też znaleź-

li się wśród nich bardziej rozsądni?

Miałem przyjaciela. Nazywał się Cormac. On mnie zrozumiał. Rozumiał nie tylko to.

Chodzi o ojca Cormaca, który przebywa w Peru?

Tak. On potrafił pojąć wszystko. Ale w jaki sposób mam mówić mu o tym, co dzieje się tu teraz?

Cienie wydłużały się z każdą chwilą, a oni siedzieli w środku lasu i rozmawiali. Brian Barry opowiadał o dręczącej go rozterce. Wie, co należy uczynić dla mieszkańców Peru, któ-

rzy zdają się czekać na pomoc, czuje wyrzuty sumienia, gdyż tego nie robi, ale przecież jest winien posłuszeństwo swoim przełożonym, czyż nie? Maddy z kolei opowiedziała mu o swoim bracie: Joseph przesłał pieniądze i teraz się spodziewa, że jego matka i siostra przyjadą, aby spędzić z nim najszczę-

śliwszy dzień jego życia.

I jak mam go teraz powiadomić, że nie przyjedziemy? -

S

zapytała w końcu.

A jak ja mam powiadomić Cormaca, że z Shancarrig przestaną nadchodzić dary? - zapytał ojciec

Barry.

R

Właśnie tamtego dnia nawiązała się między nimi silna więź, oparta na świadomości, że nikt prócz tej drugiej osoby nie jest w stanie pojąć tego dręczącego napięcia, bólu i nie-zdecydowania. Sama myśl o istnieniu bratniej duszy dodawa-

ła otuchy.

Maddy Ross zdobyła się na to, aby w kolejnym liście do Josepha wyznać prawdę: ona chciałaby bardzo przyjechać na ślub, ale matka nie czuje się na siłach, aby odbyć tak daleką podróż. Oznaczało to dąsy w domu i ciche dni, ale Maddy przetrwała ten ciężki okres. Przygotowała sobie trochę niezbędnej odzieży i zarezerwowała bilety.

Po jakimś czasie matka zmiękła i zaczęła okazywać pewne zainteresowanie jej wyjazdem. Nie na tyle, aby wybrać się w podróż razem z córką, ale przynajmniej usiłowała znowu rozmawiać z Maddy, co oczyściło atmosferę.

Również ojciec Barry zdobył się na odwagę. Porozmawiał

bezpośrednio z ojcem Gunn. Powiedział, że akceptuje zarzą-

dzenia obowiązujące w diecezji, które nie zezwalają na faworyzowanie jakiegokolwiek misji; zgadzał się także, iż na plan pierwszy powinny się wysuwać takie tematy, jak tolerancja i miłosierdzie wobec bliźnich we własnym kraju oraz oddanie Najświętszej Pannie, Królowej Irlandii.

Zaproponował też, że w wolnym czasie - jeśli może się zająć sprzedażą - opracowałby plan pomocy charytatywnej dla Vieja Piedra. W takim wypadku nie będzie chyba zastrze-

żeń, nieprawda? Ojciec Gunn przyznał z westchnieniem ulgi, że nie, żadnych.

Latem 1955 roku Maddy Ross i Brian Barry pożegnali się, życząc sobie wzajemnie powodzenia: w jej podróży do Afryki oraz w jego staraniach o zebranie datków dla wioski w Pe-ru, tak aby pomóc Cormacowi Flynn. Jesienią mieli się spotkać ponownie i opowiedzieć sobie wszystko.

-Spotkamy się w lesie, gdzie biegają wiewiórki-olbrzymy - obiecał ojciec Barry.

-Ale będziemy się wystrzegać uzbrojonych przez wojsko S

goryli - roześmiała się Maddy.

Już teraz, w chwili pożegnania, myśleli o dniu, kiedy się znowu spotkają.

R

Do tego czasu zmienili się oboje i to w znacznym stopniu, a uświadomili to sobie natychmiast na

ganku przed ko-

ściołem po porannej mszy. Ojciec Barry układał broszurki wydane przez Stowarzyszenie Prawdy Katolickiej i wystawione do sprzedaży. Problem polegał na tym, że wszyscy chcieli przejrzeć „Diabła na tańcach” i „Dotrzymać towarzystwa”, ale nikt nie kwapił się jakoś, aby je kupić. Poszczególne egzemplarze były już nieźle zniszczone i powracały stale na miejsce, choć nie zawsze tam, gdzie leżały poprzednio.

W pewnym momencie ojciec Barry ujrzał Madeleine i jej matkę. Pani Ross zatrzymała się na dłuższą chwilę przy chrzcielnicy z wodą święconą, a potem przeżegnała się z takim namaszczeniem, jakby udzielała błogosławieństwa „Urbi et Orbi” z balkonu pałacu papieskiego w Watykanie.

Witam po powrocie z podróży. I jak, zadowolona? -

Uśmiechnął się do niej.

Nie. I trudno o większe rozczarowanie. Nie tak to planowałam.

Spojrzeli po sobie, oboje zaskoczeni tonem głosu, jakim odezwało się każde z nich, a ojciec Barry przeniósł wzrok na panią Ross, stojącą zbyt daleko, aby móc coś usłyszeć.

Las Barna - szepnął. Jego oczy zogromniały w tym momencie i pociemniały.

O czwartej - dodała Maddy.

Przypomniała sobie nagle dawne czasy zajęć gimnastycznych w szkole, kiedy kazano im ćwiczyć na drabinkach, a ona zawisała na nich do góry nogami. Poczula wtedy dokładnie to samo co teraz: zawrót głowy i dziwne osłabienie.

Doszła do siebie dopiero, gdy sobie uzmysłowiła, że zastanawia się, jaką bluzkę założyć. Przecież to ksiądz! A jednak założyła tę w pasy, w której było jej bardziej do twarzy.

Matce, która zapytała, dokąd się wybiera, powiedziała, że do lasu po liście buku. Potem włożyła je do gliceryny i przechowała do zimy, żeby ozdobić dom.

-Poszukam takich naprawdę ładnych - wyjaśniła. - Pew-S

nie nie wrócę prędko.

Ujrzała go tam, gdzie spotkali się za pierwszym razem; siedział na ich pniu, z głową skrytą w dłoniach. Opowiedział

o lecie, kiedy jego plany dotyczące Vieja Piedra poniosły R

fiasko - nie z winy ojca Gunna, który okazał mu znaczną pomoc i przy loterii fantowej, i przy turnieju gry w wista, i podczas ązizu, lecz po prostu dlatego, że ludzie nie byli tym zainteresowani. A ponieważ nie może dłużej głosić z ambony, że tantym biedakom potrzebna jest pomoc, stracił serce

do tej parafii. Na jego twarzy malowała się głęboka troska i Maddy poczuła, że nie powiedział jej wszystkiego. Nie nalegała. Powie jej to, co chce powiedzieć. Teraz on zaczął wypytywać, czy Joseph ucieszył się ze spotkania z siostrą.

-Tak i nie. - Panna młoda była prezbiterianką i zgodziła się na ślub według obrządku katolickiego tylko ze względu na narzeczonego. Ponieważ jednak matka nie przyjechała na uroczystość, Joseph postanowił nie wymagać za wiele od Ca-itriony, tym bardziej że dopóki ceremonia uwzględnia zasady chrześcijańskie, jeden i drugi obrządek są w oczach Boga warte tyle samo.

Tak więc okazało się, że Maddy odbyła daleką drogę do Afryki tylko po to, aby patrzeć, jak jej rodzony brat popełnia grzech śmiertelny. Długotrwałe dyskusje i łzy niczego nie zmieniły: Joseph stwierdził w końcu, że on i ona niemal się nie znają, a więc właściwie nie łączą ich prawdziwe więzy krwi, jakie powinny istnieć między bratem i siostrą. A kiedy zapytała go, po co w takim razie wysłał pieniądze na podróż, Joseph odparł:

-Aby udowodnić ludziom, że nie jestem na świecie sam.

Tak, oczywiście, była obecna na ceremonii, uśmiechała się do gości i była dla nich uprzejma. Ale matce nie opowiedziała o tym wszystkim. Prawdę mówiąc, zmęczyła ją zwłaszcza jedna rzecz: stale musiała pamiętać, aby zwracać się do księdza „ojcze McPherson”, a nie „panie McPherson” - tak właśnie nazywał się prezbiteriański duchowny, który udzielił jej bratu ślubu w tym dusznym kościele pod bezchmur-nym niebem, w kościele bez tabernakulum i w ogóle bez prawdziwego Boga.

Wspólnie udali się na poszukiwanie odpowiednich liści.

Maddy wyznała, że podała matce taki właśnie powód spaceru po lesie - ale już po chwili żałowała, że powiedziała mu S

o tym. Gotów jeszcze pomyśleć, że ona musi wymyślać nie wiadomo jaki pretekst, aby uczynić coś tak niewinnego jak zwykłe spotkanie z przyjacielem.

O dziwo, okazało się jednak, że on postąpił podobnie.

R

-Ja też posłużyłem się wymówką, kiedy wychodziłem.

Rozmawiałem z panią Kennedy i z ojcem Gunn. Myślą, że mam parę spotkań w parafii z Dunne'ami i Brennanami.

Spojrzeli na siebie, a potem odwrócili wzrok. To, co powiedzieli sobie do tej pory, było bardzo wymowne.

Czym prędzej zmieniła temat: zaczęła wyjaśniać, w jaki sposób należy przechowywać kwiaty i liście oraz co zrobić, że-by móc wsadzić bukiet kwiatów do wazonu z bardzo wąską szyjką.

Wysłuchał jej do końca, kiwnął głową na znak, że rozumie, po czym tak samo gorączkowo

opowiedział o wizytach składanych członkom parafii; dla obu stron jest to obowiązek, wszyscy unikają takich spotkań, a on wolałby spędzać życie w innym miejscu, gdzie ludzie potrzebowaliby go naprawdę, zamiast myśleć z obawą, czy mają czysty obrus i jakieś ciasteczka, aby go poczęstować. Na twarzy księdza dostrzegła rozgoryczenie i smutek. Nagle ogarnęła ją fala współczucia i lekko dotknęła jego ramienia.

-Czyni ojciec tutaj wiele dobrego. Och, gdyby ojciec wiedział, jak bardzo wpływa na życie nas wszystkich!

Zaskoczona, dojrzała w jego oczach łzy.

Och, Madeleine! - zawołał. - Boże, jakież jestem samotny! Nie mam z kim rozmawiać, nie mam przyjaciół!

Cicho, cicho... - mówiła, jakby miała ukoić małe dziecko. - Ja jestem ojca przyjacielem. Ja ojca wysłucham.

Objął ją, przygarnął gwałtownie i oparł głowę na jej ramieniu. Czowała na sobie jego ręce, a przy swoim ciele jego ciało wstrząsane łkaniem.

-Przepraszam. Jestem taki głupi!

Nie, wcale nie! Jest ojciec dobry. I troskliwy. Nie byłby ojciec sobą, nie okazując troski i czułości - pocieszała go.

Pogłaskała go po głowie, przesunęła dłoń niżej, na jego kark.

Kiedy podniósł głowę, aby ją przeprosić, jego łzy spłynęły jej na twarz.

Cicho, cicho - powtórzyła. Obejmowała go, dopóki nie przestał płakać, potem podała mu swoją małą białą chusteczkę z wyhaftowanym w rogu kwiatkiem.

S

Bez słowa wrócili do pnia. Donośnie wydmuchał nos.

Czuję się jak głupiec. Powinienem być silny i odważny, Madeleine, powiedzieć coś, co mogłoby panią pocieszyć w tej sytuacji z Josephem. A tymczasem płaczę jak małe dziecko.

R

Nie, to nie tak. Właśnie dzięki ojcu poczułam się dzielna i silna, naprawdę...

Posłuchaj... - przerwał jej szorstko. - Jeśli już ja płaczę w twoich ramionach, to ty możesz przynajmniej mówić mi Brian.

Przystąpiła na to bez namysłu.

Dobrze, Brian. Ale musisz mi wierzyć, że naprawdę mi pomogłeś. Chwilami myślałam już, że nie jestem nikomu potrzebna; rozczarowałam matkę, nie potrafiłam wesprzeć brata...

Musisz mieć przyjaciół. Zwłaszcza ty, taka wielkoduszna i wspaniała. Nie krępują cię ścisłe zakazy i reguły jak mnie.

Nie mam żadnych przyjaciół - odparła Madeleine Ross.

Tego popołudnia nie było wystarczająco wiele czasu, aby opowiedzieć sobie wzajemnie o milionie innych spraw - na przykład, że Brian otrzymał list z Peru od Cormaca Flynna, który zaklinał go, aby, na litość boską, nie upierał się tak go-rąco przy udzielaniu pomocy dla Vieja Piedra, bo to przecież tylko jedno z bardzo wielu miejsc na ziemi, a on nie przyszedł na świat jedynie po to, aby na własną rękę pomagać ludziom żyjącym o tysiące mil stąd.

Ten list zranił ojca Briana bardziej, niż mógł to wyrazić.

Ale gdy Maddy z kolei opowiedziała mu o Kathleen White, która poprosiła ją, swoją najserdeczniejszą przyjaciółkę, aby nie pisała do niej tak zażyłych listów, oboje poczuli, że oto łączy ich kolejna silna więź.

Dowiedziała się wiele o jego dzieciństwie i o jego matce, która zawsze chciała, aby został księdzem, niestety jednak zmarła na miesiąc przed uzyskaniem przez niego święceń i dlatego nie zdążył jej pobłogosławić.

On z kolei wysłuchał jej opowieści o życiu u boku matki, która zatracca poczucie rzeczywistości, o życiu, które toczy się coraz wyraźniej w sferze fantazji, w świecie, gdzie kuzy-ni to ludzie zamożni i dobrze urodzeni i gdzie liczą się takie drobiazgi jak noszenie rękawiczek, posiadanie koni i powo-zu, anonsowanie się za pomocą wizytówek. Maddy uważała, S

że takie rzeczy nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, ale doktor Jims zapewnił ją, że to nieszkodliwe nawyki. Wiele kobiet w średnim wieku cierpi na manię wielkości, a dziwactwa pani Ross nie są gorsze, wydają się nawet bardziej niewinne R

niż te, jakie można zauważyć u jej rówieśniczek.

Ich spotkania nabierały z konieczności coraz bardziej kon-spiracyjnego charakteru. Po zajęciach Maddy zostawała jeszcze w szkole, aby zająć się kwiatami na oknie, ojciec Barry wpadał na chwilę z jakąś wiadomością dla Kellych - i tak się składało, że w pomieszczeniu klasowym spotykał Maddy.

Nie zamykając za sobą drzwi, siadał wówczas na blacie kate-dry i wszczynał rozmowę. Gdyby pani Kelly zajrzała do klasy - a jej czujny wzrok zdawał się przenikać ściany - nie dojrzałyby nic niepokojącego.

Kiedy jednak przechadzali się po lesie Barna, z dala od oczu miasteczka, szli tuż obok siebie. Czasem oboje jakby przypadkowo przystawali w tym samym momencie, a ona przyjacielskim gestem kładła mu głowę na ramieniu i opierała się o niego, gdy zdierali z drzewa kawałek kory albo

wypatrywali gniazda ptaka, ukrytego wysoko wśród ga-

łęzi.

Nocami Maddy leżała samotna w swoim wąskim łóżku, wspominając dzień, kiedy Brian płakał, a ona obejmowała go i tuliła do siebie. Pamiętała, jak rozpaczliwie szlochał i jak mocno biło jego serce tuż obok jej serca. Pamiętała zapach jego ciała, zapach tytoniu Gold Flake i mydła Knight's Castile. Pamiętała moment, kiedy jego włosy musnęły jej szyję, a na twarzy poczuła jego łzy. To było tak, jakby raz po raz oglądała tę samą scenę z filmu.

Zastanawiała się, czy i on pomyślał o tym choć raz. Było-by to tak naiwnie romantyczne... A dla ojca Barry'ego... dla Briana... byłby to nawet grzech.

Ten nowy element jej życia sprawił, że Maddy Ross poczu-

ła przyływ nie znanej dotąd energii. Nie potrafiła teraz zrozumieć, dlaczego dawniej dni wydawały się jej tak długie i nużące. Teraz plany tłoczyły się w jej głowie jeden po drugim, a tydzień miał za mało godzin na realizację jej zamie-rzeń. Jakiś czas temu wynajęła młodą Maurę Brennan, poważ-

ną, ubogą dziewczynę, która uwielbiała odkurzać meble S

i prasować jej rzeczy. Efekt spełnił jej oczekiwania. Niedawno zaproponowała też młodemu Eddiemu Bartonowi, aby przychodził zajmować się jej ogródkiem.

Eddie był pogodnym czternastolatkiem, a interesowało R

go wszystko, co miało związek z roślinami i w ogóle z przyrodą. Często wypytywał ją o kwiaty, które rosły w ogrodzie.

Na co wydajesz zarobione pieniądze? - zapytała go pewnego razu, a widząc rumieniec na jego twarzy, dodała natychmiast: - Zresztą to nieważne. Możesz je przecież wydawać wedle własnego uznania.

Na znaczki - szepnął po chwili.

O, to ciekawe. Masz już duży zbiór?

Nie. Znaczki na listy. Ojciec Barry powiedział, że powinniśmy korespondować z kimś zza oceanu.

Przyjemnie było pomyśleć, jak korzystny wpływ ojciec Barry ma na wszystkich. Przecież chłopcy w wieku Eddiego przeważnie spędzają czas, odbijając piłkę o ścianę domu al-bo wypisując na murze jakieś bzdury, a ten, proszę bardzo: prowadzi korespondencję z jakimś katolikiem po drugiej stronie oceanu... Tego dnia zapłaciła mu więcej niż zwykle.

-Napisz mu o Shancarrig, o tym, jak tu wspaniale.

-Napiszę - odparł po prostu. - Napiszę o wszystkim.

Kiedy Eddie zachorował na grypę i matka zabroniła mu wychodzić z domu, do pracy w ogrodzie zgłosił się Foxy Dunne.

Podobno dobrze pani płaci, panno Ross - powiedział pogodnym tonem.

Nie będziesz dostawać tyle co Eddie... nie potrafisz od-różnić kwiatów od chwastów. - Ona również była w pogodnym nastroju.

To prawda, ale pani jest nauczycielką, panno Ross. Wystarczyłaby pani minuta, żeby pokazać mi, co i jak.

Dobrze. Ale pracujesz tu tylko, dopóki nie wróci Eddie

- zgodziła się.

Kiedy Eddie wyzdrowiał i zjawił się w ogrodzie, gdzie zła-pał się za głowę na widok - jak to określił - profanacji, jakiej dopuścił się Foxy, ten wziął się za inne prace: naprawił drzwi i zamek w szopie. Matka Maddy nie była tym zachwycona, nie podobało jej się, że któryś z Dunne'ów kręci się po ich terenie. Jeszcze zacznie się ubiegać o pracę dla siebie lub które-goś z braci!

S

Och, mamó! Nie można osądzać ich wszystkich jedna-kowo - zawołała Maddy.

Jesteś chyba tak samo oderwana od rzeczywistości jak ojciec Barry - orzekła matka.

R

Dawniej istniało w Shancarrig kółko dramatyczne, nie działało już jednak od jakiegoś czasu. Kryła się za tym, jak to zwykle bywa, dość niejasna historia, powiązana z osobą byłego nauczyciela, który podobno upił się w trakcie przed-stawienia i stworzył nader nieprzyjemną sytuację. Nellie Dunne zawsze powtarzała, że mogłaby opowiedzieć niejedno o komedii rozgrywającej się w Shancarrig, podobnej zresztą do innych, jakie toczą się wszędzie, na całym świecie. Ale mimo tych groźnych zapowiedzi nie zdradziła nikomu, co się tu działo. Zresztą, cokolwiek to było, miało miejsce na długo przed przybyciem do Shancarrig ojca Gunna. A monsinior O'Toole z pewnością o niczym takim już nie pamiętał.

Maddy nie spodziewała się po członkach kółka - czymkol-wiek się dawniej zajmowało - zbytniego entuzjazmu wobec planów wznowienia działalności. Tym większe było jej zaskoczenie i zadowolenie, kiedy reakcje ludzi wyszły jej na-przeciw. Matka Eddiego Bartona powiedziała, że pomoże przy szyciu kostiumów; zawsze to lepiej, gdy zajmie się tym zawodowiec, w przeciwnym razie wszystko wyglądałoby na zabawę dzieci. Biddy, pokojówka z The Glen, zaoferowała swój udział, gdyby zaistniała potrzeba wykonania jakiegoś tańca.

Jej obecne obowiązki nie uwzględniały wykorzystywania tej umiejętności, a ona wolałaby nie wyjść z wprawy. Chętni do współpracy okazali się również Brian i Liam Dunne ze sklepu z towarami żelaznymi, a Carrie, opiekunka małego synka doktora Jimsa, wyznała, że mogłaby wystąpić w jakiejś

nielicznej roli, jeżeli nie musiałyby mówić zbyt długiego tekstu. Sierżant Keane i jego żona ucieszyli się z propozycji, bo na to właśnie czekali; sierżant ujął nawet dłoń Maddy i z wdzięczności potrząsał nią energicznie parę długich chwil.

Tak więc Maddy reaktywowała działalność kółka drama-tycznego w Shancarrig, a ojciec Barry od samego początku okazał im bardzo duże zainteresowanie. Nikt nie widział nic dziwnego w fakcie, że ów młody ksiądz o smutnej twarzy an-gażuje się tak szczerze w przedsięwzięcie korzystne dla całej parafii. Dochody były oczywiście przeznaczone na cele chaS

rytatywne, dla misjonarzy w Afryce Południowej. Wszyscy, śmiejąc się trochę za plecami ojca Gunna, byli też zgodni co do jednego: lepiej, że zajął się tym ojciec Barry, gdyż biedny ojciec Gunn, mimo licznych zalet, nie miał nawet pojęcia, R

jak się wchodzi na scenę. Tymczasem ojciec Barry znał się na wszystkim, łącznie z oświetleniem sceny, a nawet reżyserią widowisk. Nakłaniał do wystawiania wszelkich możliwych sztuk, od „Pigmaliона” do „Dramatu w Inish”, a organizowane przez niego koncerty bożonarodzeniowe stały się niebawem legendą.

Jednak sercem był gdzie indziej - i tylko Maddy zdawała sobie z tego sprawę.

Tylko ona dostrzegała w nim człowieka, który maskuje swoje nieszczęście. Niebawem zorientowała się, że myśli o nim cały czas i cokolwiek robi, wyobraża sobie, jak on by na to zareagował. Kiedy opowiadała dzieciom dzieje „ucieczki do Egiptu”, widziała go oczyma wyobraźni, jak stoi w progu i uśmiecha się do niej z aprobatą. Nieraz odwzajemniała uśmiech, tak jakby naprawdę tam stał, a dzieci kierowały natychmiast wzrok ku drzwiom, myśląc, że ktoś przyszedł.

W domu, kiedy siadały do kolacji, ozdabiała talerz pla-sterkami pomidora lub jajka ugotowanego na twardo oraz świeżą natką pietruszki. Matka nie zwracała na to najmniejszej uwagi, ona jednak zdawała się dostrzegać reakcję Briana, wkładała w jego usta słowa uznania i wypowiadała je potem pod własnym adresem.

Układ łączący ich oboje dawał jej więcej satysfakcji niż -

tak przynajmniej sądziła - związki, w jakich trwali ludzie z jej otoczenia. Małżeństwo Kellych przybrało charakter ru-tyny; biedna Maura Brennan, która poślubiła barmana, urodziła dziecko z zespołem Downa i została porzucona przez męża; małżeństwo majora Murphy z The Glen urągało wszel-kiem normom, oboje nie opuszczali mieszkania, nie bywali nigdzie. Gdzie indziej nazwano by ich odludkami, tu jednak, ze względu na estymę, jaką wzbudzał The Glen, podziwiano ich za zmysł dyskrecji.

Nie było więc nikogo, komu Madeleine Ross mogłaby zazdrościć. Nikt ze znajomych jej ludzi nie doświadczał tak pięknego i czystego uczucia jak ona, żadna inna kobieta nie miała mężczyzny, który zdałby się na nią całkowicie, tak jak czynił to Barry, i któremu tylko miłość nie pozwalała się od-S

dać bez reszty powołaniu.

I oto pewnej nocy, zupełnie nieoczekiwanie, zaświtała jej w głowie osobliwa myśl. Była to jedna z tych bezsennych no-cy, gdy księżyc świeci nienaturalnie jasno nawet przez zasło-R

ny, tak że prościej jest rozsunać je zupełnie.

W oddali Maddy ujrzała jakąś postać idącą w stronę lasu.

W pierwszej chwili pomyślała, że to Brian. Chciała już narzu-cić na siebie ubranie i pobiec za nim, ale potem uświadomi-

ła sobie, że nocnym spacerowiczem jest major Murphy. Nietrudno było wziąć jednego za drugiego; obaj słusznego wzrostu, chodzili też w ciemnych ubraniach. Ale Brian śpi teraz z pewnością u siebie... A może wcale nie śpi, tylko spogląda na ten sam księżyc i czuje w sercu taki sam niepokój jak ona?

I właśnie wtedy Maddy Ross uzmysłowiła sobie, że ojciec Barry postąpiłby najlepiej, wyjeżdżając z Shancarrig.

Nie powinien dłużej marnować czasu, podając talerze z kanapkami, wieszając stare kurtyny, wychwalając niezgrane występy chóru, witając kolejnego biskupa lub innego z wizytujących parafię dostojników kościelnych. Przecież każdy człowiek ma tylko jedno życie. Brian musi je przeżyć jak naj-pełniej, pomóc mieszkańcom Vieja Piedra. Ta myśl dręczyła ją całą noc, nie pozwalała zasnąć. Siedziała, ściskając w dłoniach kubek herbaty, i wspominała moment rozmowy z bratem w Rodezji, dokąd pojechała na jego ślub; Joseph powiedział jej wtedy dokładnie to samo - że istnieje tylko jedna droga, aby przeżyć właściwie swoje życie.

Joseph, który odebrał takie samo wychowanie jak ona i był dzieckiem tych samych rodziców, potrafił ułożyć sobie życie tak, jak tego pragnął. On i Caitriona wychowywali już w Afryce własne dzieci. Czasem przesyłali zdjęcia zrobione na tle ich dużego białego domu z kolumnami przed fronto-wym wejściem. Maddy nie powiedziała nigdy matce, że te małe dzieci nie są katolikami i może nawet nie zostały ochrzczone jak należy. Rozmawiała już o tym z Brianem i oboje uznali zgodnie, że lepiej nie denerwować jej taką informacją; i tak żyje w ciągłym stresie.

Jeśli Joseph ma tylko jedno życie, to w takiej samej sytuacji jest ona, Maddy, a także Brian Barry. Dlaczego więc nie miałby wyjechać stąd i udać się do Ameryki Południowej? Po jakimś czasie ona również mogłaby opuścić Shancarrig, aby S

być potem razem z nim.

Resztę nocy spędziła bezsennie, kręcąc się to tu, to tam.

Powtarzała sobie w duchu, że nic się między nimi nie musi zmienić: nadal będą dla siebie dobrymi przyjaciółmi, nie za-R

przestaną robić tego, do czego zobowiązuje ich zew zza oceanu. Brian może pozostać księdzem. Jeśli się już raz zostało duchownym, nie ma od tego odwrotu. I nie musi wyjeżdżać, wystarczy, że zmieni istotę i zakres swojej działalności.

Potem jednak, gdy nad lasem Barna wstał świt, Maddy przyznała przed samą sobą, o czym myśli skrycie. Tak, pragnie, aby Brian Barry był jej miłością, jej mężem. Pragnie, aby porzucił stan kapłański. Oczywiście byłoby dobrze, gdyby Rzym zwolnił go ze ślubów, ale nawet gdyby do tego nie doszło, Maddy chciała go i tak. Chciała go bez względu na wszystko.

Natychmiast, gdy sobie to uświadomiła, doznała poczucia osobliwej wolności.

Miała wrażenie, jakby świat wirował wokół niej, a jednocześnie uleciała gdzieś skłonność do fantazjowania. Układając na tacy śniadanie dla matki, nie wyobrażała już sobie, co by powiedział Brian, gdyby stał obok. „To tak, jakbym wyszła z cienia i znalazła się w świecie rzeczywistym”, pomyślała.

Płonąc z niecierpliwości, czekała na chwilę, kiedy ujrzy znowu Briana. Nigdy jeszcze czas nie dłużył się jej tak niezno-

śnie jak tego dnia. I jeszcze nigdy pani Kelly nie odnosiła się do niej tak sceptycznie i badawczo jak właśnie dziś.

Dlaczego pozdrowienia napisała na tablicy w paru obcych językach? Po hiszpańsku. I jeszcze po francusku. Tych pu-stogłowych dzieciaków wystarczyłoby uczyć po irlandzku i an-gielsku, zgodnie z zaleceniami kuratorium, zamiast wtlaczać do ich umysłów, jak się mówi „dzień dobry” i „do widzenia”

w językach, których i tak nie będą nigdy używały.

Maddy patrzyła jej prosto w oczy. Kiedy indziej widziała-by oczyma wyobraźni Briana, jak stoi tuż obok i gratuluje jej cierpliwości oraz taktu. Dziś jednak dostrzegała jedynie niewysoką, poirytowaną panią Kelly w pasiastej brązowo-

żółtej sukni, pełną agresji i jadu wobec całego świata.

Dziś Maddy była jak odmieniona.

-Wypisuję na tablicy zwroty grzecznościowe w różnych językach dlatego, pani Kelly, że wbrew opinii pani i kurato-

rium te dzieci mogą przecież kiedyś znaleźć się w krajach, gdzie ludzie porozumiewają się właśnie w takich językach.

I będę im to wypisywać na tablicy codziennie, dopóki nie nabiorą wiary w siebie, zamiast potulnie zadowalać się ży-

ciem w Shancarrig, gdzie zestarzeją się, witając grzecznie przyjezdnych i powtarzając „dzień dobry” po irlandzku i an-gielsku.

Twarz pani Kelly na przemian ciemniała i bladła.

Nic z tego, panno Ross. Z pewnością nie będzie pani te-go robić w trakcie zajęć przewidzianych w programie szkolnym.

Nie miałam takiego zamiaru, pani Kelly. - Maddy uśmiechnęła się obłudnie. - Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że mogę zajmować się swoimi uczniami także poza godzinami lekcyjnymi. Tak więc będę ich uczyć albo przed lekcjami, albo po nich, stawiam tę sprawę jasno.

Miała wrażenie, jakby urosła nagle o parę metrów i góro-wała teraz nad tym niepozornym budynkiem szkolnym, a nawet nad całym miasteczkiem. Och, jakże powoli tyka ten zegarek! Kiedy wreszcie będzie mogła się spotkać z Brianem, opowiedzieć mu o swojej odwadze, o nadziejach, a także o przekonaniu, że mają przed sobą tylko jedną drogę w życiu?

Spotkała go na próbie, w obecności ciekawskich mieszkańców Shancarrig.

Jak się czuje matka, panno Ross? - zapytał. Był to element ich kodu, którego nigdy nie ustalali z góry; po prostu za-częli go stosować bezwiednie, w sposób naturalny.

Czuje się dobrze, dziękuję za pamięć. Ona też pyta stale o ojca.

Może wpadnę potem do niej, oczywiście, jeśli sobie te-go życzy.

Na pewno się ucieszy, ojczu. Uprzedzę ją o tej wizycie.

Mnie wprawdzie nie będzie w domu, ale ona chętnie się z ojcem zobaczy, jak zresztą wszyscy.

W jej oczach zatańczyły figlarne iskierki, gdy wymawiała ostatnie słowa. Odniosła wrażenie, jakby dostrzegła na jego twarzy przelotny cień, ale trwało to tylko krótką chwilę.

Wyszła z próby, uśmiechając się w duchu. Ludzie pomyślą z pewnością, że jest bardzo troskliwą córką, a także życzliwą wobec księdza, skoro idzie do domu, aby wyręczyć matkę w przygotowaniu poczęstunku dla gościa. Krocząc ulicą, czu-S

ła, jak płoną jej policzki. Tak, rzeczywiście, przez te niemal trzydzieści lat była bardzo dobrą córką. I dobrą parafianką.

Nikt nie może mieć jej za złe, że teraz chce wypróbować swoją szansę w życiu.

R

Weszła w las i usiadła na ich pniu. Czekwała dość długo.

Wreszcie nadszedł, stąpając niemal bezszelestnie po ścieżce usłanej liśćmi. Na jego twarzy widniał znużony uśmiech.

Z pewnością spotkało go dziś coś niemiłego; znała go już tak dobrze, że potrafiła odczytać każdy najdrobniejszy nawet błysk w jego oczach.

Przepraszam za spóźnienie. Musiałem odwiedzić twoją matkę - wyjaśnił.

Na miłość boską, po co? Przecież wiesz, że mówiłam to tylko...

Tak, wiem, ale ojciec Gunn powiedział mi dziś rano, że według niego nie powinienem spotykać się z tobą tak często.

-Co takiego?

Brian Barry był najwyraźniej zdenerwowany i rozdrażniony.

Och, mówił to oczywiście bardzo grzecznie, nie w formie zarzutu, nie w sposób obraźliwy...

Ale mnie to obraża! - Maddy czuła, jak wzbiera w niej furia. - Jak on śmie insynuować, że pomiędzy nami istnieje coś niewłaściwego! Jak on śmiał!

Nie, to nie tak. Właśnie zapewniał mnie gorąco, że nie to miał na myśli. - Ojciec Barry przechadzał się tam i z powrotem nerwowym krokiem, gorączkowo usiłował przekonać ją o łagodnym charakterze informacji, o braku w niej akcentów oskarżycielskich, o prawdziwych motywach będących jej podstawą. Po prostu ojciec Gunn chciał uchronić ich oboje przed złymi językami i plotkarzami. W małym miasteczku takim jak Shancarrig, gdzie nie dzieje się wiele, ludzie sami wy-myślają tematy do rozmów. Dla ojca Barry'ego byłoby lepiej nie mieć wspólnych zainteresowań z panną Ross; oboje powinni skierować swój głód przyjaźni w inną stronę; tak wła-

śnie ujął to ojciec Gunn.

A co ty mu odpowiedziałeś, Brianie? - Jej blade oczy były dziś roziskrzzone jak nigdy dotąd.

Powiedziałem, że ma szczególnie złe mniemanie o ludziach, skoro zakłada, iż przypiszą tak niskie motywy czeS

muś, co niewątpliwie oznacza szczerą przyjaźń.

Widać było jednak, że nie uważa swojej odpowiedzi za satysfakcjonującą. Był jakby przygnębiony, zbity z tropu. Nigdy nie kochała go bardziej niż w tym momencie.

R

-Przykro mi, Maddy, nic innego nie przyszło mi do głowy, tylko to. - Po raz pierwszy zwrócił się do niej w ten sposób, zawsze mówił „Madeleine”, jak jej matka.

Przysunęła się bliżej, zarzuciła mu ramiona na szyję. Pachniał tym samym tytoniem, ale najwidoczniej zmienił mydło: tym razem było to Imperial Leather. Poczowała też woń ciasta czekoladowego, którym poczęstowała go matka.

-To było wspaniałe - wyszeptwała.

Spojrzał na nią zaskoczony i drgnął, jakby chciał się cofnąć o krok.

-Co było wspaniałe? - W jego oczach pojawił się niepokój.

To, co mu powiedziałaś. O szczerzej przyjaźni i szczerym uczuciu...

Tak... właśnie... - Nie podniósł rąk, nie zamknął jej w ramionach.

Przytuliła się mocniej.

Brian, proszę... obejmij mnie.

Nie mogę, Maddy, nie mogę. Jestem księdzem.

Objęłam cię dawniej, kiedy nie miałeś przyjaciół. Dziś ty mnie obejmij, bo teraz ja nie mam przyjaciół, a nawet próbują odebrać mi ciebie. - Jej oczy napełniły się łzami.

Nie, nie, nie. - Próbował pocieszyć ją tak, jak czyniła to kiedyś ona, przytulił ją. - Nie, nie chodzi o to, aby nas roz-

łączyć... po prostu... no, chyba sama wiesz.

Przylgnęła do niego. I znowu usłyszała bicie jego serca, tak jak wtedy, za pierwszym razem, co wspominała tak czę-

sto. Uczynił gest, jakby chciał ją puścić, ale ona zaszlochała właśnie, płacz wstrząsnął jej całym ciałem. Brian był nie-zdarny i tkliwy zarazem. Wiedziała, że to właśnie jest jej mężczyzna, a życie oferuje jej szansę, jedyną szansę.

-Tak bardzo cię kocham - szepnęła.

Nie usłyszała odpowiedzi. Nieznacznie zmieniła kierunek rozmowy.

Tylko ty mnie rozumiesz, tylko ty wiesz, co chcę robić.

A ja jestem jedyną osobą, która wie, co jest dobre dla ciebie.

- Mówiła zdławionym głosem, tak aby nie myślał, że szalejąca w niej burza minęła i że nie musi już jej pocieszać. W cią-

S

gu tych siedmiu lat, jakie upłynęły od ich pierwszego spotkania w lesie, wiele się zmieniło: chusteczka, którą podał jej teraz, była papierowa, a kiedy usiadł obok niej i wyjął z kieszeni papierosy, nie były to już proste, ordynarne Gold Fla-R

ke, lecz eleganckie, z ustnikiem.

Nikt nie był dla mnie tak dobry jak ty, naprawdę. - Je-go głos brzmiał szczerze. Rzeczywiście tak myślał. Widziała niemal, jak jego umysł przeszukuje listę wszystkich ludzi, którzy okazali mu dobroć: matka, może jeszcze któryś z prze-

łożonych w seminarium. Wśród osób, które znajdowały się na tej krótkiej, wzruszającej liście, ona była najlepsza. I to wszystko. Dlaczego nie jest jego wielką miłością? Musi zachować szczególną ostrożność.

Odkąd cię poznałam, chciałam dla ciebie zawsze jak najlepiej - powiedziała po prostu.

Ja dla ciebie też. Możesz mi wierzyć.

Chyba to prawda, pomyślała. Tak jak to, że chciał jak najlepiej dla mieszkańców Vieja Piedra, chciał tego z całego serca, ale nie potrafił uczynić nic w tym kierunku.

Musisz tam pojechać - powiedziała.

Dokąd?

Do Peru. Do ojca Cormaca.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby zaproponowała mu lot na księżyc.

Jak miałbym to zrobić? Nie pozwolą mi.

Nie pytaj ich. Po prostu jedź. Sam mówiłeś często, że Bóg nie przywiązuje wagi do hierarchii. Bóg też nie pytał

o zgodę, kiedy chciał leczyć ludzi.

Nadal miał sceptyczny wyraz twarzy. Maddy wstała. Przywołując na pomoc całą siłę perswazji, jaką posiadała, wyja-

śniła, dlaczego musi jechać. Przypomniała mu wszystkie je-go myśli i wypowiedzi na temat tej wioski, gdzie ludzie czekają daremnie na kogoś, kto mógłby im pomóc, spogląda-ją stale w stronę przełęczy, mając niezmienną nadzieję, że zjawi się sługa boży - nie z wizytą, lecz aby zostać wśród nich i udzielać im świętych sakramentów. Kiedy jego oczy zalśni-

ły nowym blaskiem, zrozumiała, że jej starania odniosły skutek.

Ale skąd wezmę pieniądze na podróż? - zapytał.

Możesz skorzystać z kwesty. - Dla niej było to wyjście najzupełniej normalne.

S

Nie mogę tego zrobić. Te pieniądze są dla Vieja Piedra.

Czy nie tam właśnie jedziesz? Czy nie po to zbierałaś je, aby udzielić im pomocy?

Nie, nie sędzę, aby to było właściwe. Nigdy nie uważa-

ła

R

em, że ceł może uświęcać środki... Przecież często porusza-liśmy ten temat, pamiętasz?

Spojrzała na niego, zaaferowana nowym dylematem moral-nym, ale nieczuła w tym momencie na fakt, że Brian trzyma ją w ramionach, słyszy bicie jej serca, czuje na twarzy dotyk jej włosów, a na policzku jej rzęsy. Czy był zwykłym męż-

czyną, czy też zdołał stłumić tę stronę w sobie tak skutecznie, że przestała odgrywać jakąkolwiek rolę? Musiała się dowiedzieć.

-A kiedy już tam będziesz, możesz pisać do mnie, opisywać wszystko... dopóki nie przyjadę do ciebie.

Jego oczy pociemniały i wyrażały zdumienie.

- Przyjedziesz tam, Maddy? To niemożliwe. Nie możesz pojechać tak daleko i być razem ze mną. Jestem księdzem.

Mamy tylko jedno życie - odparła spokojnie.

Ja wybrałem już swoją drogę życiową. Jako ksiądz. Nie mogę tego zmienić, wiesz o tym. Nic nie jest w stanie zmienić tego faktu.

Ty możesz. Jeżeli będziesz tego chciał. Tak jak możesz zmienić miejsce, gdzie żyjesz. - W jej prostym, bezpośrednim sposobie mówienia było coś, co zdawało się go niepokoić. Nie miał już przed sobą impulsywnej Maddy Ross, jaką znał od dawna, lecz poważną młodą kobietę, która wie doskonale, czego chce.

Usiądź, Maddy. - On także mówił teraz spokojnie. Usiadł

przed nią w kucki, ujął jej dłonie w swoje. - Jeśli kiedykolwiek dałem ci do zrozumienia, że byłbym skłonny porzucić stan kapłański, to do końca życia będę musiał prostować to straszliwe nieporozumienie. - Z głęboką troską wpatrywał

się w jej twarz, usiłując odczytać jej reakcję. - Maddy, jestem księdzem i będę nim zawsze. Tylko to ma dla mnie znaczenie.

Byłem samolubny, niecierpliwy i krytyczny wobec moich parafian, nie jestem tak wyrozumiały i

wielkoduszny jak ojciec Gunn, ale wierzę, że Bóg wybrał mnie do roli pasterza.

Wierzysz też, że jesteś potrzebny mieszkańcom Vieja Piedra.

S

To prawda. I gdyby istniał jakiś sposób, aby tam wyjechać, uczyniłbym to w jednej chwili. Natchnęłaś mnie odwagą. Ale nie ruszę pieniędzy, jakie dali ludzie z Shancarrig. Nie dawali ich po to, aby ich ksiądz przywłaszczył je sobie i popły-

nął gdzieś daleko.

Na niebie zapalił się już księżyc. Z pobliskiego gąszczu wyszedł borsuk, ale oni nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Brian Barry zapewniał Madeleine Ross, że nie porzuci stanu kapłańskiego. Kilka rzeczy miało dla niego szczególne znaczenie; jedną z nich było właśnie jego powołanie.

Daremnie Maddy przekonywała go, że celibat jest jedynie zasadą wprowadzoną przez administrację kościelną, gdyż pierwsi apostołowie mieli żony i dzieci.

-Dzieci - powtórzyła i przesunęła dłonią po jego dłoni.

Cofnął rękę i wstał. O tym w ogóle nie zamierzał myśleć.

W ten sposób chciał się poświęcić dla Boga. Tego właśnie Bóg oczekiwał od swoich kapłanów: aby zrezygnowali ze szczę-

ścia i miłości w gronie rodziny, u boku żony. Nietrudno było zrezygnować z czegoś, czego się nie zna, a poza tym zbliżał się już do czterdziestki - tak więc nie myślałby o tym i tak, nawet gdyby nie był księdzem.

Wielu mężczyzn żeni się właśnie w tym wieku - zauwa-

żyła Maddy.

Nie księża.

Możesz postąpić tak, jak chcesz.

Nie uczynię tego.

Brianie, przecież ty mnie kochasz. Nie dasz się chyba zastraszyć bzdurnymi przestrogi ojca Gunna, złośliwościami pani Kennedy! Nie możesz się kierować obietnicą, jaką złożyłeś, będąc dzieckiem... kiedy nie wiedziałeś jeszcze, co to miłość!

Nadal tego nie wiem.

Ależ tak, wiesz!

Potrząsnął głową i Maddy poczuła, że nie zniesie tego dłu-

żej. Objęła go, nie zastanawiając się nad tym, co robi, przywarła ustami do jego warg, rozchyliła je. Zamknął ją w ramionach, pogłaskał po plecach, a kiedy odchyliła się trochę, przesunął dłonie na piersi. Zerknęła na niego ukradkiem; on też miał zamknięte oczy.

Dopiero po długiej chwili odsunął się od niej.

S

Dałaś mi tak wiele - szepnął.

Nawet nie zaczęłam ci jeszcze dawać - odparła.

Ależ tak, możesz mi wierzyć. Obdarowałaś mnie odwagą, wiarą. Bez ciebie byłbym nikim. Zachęciłaś mnie do wyjazdu.

R

Teraz musisz dać mi jeszcze coś... wolność.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

-Czy to możliwe, że trzymałeś mnie w objęciach, a zarazem prosisz mnie, abym już nigdy nie znalazła się w twoich ramionach?

-O to właśnie chciałem cię prosić. Błagać. Maddy, to jedyna rzecz, w jakiej szukałem dotąd oparcia. Wiedziałem jedynie, że mam głosić słowo boże. Nie odbieraj mi tego, bo inaczej wszystko, co zyskałem dzięki tobie, rozsypie się jak domek z kart.

Ten człowiek był jej najlepszym przyjacielem, jej pokrew-ną duszą. A teraz prosił ją o zgodę, aby ich drogi rozeszły się definitywnie; chciał zniknąć z jej życia i w ogóle z Shancarrig, udać się w pojedynkę do wioski, o której marzyli dotychczas oboje, modląc się przez te wszystkie lata!

Tak potworny egoizm nie mógł być częścią planu boskiego. Nie mógł być elementem marzenia o wykorzystaniu jedynej w życiu szansy. Maddy spoglądała na niego zdezorientowana. Wszystko potoczyło się na opak, nie tak jak chciała.

Zauważył, jak bardzo jest zaszokowana, ale nie dawał za wygraną. Mówił cicho, łagodnie:

-Odkąd przybyłem do Shancarrig, a nawet dawniej, wiem, że kobiety są silniejsze od mężczyzn. Wiem o tym lepiej niż ty, bo wysłuchuję spowiedzi kobiet. Jestem przy nich, kiedy le-

żą na łożu śmierci: nawet w takich chwilach nie przejmują się swoim bólem, lecz zamartwiają się, jak sobie teraz poradzi mąż lub syn. Widywałem już, jak ich dzieci umierały przy porodzie, a także jak one chowały swoich mężów i zarazem żywicieli. Kobiety są bardzo silne. Czy i ty okażesz się silna?

Czy pozwolisz mi odejść i pobłogosławisz mnie na drogę?

Patrzyła na niego oniemiała. Nie mogła wykrztusić nawet jednego słowa, chociaż w jej duszy kłębiły się całe ich roje.

Musi mu jakoś wyjaśnić, że nie mogą go krępować te stare za-sady, te puste śluby złożone w innym czasie przez innego człowieka. Brian Barry jest przecież teraz nie taki jak niegdyś, jest mężczyzną, który może kochać i dawać... Milczała S

jednak. I dobrze zrobiła, gdyż po chwili spojrzał na nią, a spojrzenie jego ciemnych niebieskich oczu było surowe.

-Widzisz, zależy mi na twoim błogosławieństwie, ponieważ tak czy inaczej wyjadę stąd.

R

Odtąd nie widywali się już bez świadków.

Ustały spacerować po lesie, ustały spotkania w szkole. Kółko dramatyczne zostało poinformowane, że próby będą się teraz odbywać bez cennej pomocy ze strony ojca Barry'ego. A wła-

śnie tam odczuwała jego brak najboleśniej. Przecież te przed-stawienia przygotowywali wspólnie. Nie wiedziała, skąd weź-

mie teraz dość zapachu, aby kontynuować tę pracę bez niego.

Czy kółko nie rozpadnie się zupełnie, skoro jego zabrakło?

Jednak kółko dramatyczne rozwijało skrzydła jeszcze bardziej. Pod wieloma względami nieobecność ojca Barry'ego pozwoliła im poszerzyć repertuar. Mogli teraz wystawiać wię-

cej komedii. Dopóki współpracował z nimi ojciec Barry, krę-

powali się oferować widzom coś zbyt lekkiego; przy człowieku tak natchnionym i szlachetnym tego typu decyzja wydawałaby się im zbyt swobodna i nonszalancka.

W ciągu paru najbliższych tygodni, które dla Maddy dłu-

żyły się nieznośnie, kółko dramatyczne podjęło decyzję o przystąpieniu do ogólnokrajowego konkursu spektakli ko-mediowych.

Szkoda, że ojciec Barry tego nie widzi. Na pewno to by mu się spodobało - powiedziała Bidy z The Glen, która otrzymała rolę tańczącej praczki.

Gdyby biedny ojciec Barry był tutaj, musielibyśmy wystawić jakąś tragedię - twierdziła żona sierżanta Keane'a. -

Ale nie życzę mu źle, nie myślcie sobie. Mam nadzieję, że cokolwiek mu dolega, przejdzie bezpowrotnie.

Chodziły słuchy, że ma plamę na płucu. Ludzie przytaki-wali skwapliwie: tak, tak, to prawda, nawet ma taki wygląd, blada cera i przejściowe rumieńce to typowe objawy gruźli-cy. Sanatorium jest najlepsze w takich przypadkach, a zresztą niczego jeszcze nie potwierdzono.

Po ostatnim spotkaniu Brian Barry nie unikał jej wzroku, jak Maddy przekonała się szybko. Odzyskał spokój ducha, był jej wdzięczny za to, że tamtego wieczoru w lesie Barna kiwnęła głową i odeszła. Nie zdobyła się nawet na jedno sło-wo.

S

Widocznie zrozumiała, że nie mógł postąpić inaczej - takie przynajmniej odniósł wrażenie.

Dni, kiedy czekała na wiadomość o jego wyjeździe, zdawa-

ły się ciągnąć w nieskończoność. Upłynęły trzy pełne mieR

siące, zanim ta chwila nastąpiła. Ojciec Gunn, wizytując jak zwykle szkołę, zapytał grzecznie, czy mogłaby wstąpić wieczorem na plebanię. Jego twarz była nieprzenikniona, nic w jej wyrazie nie zdradzało powodu tego zaproszenia.

Parę godzin później poszła tam i zaskoczona ujrzała Briana siedzącego na krześle. Ojciec Gunn poprosił ją, aby tak-

że usiadła.

Maddy, czy pani wie, że ojciec Barry jedzie do Peru?

Wiem, że miał taki zamiar - odparła ostrożnie i uśmiechnęła się do Briana. - Czy to znaczy, że wszystko już jest usta-lone? Będzie ojciec mógł wyjechać oficjalnie, bez przeszkód?

Wyjadę z błogosławieństwem wszystkich - odparł Brian.

Jego twarz wyrażała miłość i wdzięczność.

Nasz biskup jest bardzo wyrozumiały, a kiedy dostrzegł

tak gorący zapał misjonarski, uznał, że nie może go zignoro-wać - wyjaśnił ojciec Gunn.

Jak zwykle, trudno było dostrzec jego oczy przez te grube okulary, ale dziś ich szkła wydawały się jeszcze mniej przej-rzyste niż kiedykolwiek. Ciekawe, czy ojciec Gunn powiedział biskupowi, że biorąc pod uwagę dwie możliwości, dobro Kościoła Vieja Piedra stanowi lepsze wyjście, pomyślała Maddy.

Mam nadzieję - zwróciła się do Briana - że ta decyzja rzeczywiście cieszy ojca tak, jak się tego

oboje spodziewali-

śmy. - Jej głos był tylko nieznacznie zdławiony.

Jestem pani winien wdzięczność, Maddy, za okazaną mi pomoc i dodawanie otuchy. Ojciec Gunn był wobec mnie ca-

ły czas bardzo wyrozumiały i życzliwy. Kiedy wyznałem, że chciałbym, aby pani dowiedziała się pierwsza, nalegał, aby zaprosić panią tutaj i poinformować, że wszystko już załatwio-

Maddy przeniosła wzrok na ojca Gunna. Wiedziała doskonale, dlaczego zaprosił ją na plebanię: aby pożegnanie odby-

ło się bez łez, zakłóć, gorących emocji - i nie w lesie Barna lub innym odludnym miejscu.

To bardzo uprzejme ze strony ojca - powiedziała lodowatym tonem do niskiego, krępego księdza.

S

Ależ nie, nie ma o czym mówić - zachnął się. - Przepraszam, ale muszę odszukać pewien dokument. Zostawię was samych na parę minut. - Wyszedł z pokoju.

Brian nie poruszył się na krześle.

R

Jestem ci za to wszystko do zgonnie wdzięczny - szepnął

tylko.

Będziesz pisał? - zapytała głuchym głosem.

Napiszę do wszystkich, taki ogólny list jako odpowiedź

na tę wspaniałą zbiórkę funduszy dla mnie... - Uśmiechnął

się promiennie, tak jak uśmiechał się do wielu innych ludzi.

Tak jak niebawem miał się uśmiechać do biednych Peruwiań-

czyków, którzy czekali na jego pomoc w dolinie pozbawio-nej wody. Pozostawiła te słowa bez komentarza.

Po raz pierwszy od siedmiu lat siedzieli oboje w milczeniu.

Pozwolili, aby minuty potrzebne ojcu Gunn na odnalezienie dokumentu i powrót do pokoju upłynęły bezużytecznie. Drzwi pozostały cały czas otwarte.

Pożegnaniom nie było końca. Ojciec Barry nie chciał żadnych upominków, twierdził, że nie potrzebuje prezentu, aby zachować w pamięci Shancarrig, wspaniałych ludzi, których tu poznał, oraz cudowne lata, jakie tu spędził. Obiecał, że tam, na drugim końcu świata, postara się opowiedzieć wszystko o tym miejscu, noszącym tę samą nazwę co owa wioska w Peru.

Rozpłakał się, kiedy odprowadzili go tłumnie na stację.

Maddy trzymała się za innymi, w tyle. Chciała się po prostu upewnić, że Brian naprawdę wyjeżdża, chciała to ujrzyć na własne oczy. A on machał na pożegnanie jedną ręką, podczas gdy drugą osłaniał sobie oczy. Maddy podsłuchiwała przypadkowo doktora Jimsa: mówił właśnie panu Hayes, że ojciec Barry był zawsze człowiekiem nadzwyczaj emocjonalnym, wyraził też nadzieję, iż potrafi się zaaklimatyzować w tym gorącym klimacie Peru.

Po wyjeździe ojca Barry'ego czas mijał jak dawniej. Do klasy Maddy Ross przybywali nowi uczniowie, potem przechodzili do klasy pani Kelly. Nadal w czasie wolnym od regularnych lekcji dzieci uczyły się takich zwrotów jak „bonjour”

i „buenos dias”. Maddy Ross odniosła zwycięstwo nad panią Kelly - i nie zamierzała z tego rezygnować.

Zbiórka pieniędzy trwała nieprzerwanie, ale lata sześć-

S

dziesiąte przyniosły Irlandii wiele zmian. Pojawiła się na przykład telewizja i ludzie zaczęli dzięki niej poznawać inne części świata, gdzie panowały głód i nędza. Uświadomili sobie nagle, że ich pomoc byłaby potrzebna także w innych R

miejscach, nie tylko w Vieja Piedra. Coraz częściej kwoty przekazywane na konto Briana Barry'ego do urzędu pocztowego w mieście oddalonym od Vieja Piedra o jakieś sześć-

dziesiąt siedem mil okazywały się niewielkie.

On jednak słał do kraju listy pełne ciepła i wdzięczności, informując w nich między innymi o niewielkim kościółku budowanym w wiosce: wyglądał jak szopa z krzyżem na dachu, ale ojciec Barry donosił o tej budowie z olbrzymią dumą.

Kilkakrotnie dołączył do listów zdjęcia, niezbyt ostre, ale zrobione z wielu stron.

Pisał też o cennym wsparciu, jakie uzyskali od Viatores Christi, świeckich chrześcijan, wolontariuszy. Była to bez-cenna pomoc.

Maddy знаła treść tych listów, odczytywanych na głos. Ża-

łowała z całego serca, że Brian Barry nie jest świeckim misjonarzem. Marzyłyby wówczas o tym samym co teraz, miałyby takie same nadzieje, ale nie złożyłyby tej straszliwej przysięgi o trwaniu w celibacie.

Próbowała się pocieszyć. Gdyby Brian nie został przed la-ty wyświęcony na księdza, nie przybyłby do Shancarrig, a wtedy ona nie mogłaby go poznać ani otrzymać tej jedynej szansy w życiu.

I tak upłynęło pięć kolejnych lat: okres samotnych spacerów po lesie Barna, pięciu przedstawień przygotowanych przez kółko dramatyczne, pięciu koncertów bożonarodzeniowych, pięciu imprez połączonych z loterią dobroczynną i sprzedażą rozmaitych wyrobów, a także turniejów gry w wista i kolejnych zbiórek pieniężnych. A potem pewnego dnia do Maddy Ross zatelefonował Brian Barry.

Miałem nadzieję, że o tej porze będziesz już w domu. - Jego głos brzmiał czysto i wyraźnie, jakby Brian dzwonił z zagranicy. To niemożliwe, aby połączenie z Peru było tak doskonałe!

Jestem w Dublinie - dodał.

Jej serce wykonało nagły skok w piersi. Coś się musiało stać. Dlaczego nie komunikuje się z nią poprzez ojca Gunna?

-

Chciałbym się z tobą zobaczyć. Nikt nie wie, że jestem w kraju.

S

-Brian - szepnęła.

- Nie mów nikomu. Po prostu bądź jutro.

- Ale dlaczego? Co się stało?

- Powiem ci jutro.

R

- Jutro? Mam pojechać do Dublina, tak po prostu?

- Ja odbyłem znacznie dłuższą drogę, aż z Peru.

- Stało się coś złego? Masz kłopoty?

- Nie, nie. Och, Maddy, jakże się cieszę, że mogę z tobą rozmawiać.

Nie rozmawialiśmy przez pięć lat, Brianie. Musisz mi powiedzieć, dlaczego przyjechałeś do kraju. Czyżbyś porzucił stan kapłański?

- Proszę, Maddy, zaufaj mi. Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy. Dlatego odbyłem tak daleką drogę. Wsiądź

w ranny pociąg, dobrze? Spotkamy się na stacji.

- Brian...?

- Będę na peronie. - Odwiesił słuchawkę.

Musiała zrealizować czek w hotelu. Pani Ryan chciała dowiedzieć się jak najwięcej; zawsze taka była. Maddy pilnowa-

ła się jednak, aby nie zdradzić jej niczego. Z trudem zbiera-

ła myśli. Wiedziała, że tej nocy nie będzie mogła zasnąć.

Przez pięć ostatnich lat spała po siedem godzin na dobę.

Dzisiejszej nocy nawet nie zamknie oczu. Bez względu na to, jak będzie się czuła i wyglądała nazajutrz rano. Nie ma sensu leżeć w tym samym łóżku, w którym od lat szukała codziennie snu.

Lepiej już przejrzeć szafę.

Wybrała kremową bluzkę i niebieską spódnicę. Na szyję założyła niebieski szalik z miękkiej wełny. Dzięki temu uzyskała młodzieńczy wygląd, nie będzie sprawiała wrażenia starzejącej się nauczycielki, usychającej z miłości do nieobecnego w kraju księdza.

Uśmiechnęła się w duchu. Nie jest tak źle. Przynajmniej zachowała poczucie humoru. Jutro zaakceptuje wszystko, cokolwiek od niego usłyszy.

Prawie się nie zmienił. Nawet teraz, w wieku czterdzie-stu pięciu lat, zachował młodzieńczy wygląd. Podniesiony kołnierz płaszcza nie pozwalał jej dojrzeć, czy nadal nosi ko-loratkę, ale postanowiła nie wyciągać przedwczesnych wnio-

sków. Księża w misjach chodzą przecież także w cywilnym ubraniu, a nie przestają być duchownymi.

Dostrzegł ją i podbiegł bliżej. Padli sobie w ramiona jak brat i siostra po długotrwałej rozłące albo jak starzy przyja-

ciele, którzy nie widzieli się od dawna - a tak dokładnie by-

ło w ich przypadku. Odsunęła się trochę, aby móc spojrzeć mu w oczy, ale on nie wypuszczał jej z objęć. Trudno zaś po-całować kogoś, kto obejmuje cię tak mocno, iż niemal wyci-ska życie.

Tłum na peronie przerzedził się. Brian przybrał nieco bardziej czujny wyraz twarzy.

Nie widziałaś w pociągu kogoś z domu?

A gdzie jest twój dom? - Parsknęła śmiechem. - W listach twierdziłaś cały czas, że w Vieja Piedra.

Bo tak jest. - Wydawał się zadowolony z faktu, że nie widzi go nikt ze znajomych. Wziął ją pod ramię i ruszyli w stronę pobliskiego hotelu. Hall był niewielki i ciemny, ka-wa mocna i gorąca. Maddy

zrozumiała potem, że nie zapomni nigdy, jak omal nie udławiła się nią, kiedy Brian wyznał

nieoczekiwanie, że porzuca stan kapłański, aby ożenić się z Deirdre, jedną z wolontariuszek. Kawa w ustach paliła ją jak ogień. To okropne uczucie nie mijało, a ona słuchała, przytakiwała ruchem głowy i zmuszała się do uśmiechu, kiedy opowiadał jej o dojrzewaniu, o wyrozumiałości, miłości i pustce ślubów, składanych we wczesnej młodości, zanim jeszcze osiągnie się wiek męski, i również o dobrym Bogu, który nie wymaga od ludzi, aby dotrzymywali bezsensownych przysięg.

Wysłuchiwała w milczeniu jego słów o tym, jak wiele spraw wymaga jeszcze rozstrzygnięcia. Deirdre i on zorientowali się już, jak wiele czasu musi upłynąć, zanim się uzyska zwolnienie ze ślubów, a to z kolei może wpłynąć negatywnie na uczucia tych, którzy na ten moment czekają.

Ale w Ameryce Południowej duchowieństwo potrafi docenić sedno prawdziwych wartości. Wie, że można pobłogosławić związek, który zaaprobuje Bóg. Jakich to słów użyła Maddy parę lat temu? Coś w rodzaju, że nie powinien kierować się sztucznymi przepisami administracji kościelnej.

W ogóle on, Brian, zawdzięcza jej wiele. Powtarzał to wielokrotnie Deirdre, która także jest jej wdzięczna. Ich związek nie byłby możliwy, gdyby Maddy nie przekonała go, że powi-

nien zdobyć się na odwagę i otworzyć swe serce przed światem i miłością.

Czy ty w ogóle kochałeś mnie kiedykolwiek? - zapytała Maddy.

R

Oczywiście. I nadal cię kocham. Kocham cię z całego serca. Nic nie zniszczy naszej miłości, ani fakt, że żenię się z Deirdre, ani twoje zamażpójście w przyszłości. A może masz już kogoś na myśli? - Był teraz najwidoczniej w nastroju do żartów. A ona mogłaby go w tym momencie udusić gołymi rękami.

Nie. Nie mam jeszcze takich planów.

A powinnaś, Maddy. - W jednej chwili figlarna mina na jego twarzy ustąpiła miejsca wyrazowi powagi i troski. - Kobieta powinna mieć męża i dzieci. Naprawdę.

A ty i Deirdre postanowiliście mieć dzieci? - Ze wszystkich sił próbowała mówić pogodnym tonem. Tak łatwo było przemycić jeszcze kpiarską nutkę, aby dać mu do zrozumienia, że wyczuła już, iż Deirdre jest w ciąży.

Owszem, w swoim czasie - odparł, co oznaczało niewątpliwie: wkrótce.

Zamierza, jak wyjaśnił, opuścić Vieja Piedra, a potem oboje przeniosą się trochę dalej wzdłuż wybrzeża, gdzie on będzie uczyć w mieście. Pracy jest wiele, ale na szczęście znaleźli księdza będącego rodowitym Peruwiańczykiem i on właśnie zaopiekuje się ludźmi z Vieja Piedra. Zbieranie pieniędzy na cele dobroczynne będzie musiało przebiegać w trochę inny sposób. Brian prosił, aby Maddy nie mówiła o ich rozmowie nikomu. W dzisiejszym świecie nie należy być zbyt gorliwym ani wyjaśniać innym za wiele. Należy po prostu chwycać to, co dobre, a potem tworzyć na tej podstawie większe dobro; korzystać z szansy, kiedy jest dana.

Jedyną osobą, z jaką musiał porozmawiać osobiście, jest ona. Dlatego właśnie wziął oszczędności Deirdre i przyjechał. Musiał jej podziękować w sposób, w jaki nie mógłby tego uczynić listownie. Podziękować za to, że wskazała mu drogę ku szczęściu.

-

A Deirdre nie bała się, że kiedy ujrysz swoją dawną miłość, nie zechcesz już może do niej wrócić?
- Zdołała powiedzieć to lekkim tonem, jednak jej serce tłukło się jak oszalałe, gdy czekała na odpowiedź.

Postanowił czym prędzej rozwiązać jej obawy.

S

-

Na Boga, skądże znowu! Przecież ona wie, że nie łączy-

ła nas prawdziwa miłość. To była tylko dziecinada, chociaż oczywiście rozmawialiśmy wtedy poważnie o życiu. Na pewno był to element dojrzewania, dla mnie element bardzo waż-

R

ny - zapewnił ją z przekonaniem.

Pociąg do Shancarrig odjeżdżał za piętnaście minut. Maddy oświadczyła, że pojedzie właśnie tym.

-

Poczekaj na następny. Jesteś przecież dopiero od godziny. - Nie ukrywał rozczarowania.

- Przecież powiedziałaś mi już wszystko.

- Wcale nie, dopiero zacząłem.

- Muszę wracać, Brianie. Bez względu na to, co mi jeszcze powiesz. Mama nie czuje się najlepiej.

- Przykro mi, nie wiedziałem.

- Oczywiście, bo i skąd? Nie wiesz też o wielu innych rzeczach, na przykład, że zmarła pani Murphy z The Glen albo że Maura Brennan nie rozstaje się nawet na krok ze swoim biednym synkiem, chodzi z nim do każdego domu, gdzie sprząta lub zmywa naczynia, a on siedzi na podłodze, dopóki matka nie skończy pracy. Jest wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia.

No cóż, nikt mi o tym nie pisał. Ty też. W ogóle nie piszesz do mnie.

- Zabroniono mi pisać do ciebie, zapomniałeś już?

- Nie zabroniono, to było tylko zalecenie.

- Dla ciebie jedno i drugie oznaczało wtedy to samo.

- Gdybyś naprawdę chciała do mnie napisać, zrobiłabyś to

- odparł, przechylając głowę na bok; w jego oczach znowu zatańczyły filuterne iskierki.

Nie wierzył jej, że chce wrócić najbliższym pociągiem, ale ona nie zwracała już na to uwagi. Myślał pewnie, że spędzi z nim w Dublinie cały dzień, może nawet weekend. Ciekawe, co on teraz robi? Chyba nikt z jego krewnych nie wie, że przyjechał do kraju.

-

Czy zrobiłem źle, wracając tu, aby z tobą porozmawiać?

- Znowu sprawiał wrażenie małego dziecka, zalęknionego, niepewnego.

Zachowywała się wobec niego łagodnie. Mogła sobie na to pozwolić. Miała jeszcze przed sobą wiele lat na rozwikłanie tej zagadki: dlaczego jej jedyna próba zakosztowania pełne-S

go życia zakończyła się fiaskiem? Wyciągnęła rękę, ujęła je-go dłoń.

-

Nie, postąpiłaś słusznie - skłamała, patrząc mu prosto w oczy. - Powiedz Deirdre, że życzę wam obojgu wiele szczę-

ś

R

cia. I że wróciłam do Shancarrig z sercem przepelnionym radością.

Tylko taki prezent ślubny mogła mu ofiarować.

Udało jej się powstrzymać łzy tak długo, dopóki pociąg nie skręcił, a ona nie straciła z oczu Briana lub raczej jego ręki, którą machał energicznie na pożegnanie.

Maura

Kiedy dla Maury nadeszła pora rozpoczęcia nauki w szkole, wszelki entuzjazm w rodzinie Brennanow wobec kwestii edukacji zgasł. Matka Maury była już znużona nie kończący-mi się wymogami, jakim musiała sprostać, aby ubrać wszystkich na procesję majową, na uroczystość z okazji wizyty biskupa, na komunię i bierzmowanie. Wyraziła nawet opinię, że szkoła w Shancarrig postępuje tak, jakby była prywatną uczelnią dla synów i córek bogatych właścicieli ziemskich, a nie szkołą powszechną.

Mała Maura nie mogła też liczyć na zbyt dużą zachętę ze strony ojca. Paudie Brennan był zdania, że szkoła i wszystko, S

co się z nią wiąże, to sprawa kobiet, mężczyzna natomiast nie powinien z tym mieć nic wspólnego. A ponieważ nie należał do ludzi, którzy kalają sobie ręce stałą pracą, nie moż-

na było oczekiwać od niego, aby zapewnił byt swojej licznej rodzinie. Maura nie znajdowała się więc w korzystnej sytu-

acji, zwłaszcza iż w gromadce dziewięciorga dzieci zajmowa-

ła niemal ostatnie miejsce. Paudie miał inne kłopoty na głowie, na przykład ciekący dach, gdzie brakowało z tuzin dachówek, lub rachunek w gospodzie Johnny'ego Finna. Jak-

że więc miałby się jeszcze przejmować szkołą Maury i podręcznikami?

Zresztą dziewczynka wcale tego od ojca nie oczekiwała.

W szkole było miejsce na książki, w domu - na bójki. Starsze rodzeństwo, bracia i siostry, wyjechało już do Anglii. Uczynili to natychmiast po ukończeniu siedemnastu, osiemnastu lat. Przyjeżdżali do domu na święta i pierwszy dzień był wtedy zawsze cudowny, ale potem ta pozorna sielanka przeradza-

ła się w zwykłą rzeczywistość i znowu, jak zawsze, rozlegały się krzyki zwiastujące awantury, tak jakby w domu nie było żadnych gości.

Maura wiedziała, że niebawem wśród dzieci przebywają-

cych w domu ona będzie najstarsza. Pozostała już tylko ona i Geraldine. Ale Maura nie zamierzała wyjeżdżać do Anglii i pracować tam w fabryce obuwia, jak Margaret, ani w sklepie rybnym, jak Deirdre. Nie, zostanie tu, w Shancarrig. Nie wyjdzie za mąż, lecz będzie mieszkać sama, jak panna Ross, która jest już stara i może robić, co jej się podoba, nawet zostawać na noc poza domem, nie bojąc się żadnego zrzędzenia z tego powodu. To prawda, panna Ross jest nauczycielką i musi zarabiać kupę pieniędzy, ale ona, Maura, zacznie oszczędzać, gdy tylko pójdzie do pracy, a pieniądze będzie trzymać na poczcie do chwili, kiedy zamieszka we własnym domu i będzie mogła kłaść się spać nawet o drugiej nad ranem, gdyby przyszła jej na to ochota.

Często zostawała w szkole po lekcjach, aby porozmawiać z panną Ross. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o wspaniałym życiu, jakie jej nauczycielka wiedzie w swoim niewielkim domu z krzewami bzu i wysokimi malwami przed oknami. Wypytywała bezustannie o psa i kota, jako jedyna w szkole znała ich wiek i imiona. Stale miała nadzieję, że panna Ross dopowie jeszcze coś ciekawego o swoim życiu.

S

A Madeleine Ross patrzyła na nią z pobłażaniem. Ta dziewczynka nie była bystra. Nie usprawiedliwiała jej pod tym względem ani pijaństwo ojca, ani brak jakiegokolwiek wykształcenia u

jej matki. Nawet najmłodsza latorośl Brenna-R

nów, Geraldine, stale przeziębiona i odgarniająca włosy z oczu, była bardziej zdolna niż ona. Ale to właśnie Maura, nie jej młodsza siostra, kręciła się stale u jej boku, to właśnie ona zadawała masę pozornie błahych pytań.

Pewnego dnia panna Ross wspomniała, że nie cierpi prasowania.

- A ja uwielbiam - odparła natychmiast Maura. - Naprawdę. Prasowałabym od rana do wieczora, gdybym mogła, ale nasze żelazko jej popsute, a tata nie chce zapłacić za naprawę.

- Co właściwie podoba ci się w prasowaniu? - Panna Ross wydawała się szczerze zdumiona.

-To, że poruszam ręką tam i z powrotem... to prawie jak muzyka... a ubrania robią się gładkie i ładne, i pachną czystością...

Ładnie to powiedziałaś. Możesz przyjść do mnie i po-prasować.

Dobrze, chętnie - odparła Maura.

Miała jedenaście lat, była kręłą dziewczynką o włosach zaczesanych do tyłu i spiętych brązową zapinką, o wysokim czole i pogodnych oczach. Gdyby pochodziła z innej rodziny, miałyby lepsze szanse startu i mogłaby zajść dalej.

- Nie, dziecko, jednak nie rób tego. Nie chcę, aby inni uczniowie widzieli, że zajmujesz się u mnie prasowaniem.

Nie czapkuj przed nikim, dopóki nie musisz.

- A czy to byłoby czapkowanie? - Maura Brennan wydawa-

ła się naprawdę zdumiona; nie widziała nic upokarzającego w fakcie, że wykonywałyby jakieś prace w domu nauczycielki. - Zresztą... inni nie muszą o tym wiedzieć, panno Ross.

Na pewno się dowiedzą. Wiesz, jak to jest w Shancarrig.

Jest wiele rzeczy, o jakich nie mają tu pojęcia. Na przykład, że moja siostra Margaret urodziła dziecko w Northampton. Geraldine i ja jesteśmy już ciotkami, panno Ross. Może pani to sobie wyobrazić? - Maura zdradziła sekret rodzinny bez żadnych obiekcji, jakby wiedziała, że nauczycielka nie wykorzysta tak sensacyjnej wiadomości przeciw niej. PowieS

działa o tym z taką samą prostotą, jak gdy mówiła o prasowaniu.

- No dobrze, przychodź do mnie prasować raz w tygodniu, a ja będę ci uczciwie płacić - powiedziała w końcu panna R

Ross.

- Dziękuję, bardzo dziękuję, będę odkładać pieniądze na pocztę. - Dla Maury Brennan był to pierwszy krok. Ostrzegła swoją siostrę Geraldine, aby nie mówiła o tym nikomu. To ma być ich sekret.

A dlaczego? - zainteresowała się Geraldine.

-Nie wiem - przyznała Maura. - Ale to tajemnica.

Nawet kiedy pani Brennan pytała, dlaczego Maura nie przysłała jeszcze ze szkoły, Geraldine odpowiadała, że nie wie.

Jej zdaniem takie bezustanne kręcenie się koło panny Ross było głupotą. Przez to Maura nie ma przecież czasu, żeby zajrzeć do podręczników. Nie była zdolna i zawsze musiała pytać o wszystko innych, na przykład Leo Murphy, Nessę Ryan lub inne dziewczęta z bogatych domów. Geraldine nie przysłoby nigdy do głowy rozmawiać z nimi lub takimi jak one. Ale Maura miewa często głupie pomysły.

Kiedy Maura po raz pierwszy przysłała do niej prasować, panna Ross dała jej nie tylko pieniądze, ale także lalkę; zauważyła, jak troskliwie dziewczynka się z nią obeszła, wyprasowała nawet jej sukienkę. A ktoś, kto troszczy się w ten sposób o lalkę, powinien mieć ją na własność. Swojej siostrze Maura mówiła potem zawsze, że pożyczyła lalkę tylko do zabawy i może ją zatrzymać do czasu, kiedy panna Ross wyjdzie za mąż i będzie miała własne dzieci.

Panna Ross ma już pewnie ze sto lat. Nigdy nie wyjdzie za mąż i nie będzie miała dzieci - zawołała Geraldine.

Kobiety mają dzieci nawet w późnym wieku. Wystarczy spojrzeć na mamę. I na świętą Elżbietę.

Geraldine nie była pewna, czy przykład świętej Elżbiety jest tu odpowiedni, nie miała jednak żadnych wątpliwości co do mamy.

-Kiedy mama zaczęła rodzić dzieci, nie mogła już potem przestać. Słyszałam kiedyś, jak opowiadała o tym pani Barton. Ale po mnie nagle przestała rodzić. - Geraldine miała dopiero dziewięć lat, ale wiedziała wszystko.

Maura żałowała często, że nie jest tak pewna siebie jak S

ona.

Lalka siedziała na półce w ich sypialni. Miała porcelanową głowę i małe porcelanowe ręce. Kiedy Maura zostawała w pokoju sama i nie musiała się obawiać kpin ze strony sioR

stry, brała lalkę na ręce i tuliła ją tkliwie, szepcząc kojące sło-wa i zapewniając, że ją kocha. Panna Ross dawała jej nieraz w prezencie jakieś ubrania, kiedyś podarowała ładny kolorowy pasek i szalik z frędzlami.

Nigdy nie nosiłam ich w szkole, a więc nikt nie będzie wiedział, że masz je ode mnie.

Nawet gdyby się dowiedzieli, to co? - Podobnie jak wtedy, gdy rozmawiały po raz pierwszy o prasowaniu, była tak szczerze zdumiona, że panna Ross jakby zmieszała się trochę.

Chętnie pomogłabym ci trochę z nauką, Mauro. Zrobiłabym to bardzo chętnie, ale tak naprawdę brakuje ci chęci do koncentracji.

Dam sobie radę, panno Ross - zapewniła ją natychmiast dziewczynka. - Po co miałaby pani się męczyć, żeby wpychać mi do głowy coś, co nie chce tam wejść? A zresztą te wszystkie rachunki i wiersze nie będą mi nigdy potrzebne.

Przecież nie wiesz, co będzie w przyszłości... Gdybyś wyjechała do Anglii jak Deirdre i Margaret, nie mając żadnych kwalifikacji...

Nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Zostanę tutaj. Zamieszkać kiedyś w takim domu jak ten i postaram się, aby było w nim jak tu: czysto, ładnie, z kolorową porcelaną na kredensie i z lawendowym zapachem pasty.

Jeśli zadbasz o to wszystko, uszczęśliwisz swojego męża.

Ja nie wyjdę za mąż, panno Ross. - Była to jedna z nie-wielu rzeczy, co do których Maura zdawała się nie mieć żadnych wątpliwości.

W tej sprawie wierzyła jej także Geraldine.

Dlaczego nie pójdziesz na całość i nie zostaniesz zakonnicą? - pytała. - Jeśli jesteś pewna, że nie zainteresujesz się żadnym facetem, to chyba lepiej siedzieć sobie w klasztorze, śpiewać pieśni religijne i dostawać trzy razy dziennie coś do jedzenia?

Modlić się mogę we własnym domu. Mam na półeczce lampkę z Najświętszym Sercem Jezusa, a na tym małym sto-

liku z niebieskim obrusem postawiłam obrazek Matki Boskiej Majowej i wazonik z kwiatami.

Nie zdradziła się, że zamierza jeszcze kupić krzeselko dla lalki.

R

Geraldine wzruszyła ramionami. Miała teraz dwanaście lat, ale była bardziej dojrzała niż jej czternastoletnia siostra, która w tym roku kończyła szkołę. Dla Geraldine zbliżał

się termin bierzmowania i po długich lamentach ze strony jej i matki Paudie Brennan dał się w końcu ubłagać: wysuptał

trochę pieniędzy na piękną sukienkę dla córki. Po raz pierwszy w tej rodzinie dziecko otrzymało na ceremonię bierzmowania nowe ubranie. Geraldine powiesiła sukienkę na drzwiach sypialni i zdążyła przymierzyć ją już kilkanaście razy. Dała się też przekonać starszej siostrze, że powinna pilnować, aby włosy nie opadały jej na oczy.

W dzień bierzmowania chciała wyglądać szczególnie oka-zale. Napisała w porę do braci i siostr w Anglii, informując o czekającej ją uroczystości, oni zaś zrozumieli aluzję i wraz z najlepszymi życzeniami każde z nich włożyło do koperty banknot: jednego funta lub dziesięć szylingów. Maura, która przed swoim bierzmowaniem nie wpadła na taki pomysł, patrzyła teraz z zazdrością na nadchodzące bogactwa. Musia-

łyby wyprasować u panny Ross bardzo dużo rzeczy, aby zarobić choćby w przybliżeniu taką kwotę.

Na trzy dni przed bierzmowaniem Paudie Brennan, który przeżywał akurat nawrót pijaństwa, zorientował się, że jego kieszenie zaczynają znowu świecić pustkami. Przekonany, że Bóg ma inne problemy niż przejmowanie się tym, co młodzi chrześcijanie zakładają na siebie do bierzmowania, za-niósł nową sukienkę córki do lombardu, gdzie otrzymał za nią dwa funty.

Jego postępek wywołał olbrzymią konsternację. Awantura, na którą złożyły się krzyki, łzy i złorzeczenia, uświadomi-

ły Maurze, co ich teraz czeka: burze i ból, rozczarowanie i wzajemne obarczanie się winą. Geraldine nie mogła już liczyć na kupno nowej sukienki; znalezienie teraz tak dużej kwoty byłoby prawdziwym cudem.

Zdobędę ją dla ciebie - powiedziała Maura, patrząc na zaczerwienioną od płaczu siostrę, która leżała na łóżku i nie przestawała się uzalać na niesprawiedliwy los oraz nikczem-ność ojca.

S

Jak chcesz to zrobić? Nie bądź głupia!

Odłożyłam trochę pieniędzy. Weź tylko od ojca kwitek.

Pojedziemy autobusem, ale nie mów im o niczym, rozumiesz?

Ani słowa!

R

A jak im wytłumaczę, skąd wzięłam pieniądze? Jeszcze pomyślą, że je ukradłam.

Po tym co zrobił, ojciec nie będzie dużo pytał - odparła Maura.

Kiedy nadszedł ów dzień, Paudie Brennan ogolił się i ubrał

starannie, na przyjazd biskupa założył nawet porządną koszulę ze sztywnym kołnierzem. Słońce świeciło pogodnie, dzieci z Shancarrig przynosiły swoim wyglądem chlubę własnej szkole, kiedy ustawiły się przed katedrą miejską do zbiorowej fotografii. Uwagę zebranych przyciągała zwłaszcza Geraldine Brennan, olśniewająco urocza ze swoimi jasnymi lśniący-mi włosami i w białej plisowanej sukience.

Ubrana ślicznie, jak z obrazka. Może pani być z niej dumna - powiedziała pani Ryan z hotelu. Jej córka Catherine nie wyglądała tak imponująco, ona zaś nie potrafiła ukryć zaskoczenia, że młoda Brennan, córka znanego w całym miasteczku pijaka i obiboka, prezentuje się tak wspaniale.

Och, człowiek stara się jak może, pani Ryan - odparła matka Geraldine. Maura poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

Gdyby nie ona, gdyby wszystkim pokierowała matka, Geraldine stałaby teraz w jakiejś okropnej sukieneczynie, wyże-branej od krewnych, którzy już jej nie potrzebują. Tymczasem ojciec nie zdobył się na najprostsze choćby słowa przeprosin, a Geraldine nie wspomniała nawet o ewentualnym - kiedyś, w przyszłości - zwrocie pieniędzy. Żadnych py-tań, żadnego zainteresowania tą sprawą.

Nikt też nie zapytał, co Maura chce robić po ukończeniu szkoły, a przecież miało to nastąpić już za parę tygodni. Wiedziała, że nie pójdzie do miejskiej szkoły z internatem, tak jak Leo Murphy i Nessa Ryan. Nie myślała też o szkole zawodowej. Nie była wystarczająco bystra, aby mogła liczyć na przyuczenie do zawodu w jakimś sklepie lub w zakładzie fryzjerskim.

Pozostawała tylko praca służącej. Ale gdzie? To - jak Maura wiedziała doskonale - było pytanie, na jakie sama musi znaleźć odpowiedź. Podobnie jak w wielu innych sprawach, S

również teraz była zdana na siebie, nie mogła liczyć na pomoc rodziców. Tak naprawdę chciała zdobyć pracę gdzieś, gdzie mogłaby także zamieszkać. W dużym pięknym domu z ele-ganckimi meblami. Na przykład w The Glen, gdzie mieszka-

ł

R

a Leo Murphy.

Pójdzie tam i zapyta o pracę. Nie wypada pytać o to Leo w szkole. A może zatrudnią ją w hotelu Ryana - w kuchni albo jako pokojówkę. Tylko że tam nie ma takich pięknych mebli, które mogłaby odkurzać, głaszcząc je przy tym...

Czy wspominasz może własne bierzmowanie, Mauro? -

Nieoczekiwanie stanął przy niej ojciec Gunn.

Nie, przykro mi, ojcze, ale nie. Myślałam o tym, gdzie przyjdzie mi pracować.

Czyżbyś kończyła już szkołę? - Grube szkła w okularach nadawały mu wygląd bardziej roztargnionego i zagubione-go, niż był w istocie. Zdawał się nie wierzyć, że już kolejna latorośl Brennanów dojrzała do tego, aby wsiąść na statek i wyemigrować do Anglii.

Tak. Mam już prawie piętnaście lat - wyjaśniła z dumą w głosie. Ojciec Gunn spojrzał na nią uważnie. Nie była tak ładna jak jej siostra, przystępująca dziś do bierzmowania, ale mogła wpaść komuś w oko. Miał nadzieję, że nie zajdzie z kimś w ciążę jak jej siostra w Northampton. W tej małej

społeczno-

ści niewiele tajemnic uchowało się przed uchem księdza.

Będą ci potrzebne referencje, jak sądzę - westchnął, wspominając przelotnie wszystkich młodych ludzi, o których napisał do anonimowych pracodawców w Anglii, zachwalając ich uczciwość.

Zostanę w Shancarrig, a tu wszyscy mnie chyba znają -

odparła. - Chcę pracować jako służąca. Gdyby ojciec usłyszał o kimś, kto szuka kogoś do prac w domu, to proszę pamię-

tać, że jestem dobra w sprzątaniu.

Dobrze, Mauro, pomyślę o tym - obiecał i odwrócił się w drugą stronę. Nieoczekiwanie ogarnął go smutek.

Maura podeszła do tylnych drzwi The Glen i czekała cierpliwie, podczas gdy psy szalały, obwieszczając hałaśliwie jej przybycie. Nikt jednak do niej nie wyszedł. Przedtem dojrza-

ła w salonie dwie osoby. Na pewno usłyszeli już, że ktoś stoi przed wejściem. Po namyśle Maura podeszła do frontowych drzwi i wtedy zobaczyła Leo: wysoka, pewna siebie zbiegała S

po schodach.

- Maura? Co ty tu robisz? - zawołała.

- Przyszłam, żeby zapytać twoich rodziców, czy nie potrzebują kogoś do sprzątania w domu - poinformowała koleżan-R

kę, z którą chodziła do szkoły od ośmiu lat.

-Do sprzątania? - Leo wydawała się zaskoczona jej pomysłem.

-Właśnie. Chciałabym gdzieś pracować, a to taki duży dom... Może...?

-Nie, Mauro.

-Ale ja naprawdę umiem posprzątać pokój...

-Mamy już do tego Bidy.

-Wiem, ale mogłabym to robić razem z nią, to znaczy pod jej okiem.

-W szkole Leo była wobec niej zawsze uprzejma. Maura nie rozumiała teraz, dlaczego jej koleżanka stała się nagle tak szorstka.

-Nic z tego. Nie mogłabyś przychodzić tu i sprzątać po mnie.

-I tak będę musiała po kimś sprzątać. Co za różnica, czy tu, czy u innych ludzi? Pozwól mi zapytać twoich rodziców, Leo. - Zanim jeszcze wypowiedziała ostatnie słowo, postanowiła nie prosić dłużej. Zawsze potrafiła wyczuć, gdy coś stawało się niemożliwe. Teraz powiedział jej o tym wyraz twarzy Leo.

-Trudno - dodała, siląc się na pogodny ton. - No, ale musiałam spróbować.

Odchodząc, czuła na sobie wzrok Leo, która stała w progu wraz z psami. Czuła, że nie została potraktowana jak należy.

Własna koleżanka ze szkolnej ławy odesłała ją sprzed drzwi, zamiast pozwolić, aby zapytała jej rodziców! Ale z drugiej strony Leo sprawiała wrażenie, jakby to ona decydowała o wszystkim w tym domu. Może i tak by jej nie zatrudnili, wiedząc, że nie aprobuje tego Leo.

Aż trudno to sobie wyobrazić: piętnastoletnia dziewczyna rządzi w domu! Maura pokręciła głową. Ale po chwili uświadomiła sobie, że u niej jest podobnie. Niewiele decyzji podejmowano u Brennanów za jej plecami.

Udała się do pani Hayes. Pan Hayes był adwokatem, a więc rodzina musiała być zamożna. Mieli duży dom, obro-

śnięty wirginijskimi pnączami, a w salonie stał piękny forte-pian. Maura wiedziała o tym, bo przecież chodziła z Niallem Hayesem do jednej szkoły. Był bardzo miłym chłopcem. Kiedyś powiedział jej w zaufaniu, że nie cierpi lekcji gry na piaR

ninie, które ma dwa razy w tygodniu. Ona za to powierzyła mu swoją tajemnicę: nie lubi chodzić w soboty i niedziele do pubu, aby przypominać ojcu, że obiad czeka.

Ale pani Hayes powiedziała Maurze, że nie potrzebuje młodej dziewczyny; potrzebowałyby raczej kogoś starszego, bardziej doświadczonego.

Maura poszła więc do matki Eddie Bartona, miejscowej krawcowej. Niestety, pani Barton oświadczyła, że trudno jej nawet wyżywić siebie i syna. Skąd miałyby wziąć kilka dodatkowych szylingów dla dziewczynki, która tańczyłaby sobie ze szczotką po pokojach? Powiedziała to grzecznym tonem, ale fakt pozostawał faktem.

Doktor Jims z kolei powiedział, że ma do pomocy nie tylko Carrie, która opiekuje się jego synkiem, ale także Maisie, dysponującą jeszcze sporą dozą sił i energii.

Pozostał więc już jedynie hotel Ryana. Maura traktowała to miejsce jako ostateczność, uważała bowiem panią Ryan za osobę bardzo apodyktyczną i trudną we współżyciu.

A jednak właśnie u niej otrzymała pracę. Została pokojów-ką. Pani Ryan miała nadzieję - jak oświadczyła - że Maura będzie zadowolona, ale przyjmuje ją do pracy pod trzema warunkami: Maura nie będzie rozmawiać z Nessą, mimo iż w szkole są koleżankami; musi mieszkać tu na miejscu, nie może wracać co wieczór do swojej chałupy; a po trzecie -

gdyby zachciało się jej flirtów albo nawet bezeceństw z któ-

rymś z gości hotelowych, natychmiast dowie się o tym ojciec Gunn, a ona, Maura, pożegna się z Shancarrig raz na zawsze.

Maura ucieszyła się, że nie będzie musiała wracać do do-mu. Ojciec stał się ostatnio nie do zniesienia. A Geraldine sprowadzała swoje koleżanki i przesiadywała z nimi w sypialni, ciągle tylko chichocząc. Ach, jakże byłoby cudowne mieć własny pokój, nawet mały i ciasny jak klasztorna cela, ale własny!

Maura niezwłocznie przystąpiła do pracy. Kiedy miała czas wolny, nadal prasowała u panny Ross i polerowała srebra pani Hayes, siedząc cichutko w jej kuchni. Nigdy nie rozma-

wiała z Niallem, gdy przyjeżdżał do domu ze swojej szkoły z internatem. Nikt by teraz nie pomyślał, że oboje chodzili kiedyś razem do jednej szkoły, a nawet się w pewnym sensie przyjaźnili. Jeśli Niall widywał niekiedy Maurę w domu, to R

i tak zdawał się jej nie dostrzegać.

Nie zwracał na nią uwagi również w późniejszym okresie, mimo iż w miarę upływu lat Maura Brennan stawała się dziewczyną dość atrakcyjną, o zgrabnej figurze. Jeśli ktoś od dzieciństwa ma niezbyt pociągającą powierzchowność, nawyka do niej i z czasem przestaje liczyć na korzystne zmiany w tym względzie. Maura zdawała sobie sprawę, że jej siostra Geraldine jest ładniejsza od niej, ale nie czuła zazdrości.

Cieszyła się, kiedy Geraldine znalazła sobie pracę w tartaku; przecież w kantorku chcieli mieć kogoś miłego, z uroczym uśmiechem na twarzy. Mimo to nigdy nie uważała, że jej krę-

pa figura oraz charakter pracy, jaką wykonuje, czynią z niej kogoś gorszego.

Oswojona z myślą, że jest niezgrabna i nieładna, nie uświadomiła sobie nawet, iż od jakiegoś czasu jej wygląd uległ

zmianie i że stała się nawet dziewczyną bardzo atrakcyjną.

Dostrzegali to jednak mężczyźni goszczący w hotelu Ryana. Maura często musiała podnosić głos i uciekać się do ostre-go tonu, gdy ten czy ów prosił o dodatkowy koc lub zgłaszał

jakieś wyimaginowane zażalenie - po to tylko, aby zwabić ją do pokoju i obłapić.

Kiedy Maura skończyła osiemnaście lat, pani Ryan zasugerowała mężowi, aby dziewczyna stanęła za barem; mogła-by przyciągnąć więcej klientów. Ku ich zaskoczeniu Maura odmówiła jednak. Jak stwierdziła, woli robić dalej to samo, co robiła, gdyż nie ma głowy do liczb. Poza tym, gdyby mia-

ła się znaleźć na oczach wszystkich, musiałaby zadbać o bardziej eleganckie ubranie. Krótko mówiąc, będzie się czuła lepiej, ścieląc nadal łóżka i pomagając w kuchni.

- To przynajmniej podawaj do stolików - poprosił pan Ryan. Ale Maura obstawała przy swoim: woli pozostać w cieniu.

Breda Ryan wzruszyła ramionami. No cóż, chcieli poprawić los tej biedaczki, na domiar złego córki Paudie Brennana, pijaka, ale trudno, skoro sama odrzuca tak korzystną ofertę...

Pani Ryan zawsze uważała, że gdyby zebrać całe bogactwo S

świata i podzielić je równo między wszystkich ludzi, okazało-by się po pięciu latach, że znowu ci sami co przedtem mają pieniądze i władzę, ci zaś, którzy byli dawniej biedni, pozostali bez majątku i jakiegokolwiek nadziei. W zmieniającym R

się świecie taka teza podtrzymywała ją na duchu.

Maura nie chciała niczego zmieniać; życie, jakie wiodła, odpowiadało jej całkowicie. Miała trzy solidne posiłki dziennie, mogła sobie nawet wybierać potrawy, o czym nie mogła-by marzyć w swoim domu. Rodzicom wyjaśniła, że w hotelu może być potrzebna o każdej porze dnia i nocy, dlatego nie wraca do nich. Gdyby została barmanką lub kelnerką, ocze-kiwaliby od niej, że zamieszka znowu u nich, a tak miała pretekst, który pozwalał jej trzymać się ściśle obmyślonego już planu działania i odkładać pieniądze.

Ilekróć spacerowała z powierzonymi jej opiece dziećmi, wybierała trasę wiodącą obok miejsc, z których jedno chcia-

ła kupić w przyszłości - gdy już będzie dysponowała odpowiednią kwotą pieniędzy. Była to mała stróżówka przyległa do The Glen, nie używana od długiego czasu. Niegdyś mieszkali tu jacyś ludzie, ale teraz widać było jedynie bluszcz okry-wający okna. Na tym miejscu zależało jej najbardziej. Drugie to mały domek w pobliżu panny Ross. Był niepozorny i przeraźliwie szary, ale ona widziała go oczyma wyobraźni, jak będzie wyglądał w przyszłości: pomaluje go na różowo, a po obu stronach drzwi powiesi pod oknami skrzynki pełne czerwonych pelargonii.

Nie miała czasu na spotkania z przyjaciółkami. Wolała pracować, aby odłożyć jak najwięcej pieniędzy. Nie chodziła też na tańce - tańce kosztują dużo, bardzo dużo. Po pierwsze, trzeba się jakoś ładniej ubrać, poza tym - kupić bilet na au-tokar do miasta, opłacić wstęp na imprezę i wreszcie kupić coś do picia. Z pewnością poszłyby na to wszystkie oszczędności.

Nie była więc na zabawie do czasu, kiedy nastąpiła pora wyjazdu Geraldine z Shancarrig do sióstr w Anglii.

Chodź ze mną na tańce, to moje pożegnanie - nalegała Geraldine.

Nie mam w co się ubrać.

Ale ja mam dużo ciuchów.

Okazało się, że to prawda. Sypialnia, którą dawniej dzieliły wspólnie, nie pomieściłaby obecnie drugiego łóżka; wszę-

S

dzie leżały porozrzucane suknie. Maura wodziła dokoła zdumionym wzrokiem.

Pewnie wydałaś na to wszystko, co zarobiłaś - zawołała.

Nie bądź kutwą, Mauro. Nie ma nic gorszego niż skąpa R

kobieta.

„Czy naprawdę jestem kutwą”, zastanowiła się Maura. To rzeczywiście brzmiało okropnie: skąpa kobieta. Tylko że ona nie uważała siebie za kutwę. Co tydzień oddawała matce jednego funta ze swoich zarobków, a przychodząc na herbatkę, zawsze przynosiła jakieś ciasto albo trochę szynki. Od niepa-miętnych czasów wtykała siostrze kieszonkowe na bilety do kina. Nie wydawała jedynie na własne potrzeby.

Ale może to właśnie oznacza sknerstwo.

Wodziła palcami po pięknych strojach: taftowa sukienka z jedwabną żółto-zieloną wstawką, czerwona sztruksowa spód-niczka, czarna satynowa sukienka z diamencikami wyszywanymi na ramiączkach. Zupełnie jak w jaskini Aladyna.

Wszystkie twoje przyjaciółki mają tyle ciuchów? - zapytała.

Catherine Ryan, ta z hotelu, gdzie pracujesz, ma ich mnóstwo. Pięknie skrojone, fantastyczne... Wygląda w nich bosko. Niektóre dziewczyny nie wiedzą nawet, ile tego mają.

Nieraz się trochę wymieniamy. Co założysz?

Maura wybrała czarną satynową sukienkę z diamencikami i pojechała do miasta na zabawę. W szatni dla pań przejrzała się w lustrze. Uznała, że wygląda ładnie; miała nadzieję, że znajdą się chętni, aby z nią zatańczyć, i nie będzie musiała podpierać ściany.

Pierwszy podszedł do niej Gerry O'Sullivan, nowy barman w hotelu Ryana.

-

No, no, tylko nie mów, że jesteś tą samą dziewczyną, któ-

rą widuję w kuchni hotelowej przy garach! - zawołał, wycią-

gając po nią rękę.

I w ten sposób zaczął się ten wieczorek. Tańczyli wszystko, sambę i tango, rock and rolla i staroświeckie walce. Kiedy orkiestra odegrała hymn państwowy, nie mogła uwierzyć, że tak szybko upłynął czas.

Muszę odnaleźć siostrę - powiedziała.

Och, daj spokój. Wynająłem samochód!

Bardzo był przystojny ten Gerry O'Sullivan, niewysoki S

i śniady, o czarnych włosach i miłym uśmiechu. Ale nie mogła na to pójść. Cała grupa złożyła się przed zabawą po pięć szylingów, aby pojechać tam i z powrotem dużą furgonetką.

Zobaczymy się jutro w hotelu - przyrzekła, sądząc, że R

udobrucha go w ten sposób. Myliła się.

Jutro będziesz już wyglądać inaczej. Ubierzesz się znowu jak strach na wróble i zajmiesz się opróżnianiem nocników - mruknął Gerry i poszedł w swoją stronę.

W drodze do domu Maura była wyjątkowo małomówna.

Przyjaciółki Geraldine raczyły się solidarnie butelką wina owocowego, ale ona potrząsnęła odmownie głową, kiedy chciały ją poczęstować. Tak, Gerry miał rację: ona rzeczywi-

ście ubiera się szkaradnie i w mało ciekawy sposób zarabia na życie.

-

Napiszę z Anglii - obiecała Geraldine. Maura wiedziała, że siostra nie dotrzyma słowa, tak samo jak reszta rodzeń-

stwa.

Parę dni później Gerry O'Sullivan zastał ją samą.

Wtedy, na zabawie, powiedziałem tak, bo byłem wściekły. Chciałem być z tobą. Zachowałem się nieładnie i chciał-

bym cię za to przeprosić. - Był tak zabójczo przystojny i tak bardzo skruszony! Twarz Maury pojaśniała.

Wcale się nie pogniewałam - zapewniła go.

A powinnaś. Posłuchaj, może wybierzemy się razem na tańce? W piątek? Zawiozę cię i potem odwiozę z powrotem.

Zgadzasz się? - Wiedziała, że musi odmówić, bo tym razem naprawdę nie ma co założyć; Geraldine zabrała ze sobą wszystkie sukienki do Anglii. - Będę się zachowywać niena-gannie - przyrzekł z uśmiechem Gerry. - A w tym tygodniu występuje zespół Micka Delahunty. Oni nie bywają tu często.

Doszła do przekonania, że może sobie pozwolić na to, aby raz uszczknąć z oszczędności trochę pieniędzy na nową sukienkę. Tydzień później w ten sam sposób przyszła kolej na buty, a potem na ładną torebkę. „Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie odłożysz na własny dom”, ganiła Maura samą siebie, ale w następnej chwili pocieszała się myślą, że żyje się tylko raz.

Nagrodą był komplement z ust Gerry'ego: powiedział jej przed zabawą, że na sali nie ma ładniejszej dziewczyny od niej.

S

Nie śmieję się ze mnie - poprosiła.

Udowodnię ci, że mówię prawdę - obruszył się Gerry. -

Nie zatańczę z tobą, a i tak porwą cię zaraz inni... - Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wirował już na parkiecie z ja-R

kąś nieznaną.

Maura, zarumieniona i skonsternowana, chciała się już odsunąć na bok, ale w tej samej chwili wyciągnęły się ku niej ramiona z trzech stron. Roześmiała się i wybrała tego, który stał najbliżej. Gerry znowu miał rację. Była rozrywana przez chętnych do zatańczenia z nią choćby jeden raz.

A nie mówiłem? - szepnął potem Gerry na tylnym siedzeniu w samochodzie. Wydawał się podniecony samą my-

ślą, że tyłu mężczyzn ma na nią chętkę i musi się obejść sma-kiem. A tymczasem jego pragnienie, aby ją posiąść, jest tak bliskie spełnienia! Wszelki opór nie miałby już sensu, a zresztą Maura czuła, że tak naprawdę nie ma chęci stawiać oporu.

Nie w samochodzie, proszę - szepnęła.

Masz rację - przytaknął ochoczo. Zbyt ochoczo. Z kieszeni spodni wyjął jeden z kluczy hotelowych.

Pokój jedenaście - oświadczył z triumfem. - Tam nie bę-

dzie nikogo. Możemy skorzystać z tego pokoju, pod warunkiem, że nie zapalimy światła.

Patrzyła na niego ufnie.

-Czy to aby na pewno będzie w porządku? - zapytała szeptem.

-Nie zawiedziesz się na mnie - zapewnił ją natychmiast.

Wiedziała, że i tym razem mówi prawdę. Przekonała się o tym także pięć miesięcy później, po licznych spotkaniach w pokojach numer jedenaście i numer dwa, kiedy wyznała mu, że jest w ciąży.

-Pobierzemy się - odparł.

Ojciec Gunn podzielał ich zdanie, że ślub powinien się odbyć jak najszybciej. Jego mina zdawała się mówić, że ich ożenek nie będzie ani gorszy, ani lepszy od innych, zawiera-nych równie pośpiesznie. A w tym przypadku młodzi mają szansę kupić sobie w przyszłości własny domek, na co nie wszyscy mogą liczyć. Ojciec Gunn wspomniał o tym w rozmowie z panną Ross.

Mogło chyba być gorzej - dodał.

Ona nie zamieszka na pewno w takiej chałupie, w ja-S

kiej żyją jej rodzice. Chciała być jak najdalej od tamtego miejsca. Zawsze marzyła o lepszym życiu - westchnęła nauczycielka

Cóż... i tak powinna być zadowolona, że ten młodzieR

niec żeni się z nią. Powinna myśleć przede wszystkim o wy-chowaniu dziecka i cieszyć się z dachu nad głową. - Ojciec Gunn wiedział, że przypomina teraz starego surowego księdza sprzed trzydziestu lat, ale cała ta sprawa nie wiadomo dlaczego rozdrażniła go. Nie chciał więcej słyszeć o ludziach, którzy marzą o lepszym życiu.

Maura postanowiła pracować aż do dnia poprzedzającego ślub. Patrzyła pani Ryan prosto w oczy i nie przyjmowała do wiadomości żadnych uwag o pracy, która w jej stanie nie jest wskazana. Powtarzała ciągle, że przyda jej się każdy dodatkowy pens.

Pani Ryan była niezadowolona: traciła pracownicę pokojówkę, a barman żenił się z powodu wydarzeń, które z pewnością miały miejsce pod jej dachem. Postanowiła spoglą-

dać odtąd bardziej czujnie na własne córki, Nessę i Catherine, tak aby uchronić je przed równie niefortunnym krokiem w życiu.

Nessa i Maura, jako rówieśniczki, uczyły się przed laty w tej samej klasie.

Jaki mam jej dać prezent ślubny? - zapytała Nessa matkę.

Po prostu zignoruj to wszystko - mruknęła pani Ryan.

Nessa, nie wiedząc, co zrobić w tej sytuacji, zatelefonowa-

ła do Leo Murphy z The Glen. Maura, która właśnie porządkowała kosze i szczotki w drugim końcu korytarza, słyszała jej słowa.

-Leo, ona chodziła z nami do jednej klasy! Musimy jej coś kupić... Oczywiście, że jest to ślub ekspresowy, jakże by inaczej?... Wybierz coś sama, obojętne co. Biedna Maura, tak niewiele oczekuje od życia!

„To nieprawda - pomyślała Maura, kończąc sprzątanie. -

Wcale nie oczekuję mało. Oczekuję wiele i przeważnie zdo-bywam to". I rzeczywiście, realizowała swoje plany. Wolała zostać w Shancarrig niż emigrować jak reszta rodzeństwa -

i tak się też stało. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznała w życiu, przyciągnął jej uwagę - i okaza-

ło się, że również on jej pragnie. A teraz mają się pobrać.

S

Osiągnęła więcej, niż oczekiwała. Nie myślała, że będzie miała dziecko, a jednak było już w drodze. Na samą myśl o tym ogarniało ją uczucie radości i zarazem podniecenia.

Dzięki temu zapomniała o smutku, jaki budziła w niej per-R

spektywa zamieszkania w miejscu, którego nie cierpiała.

Zresztą, jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że będą z nią Gerry i dziecko.

Leo Murphy i Nessa Ryan podarowały jej małą oszkloną szafkę.

Maura nie mogła się nią nacieszyć. Raz po raz muskała ją dłonią, powtarzając^ że będzie wyglądała ślicznie na ścianie, kiedy już znajdą się w niej jej piękne rzeczy.

A masz już jakieś? - zapytała Nessa.

Na razie tylko lalkę. Taką z porcelanową główką i porcelanowymi rączkami.

To jak znalazł dla dziecka... - Leo ugryzła się w język. -

Chciałam powiedzieć: przyda się w przyszłości, kiedy już bę-

dziesz miała dziecko - sprostowała pośpiesznie.

Och, na pewno kiedyś będę je miała - odparła Maura. -

Ale nie dam mu tej lalki do zabawy. To pamiątka. I ozdoba do szafki.

Dziewczęta uważały najwidoczniej, że dokonały dobrego wyboru, ona zaś była wzruszona ich hojnością. Nie przestając marzyć o własnym domu, często oglądała w sklepie meble i zwracała uwagę na ich ceny. Wiedziała, że szafka nie nale-

ży do tanich.

Miała nadzieję, że Geraldine przyjedzie na ślub. Zaproponowała nawet, że pokryje koszty podróży z Anglii i z powrotem, ale nie doczekała się odpowiedzi. Byłaby uszczęśliwiona, mając siostrę za druhnę, a nie tę Eileen Dunne, która przyznała, że uwielbia wesela i najchętniej występowałaby

zawsze w roli drużby. Trąciła przy tych słowach Maurę łokciem tak mocno, że omal nie zrzuciła jej z krzesła, po czym dodała, iż równie chętnie występuje jako matka chrzestna.

Drużbą miał być brat Gerry'ego. Jego rodzice, jak powiedział, są już za starzy na tak daleką podróż.

Maura nie widziała nic smutnego ani nieudanego w przebiegu swojego dnia ślubu.

Kiedy odwróciła się w kościele, ujrzała wśród zgromadzo-

nych ludzi Neseę Ryan, Leo Murphy, Nialla Hayesa i Eddiego Bartona. Siedzieli uśmiechnięci. Z ich klasy ona pierwsza stawała na ślubnym kobiercu, a oni traktowali to najwidoczniej jako pewnego rodzaju współzawodnictwo. Po-

tem poszli do pubu Johnny'ego Finna, a pan Ryan z hotelu przybiegł z całą garścią pieniędzy i postawił wszystkim kolejkę. Przekazał też nowożeńcom najlepsze życzenia od ludzi przebywających w hotelu.

Nie padło ani jedno słowo na temat tempa, w jakim odbył

się ślub, ani hańby czy czegoś w tym rodzaju. Ojciec Maury zachował się w sposób, który mógł zostać uznany za zadowolający. Siedział w kącie razem z ojcem Foxy'ego Dunne'a, obejmował go niczym najlepszego przyjaciela i śpiewali coś chórem, fałszując niemiłosiernie. Na szczęście nie był to jeden z tych tygodni, kiedy obaj walczyli ze sobą jak koguty, bo sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, ku rozpaczy wszystkich obecnych.

Ojciec Gunn i ojciec Barry rozmawiali ze wszystkimi, uśmiechnięci i zadowoleni, jakby ten ślub nie różnił się od innych.

Także Maura nie widziała w nim nic, co By odróżniało go od jej wyobrażeń na temat ceremonii ślubnych, jakie snuła nieraz w czasach szkolnych lub potem, gdy przeglądała magazyny dla kobiet. Teraz liczył się dla niej jedynie Gerry O'Sullivan, który zapewniał z tym swoim uroczym uśmiechem, że wszystko będzie wspaniale.

I rzeczywiście, wyglądało na to, że tak właśnie będzie.

Maura zrezygnowała z pracy w hotelu. Wydawało się, że te-go właśnie chce pani Ryan. Może przeszkadzała jej sytuacja, w której Maura została żoną lubianego przez gości barmana i nie była już biedną dziewczyną, zajmującą się sprzątnięciem i obieraniem ziemniaków? A Maura i tak miała pełne ręce roboty, parę godzin tu, parę tam. Dopiero na wieść o jej ciąży ci, którzy zlecali jej pracę u siebie, uświadomili sobie, że nie dadzą sobie bez niej rady. Zwłaszcza pani Hayes, która początkowo nie chciała jej zatrudnić, namawiała ją teraz gorą-

co, aby pracowała dla niej w dalszym ciągu.

-

A twoja matka nie mogłaby potem zajmować się dzieckiem? Wtedy nic by nie stało na przeszkodzie,

żebyś do mnie przychodziła - nalegała z nadzieją w głosie.

Maura nie chciała, aby dziecko dorastało tak jak ona, po-

zbawione miłości i zainteresowania ze strony rodziców. Nauczyła się już jednak, że w życiu należy działać przezornie, nie palić za sobą mostów.

-

Może uda się tak załatwić - odparła. - Zobaczymy.

R

Wydawało się, że czas do rozwiązania wlecze się bez koń-

ca. Coraz bardziej męczące były dla niej wieczory spędzane w chałupie. Niekiedy słyszała, jak ojciec wraca pijany, tak jak dawniej, kiedy sama była jeszcze dzieckiem. A teraz ona czeka na dziecko... Raz po raz czyściła szafkę, wyjmowała z niej lalkę i przesuwała sobie dłonią po brzuchu.

-Jeszcze trochę i ty też będziesz ją podziwiać - szeptała do nie narodzonego jeszcze dziecka.

To doktor Jims Blake powiedział jej o dziecku. Chłopczyk urodził się z zespołem Downa. Ale poza tym był zdrowy i mógł

liczyć na szczęśliwe, udane życie.

Kolejną wieść przyniósł jej ojciec Gunn: Gerry przyszedł

do kościoła i powiedział, że wyjeżdża. W hotelu poinformował, iż zmarł mu ojciec, a więc musi pojechać na pogrzeb, po czym odebrał należną mu zapłatę. Ale ojcu Gunn wyznał, że jedzie do Anglii.

Żadne błagania nie zdołały odwieść go od tego zamiaru.

Maura nie zapomiała nigdy, jak dziwnie połyskiwały grube okulary księdza, kiedy przekazywał jej ową wieść. Nie wiedziała, czy to z powodu łez, czy też gry promieni na szklach.

Ludzie okazywali jej mnóstwo życzliwości. Maura zawsze powtarzała, że dobrze postąpiła, zostając w Shancarrig. Bo co by zrobiła, gdyby to samo przytrafiło się jej w dużym mieście w Anglii, gdzie nie ma przecież żadnych znajomych? A tu na każdym kroku otaczają ją przyjazne twarze.

I oczywiście ma Michaela.

Nigdy przedtem nie przypuszczała, że pokocha swoje dziecko tak gorąco; nikt jej o tym nie mówił, bo nikt tego nie wiedział. Obserwowała go, jak rośnie - z dumą, która roz-sadzała jej serce. Każda nowa umiejętność, jaką posiadał -

na przykład to, że nauczył się sam zapinać guziki - była w je-go przypadku nie lada osiągnięciem. Niebawem zaś wszyscy w Shancarrig przyzwyczaili się do widoku ich obojga, spacerujących raz tu, raz tam.

S

Kto to jest? - pytali wzruszeni nawet ci, którzy znali ich dobrze.

To Michael O'Sullivan - odpowiadała z dumą Maura.

Nazywam się Michael O'Sullivan - mówił chłopczyk R

i najczęściej obejmował pytającego.

Kiedy ktoś zlecał Maurze sprzątanie domu, przychodziła tam z synkiem. A kiedy szli z jednej pracy do drugiej, Maura pokazywała mu po drodze te domy, które podobały jej się najbardziej - małą, gęsto zarośniętą bluszczem i pokrzywami stróżówkę przy końcu długiej alejki wiodącej do The Glen oraz domek, który stał w sąsiedztwie panny Ross i który zamierzała pomalować na różowo, gdyby zdołała go kupić.

Często, gdy zapadał już zmrok, Maura wyjmowała z szafki lalkę z porcelanowymi rączkami i głową, jak również dwie filiżanki z podstawkami, które otrzymała od pani Ryan. Stał

tam jeszcze mały srebrny talerz z napisem EPNS na odwro-cie, dar od Eileen Dunne, matki chrzestnej Michaela. Jak wyjaśniła Eileen, napis ten oznaczał, że talerz nie jest z prawdziwego srebra, ale ponieważ litera S jest pierwsza w wyrazie „srebro”, Maura uznała, że talerz zasługuje na to, aby trzymać go w tej szafce. Na półeczce leżał jeszcze zegarek, który należał do Gerry'ego. Nie chodził wprawdzie, ale moż-

na go było nosić na łańcuszku, a poza tym wystarczy przecież oddać go w przyszłości do naprawy. Kiedy Michael wyro-

śnie na mężczyznę, będzie mógł mówić, że ma zegarek ojca.

Większość ludzi nie pamiętała już, że Michael miał kiedykolwiek ojca; postać Gerry'ego O'Sullivana odchodziła w zapomnienie. Również w umyśle Maury. Bywały dni, kiedy w ogóle nie wracała pamięcią do przystojnego młodzieńca z czarnymi oczami, który pokochał ją wystarczająco głęboko, aby się z nią ożenić, któremu jednak nie wystarczyło sił, aby zostać przy niej, kiedy się okazało, że ich dziecko urodziło się z wadą. Nigdy nie czuła do niego nienawiści, czasem by-

ło jej go nawet żal, ponieważ nie było mu dane zaznać uczucia ze strony synka, który potrafił objąć z całego serca i rozwijał się wspaniale pod względem fizycznym, choć rozwój psychiczny pozostawiał niestety wiele do życzenia.

Czasem inni mężczyźni zerkali na nią i okazywali prawdziwe zainteresowanie, ale ona powtarzała im niezmiennie, że nie jest wolna: ma męża w Anglii i dlatego nie ma o czym S

mówić.

Jej dawne marzenie pozostało żywe. Był nim mały, lecz solidny domek, nie taka waląca się chałupa, gdzie żyją tylko przegrani, gdzie ona dorastała i skąd pragnęła uciec jak naj-R

dalej.

Pewnego dnia do Shancarrig przyjechali małżonkowie Darcy. Kupili mały sklepik z artykułami spożywczymi, taki ja-ki prowadziła Nellie Dunne, ale wprowadzili do sprzedaży rozmaite nowości. Świat się zmieniał, nawet w tak małej mie-

ście jak Shancarrig. Mike i Gloria Darcy, będąc przybysza-mi z zewnątrz, ożywili to miejsce. Tutejsi ludzie nie spotkali jeszcze nigdy kogoś takiego jak Gloria; w jej przypadku to imię nie było częścią zapowiedzi. Czarne kręcone włosy nadawały jej wygląd Cyganki, a ona musiała sobie z tego zdawać sprawę, gdyż nosiła często czerwoną chustę zawiązaną na szyi oraz barwną spódnicę, tak jakby lada chwila miała się puścić w ogniste cygańskie tany.

Mike Darcy był człowiekiem sympatycznym i pogodnym, dość szybko nawiązywał kontakty towarzyskie. Polubiła go nawet Nellie Dunne, chociaż początkowo traktowała ich oboje jak konkurentów. Przekonała się do niego także pani Ryan z hotelu - zwłaszcza, kiedy zaofiarował się, że robiąc zakupy na targu, może kupować również dla niej..

Dobrze jest widzieć tu napływ nowej energii, orzekła, a niebawem zdecydowała się pomalować fasadę swojego hotelu, tak jak uczynili to ze swoim sklepem państwo Darcy.

Mike Darcy przywiózł do Shancarrig swojego brata Jimmy'ego, specjalizującego się w malowaniu elewacji domów; jego umiejętności w tej dziedzinie zaczęli chwalić wkrótce także gnuśni mieszkańcy chałup, którzy w przystępie dobrego humoru brali się czasem do malowania swoich domostw.

Mike i Gloria mieli dzieci, dwóch rozbrykanych chłopców, którzy nie stronili od żadnych diabelstw w szkole.

Maura nie czekała na wykrystalizowanie się opinii miasteczka na temat przybyszów; niemal natychmiast po ich przyjeździe stanęła na progu sklepu.

-

Będzie państwu potrzebny ktoś do pomocy - powiedziała.

Gloria zerknęła na okrągłą, pełną entuzjazmu twarz Michaela, który ścisnął kurczowo dłoń matki.

A będzie pani w stanie godzić opiekę nad dzieckiem S

z pracą? - zapytała.

Michael przychodziłby ze mną. Zawsze tak pracuję i nawet pani sobie nie wyobraża, jak bardzo on

ni pomaga - odparła Maura, a Michael rozpromienił się cały, słysząc pochwa-

łą

R

pod swoim adresem.

Nie jestem przekonana, czy na pewno będzie nam potrzebny ktoś do pomocy... - Gloria zachowała uprzejmy ton, ale była najwyraźniej sceptyczna.

Och, kogoś będą państwo potrzebowali, to nie ulega wątpliwości, ale proszę się nie spieszyć z podjęciem decyzji. Mo-

że pani popytać o mnie tu i tam. Nazywam się Maura O'Sullivan. Pani Maura O'Sullivan.

No cóż... Dobrze, pani O'Sullivan...

Chciałam po prostu to wyjaśnić, bo jest pani tu nowa. Ojciec Michaela musiał wyjechać do Anglii. Jeśli przyjmie mnie pani do pracy, proszę mi mówić Maura.

A mnie Michael - odezwał się chłopiec i opasał rękami szczupłą talię Glorii.

Nie muszę tu nikogo wypytywać. Kiedy pani może za-cząć?

Państwo Darcy płacili lepiej niż ktokolwiek inny w okolicy. Środki finansowe, jakimi dysponowali, wydawały się nie-wyczerpane. Ich dzieci chodziły w porządnym ubraniu i nowych butach, w pokojach stały drogie meble - nie ze starego drewna, jakie Maura lubiła czyścić do połysku, lecz całkowicie nowoczesne. Wędrując często po sklepach w mieście, Maura zdążyła się już zorientować, jak drogie są tego rodzaju meble.

W swoim mieszkaniu nie miała nic, o czym warto by mó-

wić. Drobne, z trudem odkładane oszczędności trzymała na moment, kiedy mogłaby się przeprowadzić do wymarzonego domku. Przedsmak tego, jak starałaby się potem urządzić swoje gniazdko, dawała obecnie tylko ta oszklona gablotka z ustawionymi w niej ozdóbkami. Poza nią były tu jeszcze jedynie sfatygowane meble i pudła.

Państwo Darcy już wielokrotnie zmieniali miejsca zamieszkania. Maura myślała z podziwem o ich dzieciach, które widocznie potrafiły się adaptować bardzo szybko do nowych warunków.

Miały też dobre serca. Początkowo nie chciały pozwolić, aby Michael czyścił ich buty.

S

-

Nie musi tego robić, proszę pani - protestował dziewię-

cioletni Kevin.

-

Przecież robię to dobrze - obruszył się Michael.

-

Nie przejmuj się, Kevinie, na tym polega praca Micha-R

ela i moja. Prosimy was tylko, żebyście nie zostawiali wszystkiego na podłodze w sypialni. Wtedy nie będziemy musieli schylać się po każdą rzecz.

To poskutkowało. Gloria Darcy przyznała potem, że Maura i jej syn nauczyli jej dzieci dobrych manier; dokonali cu-du, jaki nie udał się dotąd nikomu w tym domu.

-

Czy takie częste przeprowadzki z miasta do miasta nie są zbyt męczące, proszę pani?

Gloria spojrzała na nią.

-

Nie, raczej bardzo interesujące. Poznaje się nowych ludzi, a w każdym kolejnym miejscu urządzamy się lepiej niż w poprzednim. Sprzedajemy z zyskiem to, co mamy, potem się przenosimy.

-

To znaczy, że wyjedzie pani także z Shancarrig? - Maura nie ukrywała rozczarowania. Inni nie płacili jej tyle co państwo Darcy. Na szczęście Gloria wyjaśniła, że tu zamierza-ją zostać trochę dłużej, przynajmniej do czasu, kiedy dzieci zdobędą jakieś wykształcenie.

Ich sklep prosperował znakomicie. Niebawem rozbudowa-li go, powiększając znacznie, rozszerzyli też asortyment sprzedawanych towarów. Wkrótce okoliczni mieszkańcy nie musieli już jeździć do miasta, gdy czekały ich bardziej skomplikowane zakupy; niemal wszystko mogli dostać w sklepie Darcych.

-

Ciekawe, skąd oni biorą tyle pieniędzy - powiedziała któregoś dnia pani Hayes do Maury. - Niemożliwe, aby zara-biali tak dużo.

Maura milczała. Jej zdaniem pani Hayes była typem kobiety, która przede wszystkim nie aprobeuje głębokich dekoltów w bluzkach Glorii ani jej zalotnego sposobu bycia wobec mężczyzn.

Mniej więcej w tym właśnie czasie Maura zaczęła dostrzegać problemy finansowe w domu Darcych. Stale przychodzi-

ły na przykład jakieś nie uregulowane rachunki. Kiedyś usłyszała podniesiony głos Mike'a: pertraktował z kimś przez telefon na ten temat. Niezależnie od tego kupił jednak Glorii wspaniałą biżuterię, która stała się tematem rozmów S

wszystkich mieszkańców Shancarrig.

-

Przez nią pójde z torbami - mówił potem każdemu, kto wchodził do sklepu. - No, Glorio, pokaż ten szmaragd.

I Gloria, z rozpromienioną twarzą, prezentowała klientom R

szmaragd na łańcuszku, kupiony u jubilera w mieście. Zawsze o takim marzyła. Podobnie jak o tych małych kolczykach z brylancikami. Były tak drobne, że wyglądały jak mi-kroskopijne punkciki, ale sama myśl o tym, że to prawdziwe brylanty, wywoływała w niej dreszcz emocji.

Shancarrig patrzyło na nich z podziwem. A małżonkowie Darcy nie szpanowali, nie byli samochwałami. Nessa Ryan sprawdziła to, będąc w mieście. Należeli po prostu do grona nowobogackich, rzutkich i odważnych. Z pewną dozą zazdro-

ści mieszkańcy Shancarrig życzyli im sukcesu.

Co roku przejeżdżali tędy Cyganie, udając się na wyścigi do Galway. Nie zatrzymywali się w miasteczku, lecz na pobliskim polu, gdzie rozbijali obóz. Maura musiała przyznać, że Gloria w porównaniu z nimi wygląda jak Cyganki z filmów hollywoodzkich. Kobiety z wędrownej grupy sprawiały wra-

żenie przemęczonych i zniszczonych, nie miały błyszczących oczu ani barwnych strojów Glorii, nie nosiły też brylanto-wych kolczyków w uszach ani szmaragdowych naszyjników.

Ale tego roku ludzie byli przekonani, że któraś z owych kobiet na pewno ma piękną biżuterię, gdyż w tym samym czasie, kiedy Cyganie obozowali nieopodal, ktoś skradł szkatu-

kę Glorii Darcy.

Rozpętało się piekło. To na pewno ktoś z obozowiska!

Śledztwo prowadził sierżant Keane. Atmosfera była napięta, ale wszelkie wysiłki okazały się bezowocne. Niczego nie znaleziono, nikogo konkretnie nie można było oskarżyć o kradzież. Ludzie byli przygnębieni. Przesłuchano nawet Michaela: pytano go, co widział i czego dotyczył, będąc w domu Darcych. Na mieszkańców Shancarrig padł blady strach: nigdy dotąd nie zdarzyło się tu nic takiego!

Ale też nigdy dotąd nie było w Shancarrig tak kosztownych rzeczy, mogących skusić złodzieja.

Ludzie szeptali sobie na ucho, kiwali głowami. No tak, to także wina Darcych, po co obnosili się tak ostentacyjnie ze swoją biżuterią? Wiadomo przecież, że taki widok może wzbudzić zawiść. Stanowiąc pokusę. Ale, z drugiej strony... w jaki sposób dowiedzieli się o tym Cyganie? Przecież dopiero co S

przybyli tu i rozbili obóz. Nie mieli nawet okazji rzucić okiem na lśniący szmaragd w naszyjniku Glorii.

Przykro mi, jeśli policjanci wystraszyli Michaela - powiedziała do Maury Gloria.

R

Nie ma o czym mówić. Sierżant Keane zna Michaela jeszcze z czasów, kiedy nie umiał chodzić. Z pewnością zrobił

wszystko, aby go nie nastraszyć - odparła Maura. - Ale mnie przykro z pani powodu. Biżuteria musiała sporo kosztować.

To prawda, ale może dostanę odszkodowanie od firmy ubezpieczeniowej. - Gloria dodała, że w takim przypadku nie kupiliby po raz drugi szmaragdu ani brylantów, lecz prze-znaczyliby te pieniądze na opłacenie rachunków za rozbudowę i remont sklepu.

Maura przypominała sobie teraz podsłuchaną kiedyś rozmowę o robotnikach czekających na zapłatę za swoją pracę.

Doszła do przekonania, że państwo Darcy mają jednak trudności finansowe. Może odszkodowanie wypłacone przez firmę ubezpieczeniową byłoby im w tej sytuacji na rękę?

Fakt pozostawał faktem: nie mogło się to wydarzyć w bardziej dla nich sprzyjającym momencie.

Maura już dawno nauczyła się dyskrecji. Przekonała się wielokrotnie, ile zła może zdziałać zbyt gadulstwo; ojciec rozpowszechniał wszelkie plotki, jakie dochodziły do jego uszu, matka natomiast nastawiała w rodzinie wszystkich przeciw wszystkim.

Maura nie mówiła wiele.

Od jakiegoś czasu podejrzewała, że koperty z pieniędzmi, jakie ojciec Gunn dawał jej co roku na Boże Narodzenie, mówiąc, że nadchodzą od Gerry'ego z Anglii bez adresu nadawcy, pochodzą w rzeczywistości od niego samego. Nigdy jednak nie dała mu do zrozumienia, że domyśla się prawdy.

Dziękowała mu jedynie za to, że podejmuje się roli doręczyciela.

Kradzież biżuterii okazała się sensacją krótkotrwałą.

Wkrótce ludzie przestali o tym mówić. Mieli inne sprawy na głowach.

W Shancarrig stale się działo coś nowego. Maura nie rozumiała nigdy, jak można nazywać je cichą miejsciną. Chyba, że autorami tego określenia byliby ludzie, którzy nie znali tutej-szego życia. Maura i Michael współpracowali aktywnie z kół-

S

kiem dramatycznym, co tydzień wystawiano widowiska, które ożywiał udział tańczącej w nich Bidy, tej z The Glen.

Potem rozeszła się plotka o poważnej chorobie ojca Barry'ego.

Niebawem ojciec Barry wyjechał w charakterze misjonarza R za ocean.

Kolejną sensację wzbudził Richard, przystojny kuzyn Nialla Hayesa. Zamieszkał w The Terrace i w krótkim czasie zła-mał parę serc kobiecych, może nawet Nessy. Maura odniosła wrażenie, jakby wytworzyło się także pole magnetyczne między nim a panią Darcy, ale nie pisnęła o tym nikomu ani jednego słowa. Wspomniała jednak o tym także Nellie Dunne, można więc było przypuścić, że plotka obiegnie miasteczko lotem błyskawicy. Eddie Barton zaintrygował wszystkich swoim nieoczekiwanym romanssem, nadchodziły też stale wie-

ści z Londynu o Foxym Dunne, które nieodmiennie budziły powszechne zainteresowanie.

Tak więc prócz historii ze skradzioną biżuterią istniało wiele innych spraw, które zajmowały umysły w Shancarrig.

Maura O'Sullivan wędrowała z Michaelem od domu do domu. Najpierw prasowała bieliznę u panny Ross, której twarz miała coraz więcej zmarszczek i zaczynała już wyglądać jak woskowe odbicie jej starej matki, potem czyściła srebra u pani Hayes, dwie godziny w soboty spędzała u pani Barton, ale najczęściej pracowała u Darcych.

W domu, gdzie mieszka dwójka dzieci, a ich rodzice prowadzą jeszcze sklep, nigdy nie brakowało roboty. Maura nie czekała na wskazówki, co ma robić. Miała już ustalony porządek działania.

Sprzątała właśnie główną sypialnię, jak nazywała ten po-kój Gloria, kiedy znalazła biżuterię. Leżała na szafie, w du-

żym okrągłym pudle od kapelusza. Maura odkurzała wierzch szafy, na podłodze rozłożyła gazety. W pewnej chwili uznała, że może ułożyć lepiej walizki, ale musi je najpierw zdjąć.

Michael odbierał je od niej i stawiał na podłodze. Kiedy przesunęła pudło od kapelusza, coś w nim zagrzechotało. Zaintrygowana, otworzyła je i ujrzała czerwoną jedwabną chustę, w którą owinięto dwa małe czarne aksamitne puzderka.

Michael ujrzał, jak matka drgnęła gwałtownie i przytrzymała się szafy.

S

Nie spadniesz? - zapytał wystraszony.

Nie, kochanie. - Ostrożnie zeszła z krzesła i usiadła na łóżku. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

Z pewnością państwo Darcy nie przypuszczali, że tak dłu-

go oplakiwana biżuteria mogłaby zostać odkryta przypadkowo. I na pewno nie tańczyliby z radości, gdyby po znalezieniu klejnotów musieli zrezygnować z odszkodowania.

Maura wiedziała też, że biżuteria nie znalazła się w tym pudle przypadkowo. Naszyjnik ze szmaragdem leżał przecież na biurku na parterze, razem z aksamitnym puzderkiem, w którym spoczywały małe kolczyki. W tamtym pokoju drzwi balkonowe wychodziły na mały ogródek. Zwinny cygański wyrostek mógłby wejść do środka, chwycić klejnoty i wymknąć się na zewnątrz nie zauważony przez nikogo.

Taką właśnie wersję wydarzeń przyjęła policja.

Maura sprzątała tu często, a nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że ta drogocenna biżuteria leży sobie spokojnie w pudle na szafie. Niemożliwe, aby ktoś położył ją tam i potem o niej zapomniał.

-Dlaczego nic nie mówisz? - zapytał Michael.

-Próbuję zebrać myśli - odparła. Objęła go i przytuliła do siebie.

Nie wiedziała nawet, ile czasu przesiedziała w ten sposób, z żółtą ścierką do kurzu w dłoni i z Michaeliem w ramionach.

Tego wieczoru umieściła oba czarne aksamitne puzderka w swojej gablotce. Musiała obmyślić wszystko jeszcze raz, rozważyć dokładnie. Nie wolno jej wykonać żadnego fałszywego kroku, nie może zaprzepaścić szansy, jaką daje to od-krycie.

Upłynęło parę tygodni, zanim poruszyła temat zaginionej biżuterii. Poczekała, aż Gloria zostanie w domu sama, po czym wysłała Michaela na podwórko, aby popatrzył na kurczęta.

Proszę pani, tak mi przyszło do głowy... co by się stało, gdyby ktoś znalazł pani naszyjnik ze szmaragdem... na przykład w krzakach, gdzie mogli go rzucić Cyganie?

-Jak to? - Głos Glorii był wyjątkowo ostry.

-Tak sobie myślę... teraz, kiedy jest już po remoncie, a pani zdążyła się oswoić z myślą, że nie nosi go na szyi...

czy nie żałowałaby pani, gdyby naszyjnik się odnalazł?

-On się nie odnajdzie. Złodziej na pewno już go sprzedał, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

S

-Ale gdzie mógłby go sprzedać, pani Darcy? Gdyby złodzieje zanieśli go do jubilera, ten domyśliłby się od razu, że klejnot został skradziony. Powiadomiłby policję zamiast dawać im pieniądze.

R

- Cyganie jeżdżą po całym kraju. Mogli sprzedać to w sklepie oddalonym stąd o wiele mil.

Nastąpiła chwila milczenia.

Przerwała je wreszcie Gloria.

- W każdym razie naszyjnik nie został znaleziony.

- W głowie roi mi się od marzeń, pani Darcy. Często przechodzę obok zarośli i czasem znajduję tam różne rzeczy...

Co by się stało, gdybym to ja znalazła taki naszyjnik?

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Mauro.

-

No... przypuśćmy, że jednak znalazłam tę biżuterię...

Czy wtedy zaniósłabym ją do sierżanta Keane'a, aby powiedzieć mu, gdzie leżała, czy też oddałabym ją pani...?

Oczy Glorii były teraz wąskie jak szparki.

Maura dostrzegła jej ukradkowe spojrzenie na schody; tak jakby pani Darcy poczuła nagle nieodpartą chęć udania się na piętro i sprawdzenia zawartości pudła na szafie.

Ta rozmowa staje się nedorzeczna - mruknęła wreszcie. - Ale gdybyś naprawdę znalazła biżuterię, byłoby oczywiście najlepiej oddać mi ją po cichu.

A co z nagrodą? - Maura sprawiała wrażenie zakłopotanej, ale i zaintrygowanej.

To zależy.

Maura wyszła na moment do ogrodu, aby rzucić okiem na Michaela, ale zanim zamknęła za sobą drzwi, zatrzymała się na moment i wtedy usłyszała ciche kroki Glorii po schodach, a potem odgłos walizek zrzuconych z szafy na podłogę.

Sprawa pozostała na razie otwarta.

Nawykła do dyskrecji i zachowywania swoich myśli dla siebie, Maura nie czuła się skępowana, pracując dalej w do-mu, którego gospodarze patrzyli na nią teraz z obawą.

W trakcie sprzątanania poprosili ją wreszcie na herbatę. Jak ją poinformowali, znaleźli w sklepie parę rzeczy dla Michaela, które mogłyby mu się przydać. Jednak Maura sprzeciwi-

ła się temu: nie można wychowywać chłopca w przekonaniu, że ten sklep to kraina czarów, po której można sobie chodzić i wybierać to czy tamto. To by nie było wychowawcze, zwłaszcza iż ona stara się od dawna wyjaśnić mu, co należy do nieS

go, a co jest cudzą własnością.

Mówiąc to, patrzyła im obojgu prosto w oczy. I zorientowa-

ła się, że zbiła ich zupełnie z tropu.

Pierwsza dała za wygraną Gloria.

R

Pamiętasz, Mauro, jak mi mówiłaś, że czasem znajdujesz różne rzeczy?

Bo to prawda. Modliłam się na przykład do świętego An-toniego, żeby znalazło się pióro pana Darcy, ten drogi parker. I co? Potem wyturlało się samo zza tac, które leżą w ką-

cie kuchni. - Maura była najwidoczniej dumna i zadowolona z efektów swoich modłów.

-Myślałam o tym, co mówiłaś, także w kontekście... naszej sprawy. Wiesz... znamy mnóstwo ludzi. No więc, przypuśćmy, że istotnie znalazłabyś biżuterię skradzioną przez tamtych Cyganów...

-Tak, pani Darcy?

-Czy wiesz, co wtedy powinna byś była zrobić, żeby było najlepiej?

-Nie, nie mam pojęcia. Właśnie nad tym łamię sobie głowę od dawna.

-Widzisz, pieniądze z ubezpieczenia odebraliśmy już i wy-daliśmy na remont sklepu, z myślą o innych ludziach. Także o tobie, żebyś mogła u nas pracować. - Maura, słuchając pilnie, przechyliła głowę na bok. - A więc, gdyby biżuteria się znalazła, a ty byś mogła mi ją oddać, sprzedałabym ją i dała tobie część... - Gloria zawiesiła głos, czekając na reakcję.

-Hmm, no tak, ale gdybym znała miejsce, gdzie takie rzeczy można sprzedać, dostałabym mnóstwo pieniędzy tylko dla siebie. Bo pani sama powiedziała, że już otrzymała za nie odszkodowanie. A przecież nie chciałaby pani chyba brać dwa razy za to samo... To by nie było uczciwe.

-A byłoby uczciwe, gdybyś ty wzięła całą sumę?

-Gdybym znalazła biżuterię w zaroślach lub gdziekolwiek indziej, należałaby mi się jako znaleźne, czyż nie?

-Ale jaki byś miała z tego pożytek, nie wiedząc, gdzie sprzedać?

Umowa została zawarta. Wiedziały o tym obie.

-Pani Darcy, w przyszłym tygodniu jadę do miasta.

-Tak, wiem. Zakupy świąteczne. Rozumiem.

-Ojciec Gunn da mi, jak zwykle, kopertę od ojca Michaela. Wydam w sklepach to, co w niej będzie...

S

-Wiem.

-I tak sobie myślę... Założmy, że znajdę skradzioną biżuterię... Mogłabym wtedy sprzedać naszyjnik ze szmaragdem i oddać pani brylantowe kolczyki, pod warunkiem, że skiero-

wałaby mnie pani do właściwego jubilera i w ten sposób... -

Nie skończyła.

-Ten sposób byłby, jak sędzę, lepszy niż jakikolwiek inny

- orzekła Gloria z ponurą miną.

Niall Hayes z zaskoczeniem przyjął wiadomość, że niejaka pani O'Sullivan chce się zobaczyć właśnie z nim. Ludzie zazwyczaj woleli rozmawiać z jego ojcem, panem Hayesem seniorem, adwokatem znacznie bardziej doświadczonym niż on.

Jego zdumienie sięgnęło zenitu, kiedy zorientował się, że ową interesantką jest Maura, biedna Maura Brennan. Przyjął w swoim gabinecie ich oboje, ją i Michaela. Chyba nikt w Shancarrig nie widział, by kiedykolwiek się rozdzielali.

-Jak sobie radzisz, Mauro? - zapytał; jak zwykle był

uprzejmy i miły, w przeciwieństwie do swojej snobistycznej matki.

-Nie mogę narzekać, Niall - odparła. - Faktem jest, że dopisało nam szczęście. Ojciec Michaela przesyła nam zawsze na Boże Narodzenie jakąś kwotę, aby było mi łatwiej.

A w tym roku mógł wysłać nam więcej, znacznie więcej.

-To doskonale, cieszę się. - Niall usiłował się domyślić, do czego zmierza ta rozmowa.

-W tej sytuacji mogę ci powiedzieć, co chcielibyśmy zrobić, Niall... Znasz tę stróżówkę przy alejce,

która prowadzi do The Glen?

-Owszem. I wiem, że wystawiono ją teraz na sprzedaż.

-Chciałabym ją kupić dla mnie i Michaela. Czy zostaniesz moim pełnomocnikiem?

Niall patrzył na nią zaskoczony. Skąd Maura może mieć ty-le pieniędzy, żeby kupić ten domek i go wyremontować?

-Porozmawiam z Leo - obiecał.

-Nie, porozmawiaj ze mną. Wymień cenę, którą mogłabym jej zaoferować. Taką, żeby była uczciwa dla niej i dla mnie.

To był styl załatwiania interesów, jaki Niall cenił najbardziej. A nie był to styl rozpowszechniony. Ludzie się zmieniali, często reprezentowali styl całkowicie odmienny, chodziS

ło im raczej o twarde interesy.

Pogłaskał ją po dłoni. Tak, załatwi to.

Maura poinformowała ojca Gunna, że tego roku ojciec Michaela przesłał im dużo pieniędzy, znacznie więcej niż R

w poprzednich latach. Jeśli ksiądz był tym zaskoczony, nie okazał tego nawet drobnym gestem.

- I myślę, że były to już ostatnie pieniądze od niego, ojczcie.

- Spojrzała mu prosto w oczy, skryte za grubymi szklami okularów. - Jestem przekonana, że nie będzie już ojciec otrzymywał od niego kopert przeznaczonych dla mnie na Boże Narodzenie.

Długo odprowadzał ich wzrokiem, kiedy oddalali się na drodze - Maura i Michael, którzy niebawem mieli się stać właścicielami domu, znaleźć się w swoim wymarzonym miejscu, odnowić ten dom starannie i wypełnić pięknymi rzeczami.

Spoglądał za nimi i wiedział już na pewno, że im dłużej żyje w tej parafii, tym mniej spraw potrafi tu zrozumieć.

Eddie

Eddie Barton był człowiekiem, któremu - rzecz niezwykła! - przyszło obchodzić urodziny raz na cztery lata. Długo sądził, że nikt inny na całym świecie nie znajduje się w takiej sytuacji, a olbrzymim szokiem dla niego była wiadomość, że tego samego dnia co on urodziły się także inne dzieci. Zaakceptował to dopiero w wieku dziesięciu lat i od tego momentu pogodził się z myślą, iż nie jest wyjątkiem ani fenomenem.

Panna Ross, tak miła dla nich w szkole, opowiedziała swoim uczniom wszystko o roku przestępnym.

Pan Kelly napędził

im stracha, twierdząc, że jeśli kobieta oświadcza się komuś dwudziestego dziewiątego lutego, nie można jej odmówić, nawet gdyby była to najszkaradniejsza istota pod słońcem.

Wprawdzie pan Kelly się śmiał, kiedy to mówił, ale Eddie nie był pewien, czy jest to śmiech szczerzy, czy nie. Pan Kelly często sprawiał wrażenie smutnego.

-

A pani Kelly oświadczyła się panu w dzień moich uroS

dzin? - zapytał z lękiem. Gdyby odpowiedź była twierdząca, byłby to rzeczywiście kolejny niedobry aspekt dorosłości.

Jednak pan Kelly żartobliwym gestem przyłożył palec do ust.

R

Bzdura - mruknął. -I nie wspominaj nigdy o czymś takim, rozmawiając z panią Kelly, bo mogłyby wyniknąć z tego kłopoty. - Miała to być tajemnica tylko między nimi dwoma.

A mówił pan, że jest to fakt powszechnie znany? - Eddie był najwyraźniej zdezorientowany.

To prawda - westchnął nauczyciel. - Tak powiedziałem, ale mimo iż uczę już tyle lat, stale zapominam, jakie to niebezpieczne zwierzać się z czegokolwiek dzieciom.

Kiedy zbliżały się dziesiąte urodziny Eddiego, matka zaproponowała, aby urządzić je albo dzień wcześniej, albo dzień później.

Wolałbym chyba obchodzić urodziny dzień później - powiedział Eddie do Leo Murphy, wracając z nią ze szkoły. Szli razem, bo ona mieszkała w dużym domu na wzgórzu, w The Glen, on zaś w małym różowym domku w połowie drogi. Leo wyznała, że ilekroć patrzy na ten domek, przypominają jej się rysunki dzieci; miał okna jakby domalowane kredką. Eddie nie był pewien, czy jest to pochwała, czy może jednak krytyka.

Co w tym złego? - zapytał podejrzliwie.

Nic. Jest ładny, wygląda normalnie. Jak porządny, solidny dom - odparła Leo.

A więc podoba się jej. Eddie był zadowolony.

Lubił Leo Murphy. Gdyby ona mu się oświadczyła w prawdziwym dniu jego urodzin, powiedziałby szczerze: tak. Zresztą The Glen byłoby wspaniałym miejscem do zamieszkania, jeśli weźmie się pod uwagę także sad i stary kort tenisowy. Fantazja!

Leo podchodziła do spraw jak zwykle poważnie.

-
Po co masz czekać aż do pierwszego marca? - zapytała Eddiego, nawiązując ponownie do jego urodzin. - Wyobraź sobie, że umarłbyś dwudziestego ósmego lutego. Wtedy uroczystość w ogóle by cię ominęła.

Nie wiedział, co jej na to odpowiedzieć.

Jego matka oświadczyła, że wybór dnia zależy całkowicie od niego. Musi tylko pamiętać, że będzie tort i szarlotka, nic więcej. Na uroczystość może zaprosić dziesięć osób albo jedynie dwie, jak woli.

S

Eddie wymierzył dokładnie tortownicę i postanowił, że zaprosi trzy osoby, on będzie czwarty i w ten sposób wszyscy będą mogli dostać wystarczająco duże porcje. Zaprosił Leo Murphy, Nessę Ryan i Maurę Brennan. Wszystkie trzy sieR

działy w klasie obok niego. Lubił je.

-Nie będzie chłopców? - zapytała matka. Była krawcową i rzadko widywano ją bez szpilek trzymanyh w ustach lub bez wyrazu niezwykłego skupienia na twarzy.

-Nie siedzę obok żadnego chłopca - odparł.

Matka zdawała się akceptować jego wyjaśnienie. Una Barton była drobną, ciemnowłosą kobietą o wiecznie zatroska-nych oczach. Zawsze chodziła szybkim krokiem, jakby się bała, że ludzie mogą ją zaczepić i wciągnąć w rozmowę. Mia-

ła dobre serce i dobre oko do kolorów i gatunku tkanin, z któ-

rych szyla dla mieszkanek Shancarrig oraz żon farmerów z okolicy. Opinia publiczna głosiła, że Una Barton żyje dla swojego syna Eddiego. Tylko dla niego.

Włosy Eddiego sterczały niemal pionowo do góry. Foxy Dunne stwierdził kiedyś, że upodabniają go do szczotki klozetowej. Eddie nie miał pojęcia, o czym mówi Foxy; u nich w domu nie było czegoś takiego. Kiedy jednak ujrzał szczotkę klozetową w hotelu Ryana, ogarnął go gniew. Też coś! Porównywać go z czymś tak szkaradnym!

Lubił robić rzeczy, których nie uznawali jego koledzy. Chodził na przykład do lasu Barna i zbierał kwiaty. Czasem suszył

je, umieszczał na kartce i wpisywał pod spodem nazwę rośliny. Matka była zdania, że jest prawdziwym artystą. '

A mój ojciec też był artystą? - zapytał kiedyś Eddie.

Lepiej nie mówić o jego artyzmie. - Matka zacisnęła mocno usta. Nie rozmawiali więcej na ten temat.

Krojąc tort, miał wyrazić w myślach jakieś życzenie. Zamknął oczy. Och, żeby wrócił ojciec! O tym samym pomyślał

rok wcześniej i dwa lata temu.

Może tym razem życzenie się spełni. Do trzech razy sztuka!

Ted Barton opuścił rodzinę, kiedy jego syn miał pięć lat.

Opuścił ją w osobliwy sposób; Eddie kilkakrotnie usłyszał

na ten temat to i owo, gdy ludzie myśleli, że nie ma go w pobliżu i mogą rozmawiać swobodnie. Mówili na przykład coś o „rwetesie” jak wtedy, kiedy Ted Barton został wyrzucony z domu".

S

Pewnego razu podsłuchiwał w sklepie rozmowę Dunne'ów.

Wspomnieli coś o tym, że jeśli ktoś nie pilnuje się jak nale-

ży, może podzielić los Teda Bartona i wylecieć po schodach na ulicę razem z walizkami. Eddie nie potrafił sobie wyobrazić R

matki krzyczącej gniewnie lub ciskającej walizkami. Ale widocznie tak właśnie było.

Matka odpowiadała mu na wszystkie pytania, jakimi ją zamęczał, nie mówiła jednak nigdy o ojcu.

-

Po prostu nie dotrzymał swojej części umowy. Nie dbał

o żonę ani o syna. Nie zasłużył na to, abyśmy się nim interesowali.

Dla Eddiego nie było to takie proste jak dla niej. Nie ma chłopca, który nie chciałby wiedzieć, gdzie przebywa jego ojciec - nawet gdyby był to tak okropny typ jak Paudie Brennan albo choleryk Murphy z bujnymi wąsami, zwany majorem.

Czasem Eddie spoglądał na mężczyzn wysiadających z autobusu i wyobrażał sobie, że przyjechał do niego ojciec - po to, aby zabrać go na długą wycieczkę. Wybiorą się na nią tylko oni dwaj, zwiedzą całą Irlandię, a potem ojciec, z głową przechyloną na bok, zapyta: „Co ty na to, synu, abym zamieszkał znowu razem z wami?" W marzeniach chłopca matka była zawsze uśmiechnięta i pogodna i nie musiałyby już nigdy tak ciężko pracować, bo odtąd opiekowałby się nimi ojciec.

Po herbacie z ciastem przysła kolej na zabawę. Z konieczności bawili się na podłodze w sypialni Eddiego, bo na stole w pokoju na parterze matka musiała umieścić z powrotem maszynę do szycia.

Żalowali, że te urodziny nie wypadają w lecie, bo wtedy mogliby się wybrać na spacer po lesie

Barna. Eddie pokazał

gościom część swoich suszek.

-Są piękne - orzekła Nessa Ryan.

Nessa nigdy nie chwaliła tylko po to, aby sprawić komuś przyjemność. Jeśli więc powiedziała, że suszki są piękne, z pewnością uważała tak naprawdę.

-Mógłbyś nawet zarabiać w ten sposób na życie - dodała.

W wieku dziesięciu lat zazwyczaj nie wybiega się myślami tak daleko w przyszłość, ale właśnie dzisiaj rozmawiano w szkole o karierze zawodowej, zachęcano też do zastana-

wiania się już teraz nad wyborem zawodu, tak aby można się było przygotować do tego zawczasu; to lepsze niż bezużyteczne gapienie się przez okno.

-W jaki sposób miałbym się przygotować do suszenia R

kwiatów? - zapytał Eddie, ale zainteresowanie Nessy tym tematem okazało się tylko chwilowe.

- Zagrajmy jeszcze raz w ten dmuchany football - zaproponowała.

Gra była jego prezentem urodzinowym. Jedynym prezentem. Eddie nie był nim zachwycony, ale matka dowiedziała się w sklepie Dunne'ów, że tego roku wszystkie dzieci szaleją na punkcie tej gry. Spłacała ją pięć tygodni, a dziś cieszy-

ła się, widząc duże zainteresowanie nią ze strony gości syna.

Eddie w głębi duszy uważał tę grę za nudną i głupią, zwłaszcza że papierowe tubki, przez które dmuchało się na piłkę, szybko przemiękały od śliny.

Po zakończonym przyjęciu Eddie, stojąc na progu swojego różowego domku, obserwował Leo, która w blasku księży-ca wspinała się na wzgórze, gdzie mieszkała. Ściany The Glen były widoczne nawet z tej odległości. Leo pomachała ręką, kiedy doszła do furtki.

Nessa i Maura schodziły w dół po zboczu wzgórza. Eddie miał nadzieję, że ojciec Maury nie jest dziś pijany. Czasem Paudie Brennan przebierał miarę w picciu i wtedy urządzał

w miasteczku karczemne awantury, zaczepiając przypadkowych przechodniów.

Nessa Ryan szła przodem. Mieszkała w hotelu swoich rodziców, mogła mieć wszystko, co tylko chciała, jeść, kiedy tylko przyszła jej na to ochota. Wyznała to Eddiemu, kiedy powiedział jej o torcie i szarlotce, ale wyczytała pewnie z jego twarzy, że czuje się zawiedziony, gdyż dodała czym prę-

dziej, że jeśli chodzi o tort, nie jada go tyle, ile by chciała. Jedynie chipsów i kanapek dostaje do

woli.

Księżyc świecił jasno, mimo iż była dopiero siódma. Maszyna do szycia furkotała. Matka na pewno siedzi teraz pośród sterty wykrojów, obok niej stoi duży drewniany manekin, który zawsze napełniał chłopca lękiem. Matka co pewien czas nakładała na manekin suknię, którą szyła, słuchając jednocześnie radia. Często uśmiechała się do Eddiego, ale on dostrzegał na jej twarzy zmęczenie i smutek. Nie chciał, S

aby pracowała tak ciężko. A maszyna do szycia furkotała tak długo, aż zasypiał. To samo powtarzało się codziennie, od-kąd sięgał pamięcią. Ciekawe, czy ojciec też patrzy teraz na księżyc, pomyślał. Czy pamięta, że jego syn ukończył dziś R

dziesięć lat?

Tego wieczoru Eddie napisał list do ojca.

Opowiedział o przyjęciu urodzinowym i o suszonych kwiatach, które tak bardzo podobały się Nessie Ryan. Potem jednak wykreślił ten fragment; przyszło mu na myśl, że ojciec uznałby to za przejaw zniewieściałości. Wspomniał za to o wielkim ślubie w sąsiednim mieście: matka dostała zamó-

wienie na uszycie sukni nie tylko dla panny młodej, ale tak-

że dla jej matki i ciotki oraz obu druhen. Niemal wszystkie kobiety w kościele będą ubrane przez matkę, która powiedziała, że dobrze się składa, bo właśnie trzeba naprawić dach, a brakowało na to pieniędzy.

Przeczytał ostatnie zdanie po raz drugi. Może ojciec pomy-

śli, że to rodzaj skargi? A przecież nie można go irytować akurat teraz, kiedy się odnalazł.

Eddie uświadomił sobie nagle, że wcale nie odnalazł ojca.

To mu się tylko wydawało! Ale jednak przyniosło trochę ulgi.

Wykreślił zdanie o kosztach naprawy dachu, opisał za to lekcję, na której mówiono im o karierze zawodowej, wspomniał

też o Anglii, gdzie młodzi ludzie nie bojący się ciężkiej pracy mogą znaleźć zatrudnienie. Przyszło mu na myśl, że może ojciec też jest w Anglii. Byłoby cudownie, gdyby spotkał go tam przypadkowo.

Tego roku pisał często. Poinformował ojca o śmierci Bernarda Shaw - na wszelki wypadek, bo może ojciec przebywa gdzieś, gdzie nie docierają wiadomości radiowe. Pan Kelly powiedział na lekcji, że Shaw był wielkim pisarzem, ale jednocześnie przeciwnikiem Kościoła. Eddie wykorzystał tę okazję i w liście zapytał ojca, co ludzie mogą mieć przeciw Kościołowi?

Ojciec oczywiście nie odpowiedział, ponieważ listy nie zostały nigdy wysłane. Nie wiadomo było nawet, na jaki adres można by je przesłać.

Eddie nie czuł się tak bardzo samotny i pozbawiony przyjaciół. Miał przyjaciół. Często chodził do The Glen, spędzał

czas razem z Leo. Odbijali piłkę nad siatką na korcie teniso-S

wym albo bujali się na huśtawce zainstalowanej na olbrzymim starym dębie. Leo nie wiedziała nawet, że to dąb. Powiedział jej o tym Eddie, wyjaśniając zarazem, jak wyglądają li-

ście dębu i żołądzie. To dziwne: mieć na swoim terenie tyle R

różnych drzew i nie wiedzieć, jak się nazywają!

Eddie często oglądał liście dębu i wodził po nich palcem.

Podobał mu się ich kształt. I było na nich więcej zygzaków niż na liściach platanów lub topoli. Lubił też patrzeć na liście kasztana i nigdy nie naśladował tych głupich zabaw innych chłopców, którzy zdzierali zieloną powłokę, zostawiając sam szkielecik liścia, tak jakby filetowali rybę, odsłaniając jej kręgosłup.

Nie pisał o tym wszystkim do ojca, wspomniał jednak, że wrócił de Valera, a Nessa Ryan opowiedziała, że pewnej no-cy w hotelu wybuchła awantura tak straszliwa, iż musieli wzywać policję; nie wszystkim się widocznie podobało, że de Valera wrócił. I Eddie pisał jeszcze o wielu innych sprawach, również osobistych.

Nie napisał jednak, gdy kończył dwanaście lat, że boi się czyichś oświadczyn w dzień swoich urodzin. Taki lęk mógłby się wydać niedorzeczny. Ale Eddie lękał się bardzo zwłaszcza Eileen Dunne, śmiejącej się wyjątkowo głośno i mającej pięciu braci, którzy daliby mu porządną nauczkę, gdyby jej odmówił.

Nie chcesz chyba prosić mnie, abym ożenił się z tobą w piątek, co? - zapytał Leo z nadzieją w głosie, kiedy podniosła wzrok znad książki.

-Nie - odparła dziewczynka. - Myślałam właśnie o śmierci króla Anglii i o moim ojcu, rozpaczającym z tego powodu.

- A zrobisz to?

- To znaczy co? Czy będę rozpaczać?

- Nie. Czy poprosisz mnie o rękę?

- Dlaczego miałabym to zrobić? Ty nigdy nie poprosiłeś mnie o rękę.

- Bo dziś jest właśnie ten dzień, rozumiesz? Dziś oświadczają się kobiety.

-

Mężczyźni mogą to robić każdego innego dnia.

Eddie przemyślał to wszystko już wcześniej.

-

Załóżmy, że teraz poprosiłbym cię o rękę... Wtedy bylibyśmy zaręczeni, a gdyby ktoś inny oświadczył mi się w pią-

S

tek, mógłbym odpowiedzieć, że nie jestem już wolny.

Sprawiał wrażenie głęboko strapionego. Leo słuchała go chyba tylko jednym uchem; czytała książkę. Zawsze miała przy sobie jakąś książkę. Tym razem była to powieść „Dobre z

R

ony". Eddie pomyślał, że ten zbieg okoliczności wróży dobrze.

-O co chodzi, Eddie?

- Żebyś powiedziała: tak. Ale nie musisz.

- Więc dobrze, tak.

Odetchnął z ulgą. Jego dwunaste urodziny minęły bez przyjęcia, był już za dorosły. Dostał za to rower, używany rower. Matka powiedziała, że może pojechać na nim do szkoły nawet dziś, ale on wolał poczekać z tym do jutra. Matka spojrzała na niego z rozrzewnieniem. Był kochany i chociaż czasem trochę skomplikowany, ani razu nie sprawił jej kłopotu

- a już samo to stanowiło więcej, niż mogła się spodziewać owego dnia, kiedy tamten łajdak wyniósł się z ich domu.

Ludzie mawiali czasem, że to z pewnością nie lada problem wychowywać chłopca w pojedynkę. Jednak Una Barton uważała, że oboje wiodą godziwe życie. Syn często opowiadał

jej rozmaite historyjki, chętnie pomagał przy kuchni i sumiennie wycierał talerze do sucha. Żałowała, że nie ma wię-

cej czasu lub pieniędzy, aby zabrać go nad morze lub do ogrodu zoologicznego w Dublinie. Ale takie przyjemności istniały nie dla nich, lecz dla chłopców, których nie opuścili ich ojcowie.

Eddie nie chciał przypominać nikomu o swoich urodzinach, gdyż Eileen Dunne lub młodsza siostra Maury, Geraldine, mogłyby wbić sobie coś do głowy. Najwidoczniej jednak nikt nie zamierzał oświadczać się tego dnia jemu ani komukolwiek innemu. Wszyscy interesowali się raczej ojcem Barrym, który przyszedł do szkoły, aby opowiedzieć im o misjonarzach oraz pokazać „Magazyn Misyjny”, zawierający między innymi konkursy i kącik korespondencyjny „Poznaj-my się”. Jak twierdził ksiądz, w każdej części świata są ludzie, którzy chętnie nawiążą kontakt z młodymi Irlandczykami. Taka korespondencja z rówieśnikami w różnych krajach to wspinała rzecz.

Ojciec Barry był bardzo miły. Mówiąc, sprawiał wrażenie rozmarzonego, czasem zamykał oczy, tak jakby miejsce, o któ-

rym opowiadał, było bliżej niż to, w którym się właśnie znaj-S

dował. Eddie był tym zachwycony. Często, zamiast się głowić nad wypisanymi na tablicy cyframi, wyobrażał sobie, że przechadza się wśród drzew i kwiatów. Ojciec Barry powiesił

na ścianie tę stronę z magazynu, na której były wypisane na-R

zwiska chłopców i dziewcząt chętnych do prowadzenia korespondencji. Wszyscy oni znali język angielski, choć pochodzili także z odległych krajów. Jeden z tych chłopców podał, że interesuje go botanika: kwiaty i rośliny. Na imię miał Chris i mieszkał w Glasgow, w Szkocji.

To niezbyt odległy kraj jak na pisanie listów - powiedział lekceważąco Niall Hayes. On sam wybrał chłopca z Argentyny.

Im mniejsza odległość, tym większa szansa, że dostanę odpowiedź - zaproponował Eddie.

Bzdura - orzekł Niall.

W głębi duszy Eddie przyznawał mu rację. Może ten chłopak ze Szkocji wolałby korespondować z kimś bardziej egzotycznym, a nie z Irlandczykiem z jakiejś małej miejsciny.

Jednak prawdziwym powodem, dla którego wybrał Chrisa Taylora, był fakt, że na list do Szkocji nie trzeba nalepiać drogiego znaczka. Poza tym Chris też lubił kwiaty jak i on.

Eddie napisał do niego długi list. Czuł się dziwnie, pisząc list, który ma naprawdę powędrować do skrzynki pocztowej.

Wielu innych dwunastolatków musiałoby myśleć długo, zanim udałoby się im zapełnić kartkę papieru, ale nie Eddie Barton.

Miał już wprawę w pisaniu długich listów o świecie i o Shancarrig w szczególności.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast, była jednak za-adresowana do „panny E.Barton”. Na znaczku widniała pieczęć pocztowa z Glasgow. Eddie spoglądał długo na kopertę. To na pewno do niego. Mama ma przecież na imię Una.

Ale dlaczego ten Chris Taylor nazywa go panną? Płonąc ze wstydu, otworzył kopertę.

Droga Edith,

twoje imię było napisane niezbyt wyraźnie, nie znam zresztą dobrze imion irlandzkich, ale mam nadzieję, że udało mi się odczytać je właściwie. Edith, nieprawdaż?

List był utrzymany w przyjaznym tonie, zawierał mnóstwo S

informacji na temat jodeł i szyszek sosnowych, prośbę o jakieś suszone kwiaty oraz o radę, czy warto się uczyć nazw ła-cińskich różnych roślin, bo chyba łatwiej znaleźć jakąkolwiek informację z botaniki, jeśli się zna nazwy łacińskie. Na R

przykład, jak pisał Chris, ostatnio szukał czegoś na temat zwykłego klonu i spędził w czytelni całe dwie godziny, w dodatku bezskutecznie, gdyż nie wiedział, że powinien szukać tego pod nazwą „acer”.

Eddie czytał list z satysfakcją. To bardzo miłe ze strony te-go Chrisa, że pisze tak szczegółowo - zwłaszcza iż był przekonany, że list będzie czytać dziewczyna, jakaś dziewczyna o imieniu Edith. Brrr! Pytał nawet, co to za szkoła klasztorna, skoro uczą w niej panna Ross i pani Kelly, a żadna z nich nie jest siostrą zakonną.

Wreszcie Eddie dotarł do ostatniej strony i tu przeżył

prawdziwy szok. Chris kończył list, wyrażając nie tylko nadzieję, że nie będzie czekać długo na odpowiedź, ale również radość z faktu, że po drugiej stronie morza znalazła się bratnia dusza. Potem następował podpis: „Christine”.

Christine!

A więc Chris to dziewczyna!

Rozmyślał gorączkowo o tej idiotycznej pomyłce, czując na przemian fale żaru i chłodu, które opływały go całego. Na pewno Christine nigdy już do niego nie napisze, jeśli się dowie, że „Edith” nie chodzi do szkoły przyklasztornej jak ona, lecz jest dwunastoletnim chłopcem w workowatych spodniach, z czupryną jak u jeża. Szkoda! Bo właśnie ona była takim typem człowieka, z jakim chciałby korespondować. Ale to jej wi-na. Nie jego. To ona ma imię, które można dopasować do obojga płci. Jego imię jest typowo męskie. Eddie. Mógł już sobie wyobrazić, co by powiedzieli jego

koledzy w klasie, gdyby wiedzieli, że znalazł sobie jako partnera do korespondencji dziewczynę ze Szkocji, podczas gdy oni nawiązywali kontakty z chłopcami w Indiach lub Ameryce Południowej.

Nic dziwnego, Eddie Barton okazał się jak zwykle niedo-rajdą, mówiliby na jego temat.

Żałował, że nie wysłał od razu temu lub tej Chris kilku suszonych kwiatów. I nagle przyszło olśnienie: wiedział już, jak postąpić. Będzie udawał, że jest dziewczyną. Tylko, żeby ona już nigdy więcej nie pisała na kopertach: „Panna E. Barton”!

S

W ciągu czterech kolejnych lat Eddie Barton i Christine Taylor ślali do siebie długie, nieraz bardzo długie listy, otwierając w nich swoje serca w sposób, w jaki nie potrafiliby te-R

go robić wobec kogokolwiek innego.

Chris napisała, że jej matka miała niedawno sen, w któ-

rym przeprowadzili się z miasta na wieś, do domku z ogrodem i garażem, chociaż nie mieli samochodu. Sama Chris nie by-

ła by tym zachwycona, gdyż w tej sytuacji znalazłaby się daleko od czytelnicy i galerii sztuki oraz tych wszystkich miejsc, do których lubiła chadzać po zajęciach szkolnych. Jej koleżanki lubią jedynie wizyty w cukierni i rozmowy o chłopcach.

Chris przesłała swoją fotografię, na której stała w mundurku szkolnym, ale poprosiła jednocześnie o zdjęcie „Edith”.

W porywie desperacji Eddie wysłał jej fotografię Leo; ukradł

ją z The Glen, kiedy był tam ostatnio.

Chris przyznała, że zdjęcie trochę ją zaskoczyło. Z listów, jakie dotychczas otrzymała, odniosła wrażenie, jakby Edith była osobą niewysoką, krępą, o rozwichrzonych włosach. Eddie, czytając to, trząsł się cały z lęku. Żeby się tylko nie wydało! Jak dobrze, że Szkocja leży tak daleko, a Chris nigdy go nie odwiedzi! Chociaż byłoby jeszcze lepiej, gdyby mieszka-

ła aż w Argentynie.

Nie potrafił wymyślać historyjek o szkole przyklasztornej, do której rzekomo chodził, skoro naukę w Shancarrig zakończył w wieku czternastu lat, a obecnie jeździł codziennie autobusem do dużego miasta, gdzie kontynuował edukację u braciszków. W liście do Chris wyznał zgodnie z prawdą, że nie lubi swojej szkoły i woli pisać o innych sprawach, na przykład o jarzębinie albo o matce, którą z przepracowania często boli głowa, czy o ojcu, który przebywa nie wiadomo gdzie; gdyby miejsce jego pobytu było znane, można by opowiedzieć mu o tylu sprawach...

Pisał też o ojcu Barrym, o tym, co mówił wiernym na temat peruwiańskiej wioski Vieja Piedra, a

potem musiał przestać, bo podobno biskupowi nie spodobało się, że pieniądze wyciekają z diecezji za granicę, zamiast przynosić korzyść w kraju. Chris zdawała się rozumieć jego troski. Zapytała go, dlaczego nie pomaga matce w szyciu - to nic trudnego, mogą przecież szyć na zmianę.

Ta ostatnia uwaga przygnębiła Eddiego. Chris może jesz-

cze pomyśleć, że jest egoistą i samolubem, a przecież jego jedynym przewinieniem jest ta, a nie inna płeć. Wszyscy wiedzą, że chłopcy nie potrafią szyć.

W szkole wiodło mu się źle, ale o tym nie pisał. Jak mógł-

R

by zwierzyć się z tego, że braciszkanie odnoszą się do niego szorstko, zgoła brutalnie, często biją go pasem, a jeden z nich nawet wyśmiewa go za jąkanie?

Kiedy Eddie kończył szesnasty rok życia, Chris zapytała, czy mógłby przesłać jej swoje aktualne zdjęcie. Niestety nie miał już żadnej fotografii Leo, a krępował się poprosić ją o to wprost. Zdecydował się więc napisać do niej krótki liścik.

Ze względu na pewną bardzo skomplikowaną sytuację, któ-

ry Ci kiedyś wyjaśnię, potrzebuję Twojej fotografii. Chcę, abyś wiedziała, że nie ma to nic wspólnego z tamtą obietnicą małżeń-

stwa, jaką swego czasu wymusiłem na Tobie. Jesteś zwolniona z wszelkich zobowiązań wobec mnie, ale daj mi to zdjęcie w przyszłym tygodniu, dobrze?

Leo nie odpowiedziała w ogóle na tę karteczkę, ale potem, w przeddzień urodzin, spotkał ją nieoczekiwanie w samym środku miasta.

-

Zapomniałaś o zdjęciu? - zapytał.

Zrobiła minę, jakby nie wiedziała, o co chodzi. Zapomnia-

ła!

-Proszę cię, Leo, to dla mnie bardzo ważne. Wiesz dobrze, że nie zawracałbym ci głowy, gdyby było inaczej. Czy mogę przyjść do twojego domu po zdjęcie?

Sprawa była istotnie niesłychanie ważna. Miesiąc temu, z okazji swoich szesnastych urodzin, Chris przesłała mu zdję-

cie. Fotografiją ciemnowłosej dziewczyny o dużych oczach i miłym uśmiechu.

-Nie - odparła. Nigdy do tej pory nie widział jej aż tak nieugiętej.

-Dobrze. Więc przynieś mi je sama.

Spojrzała na niego, jakby rozważała, co powinna zrobić, aby nie skomplikować sobie życia.

-O Boże, w porządku. Przyniosę ci - machnęła w końcu ręką.

Poczuł się urażony.

S

-Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi - mruknął.

-Jasne, że jesteśmy. - Wyraz jej twarzy złagodniał.

-A więc nie rób z tego wielkiej sprawy. To nie ma nic wspólnego z zaręczynami.

R

-Co takiego?

Uświadomił sobie nagle, że Leo Murphy nigdy nie słucha tego, co ma do powiedzenia druga osoba. Jest nieczuła i pod tym względem różni się zdecydowanie od Chris Taylor.

Jedyna wada Chris, to jej przekonanie, że koresponduje z dziewczyną o imieniu Edith i że obie powinny się zachowywać wobec siebie jak powiernice. Eddie musiał napisać kiedyś w liście, że owszem, on też miał już miesiączki w wieku jedenastu lat. Zdobył się też na wyznanie, że spośród gwiazdorów filmowych podoba mu się zwłaszcza Fernando Lamass i że lubi spódnice z czerwonego materiału w szkocką kratę.

Ale przeważnie Chris pisała o ciekawych sprawach. Tylko raz na jakiś czas poruszała temat typowo kobiecy, co zawsze wytrącało go z równowagi.

Wysłał zdjęcie Leo i czekał.

Wiedział, że otrzyma teraz prócz listu także kartę z życzeniami urodzinowymi - jak zwykle z rysunkami kwiatów i innymi najprzeróżniejszymi ozdobnikami, jakie może wymyślić tylko dziewczyna. Dlatego nie mógł potem nikomu pokazywać tych kart.

Tego roku nadeszła mała koperta.

„*Otwórz dopiero 29 w środę*”, głosił napis na niej.

Postanowił otworzyć ją i przeczytać wtedy, kiedy będzie sam. Matka wiedziała od dawna, że

koresponduje z jakimś ró-

wieśnikiem ze Szkocji.

I co pisze ten młody Szkot? - pytała czasem.

Nic takiego. Trochę o kwiatach i drzewach - odpowiadał

Eddie.

- Dzięki temu nie myślisz o żadnych głupstwach - mówiła w takich momentach matka.

Wiedział, że matka nie jest wcale tak gderliwa, jak udaje.

Tego dnia przeszedł do sypialni, otworzył list od Chris i nagle z wrażenia aż usiadł.

S

Już od dawna postanowiłam, że kiedy oboje skończymy szesnaście lat, wyznam prawdę: wiem od samego początku, że jesteś chłopcem. Nie chciałam przyznać się do tego wcześniej, bo R

bałam się, że przestanieś pisać. Podoba mi się, że jesteś chłopcem: najmilszym, jakiego poznałam kiedykolwiek w całym mo-im życiu. Kochany Eddie, życzę Ci wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i dziękuję Ci bardzo za Twoją przyjaźń.

W pierwszej chwili poczuł się zażenowany: jak ona mogła robić z niego durnia przez cztery lata? Potem miejsce wstydu zajął podziw. W jaki sposób się dowiedziała? Przecież pi-sał jej o swoich miesiączkach, o nauce w szkole przyklasztornej oraz o swojej czerwonej spódnicy w szkocką kratę.

Dopiero w następnej kolejności przyszła pora na zupełnie nowe uczucie: dreszcz podniecenia. Wiedziała już, że ma do czynienia z chłopcem, a jednak nie przerwała znajomości.

Nawet się bała, że mogłaby go utracić! Podszedł do biurka, gdzie w szufladzie trzymał jej listy, i zaczął czytać ich frag-menty.

„Cieszę się, że korespondujemy ze sobą”. „Masz w sobie tak wiele wyrozumiałości”. „To wspaniale, że znajdujesz w sobie tyle wrażliwości, tu miałam już do czynienia z wieloma ignorantami”.

Eddie Barton miał dopiero szesnaście lat, czuł jednak, że jest zakochany. Wyszedł na spacer do lasu Barna. Wiał zimny, przenikliwy wiatr, ale on nie czuł tego. Usiadł na jakimś starym pniaku, zamyślił się. Co powinien uczynić w sytuacji, która oznacza nowy etap w jego życiu? Musi jeszcze przed szóstą wysłać do niej list. I nie ma mowy o pójściu dziś do szkoły, zbyt wiele spraw powinien teraz rozważyć.

Do końca dnia zrywał się na siebie samego z powodu pewnych listów, jakie napisał do niej w przeszłości, całych ich długich fragmentów, o których Chris musiała przecież wiedzieć, że stanowią z

jego strony kłamstwo. Potem znowu ogarnęła go irytacja. Dlaczego Chris zaproponowała mu kiedyś, aby pomagał matce szyć, skoro wiedziała już, że on jest chłopcem? Przede wszystkim jednak zależało mu teraz na wysłaniu listu, w którym nie urażając jej, mógłby wyznać, co czuje. Wyjął z kieszeni zdjęcie, spojrzął na nie ponownie. Duże ciemne oczy jak u Włoszki... Raptem wzdrygnął się przeraSzony. Przecież Chris myśli, że on wygląda jak Leo Murphy! To znaczy... nie, tak na pewno nie myśli, ale w każdym razie nie wie, jaki on jest. Żałował teraz, że w niczym nie przypomina wysokiego i silnego kuzyna Nialla Hayesa, Richarda, który R

przyjechał tu ostatnio z wizytą. Wszyscy twierdzili zgodnie, że to bardzo przystojny mężczyzna. Eddie westchnął ciężko.

Szkoda, że nie może odnaleźć ojca i zapytać go o radę.

Ale ojciec nie pojawił się na jego szesnaste urodziny -

tak jak nie zjawiał się wcześniej - i Eddie uzmysłowił sobie, że musi napisać ten list samodzielnie.

Postanowił pójść do panny Ross i poprosić ją, aby pozwoliła mu pisać u siebie w domu. Wtedy nie będzie się obawiał, że w każdej chwili matka może zapytać go, co robi. Często pomagał pannie Ross pielęgnować ogródek, miał więc teraz nadzieję, że nie zamknie przed nim drzwi, zwłaszcza w tak zimny dzień.

Kiedy zbliżał się do jej domu, ujrzał ją na ulicy; wracała właśnie ze szkoły. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, który szeleścił przy każdym kroku. Ciekawe, czy Chris nosi ta-ki płaszcz... Pomyślał, że mógłby ją o to zapytać, ale nagle wy-dało mu się, że w tym szeleszczącym dźwięku jest coś nazbyt osobistego. Lepiej nie pisać teraz o czymś takim.

Panna Ross była blada i najwyraźniej zmęczona. Powiedziała, że Eddie spadł jej teraz jak z nieba. Gdyby mógł nie ograniczać się do pisania listu, ale jeszcze przygotować trochę drewna do kominka, ona poczęstuje go potem dużym ta-lerzem ciepłej zupy.

- Dziś są moje urodziny, panno Ross. Dlatego tu jestem -

powiedział.

Wydawało się, że to wyjaśnienie jej wystarczy. Nie zapytała już, dlaczego samowolnie opuścił zajęcia u braciszków.

Mogła sobie doskonale wyobrazić, co by powiedział braciszek O'Brien, gdyby Eddie ośmielił się mu zasugerować, że zostanie w domu z powodu swoich szesnastych urodzin.

A co to za list? Podanie o pracę? - zapytała.

Nie. List do przyjaciela. - Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że jest czerwony jak burak.

Aha... Ale pamiętaj, że jeśli ten twój przyjaciel przebywa w szkole z internatem, list mogą przeczytać

siostry zakonne. - Panna Ross była, jak się okazało, nadzwyczaj domyślna.

Ależ skąd, on nie chodzi do szkoły z internatem. - Eddie S

wiedział, że jego słowa nie zabrzmiały przekonująco.

Zanim przystąpił do pisania, rozejrzał się po pokoju. Nigdy przedtem nie zwracał uwagi na ten dom; zawsze gdy pracował w ogródku, pamiętał jedynie o tym, aby przed wej-

ś

R

ciem do środka zdjęć buty. Przypomniawszy sobie teraz, że Maura Brennan wielokrotnie wychwalała ten dom pod niebiosa, mówiąc, iż chciałyby mieć podobny na starość - z ładnymi meblami, które mogłyby czyścić do połysku, z piękną porcelaną na półkach, a także z grubymi, mięsistymi zasłonami z aksamitu. Eddie podziwiał dobór kolorów: wszystko tu tworzyło wspaniałą harmonię, nie tak jak u niego w domu, gdzie dywan był brązowy, zasłony żółte, a obrus zielony. Wiedział

dobrze, że jedynym powodem takiej pozornie przypadkowej zbieraniny jest brak pieniędzy. Gdyby mieli ich więcej, ich mieszkanie wyglądałoby zupełnie inaczej, zwłaszcza iż mama miała dobry gust. Zawsze potrafiła doradzić swoim klientkom, jak dobrać kolor sukni do oczu lub cery.

No tak, ale miał przecież pisać list do Chris Taylor.

Siedział długo, słuchając tykania zegara. Panna Ross uda-

ła się już z powrotem do szkoły, jej matka odbywała na górze popołudniową drzemkę.

Droga Chris - zaczął. - Nawet nie wiesz, jaką odczuwam ulgę, mogąc pisać jako ja. Dawno chciałem Ci wyznać prawdę, ale skoro już raz zdecydowałem się na to głupie kłamstwo, musiałem brnąć konsekwentnie dalej, bo bałem się, że potem nie bę-

dziesz mnie chciała znać. Twoje listy znaczą teraz dla mnie bardzo dużo, są czymś najważniejszym w moim życiu i nie wiem, co bym zrobił, gdybym przestał je otrzymywać.

Dalej poszło już łatwo. Strona po stronie. Usiłował wyobrazić sobie dziewczynę, jak siedzi w tym małym domku w Glasgow. Chris określała swój dom mianem „dwa na górze, dwa na dole”, mając na myśli ilość pomieszczeń. Jej matka nigdy nie zrealizowała swojego marzenia o własnej posiadło-

ści. Ojciec hodował gołębie i nie interesowało go nic ponad to. Bracia Chris byli marynarzami, do domu przyjeżdżali rzadko i na krótko. Ona chciała właściwie iść do szkoły artystycznej, ale okazało się, że nie ma odpowiedniego talentu. Mat-S

ka poradziła jej, aby zatrudniła się w kwiaciarni, wtedy będzie mogła robić to, co lubi; nie wszyscy ludzie mają takie szczęście. A ona naprawdę lubi kwiaty.

Co taka dziewczyna będzie teraz chciała przeczytać w li-

ś

R

cie od Eddiego, który okazał się mężczyzną? Jedno jest pewne: trzeba skończyć z udawaniem.

Jestem niski i krępy, mam sterczące włosy. Nigdy chyba nie wyjawilem Ci prawdy o szkole, o tym, jak bardzo jej nie cierpię, bo udając dziewczynę, nie mogłem przecież napisać, jak nie-ludscy są tu wobec mnie ani o tym, że uważają mnie za gruba-sa. Nie sądzę, abym rzeczywiście był gruby, a dzięki Twoim li-stom uwierzyłem nawet, że jest we mnie coś wartościowego.

Pisał jak pod dyktando, jak natchniony. Potem przeczytał

list jeszcze raz i doszedł do przekonania, że takie wyjaśnienie powinno się jej spodobać. Nie ograniczając się do samych przeprosin, stawia jasno sprawę.

Niebawem przyszła panna Ross.

- Długi ten list. Nie zmarnowałeś czasu - powiedziała z uznaniem.

- Czy według pani jestem gruby, panno Ross?

- Nie, nie sądzę - odparła.

Uśmiechnął się i wybiegł na podwórze. Wyjrzała za nim przez otwarte drzwi: biegł w stronę poczty, przeskakując radośnie kałuże.

Pisali do siebie często i dużo: o nadziejach i lękach, o książkach i obrazach, o kolorach i wzorach. Nie pomijali niczego.

„*Gdybyśmy się kiedyś spotkali, pokazałbym Ci paprocie w lesie Barna*” - napisał kiedyś.

„*Co znaczy: gdybyśmy się spotkali? Raczej: kiedy się spotkamy*” - przeczytał w jej liście i natychmiast serce zamarło mu z lęku. Zawsze przedstawiał Shancarrig jako miejsce tak piękne, tak ekscytujące, tak romantyczne! Jakby oceniła je Chris?

Ten twój przyjaciel nie ma chyba nic innego do roboty prócz pisania listów - mruknęła matka pewnego dnia, kiedy ze Szkocji nadeszła pękata jak zwykle koperta.

S

To nie jest chłopiec, tylko dziewczyna. - Eddie uznał, że najwyższa pora wyjaśnić sprawę.

Jak to? Czyżby zmienił nagle płeć? - Pani Barton najwyraźniej nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

R

Nie, po prostu koresponduję teraz z kimś innym. - Pomy-

ślał sobie, że wdawanie się w szczegółowe wyjaśnienia nie miałyby sensu.

A dlaczego znowu Szkocja?

Bo to ładny kraj i leży daleko - uśmiechnął się. - Mamo, skoro już mam utrzymywać kontakt z dziewczyną, to chyba lepiej, że wybrałem dziewczynę z odległego kraju?

W twoim wieku w ogóle nie powinieneś korespondować z dziewczyną. Na to będziesz miał jeszcze potem sporo czasu.

Nawet za dużo, jeśli okażesz się nieodrodnym synem swego ojca.

Do Eddiego już parokrotnie dochodziły słuchy o nadmiernym zainteresowaniu Teda Bartona kobietami. Były to wieści zawoalowane, ogólnikowe, nigdy konkretne czy szczegółowe

- i Eddie już dawno porzucił nadzieję na zdobycie bardziej wyczerpujących informacji, które mogłyby poszerzyć posiadaną przez niego wiedzę na ten temat. Matka wyrzuciła ojca z domu z powodu jego związku z inną kobietą. Tego wieczoru, kiedy opuścił Shancarrig, tamta nie wyjechała razem z nim. Możliwe, że była to kobieta, którą Eddie znał, a może nawet z nią rozmawiał. Gdyby była to jakaś miła osoba, tak miła jak panna Ross, mogłaby opowiedzieć mu coś więcej na temat człowieka, który zniknął z ich domu i życia.

-Czy ojciec lubił pannę Ross? - zapytał nieoczekiwanie.

Matka spojrzała na niego zaskoczona.

- Maddy Ross?

- Tak. Czy to możliwe, że właśnie z nią miał romans?

- No cóż, to mało prawdopodobne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że kiedy wyjeżdżał z Shancarrig, ona miała jakieś dwanaście, trzynaście lat. Ale nie można tego wykluczyć. -

Matka zdobyła się nawet na suchy uśmiech.

Eddie uznał, że nie jest już tak rozgoryczona jak dawniej.

Musi napisać o tym do Chris; nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. Chris opowiedziała mu już w liście o ojcu, który stracił pracę w stoczni, oraz o matce, której przybyła dodatkowa zmiana w fabryce, a także o swojej pracy w miejscowej kwiaciarni w soboty. Ale była trochę rozczarowana. Nie tak sobie S

wyobrażała pracę przy kwiatach. Nie sądziła, iż są to aż tak mechaniczne czynności i że będzie

musiała oszukiwać klientów, upodabniając zwiędłe kwiaty do świeżych.

Żaliła się również, że w jej szkole przyklasztornej siostry R

są snobkami i nie lubią dziewcząt, których matki pracują w fabryce. Eddie z kolei odpisał, że braciszkanie tępią każ-

dego, u kogo przejawia się choćby cząstka duszy, a on sam nie ma już u nich szans. Wyniki egzaminów ich obojga wydawa-

ły się więc przesądzone.

Latem 1957 roku Chris i Eddie powiadomili siebie wzajemnie o złych stopniach i marnych perspektywach na przyszłość.

-Rozmawiałam z bratem i O'Brienem. Jego zdaniem po-wtarzanie roku mijałoby się z celem - oświadczyła matka po-sępnym głosem. Pojechała autobusem do miasta po materiał, nici, zamki błyskawiczne i jakieś części zamienne do swojej maszyny. Przy okazji postanowiła wstąpić do szkoły syna.

Jak się okazało, nie była to przyjemna wizyta.

- Powiedziałam mu, że inni chłopcy mają ojców, którzy płacą w takich sytuacjach, a my niestety nie mamy pojęcia, gdzie twój ojciec przebywa lub przebywał przez kilkanaście ostatnich lat. - Znowu miała na twarzy ten wyraz rozgoryczenia, którego Eddie tak bardzo nie cierpiał.

- Mamo, przecież sama go wyrzuciłaś. Kazałaś mu odejść.

Nie możesz winić go za wszystko, co się stało po jego odejściu, lecz tylko za to, co było przedtem.

- I tamtego było aż nadto, możesz mi wierzyć.

- Ciągłe mnie zapewniasz, ale nie wyjaśniasz niczego, żeby i ja mógł sobie wyrobić zdanie na ten temat.

- Zawsze wiesz, co powiedzieć. Zupełnie jak ojciec.

- A ten braciszek O'Brien zachował się życzliwie? Na pewno nie. Nie potrafi przejąć się kimkolwiek.

Matka obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

-Nie był życzliwy. Ani wobec ciebie, ani wobec mnie. Ale myślę, że potrafi się przejmować niedolą ludzi. Powiedział, że nie ma sensu rozpaczać z powodu nieobecności męża i głównie od kobiety zależy, gdzie mąż przebywa i co robi.

- I co jeszcze?

-Że wbiłeś sobie do głowy, iż jesteś za dobry na tę szko-
łę i na ich sposób nauczania. I że to byłoby słuszne, gdybyś był
prawdziwym artystą, który pragnie malować lub pisać, ale S
w tej konkretnej sytuacji nie wiadomo, co z ciebie wyrośnie.

Wyglądało na to, że było mu cię żal.

Tak, to możliwe. Eddie mógł sobie wyobrazić, że tak wła-
śnie powiedziałby braciszek O'Brien. Oczyma wyobraźni wi-R

dział teraz tego ogromnego mężczyznę o rumianej twarzy, jak wyraża ubolewanie, iż nie może nigdzie
znaleźć miejsca dla chłopca. Braciszek O'Brien lubił umieszczać swoich wy-chowanków w bankach,
firmach ubezpieczeniowych, a czasem nawet na wyższych uczelniach,

Ale w żadnym z tych miejsc nie wyobrażał sobie widocznie Eddiego Bartona.

Gdyby nie listy, stanowiące linię ratowniczą, podporę i źró-

dło siły, Eddie poddałby się tego lata całkowicie uczuciu przygnębienia. Na szczęście Chris pisała
codziennie, powtarzała stale, że muszą się jakoś uporać z zaistniałą sytuacją. Ona sama nie
zamierzała pracować w fabryce jak jej matka ani zgłębiać zawodu kwiaciarki.

Coraz częściej pisali do siebie o miłości, każdy ich list kończył się teraz gorącym pragnieniem
spotkania. Eddie wyraził obawę, iż może przedstawił Shancarrig zbyt entuzja-stycznie, zaproponował
więc, aby spotkali się w innym kraju, gdzie są ciepłe, łagodne wiatry i palmy. Chris odpowiedzia-

ła, że spotkanie, które odbyłoby się na szarych ulicach w pobliżu jej domu, nie miałyby uroku; ona
również wolałaby, aby miało ono miejsce w kraju bardziej egzotycznym.

Świat fantazji stał się ważną częścią ich korespondencji, wziął niemal górę nad rzeczywistością.
Chris Taylor rozpoczęła niebawem pracę w domu towarowym w Glasgow, przyznała jednak, że jej
nie lubi, jest: bowiem zbyt męcząca; no-gi bolą ją przy niej bardziej niż zazwyczaj. Eddie zapytał

w najbliższym liście, czy poza pracą często miewa bóle nóg; do tej pory nigdy mu o tym nie pis ała.
Ale w kolejnych listach Chris nie wspominała już o tym w ogóle, tak więc Eddie uznał tę wzmiankę
za przypadkową i mało istotną.

On sam podjął pracę w sklepie z artykułami żelaznymi Dunne'a, ale nie cierpiał jej. W jlistach do
Chris opisywał

czas spędzany w sklepie na rozmowach z farmerami, którzy przyjeżdżali po drut albo części do pługa,
skarżył się, że ma już dość tych wszystkich narzędzi, do uprawy roli i wolałby umrzeć niż ciągle
wysłuchiwać o powieści o oleju lnianym lub czerwonej farbie do malowania a stodoły. Pisał też o

tym, S

jak ciemni są Dunne'owie. Ich ciotka, Nellie, prowadzi ma-

ły sklepik z artykułami spożywczy mi i sprzedaje na kredyt; tylko dlatego ludzie kupują u niej. On zaś, Eddie, pracuje dla starego pana Dunne i jego synów, Briana i Liama. Cór-R

ka Dunne'a, Eileen, jego rówieśniczka, jest zatrudniona w hotelu Ryana i zawsze na jego widok puszcza do niego oko.

Piszę Ci o tym - wyjaśniał Chris - nie po to, aby urosnąć w Twoich oczach lub wzbudzić zazdrość, ale żeby uzmysłwić sobie samemu, jakim jestem szczęściarzem, ponieważ nie łączy mnie nic z głupimi dziewczynami w rodzaju tej namolnej Eileen - zwłaszcza teraz, gdy mam Ciebie.

Ona pisała niekiedy, że chodzi na tańce, ale i wówczas spędza większość czasu w kącie, rozmyślając nad tym, co przeczytała w jego ostatnich listach .

Parokrotnie Eddiego odwiedzały w sklepie Nessa Ryan i Leo Murphy. Dunne'owie nie mieli nic przeciw ich rozmowom, gdyż ich zdaniem obie dziewczyny reprezentowały śmietankę towarzyską Shancarrig. Co innego, gdyby do sklepu weszła Maura Brennan lub inna podobna jej biedaczka. Natomiast obecność takich gości, jak młoda panna Ryan z hotelu albo młoda panna Murphy z The Glen, sprawiała staremu panu Dunne wielką przyjemność.

Jak się miewa nasz drogi major? - pytał stale Leo.

Ojciec, jak zwykle, mówi sam do siebie - odparła za którymś razem i obie zachichatały.

Ale pan Dunne nie aprobował takiego braku szacunku wobec rodziców.

-

A co słyhać w wiodącym zajeździe irlandzkim? - zwró-

cił się do Nessay Ryan, mając na myśli hotel należący do jej rodziców.

Tak jak zawsze podziękowała i zapewniła, że wszystko jest w najlepszym porządku.

W liście do Chris Eddie wyraził zdziwienie: Leo Murphy sprawia przeważnie wrażenie spiętej i zatroskanej, a przecież nie powinna mieć powodów do zmartwienia. Na jej dyplomie widnieje aż sześć ocen celujących, pieniądze nie stanowią dla niej żadnego problemu, gdyby chciała, mogłaby studiować na uniwersytecie w Cork, Galway lub Dublinie -

S

a mimo to niemal bez przerwy przygryza sobie wargi, jakby coś ją gnębiło.

Chris odpisała, że nigdy nie wiadomo, co kogo dręczy. Mo-

że Leo nie czuje się najlepiej, może nie dopisuje jej zdro-

wie? A jak ona wygląda? Eddie, zażenowany, wyjaśnił, iż Leo wygląda jak on, to znaczy, zdjęcia, które wysłał jej dwukrotnie, były właśnie zdjęciami Leo.

„*Jest bardzo atrakcyjna*” - napisała z widoczną obawą Chris.

„*Nigdy tego nie zauważyłem* - brzmiała odpowiedź Eddiego. - Ale może w takim razie powinienem być zostać nią już na zawsze?”

„*Nie, podobasz mi się; taki, jaki jesteś teraz*” - zapewniła w kolejnym liście.

Uświadomili sobie, że muszą wreszcie porozmawiać osobi-

ście. Nie mieli telefonów w swoich domach, ale Chris mogła zadzwonić z automatu, a Eddie mógł czekać na telefon w hotelu Ryana. Przygotowywali się do tego momentu od wielu tygodni.

„Może nie spodobają się nam nasze głosy - zastanawiała się w liście Chris. - Ale najważniejsze, aby pamiętać, że się lubimy. Brzmienie głosu i nie jest takie istotne”.

„Jak to: lubimy? - obruszył się Eddie. - My się kochamy.

I o tym musimy pamiętać w ten sobotni wieczór”.

Rozmowę telefoniczną zaplanowali na sobotę, tak aby móc czekać na nią z utęsknieniem cały tydzień.

Tego dnia Eddie wystroił się w swoją najlepszą koszulę.

Domyślam się, że jedziesz do miasta. - Matka pozornie nie podnosiła nawet na niego wzroku, ale dostrzegła natychmiast odświętny wygląd syna.

Ależ skąd, mamó. Co bym tam robił?

Dokąd w takim razie się wybierasz, jeśli wolno zapytać?

- Ton jej głosu nie był tak surowy jak słowa. Po prostu chciała wiedzieć.

Tylko do hotelu Ryana, mamó. Na filiżankę kawy.

- Eddie...?

- Słucham?

- Eddie, wiem, że jestem niezdolna, ale chyba nie...

- Mamo, powiedziałem ci już, że nie piję. Próbowałem raz S

i nie odpowiadał mi zapach alkoholu ani smak.

- Nie chodzi mi o picie. - Zmierzyła go wzrokiem: typowy wizerunek młodzieńca idącego na randkę.

- A o co?

R

- Chyba nie związałeś się z tą Eileen Dunne? To nie byliby odpowiedni ludzie dla...

- Co ty mówisz?! Czy nie pracuję dla nich?

- Ale Eileen...?

Ukląkł przy niej, spojrzał jej w oczy.

-

Nie chciałem jej nawet wtedy, gdyby była jedyną kobietą w Irlandii.

Chris miała zadzwonić o ósmej. Eddie wszedł do hotelu i usiadł w hallu. Telefon przyjmie osoba, która będzie akurat siedziała w recepcji, rozejrzy się i powie: „Eddie Barton... nie wiem... ach, tak, jest tutaj”, a potem da mu znak, aby wszedł

do kabiny. Wtedy wreszcie będzie mógł z nią porozmawiać.

Z dziewczyną, którą kocha.

Dobrze, że to sobota. Przynajmniej nie będzie w recepcji tej okropnej Eileen Dunne. W soboty Eileen pracuje zwykle w sali jadalnej, ubrana w tę swoją kusą sukienkę opiętą ciasno na piersiach i pośladkach i w jeszcze krótszy biały fartuszek.

Eddie czuł, jak mocno bije mu serce, mocno i donośnie, niczym wielki zegar szkolny w Shancarrig odmierzający czas.

Jeszcze trochę. Dziesięć minut. Dziewięć.

Zerwał się na równe nogi, kiedy zadzwonił telefon. Dopiero teraz zauważył, że jednak, jak na złość, dyżur w recepcji ma właśnie Eileen Dunne. Żeby tylko nie zrobiła jakiejś głupiej uwagi, żeby tylko nie powiedziała czegoś idiotyczne-go, co mogłaby usłyszeć Chris mimo dzielącej je obie odległości.

-Tak, jest tutaj. Proszę zaczekać. Eddie?

Już stał przy niej.

-Tak?

-Ktoś do ciebie. Odbierzesz tutaj? Boże, aleś się dziś wystroił! Jakbyś szedł na bal!

-Odbiorę w kabinie - powiedział czerwony na twarzy z wściekłości.

- Dobrze. Poczekaj, aż przełączę to cholerstwo... Tyle tu tych przełączników... Wybierasz się do miasta na tańce?

S

Z ulgą wbiegł do ciemnej kabiny, czując, jak trzęsą mu się ręce. Niech diabli porwą tę głupią Eileen! Ale może Chris nie słyszała...

-

Halo? - zawołał z bijącym sercem.

R

Telefonistka z drugiej strony to z pewnością Szkotka. Z te-go, co powiedziała, nie zrozumiał ani jednego słowa. Domy-

ślił się jedynie, że są jakieś problemy z połączeniem.

Może mnie pani połączyć z Chris? - krzyknął. Słyszał, jak drży jego głos, ale miał nadzieję, że został zrozumiany. Jak dobrze, że nie ma jeszcze połączenia; nie musi się obawiać, że Chris usłyszała słowa tej beznadziejnej Eileen! Za chwilę dobiegnie go wreszcie jej głos.

-Tu Chris. - Jej wymowa różniła się tak zdecydowanie od irlandzkiej, że z trudem rozszyfrował słowa. - Czyżbyś mnie nie słyszał?

Niemożliwe, aby to był głos Chris. Raczej jakiś dowcipniś naśladuje Szkota.

-To chyba nie ty, prawda, Chris? - zapytał na wszelki wypadek. Nie, to jakiś kawał.

-Och, Eddie, przestań udawać. I przestań tak dziwnie wymawiać słowa!

Nastąpiła chwila ciszy. Oboje uświadomili sobie nagle, że żadne z nich nie odgrywa komedii. Że są po prostu sobą. Parsknęli jednocześnie śmiechem.

-O Boże, Eddie... gdzie ja mam głowę! Nie wiem, dlaczego myślałam cały czas, że mówisz dokładnie tak jak ja!

Jego serce było pełne miłości. Ten obcy akcent u niej nie raził go już ani trochę.

-Ja też wyobrażałam sobie ciebie bardzo konkretnie -

odparł.

A potem było znowu tak, jakby po prostu pisali do siebie.

Ani się obejrżeli, kiedy upłynęły trzy minuty.

Kocham cię, Chris. Bardziej niż kiedykolwiek.

Ja też cię kocham.

Odtąd liczyły się dla nich tylko soboty, chociaż w listach przyznawali potem, że kontakt telefoniczny trochę ich rozczarował. Bywały chwile, kiedy w ogóle siebie nie rozumieli i wówczas tracili cenny czas na dodatkowe objaśnienia.

Dojrzało w nich pragnienie, aby się spotkać. Nie mogli S

się już tego doczekać.

„Spotkajmy się jak najprędzej - napisała. - Zanim się ze-starzejemy i nie będziemy w stanie się rozpoznać”.

„Ale nie zapomnimy tego, o czym pisaliśmy w listach”.

R

Zdawali sobie sprawę z głębokiej więzi, jaka ich łączy, ale żadne z nich nie zdobyło się na inicjatywę, aby zaprosić drugie do siebie. Eddie truchlał na samą myśl o ewentualnych przygotowaniach do takiej wizyty - na przykład związanych z pokojem dla gościa - a także o pytaniach ze strony matki i spojrzeniach wszystkich ciekawskich z Shancarrig.

Chris uprzedziła go, że skoro z trudem zrozumiał jej wymowę, to z pewnością całkiem niezrozumiała byłaby dla niego wymowa jej rodziny i sąsiadów w Glasgow.

Najwidoczniej pałała chęcią ujrzenia na własne oczy lasu Barna i wzgórza z wielkim głazem na szczycie - głazem, od którego miejscowość wzięła swą nazwę. Chciała zobaczyć ró-

zowy domek Eddiego i poznać jego matkę.

On zaś doznawał sprzecznych uczuć. Pragnął, aby tu przyjechała - i zarazem nie chciał tego. Podobnie było z jego życiem w Shancarrig. Marzył wprawdzie, aby wyjechać stąd na zawsze, wiedział jednak, że nie może tego zrobić. W tym domu zdarzyło się już raz, że jeden mężczyzna opuścił matkę.

Eddie nie mógł pójść w jego ślady.

W końcu zdobył się na to, aby ją zaprosić. Nie planował te-go, ale tak jakoś wyszło.

Miał za sobą ciężki dzień w sklepie Dunne'ów, gdyż wszystko dziś szło na opak. Stary Dunne

zachowywał się, jakby wstąpił weń diabeł, Liam wstał najwidoczniej lewą nogą, Brian był w nastroju do wydawania rozkazów i na domiar złego zjawił się jeszcze ich kuzyn Foxy, ten sam, który chodził

z Eddiem do jednej klasy.

Foxy pracował w Anglii w firmie budowlanej. Wszystko wskazywało na to, że doskonale sobie radzi. Zaczął od pracy przy produkcji puszek z herbatą dla Irlandczyków zatrudnionych na budowie dróg w Anglii. Przyjeżdżał do domu co rok, ciekaw wszystkiego; strzelał oczyma na prawo i lewo.

Zazwyczaj Eddie lubił jego towarzystwo, gdyż Foxy był

bystry i potrafił rozweselić każdego.

Ale dzisiaj kolega działał mu na nerwy.

S

-Nie pozwalaj mu traktować się w ten sposób - powiedział, kiedy stary Dunne nazwał Eddiego ciemnym szczeniakiem.

-Dobrze ci mówić, Foxy. Dla ciebie to rodzony wuj, ale dla R

mnie pracodawca, który mi płaci.

-Tak czy inaczej, pozwalasz, aby włożył ci na głowę. I wi-dzę już, że spędzisz resztę życia, stojąc w tym fartuchu za la-dą.

-A ty kim będziesz? - odparował Eddie.

-Przede wszystkim wyniosę się jak najdalej stąd. Na pewno nie będę tu siedział, wysłuchując zrzędzeń wuja lub znosząc humory ciotki Nellie, która pozwala klientom kupować na kredyt, zwłaszcza tym należącym do śmietanki towarzyskiej. Pracuję w Anglii i zamierzam zarobić kupę forsy. A wtedy wrócę tu i poślubię Leo Murphy.

Nigdy przedtem Foxy nie wygłosił tak długiej mowy. Eddie patrzył na niego zaintrygowany.

-

A Leo zechce być twoją żoną?

-Na pewno nie teraz. Nie, dopóki nie doszedłem do niczego. Takich, jacy jesteśmy teraz ty i ja, nie zechce żadna. Jesteśmy niewiele warci. Mamy tylko po jednym porządnym ubraniu na tyłku. Ale właśnie dlatego musimy coś zrobić z naszym życiem, zamiast sterczeć idiotycznie w tej dziurze.

Jaka dziewczyna zechciałaby kogoś takiego jak my?

-Nie wiem. Może mamy sporo wdzięku? - Eddie usiłował

zażartować, czuł jednak, że Foxy ma rację.

Tamten obrócił się zniecierpliwiony.

-Już widzę, jak powtarzasz to samo za dwadzieścia lat. Ta dziura rozleniwia nas i ogłupia. To tak, jakbyśmy się zapada-li w zdradzieckie bagno.

Eddie rozważał jego słowa cały dzień. Dziś była jego kolej, dziś on miał zadzwonić do Glasgow.

Przyjedź do Irlandii, do Shancarrig - powiedział natychmiast, gdy tylko Chris podniosła słuchawkę.

Kiedy? Kiedy mam przyjechać?

Jak najprędzej. Nie chcę być dłużej bez ciebie - odparł.

- W moim życiu liczysz się teraz tylko ty.

Ton ich listów uległ zmianie. Stały się bardziej intymne.

Nie było w nich już żadnych „jeśli”, lecz tylko „kiedy”. Zniknęły wątpliwości. Listy były przesycone miłością i pragnie-

niem, a także zaskoczeniem, że dwie osoby mogą myśleć do-kładnie to samo.

Do uzgodnienia pozostało parę szczegółów.

Chris miała wziąć w kwiaciarni dwa tygodnie urlopu. Ed-R

die postanowił zrobić to samo w sklepie Dunne'ów. Chris napisała, że popłynie statkiem ze Stranraer do Larne, a stamtąd chyba pociągiem do Belfastu.

To może tam się spotkamy? Nigdy jeszcze nie byłem w Irlandii Północnej. Dla ciebie to nic nowego. Czerwone autobusy, czerwone skrzynki pocztowe... Zupełnie jak w Anglii.

-Jak w Szkocji - sprostowała. Nigdy jeszcze nie była w Anglii.

-A może powinna raczej pojechać pociągiem do Walii, a potem wsiąść na statek w Holyhead? Może taka trasa byłaby lepsza? Mogłaby wtedy zwiedzić Dun Laoghaire i chociaż część Dublina, a dopiero potem przyjechać pociągiem do Shancarrig.

-

Nie chcę, abyś kręciła się sama po Dublinie. Przyjadę po ciebie na przystań - zaproponował Eddie.

Nie zgodziła się na to; chciała samodzielnie odbyć podróż do Shancarrig. A Eddie miał czekać na nią na peronie.

Modlił się o dobrą pogodę na te dwa tygodnie, tak aby pomiędzy gałęziami w lesie Barna pobłyskiwały promienie słońca, a ich blask tańczył na falach rzeki Grane. I chociaż wiedział, że nie powinno się życzyć źle bliźnim, modlił się także, aby na czas pobytu Chris w Shancarrig Eileen Dunne znalazła się w szpitalu. I żeby Nessa Ryan nie zadzierała no-sa. I żeby zostawili go w spokoju Brian i Liam oraz ich ojciec, stary Dunne. Urlop to urlop.

Ale przede wszystkim miał nadzieję, że jego matka będzie miła dla Chris. Nigdy jeszcze nie gościli u siebie nikogo.

Eddie kupił farbę klejową, pomalował ściany i elementy drewniane w małym pokoju, który do tej pory nazywali kabiną. Matka zachowywała się podejrzanie spokojnie.

-Co to za dziewczyna? - zapytała jedynie.

-Pisujemy do siebie, i to bardzo często. Podoba mi się z listów i z rozmów przez telefon. Zaprosiłem ją tu, żeby... no, żebyś była tu nie tylko ze mną.

Odwróciła się szybko, aby nie ujrzał na jej twarzy wyrazu ulgi. Ale on zauważył to i tak.

S

-Uszyję zasłony do tego pokoju - powiedziała.

Boże, spraw, aby się polubili.

Na kolację przygotowali szynkę. Gotowaną szynkę z po-R

midorami i tort czekoladowy z czterema czekoladkami na wierzchu.

Matka uprzątnęła maszynę do szycia, tak aby dom wyglądał normalnie. W pokoju gościnnym wisały błękitne zasłony, tego samego koloru była narzuta na łóżko. Na pro-wizorycznie skleconej toalecie leżał błękitny obrus, a Eddie ustawił na niej bukietek własnoręcznie zebranych kwiatów.

Zbliżał się ten moment. Pociąg miał przyjechać o trzeciej.

Jeszcze cztery godziny. Trzy. Dwie. Już.

Na peronie stał Liam Dunne; czekał na paczki przesłane dla niego tym samym pociągiem.

Co ty tu robisz? - zapytał. - Nie wyjechałeś na urlop? Je-

śli nie masz nic do roboty, mógłbyś mi pomóc...

Jestem na urlopie, a tu przyszedłem powitać kogoś - odparł stanowczo Eddie.

Rozległ się przenikliwy gwizd i zza zakrętu wyłonił się pociąg. Wsiadła z niego dziewczyna.

Dźwigała dużą walizkę z małymi mocnymi narożnikami, miała na sobie czerwoną kurtkę i granatową spódnicę, na ramieniu granatową torbę, jej twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

Poczuł nagle lęk, aby nie pomyślała, że on to Liam Dunne.

Liam był wyższy od niego i na swój sposób przystojny. Eddie czuł się przy nim jak pękata baryłka. Zaprzagnął nagle wystrzelić w górę, urosnąć choćby trochę.

Ruszył ku niej i wtedy ujrzał jej but. Chris Taylor nosiła but na podwyższonej podeszwie. Czym prędzej Eddie przesunął wzrok wyżej, na jej uśmiechniętą twarz.

Liam rozmawiał właśnie z konduktorem, odbierał paczki z wagonu bagażowego. Ani on, ani nikt inny nie patrzył teraz na nich.

Eddie nie całował się jeszcze z nikim, jeśli nie liczyć drobnych przytulaneek podczas tańców. Objął Chris.

Witaj w Shancarrig - powiedział, a potem pocałował ją delikatnie. Przytuliła się do niego.

Nie powiedziałam ci o mojej nodze - szepnęła. Na jej twarzy malował się teraz lęk.

S

A co ci się stało w nogę? - Starał się nie patrzeć w dół.

Ciekawe, czy ona może normalnie chodzić? Czy nie powłóczy nogą? W głowie miał zamęt.

Nie chcę, abyś się nade mną litował - szepnęła.

R

Ja miałbym się litować? Chyba oszalałaś!

Mogę chodzić i w ogóle... Chętnie przejdę się potem po lesie Barna.

Sprawiała wrażenie bardzo młodej i bardzo zalęknionej.

Z pewnością bała się tego momentu od dawna, tak jak on się martwił, że jego opis Shancarrig wyda się jej przesadzo-ny w swoim entuzjzmie.

-Nie wiem, dlaczego to mówisz - próbował ją zapewnić, ale wiedział, że nie zabrzmiało to przekonywająco.

-Chodzi o moją nogę, Eddie. Jedna jest krótsza od drugiej, widzisz? Muszę nosić specjalny but.

Zorientował się, ile trudu kosztowało ją to wyznanie. Ileż to razy musiała się do niego przygotowywać! Starał się odnaleźć właściwe słowa.

Dopiero teraz spojrział otwarcie na czarny but z grubą podeszwą.

-Czy ta noga boli? - zapytał.

-Nie, oczywiście, że nie. Ale jak to wygląda...

Ujął jej obie dłonie w swoje.

-Chris, ty chyba naprawdę oszalałaś! Przecież to ja, Eddie! Twój najlepszy przyjaciel. Ten, który cię kocha! Naprawdę myślałaś, że to najważniejsze, aby obydwie nogi były tej samej długości?

Widocznie na takie właśnie słowa czekała, gdyż nagle wybuchnęła płaczem i objęła go ze wszystkich sił, jakby chcia-

ła przytrzymać go tak już na zawsze.

-Kocham cię, Eddie!

-Ja też cię kocham! Chodź, pójdziemy do domu. - Podniósł jej walizkę i ruszyli do wyjścia. Nieco dalej minęli Liama Dunne'a, który od kilku chwil nie spuszczał z nich wzroku.

-Nie zwracaj na niego uwagi - odezwał się, wskazując ruchem głowy Eddiego. - Ten facet to gruba beka. A w Shancarrig jest mnóstwo prawdziwych mężczyzn.

Obdarzyła go szerokim uśmiechem.

-Wcale w to nie wątpię. Właśnie odbyłam daleką drogę ze Szkocji, aby ich zobaczyć. - Ujęła Eddiego pod ramię i przy-

tuleni do siebie opuścili stację.

Eddie odniósł wrażenie, jakby urósł nagle o parę metrów.

-Kto to był? - szepnęła Chris.

-Liam Dunne. Ten... R

-Nic nie mów. Już wiem. To młodszy syn, ten, który przejmie sklep, kiedy Brian wyjedzie do Anglii, a jego ojciec umrze.

-Rzeczywiście, wiesz wszystko - zawołał z uznaniem.

-Jasne. Czuję się już tutaj jak w domu.

Idąc drogą i pokazując jej kolejno hotel Ryana, gdzie siedział tyle razy i czekał na jej telefony, kościół, skąd ojciec Gunn tak serdecznie machał do niego ręką, a następnie pu-by i sklep Nellie Dunne, czuł, że pod wieloma względami Chris rzeczywiście znalazła się w domu. Stała się naprawdę

centralnym elementem jego życia. I dobrze, że on prowadzi ją teraz do domu, do swojej matki.

Potem nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie, w jaki sposób i dlaczego Chris Taylor zamieszkała w Shancarrig. Zjawi-

ła się z dnia na dzień i natychmiast wtopiła, się w tutejszą społeczność, tak jakby tu właśnie było zawsze jej miejsce.

Kiedy ktoś pytał o nią panią Barton, dowiadywał się, że to wspinała dziewczyna i wielka pomoc dla niej jako krawcowej. Jej rękę widać zresztą na każdym kroku, wystarczy spojrzeć, jak czyści meble.

Natychmiast po przyjeździe Chris pochwaliła zasłony i narzutę w swoim pokoiku, wyrażając się z wielkim uznaniem o zdolnościach matki Eddiego.

O pracy wykonywanej przez matkę Eddie myślał zawsze tylko jak o jednym z wielu sposobów zarabiania na życie. Nigdy jakoś nie przyszło mu do głowy, że tego typu zajęcie mo-

że mieć charakter działalności artystycznej.

Dopiero Chris otworzyła mu oczy.

-Spójrz na układ tej tasiemki, zwróć uwagę na zestawie-nie kolorów... Trzeba nie lada talentu, żeby umieć szyć tak piękne rzeczy. Teraz już wiem, Eddie, po kim odziedziczyłeś swój zmysł artystyczny...

Matka aż poczerwieniała z zadowolenia. Tym razem nie było żadnych urągliwych uwag dotyczących ojca. Chris stała się świadkiem pierwszej w tym domu rzeczowej rozmowy na S

temat nieobecnego tu od dawna Teda Bartona.

-Wygląda na to, że był typem mężczyzny, który nigdy nie potrafi zaznać spokoju. Lepiej dla niego pod wieloma wzglę-

dami, że wyjechał.

R

I ku wielkiemu zdumieniu Eddiego matka przyznała jej rację. Rzeczywiście w domu następowały zmiany.

Chris stała się częścią Shancarrig.

Widywano ją, jak idzie do Dunne'ów, aby zobaczyć się z Eddiem lub przekazać mu jakąś wiadomość, widywano ją także w hotelu, gdzie zaprzyjaźniła się z Nessą Ryan. Nikomu jakoś nie przychodziło do głowy traktować ją z góry, tak jak dawniej niektórzy odnosili się do Eddiego Bartona. Z matką Nessy Chris omówiła sprawę mebli i tkanin. Hotel miał zostać rozbudowany i odnowiony, tak aby mogli się tu zatrzymywać nie tylko turyści, ale także podróżni przejeżdżający w interesach.

Właśnie z uwagi na tych ostatnich hotel nie mógł zachować dotychczasowego wyglądu. Chris najwidoczniej wiedziała, jak należy go urządzić: potrzebne będą lambrekiny, ładne lambrekiny, jakie widziała w amerykańskich magazynach dla pań - obszywa się sklejkę materiałem i zawiesza nad zasłonami. Oczywiście należy potem dobrać narzuty na łóżko w odpowiednim kolorze.

Nessa Ryan i jej matka słuchały tych rad rozgorączkowane z emocji.

-Jak się do tego zabierzemy? Może powinniśmy się skontaktować z kimś z Dublina? Kto by mógł to zrobić?

-My - odparła krótko Chris.

- My?

- Pani Barton i ja. Możemy przygotować na próbę najpierw jeden pokój.

Lambrekiny na drewnianej sklejce? I pani poradziłaby sobie z tym?

O drewno mógłby się postarać Eddie. Liam Dunne na pewno mu pomoże...

Pokój przygotowany na próbę okazał się wielkim sukcesem. Pani Ryan postanowiła urządzić w ten sposób cały hotel.

Wybrała już materiał, który pasował do suszków Eddiego, do

- jak określiła to Chris - jego śmiałych kompozycji z kwiatów zebranych w lesie Barna, w miejscu specjalnie wybranym przez miejscowego artystę.

Nie możesz mnie nazywać miejscowym artystą! - zaproS

testował Eddie.

-A nie jesteś miejscowy? Przecież mieszkasz tutaj, czyż nie? - odparła.

-Wszystko szło zgodnie z planem. Chris i matka Eddiego R

zgodziły się szyć lambrekiny, potrzebowały jednak kogoś, kto zająłby się wybieraniem odpowiedniego materiału, kogoś mającego oko do kolorów, kogoś, kto udowodnił już swój smak artystyczny własnymi kompozycjami zdobiącymi ścianę.

Uradowana i podekscytowana, Chris przedstawiła Eddiemu szczegóły planu.

Możesz zrezygnować z pracy u Dunne'ów. Będziemy prowadzić odtąd własny interes, wszyscy troje.

-Nie mogę zrezygnować z tej pracy... Muszę myśleć o sta-

łym zarobku, jeśli mamy się pobrać...

-I znowu to „jeśli”? Czyżbyś zmienił zdanie? Przyjecha-

łam tu i zamieszkałam w twoim domu, nie bacząc na swoją re-putację, a ty mówisz teraz „jeśli”?

-Chciałbym zadać ci pytanie, ale w sposób, w jaki powinno się to robić.

-Nie tutaj, Eddie, chodźmy na spacer do lasu.

Stojąc przy oknie, matka Eddiego odprowadzała wzrokiem ich oboje: utykającą trochę, silną dziewczynę ze Szkocji oraz własnego syna, przysadzystego, lecz odkąd zjawiała się Chris, jakby znacznie wyższego niż dawniej.

Nie wiedziała w ogóle nic o jej rodzinie; rodzinie, która pozwoliła swojej córce wyjechać do innego kraju i zdawała się nie przejmować jej losem.

Ona sama przestała już rozmyślać o przeszłości. Kiedyś żyła nią i czuła na sobie jej brzemię, ale teraz interesowała się jedynie przyszłością: oświadczynami, które za chwilę mia-

ły być przyjęte w lesie Barna, oraz nowym życiem, jakie czekało całą ich trójkę.

S

R

Doktor Jims

W Shancarrig dał się poznać początkowo jako doktor Blake, ale już po sześciu tygodniach ludzie zaczęli się zwracać do niego: doktor Jims. Oczywiście zawiniła tu Maisie. Maisie, która żadnego imienia nie potrafiła wymówić poprawnie, nawet tak prostego jak James. Miała poprosić doktora Jamesa do telefonu i w obecności pacjentów siedzących w poczekalni poinformowała, że „do telefonu jest proszony doktor Jims”. I tak już pozostało. James Blake był zbyt młody, aby ludzie, zwracając się do niego, używali całego tytułu - przynajmniej dopóki w Shancarrig królował jako lekarz wielki doktor Nolan.

Jims Blake przyzwyczał się już do tego, że ludzie, przychodząc do The Terrace, pytają o „prawdziwego doktora”, a kiedy wezwanie do chorego następowało w nocy i to on miał

udzielać pomocy, czuł, że nie cieszy się tu jeszcze pełnym i powszechnym zaufaniem. W takich momentach zwykł mawiać, że jedynie zastępuje właściwego lekarza, doktora No-S

lana, który zjawi się w bardziej stosownej porze.

Obaj tworzyli jednak doskonały zespół: doświadczony stary lekarz, który znał wszystkie tajemnice Shancarrig, oraz chudy, pełen zapału młody człowiek, syn drobnego farmera R

z okolicy. Stary doktor, który pijał wieczorami więcej brandy, niż było to dla niego wskazane, oraz ów młody lekarz, który do późna w nocy siedział nad dziennikami i sprawozdaniami, żyli ze sobą w

całkowitej zgodzie. Mieli Maisie, która świata nie widziała poza nimi dwoma i nie potrafiła się pogodzić z myślą, że ludzie, chorując, zawracają tylko głowę dwóm mężczyznom jej życia, wielkiemu doktorowi Nolanowi i bied-nemu młodemu doktorowi Jimsowi.

Doktor Nolan powtarzał stale, że Jims Blake powinien znaleźć sobie żonę, na co Maisie mówiła niezmiennie, iż jest jeszcze na to mnóstwo czasu.

Sprawy osiągnęły punkt przełomowy w 1940 roku, kiedy doktorowi Nolanowi stuknął siódmy krzyżyk, a doktor Jims ukończył trzydzieści lat. Okres był dość burzliwy. Niemal we wszystkich okolicznych domach szykował się poród. W The Glen przyszła na świat mała Leonora, w hotelu pierwsza cór-ka Ryanów, w uboższej części miasteczka urodził się kolejny Dunne, syna powiła także żona rwącego cugle Teda Bartona, powiększyła się również dziatwa Paudie Brennana.

Doktor Jims padał ze zmęczenia, gdy wracał do dużego domu w The Terrace - wysokiego budynku, stojącego z kil-koma innymi, które tworzyły razem zabudowę szeregową, frontem do hotelu. Te zabudowania i rząd sklepów stanowi-

ły centrum miasteczka o kształcie trójkąta. W pobliżu znajdował się przystanek autobusowy, a z okien widać było wszystko, co dzieje się w Shancarrig. Charakter pracy zmuszał Jimsa do przebywania nawet w najodleglejszych zakątkach okręgu, ale ośrodkiem jego życia pozostawała niezmiennie owa trójkątna przestrzeń, przyległa do miejsca, gdzie mieszkał.

Mimo iż on sam nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, taki tryb życia pozostawiał jednak trochę do życzenia, a najtrafniej ujął to w słowa doktor Nolan.

Nie pozwolę, abys popełnił ten sam błąd co ja - powiedział. - Lekarz powinien mieć żonę, możesz mi wierzyć.

W przeszłości mogłem się ożenić, wybór należał tylko do S

mnie. Byłem jednak za bardzo wygodny i niefrasobliwy, nie chciałem burzyć dotychczasowego porządku, wprowadzając w swoje życie kobietę. Wydawało mi się, że tak naprawdę nie potrzebuję żadnej.

R

I rzeczywiście nie potrzebowałeś - poparł go natychmiast doktor Jims. - Żyłeś przecież pełnią życia... czy znalazłoby się tam miejsce dla żony? Widziałem już wiele zanie-dbywanych żon lekarzy... A może warunkiem wykonywania naszego zawodu winien być obowiązek zachowania celibatu, jak w przypadku duchownych? Moglibyśmy poruszyć tę kwestię w Irlandzkim Stowarzyszeniu Lekarzy.

Nie żartuj sobie z tego, Jims. Ja mówię serio.

Ja też. Jak sobie wyobrażasz moje małżeństwo? Skąd miałbym wziąć na dom? Przecież nadal wysyłam część pensji rodzicom, wiesz o tym. Nawiasem mówiąc, będę musiał

trochę bardziej uważać, na kogo patrzę, bo rzeczywiście mógł-

bym w pewnym momencie dojść do przekonania, że jednak chciałbym mieć żonę.

A kogóż to chcesz omijać wzrokiem? - Stary doktor upił

łyk brandy i zajrzał głęboko w kieliszek, zamiast skierować wzrok na współnika.

-Nikogo konkretnego.

-A może Frances Fitzgerald?

-Och, dajże spokój! Cóż mógłbym jej zaoferować?

-Ale mówiąc to, czuł, że stary przejrzał go na wylot. Rzeczywiście niczego innego nie pragnął tak gorąco jak tego, aby je-o sprawy z Frances posunęły się do przodu, dalej niż gra w tenisa w obecności innych ludzi, dalej niż wieczorki towarzyskie w The Glen lub w hotelu Ryana.

Do tej pory sądził, iż zdołał ukryć swoje pragnienia przed otoczeniem.

Ale doktor Nolan ponownie odczytał jego myśli.

-Nikt się nie dowie, wszystko zostanie między nami - zapewnił swojego młodego przyjaciela. - A ty mógłbyś jej zaoferować połowę tego domu.

-Przecież to twój dom!

-Nie będę żył wiecznie. Aby uśmierzyć bóle brzucha, potrzebuję coraz więcej tego trunku. - Uniósł kieliszek brandy, aby zademonstrować, o czym mówi. S

-Bóle brzucha nie dokuczałyby ci tak bardzo, gdybyś pił

trochę mniej.

Och, przemawia przez ciebie pycha młodości... Przygo-tujemy dla ciebie dwa górne piętra. Dunne'owie mogą przyjść R

w poniedziałek, wtedy uzgodnimy, co mieliby zrobić. Frances na pewno będzie chciała mieć własną kuchnię... wątpię, czy-by się jej podobało, gdyby Maisie kręciła się stale obok niej i wtrącała do wszystkiego swoje trzy grosze.

-Charles, nie mogę przecież... Nie wiemy nawet, czy Frances interesuje się...

-Owszem, wiemy - przerwał mu doktor Nolan.

Jim nie czekał nawet, aż dotrze do niego sens tych słów.

-Ale ja nie będę w stanie utrzymać... - zaczął.

Grymas twarzy Charlesa Nolana wyrażał ból i gniew zarazem.

-Nie bądź takim pesymistą i nie rozczulaj się tak bardzo nad sobą... Nie mogę, nie stać mnie... Czy w taki właśnie sposób zdołałeś zostać lekarzem? Jak myślisz, Jims, dlaczego przyjąłem cię na wspólnika? Zastanów się nad tym. Z pewnością nie zrobiłem tego z uwagi na twoje koneksje z największymi bogaczami kraju lub w wyższych sferach. Nie.

Przyjąłem cię na wspólnika, bo uznałem, że jesteś typem wojownika, zawziętego wojownika. Ująłeś mnie swoją determinacją, uporem, z jakim parłeś na studia i imałeś się różnych dorywczych prac, aby zdobyć dodatkowe pieniądze, których rodzice nie mogli ci dać. I to właśnie musi cechować lekarza: nie może dawać za wygraną.

-A więc i teraz zdobędę dodatkowe pieniądze. Na opłacenie połowy tego domu. Będę więcej pracować.

-Chłopcze, przecież ty już teraz świata nie widzisz poza pracą. Oferuję ci jedynie to, co ci się należy...

I w ten sposób doktor Jims wprowadził się do górnej czę-

ści domu. Wszyscy uznali, że to rozsądne rozwiązanie, bo przecież rzeczywiście doktor Nolan nie będzie żył wiecznie.

Jedynie Maisie krzywiła się trochę - głównie jednak wtedy, gdy rozeszła się wieść, że doktor Jims zaleca się do panny Fitzgerald.

Bracia Dunne przychodzili regularnie, zastanawiali się, czy kuchnia ma wychodzić na fronton domu, czy też na jego tył. Byłoby dobrze móc widzieć z okna kuchni miasteczko, S

tak jak z górnych pięter The Terrace, skąd roztaczał się widok na całe Shancarrig. A tu, tradycyjnie, kuchnia znajdowa-

ła się na tyłach. Nie pochwalali tego.

Zanim jednak bracia Dunne przyjęli konkretny plan dzia-

ł

R

ania, ich praca okazała się zbędna. Doktor Charles Nolan zmarł na marskość wątroby, które to schorzenie lekceważył od paru lat. Na mocy testamentu cały dom stał się własnością doktora Jimsa.

Jeszcze przed śmiercią doktor Nolan przeprowadził ze swoim wspólnikiem doniosłą rozmowę na ten temat.

-Dobry z ciebie człowiek, Jims. Z pewnością dasz tu sobie wspaniałe radę, jeśli tylko zrozumiesz...

Po co ta pożegnalna mowa! Masz przed sobą jeszcze wiele lat pracy!

-Chciałem właśnie coś powiedzieć: a więc, jeśli tylko zrozumiesz, że są ludzie - wśród nich ja - którzy z zadowoleniem witają kres swego żywota i nie chcą słyszeć o tym, iż czeka ich jeszcze wiele lat cierpień...

Jims ścisnął mu dłoń - był to prosty gest solidarności, nie wymagający żadnych słów.

-I jeszcze coś - dodał doktor Nolan. - Czy przyrzekniesz mi, że założysz rodzinę, prawdziwą rodzinę, tak abyś nie musiał w przyszłości zostawiać wszystkiego jakiemuś chłystkowi, swojemu młodemu wspólnikowi, jak ja teraz?

-Nie możesz zostawiać mi całego domu! - zawołał doktor Jims, całkowicie oszołomiony.

-Miałem nadzieję, że nie zamieszkas w nim sam, lecz z Frances. Czy uczyniłeś jakiś istotny krok w tym kierunku?

-Tak. Mówiliśmy już nawet o ślubie... - Umilkł nagle, kiedy sobie uświadomił, że jego dobroczyńca nie będzie obecny na tej uroczystości.

-To dobrze. Bardzo dobrze... Czuję się teraz bardzo zmę-

czony. Odwieź mnie jutro do szpitala, Jims. Nie chcę umierać w domu, do którego wprowadzi się niebawem panna młoda.

-To przecież twój dom. Masz prawo umierać, gdzie chcesz!

- zawołał Jims.

Doktor Nolan uśmiechnął się.

-Lubię, kiedy mówisz z takim ogniem. A umierać chcę właśnie w szpitalu. Poproś tego młodego księdza, ojca Gunna, aby odwiedził mnie tam, a nie tu. Tylko by wystraszył

Maisie. I przysuń tę butelkę brandy, abym mógł sięgnąć po S
nią ręką.

Shancarrig nie potrzebowało wiele czasu, aby uznać doktora Jimsa za lekarza z prawdziwego zdarzenia. Wszystko się R

zmieniło. Ponieważ zabrakło starego doktora Nolana, które-mu powierzano dotychczas wszystkie miejscowe tajemnice, powiernikiem stał się doktor Jims. Był osobą godną zaufania, tym bardziej iż ożenił się z kobietą powszechnie szanowaną, jedną z Fitzgeraldów, właścicieli olbrzymiego młyna.

Małżeństwo było udane - tak postrzegali ich postronni.

Ale znali jedynie cząstkę prawdy. Nie wiedzieli nic o namiętności, głębokim uczuciu i wzajemnym zrozumieniu w tym związku. Frances, ze swoją poważną twarzą, którą jednak często rozjaśniał

uśmiech opromieniający w takich chwilach ją całą, okazała się tak wspianą żoną, że przerosła oczekiwania Jimsa.

Czasem stawała za nim i zarzucała mu ręce na szyję. Kiedy Maisie nie patrzyła, karmiła go ze swojego talerza. Gdy udawał się w nocy do chorego, Frances zostawiała mu często na poduszce kartkę z prośbą w rodzaju: „Obudź mnie, kiedy wrócisz. Chcę Cię przywitać jak należy”. Dzięki niej nabierał wiary w siebie, chodził lekkim, sprężystym krokiem i z uśmiechem w oczach.

Fakt, iż doktor Nolan przepisał na niego cały dom, sprawiał, że doktor Jims urósł jeszcze w oczach miejscowej spo-

łeczności. Skoro stary doktor cenił go aż do tego stopnia, to z pewnością miał ku temu powody. Najwidoczniej Jims jest dobrym człowiekiem... Chwilami Jims Blake odnosił nawet wrażenie, że nie zasłużył na aż tak powszechne przejawy sympatii i szacunku.

Odwiedzając swoich rodziców na ich małej, posępnej farmie i obserwując styl życia, na jaki byłby skazany, gdyby nie uparł się kiedyś studiować medycyny, czuł wyrzuty sumienia. Smuciło go, że oni mają tak niewiele, a pieniądze, które im dawał, wędrują natychmiast pod materac, zamiast przyczyniać się do poprawy ich życia.

Czasem usiłował się wyzalić przed Frances, ale ona wyciszała jego skrupuły: przecież robi dla rodziców wszystko, co tylko możliwe. Nikt nie robi więcej niż on.

Tłumaczyła mu także, że to oni oboje tworzą obecnie rodzinę - oni oboje i dziecko, które niebawem przyjdzie na S

wiat. Nie mają żadnych zobowiązań wobec tamtych państwa Blake'ów z małej podmokłej farmy ani wobec niedostępnych, zamkniętych w sobie Fitzgeraldów, dla których istnieją jedynie interesy. Oni tworzą teraz rodzinę samą w sobie.

R

I tak oto upływał im czas.

Jims wyobrażał sobie często, że duch starego doktora Nolana raduje się, słysząc, jak w The Terrace, w segmencie numer 3, rozbrzmiewa śmiech dzieci. Najpierw urodziła się Eileen, potem Sheila. Nie przyszedł jeszcze na świat syn i dziedzic, ale - jak mówiono - Bóg da im chłopca w odpowiednim czasie.

Jak dotąd, wszystkie próby powiększenia ich rodziny o chłopca kończyły się poronieniem.

Frances Blake była delikatną kobietą. Wysiłki, podejmowane przez nią w celu donoszenia ciąży do wymaganego momentu, odbijały się bardzo negatywnie na stanie jej zdrowia.

Jims zastanawiał się niejednokrotnie, co doradziłby stary doktor, gdyby miał do czynienia z rodziną o podobnym problemie. Niemal słyszał głos doktora Nolana:

„To sprawa między wami dwojgiem... Przecież Bóg tam, w górze, nie ma księgi z przepisami, które mówiłyby wam

«róbcie tak» albo «róbcie inaczej», albo «róbcie tyle razy»...

Bóg spodziewa się po prostu, że potraficie zrobić użytek ze swojej inteligencji..."

Następnie zacząłby wyjaśniać niektóre z podstawowych zasad dotyczących wyższego lub niższego stopnia płodności i z pewnością doradziłby szczerą rozmowę obojga małżonków.

Jim Blake nie potrafił jakoś zdobyć się na tego typu rozmowę z własną żoną.

Problem wydawał mu się tym bardziej skomplikowany, że darzył Frances gorącą miłością. Pragnął jej i zarazem chciał

ją oszczędzać. Trudno zaś pogodzić jedno z drugim. Podchodził z niesłychaną ostrożnością do jej okresów owulacji, starał się kochać z nią wtedy, kiedy prawdopodobieństwo po-częcia było znikome. Patrząc jej w oczy, zapewniał czule, że wystarczy mu dwie dziewczynki, nie muszą starać się jesz-

cze o syna. Nie chciał nadwerężyć jej delikatnego organizmu.

Niekiedy dostrzegał na jej twarzy smutek. Może lękała się, że on nie pragnie jej już tak gorąco jak niegdyś? A mo-

ż

R

e naprawdę chciała z całego serca dać mu syna? Nie wiedział tego. I nie potrafił pojąć, jak to możliwe, że pomiędzy dwojgiem ludzi, których łączy prawdziwe uczucie, istnieje jeszcze tak wiele obszarów niezrozumienia. A mimo to, kiedy tylko pragnął się do niej zbliżyć, reagowała tak ochoczo i gorliwie, że musiał wierzyć w zgodność ich pragnień.

W 1946 roku Frances ponownie zaszła w ciążę. Eileen i Sheila miały wtedy pięć lat i cztery: dwa aniołki, które siedziały grzecznie w swoich nocnych koszulkach i czerwonych flanelowych szlafroczkach, podczas gdy on czytał im bajeczki. Tym razem miał nadzieję, że urodzi im się syn.

W samym środku najsurowszej zimy, jaka kiedykolwiek nawiedziła Irlandię, Frances Blake urodziła wreszcie chłopca. A potem... zmarła. Umarła w domu, gdzie w każdym pokoju trzeszczały płomienie w kominku - w obecności nie tylko akuszerki z miejskiego szpitala, ale także męża, który ukończył wprawdzie dopiero trzydzieści siedem lat, ale odebrał już poród tysięcy dzieci.

Nie zdążyli się nawet zastanowić, jak nazwać syna. Nie byli pewni, czy dziecko przeżyje, nie wiedzieli też do końca, czy na pewno będzie to chłopczyk.

Na wieść o narodzinach i śmierci zjawił się natychmiast ojciec Gunn. Zapytał, czy dziecko nie jest za

bardzo osłabione i czy nie będą potrzebne przyśpieszone chrzciny.

Myślę, że jest wystarczająco silne. - Głos Jimsa Blake'a brzmiał głucho.

Dobrze więc, zostawmy to na razie. Ale ceremonia chrztu wniesie do tego domu trochę słońca. - Ojciec Gunn był optymistą. Usiłował dostrzec choćby drobne światełko w tym pozornie bezkresnym tunelu wyjątkowo bezwzględnej zimy. Od jakiegoś czasu odbywało się tu więcej pogrzebów niż ceremonii chrztu.

Może faktycznie dzięki ojcu byłoby łatwiej znieść to wszystko. - Błada twarz młodego lekarza wyrażała bolesne napięcie.

Ale jeszcze nie teraz, Jims. Odczekajmy trochę. Trzeba dać dziecku trochę czasu, znaleźć mu rodziców chrzestnych.

S

Proszę obmyślić dla niego imię, umożliwić mu normalne życie. Frances by tego chciała.

-Nie wiadomo, czy przeżyje. Zróbmy to natychmiast.

Coś w twarzy Jimsa Blake'a powiedziało księdzu, że nie po-R

winien go słuchać. Nie mógł jednak zamykać wrót niebios przed tą niewinną duszyczką.

Nadal miał na sobie stułę.

Na dole czeka Bill Hayes. Mógłby być ojcem chrzestnym. Ale co z matką chrzestną?

-Będzie nią Maisie...

-Ale może chłopiec wolałby potem...

-To nieważne, co chłopiec wolałby potem. Zaczynamy czy nie?

Ojciec Gunn wypowiedział stosowne słowa, polewając wodą święconą główkę Declana Blake'a. Zapytał przedtem o imię chłopca.

-Declan - odparł Jims Blake.

Maisie, z twarzą zaczerwienioną od płaczu, ochrypłym z powodu przeziębienia głosem złożyła wraz z miejscowym adwokatem, Billem Hayesem, śluby: oboje będą troszczyć się ze wszystkich sił o szczęście duchowe tego dziecka.

Bill Hayes miał dzieci w tym samym wieku co dzieci Jimsa, włączając nawet córeczkę, którą jego żona wydała po-myślnie na świat cztery tygodnie wcześniej.

Wybitnie elokwentny w kwestiach dotyczących prawa, Bill nie potrafił teraz znaleźć stosownych słów, aby wyrazić swoje głębokie współczucie.

Gdybyś był człowiekiem pijącym, Jims, spiłbym cię -
powiedział wreszcie.

Ale ty nie jesteś pijakiem, Bill.

Zgodziłbym się nim zostać, gdybym wiedział, że pomogę ci w ten sposób.

Doktor Jims pokręcił głową.

W przeszłości widywał zbyt wielu ludzi, którzy daremnie usiłowali znaleźć pociechę w alkoholu.

-Może posiedzieć z tobą przy kominku?

Biedny Bill naprawdę nie potrafił teraz przeprowadzić takiej ciepłej, kojącej rozmowy, jaka była już rutyną w jego biurze, gdzie dodawał otuchy klientom. Tym razem nie wieS
dział, jakich użyć słów.

Nie, idź już do domu, Bill, proszę cię. Posiedzę tu sam.

Niedługo przyjedzie lekarz z miasta. Zostanie na noc... na wypadek, gdyby wezwano mnie do
jakiegoś chorego. Wtedy po-R

jedzie tam za mnie. Ja byłbym dziś i tak do niczego.

Czy Frances wiedziała, że urodziła syna? - zapytał Bill.

Był pewien, że zapyta go o to żona; w przeciwnym razie nie za-dałby teraz takiego pytanie.

Nie. Nie wiedziała o niczym.

No cóż... Na pewno będziesz z niego dumny.

Jims starał się zebrać myśli. Oto pod dachem tego domu będzie odtąd wychowywać się jego syn, tak
jak do tej pory wychowywały się obie córeczki. Chłopczyk, którego trzeba karmić butelką, który
będzie płakać nocami i wymachiwać piąstkami, który będzie się także uśmiechać i usiądzie na łó-
żeczku w kolorowym szlafrocisku, czekając na bajkę.

Wyobrażenia podsunęła mu natychmiast szereg innych scen. Oto mały chłopiec kroczy drogą do szkoły,
dźwigając tornister. A tu, z łyżwami przewieszonymi przez ramię, wybiera się na mecz hokejowy...
Jimsa ogarnął lęk. Czy aby na pewno sprosta tak dużej odpowiedzialności?

Poczuł się nagle bardzo samotny. Już nigdy nie będzie przy nim Frances, tak dumnej z córeczek w

małutkich błękit-nych płaszczykach, kiedy szli do kościoła na mszę. Nie bę-

dzie już nigdy Frances, z którą tak bardzo lubił rozmawiać wieczorami. Teraz leży zimna jak lód. Jutro zabiorą ją do ko-

ścioła, a potem kondukt pogrzebowy wyruszy na cmentarz.

Na pogrzeb przyjadą jego rodzice, siostry i brat, zaczną odmawiać różańce, szeptać coś do siebie. Ale jemu nikt już nie pomoże.

Zjawią się też Fitzgeraldowie; ich kobiety w kapeluszach popatrzą z góry na kobiety Blake'ów okutane chustami. Rozmowa nie będzie się kleiła; taka typowa sztywna atmosfera...

Nikomu z nich nie przyjdzie do głowy, że on czuje się odpowiedzialny za tę strasliwą śmierć żony. Może, gdyby poczę-

cie nastąpiło w innym momencie... może w takim przypadku Frances byłaby dziś żywa i zdrowa....

Odprowadził do drzwi Billa Hayesa, który wyszedł jakby z ulgą, sam zaś wrócił przed kominek i począł przywoływać S

pozytywne strony swego życia - zgodnie z tym, co sam doradzał zwykle pacjentom.

A więc, przede wszystkim udane małżeństwo z Frances.

Siedem lat szczęścia. Siedem lat namiętności, wielkiej przyR

jaźni, nadziei.

Poza tym córeczki, a także ładny dom odziedziczony po dobrym, miłym współniku. I pomyślna praktyka lekarska.

Za pozytywne strony życia uznał też odejście od rodziny i usa-modzielnienie się oraz dobry stan zdrowia. Nie uwzględnił

natomiast w tej wyliczance własnego synka, dziecka, które kończyło dopiero pierwszy dzień swego życia.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że jest to najposeępniejszy pogrzeb, w jakim przyszło im brać udział. O mury kościoła bębnił deszcz, tu i ówdzie leżały jeszcze grudki starego śnie-gu, które utrudniały dojście na cmentarz, twarze chłostał lodowaty wiatr ze wschodu.

Jim nalegał, aby po mszy dziewczynki odprowadzono do domu. Ściskając zziębnięte dłonie tym, którzy składali mu kondolencje - a u wielu z nich dostrzegał już objawy przezię-

bienia lub grypy - błagał, aby nie szli na cmentarz.

- Czy nie dość nieszczęścia? - pytał. - Jeszcze się nabawi-cie zapalenia płuc!

Ale mieszkańcy Shancarrig byli zdania, że uczestnictwo w kondukcje żałobnym to ich święty obowiązek i wyraz szacunku wobec zmarłej. Stali więc cierpliwie, a wiatr rozwiewał palta grabarzy i porywał kwiaty złożone na grobie, zmuszając je do upiornego, makabrycznego tańca wokół nagrobków.

Po powrocie do The Terrace pytali go przyciszonym głosem, jak sobie teraz poradzi. Co zamierza? Śmierć Frances to przecież nie tylko utrata żony, lecz także osoby, która zajmowała się całym domem. No i ten obowiązek: trójka małych dzieci!

Każdorazowo, gdy ktoś wspominał o trójce dzieci, Jims przeżywał prawdziwy szok.

Cały czas miał przed oczyma drobne twarzyczki Eileen i Sheili. Zapominał stale o chłopczyku!

To nie jest normalne, powtarzał sobie w duchu, a potem, S

podczas gdy goście pili na parterze sherry i opróżniali talerze z kanapkami, wszedł ciężkim krokiem na górę, aby spojrzeć na synka.

Chłopczyk spał smacznie.

R

Malutki i czerwony jak wszystkie noworodki, zdawał się to-nać pod pościelą, drobne piąstki z mikroskopijnymi pazno-kietkami spoczywały na poduszce. Czyżby wyobraźnia pła-tała figle, czy rzeczywiście to maleństwo sprawia wrażenie bardziej bezbronnego i samotnego niż inne dzieci? Tak jakby wiedziało, że od pierwszej chwili swojego pobytu na tym świecie jest pozbawione matki.

-Zrobię dla ciebie wszystko, co będzie możliwe - obiecał

na głos Jims. Słowa zabrzmiały dość oficjalnie, a jemu się wydało, jakby nie on je wypowiedział, jakby była to umowa pomiędzy ludźmi sobie obcymi, a nie między ojcem i synem.

Nie słyszał nawet, że ktoś wszedł do pokoju. Dopiero, kiedy się odwrócił, ujrzał młodą Norę Kelly. Była dyrektorką szkoły, którą prowadziła wraz z mężem.

Mogę go podnieść? - zapytała szeptem, jakby znajdowała się przy łóżku chorego.

Oczywiście, Noro.

Ujrzał, jak ta kobieta, która gorąco pragnie mieć własne dziecko, unosi noworodka i tuli do piersi.

Nie mówiła nic, krążyła jedynie po pokoju tam i z powrotem.

Zachowywała się tak, jakby od dawna miała do czynienia z małymi dziećmi. Obejmowała maleństwo

pewnie, z prawdziwym uczuciem. Nikt prócz Jimsa Blake'a nie mógł wiedzieć, ile musiała przejść badań, aby dowiedzieć się, dlaczego nie może zajść w ciążę.

Jak zahipnotyzowany patrzył na nią, kiedy kręciła się to w jedną stronę, to w drugą, nucąc coś cicho nad główką dziecka.

Nie wiedział nawet, ile spędzili tu czasu - lekarz, nauczycielka i dziecko. Czuł jedynie narastające w nim pragnienie: oddać syna. Korciło go, aby podejść do Nory i zaproponować jej: „Weź go do domu, przecież nie masz dziecka i nigdy nie będziesz miała. A ja nie chcę syna, który zabił Frances... Zabierz go i traktuj jak swoje”.

Tak by właśnie postąpiono w bardziej cywilizowanej społeczności. Dlaczego fakt, że ktoś tak rozpaczliwie pragnący S

dziecka został obdarzony maleństwem nie chcianym gdzie indziej, musiałby wywołać skandal w Shancarrig, a nawet zostać uznany za wykroczenie przeciw obowiązującemu tu prawu?

Po chwili jednak wziął się w garść.

R

-Noro, zejdem na dół. Możesz zostać tu trochę, jeśli chcesz.

-Nie, lepiej będzie, jeśli i ja dołączę do innych.

Domyślał się, że przyszło jej do głowy to samo co jemu, ale

- podobnie jak on - postanowiła odrzucić to rozwiązanie.

Właśnie przy tego typu uroczystościach pani Kennedy, po-sępna, stale chodząca w żałobie gospodyni ojca Gunna, czuła się jak ryba w wodzie. Niemal niepostrzeżenie wśliznęła się do pogrążonego w smutku domu, gdzie z zapalem pomagała na każdym kroku, pełna dobrych rad. Jak zwykle w takich przypadkach, miała w pogotowiu zapas śnieżnobiałych obrusów, błyskawicznie potrafiła też ustalić, co będzie potrzebne, aby należycie ugościć tych, którzy przyjdą składać kondolencje.

Tak samo szybko przesłała następnie zamówienie do sąsiadującego z The Terrace hotelu, prosząc o dodatkowe filiżanki, szklanki i talerze, czemu Maisie przysłuchiwała się przerażona, załamując ręce. Pani Kennedy pracowała dla kleru od tak dawna, że cieszyła się powszechnym poważaniem.

Nigdy nie ingerowała; po prostu przejmowała dowództwo.

Maisie nie miałyby pojęcia, że do kanapek trzeba podać gorącą zupę ani że należy przygotować osobny pokój na płaszcze i parasole gości. Pani Kennedy zdołała wpoić wszystkim przekonanie, że w tak smutnych okolicznościach jak dziś ona stanowi głos porządku i ładu. A mieszkańcy Shancarrig, za-równo ci zamożni, jak i ubożsi, pogodzili się z tym. Odczuwali nawet ulgę, że ktoś zdejmuje z nich obowiązek myślenia.

Jim Blake witał gości, przyjmował kondolencje, napełniał

kieliszki, pytał o zdrowie, ale robił to machinalnie, nieobecny duchem. Zastanawiał się, jak ma teraz postąpić i co go czeka.

Nie pozwoli, aby w domu zamieszkały jego niezamężne siostry

- i musi to wyjaśnić jednoznacznie w odpowiednim momencie, zanim jeszcze z ich strony padnie propozycja. Nie chciał też, aby wprowadził się tu ktokolwiek z Fitzgeraldów, chociaż nie sądził, aby oni w ogóle rozważali taką ewentualność.

Maisie nie będzie umiała zająć się dzieckiem. A zatrudnić kogoś do stałej opieki, jakąś kobietę, która by tu zamiesz-

kała... nie, to by było zbyt kosztowne! Cóż więc ma zrobić?

Jak zwykle w podobnych sytuacjach, zapytał siebie w duchu, co na jego miejscu uczyniłby Charles Nolan. I znowu wydało mu się, że słyszy grzmiący głos współnika: „Czyżby R

mało było u nas młodych dziewcząt, które aż się palą, żeby uniezależnić się od rodziców? Każda z nich wychowywała z pewnością całą czeredę braciszków i siostrzyczek. Nie wątpię, że potrafiłaby także zająć się małym dzieckiem”.

Poczuł się trochę lepiej, zdołał się nawet uśmiechnąć do Foxy'ego Dunne'a, najzuchwalszego członka klanu Dunne'ów

-rudowłosego chłopca w wystrzępionych spodniach, który przyszedł złożyć kondolencje.

Bardzo mi przykro z powodu nieszczęścia, jakie pana spotkało - powiedział Foxy, stojąc na zimnie przed drzwiami segmentu numer 3 w The Terrace.

Dziękuję, Foxy. To miłe, że przyszedłeś.

Chłopiec już nie patrzył na niego; jego wzrok kierował

się do salonu, na stół zastawiony jedzeniem i butelkami z so-kiem pomarańczowym.

No... to ja sobie... - zaczął niezdecydowanie.

A może wejdiesz i... dołączysz do gości? Oni też przyszli z kondolencjami.

To bardzo uprzejme z pana strony, sir - odparł Foxy i w mgnieniu oka znalazł się przy stole.

Maisie spojrzała na niego z wyraźną dezaprobatą i zrobi-

ła minę, jakby zamierzała go wyprosić, a pani Kennedy zmarszczyła brwi.

Ale doktor Jims pokręcił głową.

-Pan Dunne przyszedł, aby złączyć się z nami w smutku, Maisie. Pani Kennedy, proszę mu podać porcję ciasta.

Przez miesiąc miała przebywać w domu wynajęta pielę-

gniarka, a doktor Jims w tym czasie rozglądał się za kimś, kto mógłby się zająć wychowaniem jego syna. Poszukiwania nie trwały długo.

Wybór Blake'a padł na Carrie, masywną, ciemnowłosą dziewczynę w wieku dwudziestu czterech lat, która mieszka-

ła w domku na stoku wzgórza i miała już dość życia polegającego głównie na gotowaniu dla sześciu wygodnickich braci. W przeszłości bywał u nich kilkakrotnie, głównie, aby opatrzyć im obrażenia, jakich doznawali czasem, obchodząc S

się niezbyt ostrożnie ze sprzętem rolniczym. Z dziewczyną nie rozmawiał podczas tych wizyt, ale za którymś razem, gdy wezwano go, aby zszyl ich ojcu głowę po kolejnej przygodzie z jedną z maszyn, pomyślał, że Carrie zapewne byłaby urado-R

wana perspektywą zamieszkania w lepszym miejscu.

Przedstawił jej swoją ofertę, kiedy odprowadziła go do furtki.

Dlaczego akurat ja, doktorze? Nie nadaję się do takiego domu jak pański.

Ależ tak. Mogłabyś się zajmować dzieckiem. Przecież matkujesz im wszystkim. - Ruchem głowy wskazał na chatę, w której od śmierci matki Carrie troszczyła się o swoich braci, starszych i młodszych.

Nie prezentuję się jak należy!

Prezentujesz się wystarczająco dobrze. Ale... masz tu parę funtów, na wypadek gdybyś chciała sobie kupić jakieś ubranie na drogę.

Trudno było załatwić to z większym taktem. Jims wiedział

doskonale, że sama przeprowadzka nie stanowi dla niej większego problemu; dzięki tym paru funtom będzie jednak mogła kupić sobie jakąś porządniejszą odzież.

Maisie skrzywiła się na wieść o nowej lokatorce, ale nie narzekała zbyt głośno. Przecież ten biedny doktor jest jeszcze w żałobie i nie wolno go denerwować. A zresztą ustalono od samego początku, że Carrie także pomoże Maisie prowadzić dom; nie będzie mowy o śniadaniu na tacy, jak dla tej dziwacznej pielęgniarki.

Declan Blake miał dziesięć dni, kiedy Carrie wzięła go na ręce.

-Jest trochę podobny do mojego - szepnęła.

-Ty też masz dziecko? - Świat był jednak pełen niespodzianek: doktor Jims nie miał nawet pojęcia, że Carrie była kiedykolwiek w ciąży.

W Dublinie. Musiałam go oddać, to dla jego dobra. Ma teraz trzy lata.

Wierzę, że byłoby ci trudno wychować go samej. - Mówił

jak zwykle łagodnym, życzliwym tonem, ale słowa pochodzi-

ły naprawdę z głębi serca. Ta gamoniowata nieco dziewczyna nie uważałaby, iż oddanie w obce ręce małego chłopczyka S

było dla niego dobrodziejstwem, gdyby nie miała autentycznie ciężkiego życia.

Zajmę się tym maleństwem tak troskliwie, jak tylko potrafię, doktorze Jims - zapewniła Carrie, on zaś przypomniał

R

sobie własną obietnicę złożoną synkowi. Zresztą wszyscy dokoła przyrzekali to samo, tak jakby dziecku groził brak opieki.

Kiedy nadeszło lato, doktor Jims wziął obie córki za ręce i poszedł z nimi do szkoły. Tam zaprowadził je do każdej z trzech klas, pokazał globus i mapę świata, jak również ka-

łamarze wpuszczone w ławki, po czym zapowiedział, że niebawem też one umoczą tu swoje pióra i będą odrabiać ćwiczenia. W skupieniu oglądały tablice z wypisanymi na nich literami alfabetu irlandzkiego.

Po ukończeniu tej szkoły będziecie znały porządnie język irlandzki - zapewnił je ojciec.

A z kim będziemy rozmawiać po irlandzku? - zapytała Eileen.

W drzwiach stanęła właśnie pani Kelly. Na jej twarzy widniał rzadko goszczący tam uśmiech.

-Dobre pytanie - zauważyła.

Niedawno doktor Jims wysłał ją do Dublina na kolejne badania, ale ich wyniki nie wniosły nic nowego. Nadal nie potrafią ustalić, dlaczego państwo Kelly nie mogą mieć dzieci. Teraz doktor Jims przypomniał sobie, jak owego dnia, kiedy zorganizował w The Terrace przyjęcie żałobne, odczuł dziwne pragnienie, aby oddać swojego synka pani Kelly. Wiedział, jak bliski był wtedy złożenia jej tej niesamowitej oferty.

Odniósł wrażenie, jakby i ona rozmyślała w tym momencie o tamtym dniu.

- Jak się miewa Declan? - zapytała dziewczynki. - Jeszcze trochę i również jego przyprowadzicie do szkoły.

-Och, to by nie miało sensu. On w ogóle nie mówi - odparła Eileen.

-I jeszcze by zmoczył podłogę - dodała przezornie Sheila, na wypadek gdyby rzeczywiście ktoś wpadł na pomysł wpisa-nia Declana już dzisiaj na listę uczniów.

Och, oczywiście, że nie teraz. Przecież on skończy w pią-

tek dopiero dziesięć tygodni. Wy obie też nie byłyście inne w tym wieku. - Powiedziała to surowym tonem nauczycielki, a Eileen i Sheila skuliły się onieśmiałe.

S

Jims Blake uświadomił sobie, że Nora Kelly pamięta dokładnie datę urodzin jego syna, którego zamierzał jej kiedyś oddać.

-On sam, mając określić dzień przyjścia Declana na świat, R

musiałby najpierw policzyć, ile upłynęło czasu od owego kwietniowego wieczoru, kiedy zmarła Frances.

-Chodźmy już, nie przeszkadzajmy dłużej pani Kelly. - Łagodnie, lecz stanowczo począł wyprowadzać córki ze szkoły.

-Na pewno nie możesz się już doczekać, kiedy będziesz znowu ze swoim synem - powiedziała Nora.

-Tak, tak, oczywiście - odparł. Ale jego głos zabrzmiał

falszywie i doktor Jims zdawał sobie z tego sprawę.

Zamykając za sobą furtkę szkolną, zastanawiał się, czy nie jest to nienaturalne, że nie śpieszy się do domu, aby spojrzeć na śpiące dziecko. Ale nie, chyba nie. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Przecież kiedy Eileen i Sheila były malutkie, nie widywał ich całymi godzinami. Może tak właśnie wygląda postawa typowa dla mężczyzn?

I nie powinien rozpamiętywać zbyt intensywnie tamtego drażliwego momentu w dniu pogrzebu żony. To jasne, że tak naprawdę nie myślał wcale o oddaniu dziecka, przy którego porodzie zmarła Frances. Obarczanie Declana winą za to, co się stało, byłoby niemądre.

Jego uczucia wobec syna były zupełnie normalne, a zatrudnienie Carrie okazało się trafnym krokiem. Dziewczyna miała wrodzony instynkt macierzyński, zdawała się też rozumieć wymagania swego chlebodawcy: dziecko ma nie przeszkadzać w domu, tak jakby go tu nie było.

Dziewczynki przychodziły co wieczór do pokoju dzieciennego, aby pobawić się z braciszkiem lub wysłuchać kolejnych opowieści Carrie o jej dzikich braciach i wypadkach, jakim ulegali podczas prac na farmie. Nie powiedziała im jednak ani jednego słowa o swoim dziecku urodzonym w Dublinie i oddanym w obce ręce. Zamiast niego miała teraz Declana, którego bujała w ramionach, rozmawiając z dziewczynkami.

Jim wpadał czasem do pokoju dzieciennego, ale niezbyt często i niecodziennie.

Wiedział, że pani Kelly uznałaby taką postawę za niepojętą.

S

Tego wieczoru wszedł do pokoju Declana.

Carrie siedziała przy stoliku nad pogniecionymi kartkami papieru, z piórem w ręku.

Nigdy nie byłam dobra w pisaniu, panie doktorze - przyR

znała.

Każdy z nas jest dobry w czymś innym. Jeśli chodzi o ciebie, znakomicie radzisz sobie z dziećmi.

To nic trudnego kochać takie maleństwo - odparła.

-To prawda.

Coś w jego głosie kazało jej podnieść na niego wzrok.

-W pana przypadku to zupełnie inna sprawa... Chodzi mi o to, że... jest pan mężczyzną i w ogóle... Już samo to, że przy porodzie zmarła panu żona...

-Nie winię go za to. - Mówił teraz szczerze. Za śmierć Frances Jims obwinał siebie samego, nie syna.

-Jeszcze go pan pokocha. Najpóźniej wtedy, kiedy zacznie mówić „tata” i czepiać się pańskich nóg. To najśłodszy okres w życiu dziecka.

Może myśli teraz także o swoich braciach, przyszło mu do głowy. Bo przecież nie widziała, jak dorastało jej własne dziecko.

Zmienił temat.

-

Mógłbym ci pomóc z tym listem... chyba, że to sprawy osobiste...

Spojrzała na niego zaskoczona. Pod wieloma względami doktor Jims miał status podobny tu do

statusu ojca Gunna: znał wiele miejscowych sekretów i był człowiekiem, któremu można się było zwierzyć.

Okazało się, że brat Carrie odsiaduje karę więzienia. Nikt z rodziny nie utrzymywał z nim kontaktu listowego, ona natomiast pragnęła, aby wiedział, że nie zapomnieli o nim i że po wyjściu na wolność ma dokąd wracać.

Doktor Jims usiadł przy stoliku i zaczął pisać.

Pisał do chłopca, któremu parę lat wcześniej zszywał głowę, tak jakby list pochodził od Carrie. Opowiadał o zmianach na farmie, o nowej stodole, o nowej ciężarówce Jacky'ego Noone, o zamążpójściu Cissy, o tym, jak cudownie Shancarrig wygląda w promieniach letniego słońca, jak również, że wszystko czeka na jego powrót do domu.

S

Carrie łamiącym się głosem przeczytała list na głos, a do oczu napłynęły jej łzy.

Jest pan takim dobrym człowiekiem, doktorze! Skąd pan wiedział, o czym naprawdę chcę napisać? Ja sama nie R

zdawałam sobie z tego sprawy...

Proszę, oto gotowy list. Zostawiam ci w prezencie swoje pióro. - Wstał, kiedy Declan zapłakał, po czym ruszył ku wyj-

ściu, nie patrząc nawet na syna. - Przepisz to na czysto, Carrie. Nie wysyłaj bratu listu napisanego moim charakterem pisma.

Wzięła dziecko na ręce i przez parę długich chwil odprowadzała doktora Jimsa spojrzeniem, które wyrażało bezgraniczne zdumienie. Żeby człowiek tak miły i uprzejmy, człowiek, któremu nie szkoda było czasu, aby napisać list do jej brata siedzącego w więzieniu, nie zdobył się na to, aby choć na moment podnieść własnego, zaledwie dziesięcioletniego synka!

Kiedy Declan Blake kończył trzy lata, Carrie upiekła dla niego tort z trzema świeczkami i zorganizowała w jego pokoju niewielkie przyjęcie. Specjalnie na tę okazję Maisie przyrządziła pyszne babeczki, a Eileen i Sheila obdarowały małego solenizanta słodyczami. Zanim Declan zdmuchnął

świeczki, wszyscy obecni odśpiewali na jego cześć „Sto lat!”

Jims Blake spoglądał na drobną, zarumienioną z emocji twarz syna, na jego zadarty nos, lśniące włosy, umyte dziś szczególnie starannie, na jego nowy żółty sweterek, który Carrie kupiła w mieście. Otrzymywała od niego pieniądze na ubrania dla dzieci, tak jak Maisie pieniądze na żywność.

Obie kobiety radziły sobie znakomicie z prowadzeniem domu.

Kiedy śpiew dobiegł końca, doktor Jims odniósł wrażenie, jakby wszyscy spojłali na niego z oczekiwaniem.

Ułynęło dopiero dziesięć lat, odkąd Charles Nolan zaczął go zachęcać do ożenku. Dziesięć lat spotykania się z pa-cjentami, wysłuchiwanie ich zwierzeń o kłopotach, dolegliwo-

ściach i nadziejach, tych płonnych i realnych. A jakie są jego nadzieje? Nigdy nie starczało mu czasu, aby się nad tym zastanowić.

Jak zwykle, zapytał w duchu Charlesa Nolana o radę, co robić - i, jak zwykle, usłyszał podpowiedz...

-Zaśpiewajmy jeszcze jedną pieśń urodzinową - zapro-

ponował.

Ich oczy pojaśniały, twarz Carrie zlagodniała, dziewczęta zaintonowały pieśń zgodnym chórem, a Declan, uszczęśliwiony, że znalazł się ponownie w centrum uwagi, zaczął klaskać R

w dłonie. Jims Blake uświadomił sobie, że długo zachowa ten moment w swojej pamięci.

Dzień rozpoczęcia szkoły przez Declana nadszedł szybciej, niż jego ojciec się spodziewał.

-To na pewno wspaniała chwila, doktorze, widzieć, jak własny syn wybiera się z tornistrem do szkoły - powiedziała Carrie z samego rana.

Jims Blake spojrział na syna.

-Rzeczywiście, to wspaniały dzień, prawda, Declan?

Chłopiec spojrział na niego poważnie, jakby miał przed sobą kogoś obcego.

-Tak, istotnie. - Powiedział to przyciszonym głosem i czym prędzej schował się za Carrie.

Zapewne wszyscy chłopcy w tym wieku zachowują się tak nieśmiało wobec swoich ojców, pocieszał się w duchu doktor Jims. Stojąc przy oknie, odprowadzał wzrokiem syna, który niepewnym krokiem szedł w stronę szkoły.

Postanowił zapytać potem syna, jak mu przeszedł dzień, ale gdy Declan wrócił do domu, on przebywał akurat u chorego i także następnego ranka nie znalazł czasu na rozmowę. Dopiero tydzień później dowiedział się, że fakt, iż Carrie odprowadza chłopca do szkoły, stwarza pewien problem.

Inne dzieci naśmiewają się z niego, nazywają go mamin-synkiem - wyjaśniła Carrie.

Ma przecież dopiero pięć lat, jest za mały, aby odbywać tę drogę samemu - zaproponował doktor Jims.

Ale inne dzieci chodzą do szkoły same, na przykład chłopcy od Dunne'ów...

Ci Dunne'owie to nie dzieci, przypominają raczej małpy.

Już w wieku dwóch lat wspinali się po drzewach!

Wydawał się dotknięty samym porównaniem jego syna z dziećmi Dunne'ów.

Ale to okropne, że inni się z niego śmieją. Może powinien chodzić do szkoły z siostrami...?

Dziewczynki nie chcą, aby Declan włóczył się z nimi, mają swoje towarzystwo...

S

Carrie spojrzała na niego z tak zawiedzioną miną, że Blake poczuł natychmiast, jak ogarnia go litość nad sobą samym. Dlaczego wszyscy uważają zawsze, iż postępuje niewłaściwie? Do tej pory był przekonany, że robi dobrze, nie R

obarczając Eileen i Sheili opieką nad młodszym braciszkiem, a teraz miałoby się okazać, iż był to z jego strony błąd?

Jego słów nie kwestionował dotąd żaden z pacjentów.

Wszyscy zażywali tabletki i inne leki zgodnie z jego zaleceniami, zmieniali kompresy i posłusznie udawali się na badania, jeśli uznawał to za potrzebne.

Tylko tu, we własnym domu, jego postępowanie spotykało się z dezaprobatą.

Nieco później, kiedy jak zwykle pomógł Carrie napisać list, spojrzała na niego zatroskana.

-Panie doktorze, jest pan bardzo dobrym człowiekiem.

-Dlaczego to mówisz?

-Jest pan wobec mnie wyrozumiały, pomaga mi cierpliwie, kiedy piszę listy... Nie nazywa mnie pan ciemną...

-Bo wcale nie jesteś ciemna.

-Może zamiast poświęcać mi tyle czasu, powinien pan raczej przećwiczyć kaligrafię z Declanem.

-Kaligrafię?

-Tak, tak jak ich uczą w szkole.

-Nie chcę wchodzić w paradę pani Kelly.

Przejrzał jednak potem zeszyt syna, po czym zapytał:

-Takie wężyki każą wam pisać na ćwiczeniach z kaligrafii?

-Tak, tato.

-Dobrze, że się starasz. Tylko tak dalej. - Odniósł nagle wrażenie, że powinien był powiedzieć coś innego.

Od czasu kiedy z okazji trzeciej rocznicy urodzin Declana zaproponował odśpiewanie pieśni okolicznościowej, nie był

chyba ani razu przekonany, że powiedział coś właściwego.

Eileen i Sheila od dawna pytały o pacjentów ojca, nawet wtedy, gdy były małe.

Czy pani Barton umrze? - Lubiły tę cichą, spokojną krawcową z różowego domku na wzgórzu.

Ależ skąd! Po prostu ma gorączkę.

Czy panna Ross będzie miała dziecko? - Podejrzały ją kiedyś, jak robi coś na drutach, i uznały, że jedno wiąże się S

z drugim.

Odpowiadał im wymijająco, tak aby nie złamać tajemnicy zawodowej. I za każdym razem miał świadomość, że syn nie pyta go o nic.

R

Z biegiem lat uświadamiał to sobie coraz wyraźniej. Córki ukończyły już szkołę w Shancarrig, uczęszczały obecnie do porządnej szkoły przyklasztornej, oddalonej o pięćdziesiąt mil. W domu mieszkali więc tylko doktor Jims, Maisie i Declan.

Carrie złożyła rezygnację, kiedy chłopiec poszedł do pierwszej komunii.

On ma już siedem lat, doktorze. Jest samodzielny, to znaczy... potrafi się sam ubrać, posprzątać swoje rzeczy, odrobić lekcje i w ogóle... Nie jestem mu już potrzebna.

A może zamierzasz wyjść za mąż? - Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie ukryć się przed wzrokiem i słuchem doktora Jimsa.

Nie chciałabym o tym mówić.

Ale czy jest to ojciec twojego dziecka?

- Tak, to on. Dzięki panu nauczyłam się trochę lepiej pi-sać. Wysłałam do niego list, o sobie, o wszystkim, co mi chodzi po głowie. To panu zawdzięczam, że potrafię się teraz otworzyć. A u nas w Shancarrig jest za dużo ludzi, którzy du-szą wszystko w sobie.

Ta pochwała wprowadziła go w dobry humor.

Będziesz jeszcze miała własne dziecko. Wiem, że nigdy nie zapomnisz o pierwszym, ale teraz utworzysz nową rodzinę. - W duchu życzył jak najlepiej tej ciemnowłosej dziewczynie, której życie zaczęło się pod złym znakiem.

A pan, kiedy już stąd odejdę, będzie miał chyba okazję zbliżyć się bardziej z synem.

Och, na pewno wszystko będzie w porządku. Właśnie myślałem, żeby ustawić mu w pokoju biurko. Mógłby wtedy odrabiać tu swoje lekcje.

Dziewczynki robiły to zawsze na dole, tam gdzie toczy się całe życie tego domu.

Ale tu nikt by mu nie przeszkadzał, nie sądzisz?

Tak, ale z drugiej strony... Czy nie poczuje się trochę jakby odsunięty od wszystkiego? - W jej oczach pojawiła się troska.

S

Nie powinien. Po prostu będzie się mógł lepiej skupić nad lekcjami. Ale dość już o tym... Mam nadzieję, że bę-

dziesz nas odwiedzać?

Na pewno. Siedem ostatnich lat to najlepszy okres w mo-

im życiu, dopiero tutaj odżyłam. To było dla mnie jak wy-różnienie. - Widząc, że doktor Jims chce zaoponować, doda-

ła: - Naprawdę tak myślę. Kiedy przyszłam tu pracować, nie potrafiłabym nawet użyć takiego słowa jak „wyróżnienie”.

Czy to nie dowód, że mam rację?

Po jej odejściu doktor Jims próbował wielokrotnie zaangażować się jakoś w świat przeżyć syna.

Za każdym razem jednak odnosił wrażenie, jakby wyrasta-

ła przed nim bariera.

Declan cichutko jak myszka odrabiał lekcje w swoim pokoju. Następnie schodził na dół i siadał w kuchni obok Maisie, podczas gdy ona szykowała kolację. Ponieważ ojca najczęściej nie było w domu, chłopiec jadał w towarzystwie Maisie - podobnie jak poprzednio z Carrie, kiedy jeszcze mieszkała tu wraz z nimi.

Doktor Jims podejmował próby nawiązania bliższego kontaktu z synem. Pytał na przykład:

-Przerabiacie już ułamki, chłopcze?

-Nie wiem.

-Jak to: nie wiem? Albo je przerabiacie, albo nie. - Jego głos zdradzał już zniecierpliwienie.

-Może przerabiamy. Ale są rzeczy, które ty nazywasz inaczej, niż nazywa je nauczycielka.

-A jak się miewa twój przyjaciel, ten Dinnie?

-Vinnie.

-No właśnie, Vinnie. Co u niego?

-Wszystko w porządku, jak mi się zdaje.

-Chyba powinieneś wiedzieć, czy u niego wszystko w po-rządku, czy nie? - Znowu ta zmiana w brzmieniu jego głosu, znowu to zniecierpliwienie.

-Po prostu nie widziałem go od dawna.

-Już się nie przyjaźnicie?

-Nie wiem. Chyba jednak tak. Ale on mieszka przecież od dawna w mieście, a ja tutaj.

W takich momentach doktor Jims czuł wyrzuty sumienia.

Czyżby nie słuchał dość uważnie, o czym opowiada mu syn?

S

Ale czy na pewno Declan poinformował go o wyjeździe tego Vinniego? Chyba wszyscy rodzice miewają takie problemy z powodu przyjaciół synów.

No i oczywiście córki nie przysparzają tylu kłopotów, to R

prawda powszechnie znana. Nie miał ich na przykład z Eileen ani z Sheilą. O ich przyjaciółkach wiedział chyba wszystko. Same o nich opowiadały, przyprowadzały je nawet do do-mu. A teraz, kiedy w czasie ferii przyjeżdżały do Shancarrig, od razu kontaktowały się z Nessą Ryan z hotelu albo z Leo Murphy, córką majora Murphy z The Glen.

Natomiast z chłopcami sprawa jest bardziej skomplikowana. Trudno ich zrozumieć. Żyją, jak się wydaje, we własnym sekretnym świecie. Jims Blake sięgnął pamięcią wstecz, do własnego dzieciństwa na posępnej farmie, u boku mało ko-munikatywnego ojca, który tylko czasem rzucał mu jakieś słowo. On natomiast zachowuje się zupełnie inaczej, próbu-je rozmawiać z synem - i wszystko na nic, gdyż stale napotyka na opór z jego strony.

Dlaczego nie może nawiązać z nim tak dobrego kontaktu jak z córkami? Na przykład Eileen sama przychodziła do je-go gabinetu i siadała na taboreciku.

Leo Murphy stała się tego roku strasznie dziwna i humorzasta - poskarżyła się.

Naprawdę? - Jims Blake martwił się z kolei o matkę dziewczyny, Miriam Murphy, niepokoił go jej stan psychiczny.

Tak. Poszłam do niej, ale ona nie chciała mnie wpuścić.

Powiedziała tylko, że dziś nie może się ze mną bawić. Bawić, wyobrażasz sobie? Tak jakbyśmy byli małymi dziećmi!

-Wiem, wiem - próbował ją pocieszyć.

-Nessa Ryan też mówi o niej, że stała się humorzasta. Jej też Leo nie wpuściła do domu.

-Zaproś ją tutaj. Maisie przyrządzi jakiś poczęstunek...

-Ale ona nie chce chodzić do innych, tak mi mówiła Nessa.

-Dobrze, że masz jeszcze Nessę - powiedział, aby podnieść córkę na duchu.

Eileen zachnęła się.

-No właśnie. A w ogóle po co komukolwiek ta Leo Murphy i jej wielki dom! Nasz jest i tak ładniejszy.

S

Nie powinniśmy się chełpić zrządzeniem losu, które obdarzyło nas ładnym domem - upomniał ją.

Już wiele razy usiłował opowiedzieć córkom, jak wielkie spotkało go szczęście, że otrzymał ten dom w spadku po dok-R

torze Nolationie, ale one pozostały wobec niego lojalne: uważa-

ły, że ich ojciec zasłużył na taki spadek, nawet na większy.

Eileen wybierała się na uniwersytet, jeśli na świadectwie znajdzie się wystarczająca liczba ocen celujących. Chciała zostać architektem. Siostry zakonne w szkole twierdziły, że ma najbystrzejszy umysł pod słońcem, a niebawem na całym świecie, a zwłaszcza w Irlandii, zacznie się cenić kobiety wykonujące zawód architekta. W końcu to już lata sześćdziesiąte.

Sheila z kolei chciała zostać pielęgniarką. Doktor Jims słał już teraz stosowne sygnały do szpitali w Dublinie, gdzie można było liczyć na lepszą praktykę.

Declana oczywiście czekała medycyna, tak więc przede wszystkim należało go oddać do dobrej szkoły z internatem.

Doktor Jims rozmawiał już na ten temat z jezuitami, bene-dyktynami i przedstawicielami innych zakonów. Zbierał dane na ich temat, porównywał ich osiągnięcia i w końcu wybrał

szkołę, którą uznał za najlepszą. Wadą był fakt, że szkoła znajdowała się dalej niż inne.

-Nie będziesz mógł jeździć do niego zbyt często - zauwa-

żyła Eileen.

-Za to on może odwiedzać nas podczas ferii. - Doktor Jims zdał sobie sprawę, że przyjmuje pozycję defensywną.

Znowu!

-Ale to przyjemnie, gdy ktoś przyjeżdża z domu. My z Sheilą lubiliśmy bardzo, kiedy nas odwiedzałeś w niedziele.

-Tak, jeździł do nich co dwa tygodnie, nawet w mokre dni zimowe, nie zważając na długą podróż. Nigdy nie zabierał ze sobą Declana: początkowo chłopiec był za mały na tak uciąż-

liwą drogę i przeszkadzałby tylko w spotkaniu. Potem z kolei doktor Jims uznał, że nie powinien mu tego w ogóle proponować.

-Przecież dziesięcioletni chłopiec nie zechce jeździć w niedzielę do szkoły dla dziewcząt! Chyba że naprawdę jest jednym z tych zniewieściałych maminsynków!

Postanowił poświęcić chłopcu więcej czasu latem, przed jego wyjazdem do szkoły z internatem, ale niestety okazało S

ię, że właśnie w tym okresie czeka go masa obowiązków. Wyniknęła na przykład ta historia z dzieckiem Maury Brennan.

Zawsze darzył sympatią Maurę, jedyną dziewczynę Brennanów, która pozostała w Shancarrig. Jej siostry już dawno R

temu wyjechały do Anglii, gdzie dostały byle jakie zatrudnienie. Maura była pełna marzeń, oczekiwała od życia więcej niż one. Doskonale pamiętał dzień, kiedy potwierdził jej, że jest brzemienna.

On się ze mną na pewno nie ożeni, panie doktorze - powiedziała wtedy, a w jej oczach zaszklily się duże łzy.

Nie jestem tego taki pewny jak ty. Niejeden mężczyzna dałby wiele, aby móc cię pojąć za żonę - odparł bez przekonania. Podejrzewał, że Gerry O'Sullivan ulotni się na wieść o ciąży. Mylił się

jednak. Gerry został. Odbył się ślub, a potem wszyscy wypili za ich zdrowie w gospodzie Johnny'ego Finna.

A potem, kiedy już odebrał poród, dostrzegł u dziecka charakterystyczne dla mongolizmu skośne szpary powiekowe.

I to właśnie on musiał poinformować Maurę O'Sullivan, jak teraz dumnie się przedstawiała, że jej synek został dotknię-

ty schorzeniem zwanym zespołem Downa.

Nie potrafił potem zapomnieć momentu, kiedy obejmował dziewczynę, powtarzając kojącem głosem, że wszystko będzie dobrze. Zapewniał ją o tym nawet później, kiedy ojciec Gunn powiedział mu, iż Gerry O'Sullivan, ojciec dziecka, wsiadł do pociągu i odjechał w nieznaną jeszcze przed chrztem noworodka.

Miał jednak rację, przekonując ją, że zawsze będzie kocha-

ła swojego małego Michaela. Rzeczywiście darzyła swoje dziecko gorącym uczuciem, chociaż Gerry O'Sullivan nie pojawił się już nigdy w Shancarrig.

We wszystkich domach, w których bywał doktor Jims, w tych większych, jak i w mniejszych, zdarzały się rozmaite ludzkie sprawy.

Coś niedobrego na przykład wyczuwało się w The Glen, on zaś nie wiedział, jak do tego podejść. Frank Murphy, spokojny człowiek, niezwykle dzielny wobec swojego kalectwa, pa-miątki z wojny, zdawał się trapić czymś znacznie poważniejszym niż sztywna noga, którą powłóczył.

Doktor Jims myślał początkowo, że ma to związek z jego S

żoną. Ale Miriam Murphy była jedną z nielicznych kobiet, jakich nigdy nie badał. Zawsze go zapewniała, że jest silna jak koń. Była atrakcyjną kobietą, potrafiła zachować się w sposób bezpardonowy, jeśli ktoś jej nadepnął na odcisk, R

a doktor Jims podziwiał zawsze jej złocistorude włosy oraz naturalną elegancję, jaka emanowała z niej nawet, gdy chodziła po ogródku z płytkim koszem i ze starą jedwabną apasz-ką narzuconą na ramiona.

Mieszkańcy Shancarrig przywykli już od dawna do tego, że pani Murphy nigdy nie pokazuje się w sklepach. Dostawcy zatrudnieni przez sklepikarzy chętnie wsiadali na rowery i wieź-

li zamówiony towar do The Glen, gdzie załatwiali potem wszelkie formalności z Biddy lub z samym majorem.

Ale tego lata z Miriam działo się coś dziwnego. Niepokoił na przykład - i to bardzo - błędny wyraz jej oczu, zastanawiała też czujna mina Franka, nietypowa dla niego. Charles Nolan opowiadał Jimsowi wielokrotnie o przypadkach, kiedy ludzie skrywają skrzętnie rozmaite sekrety, takie jak

niezrównoważony psychicznie członek rodziny. Czasem lepiej nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Jims zastanawiał się, co stary Charles zrobiłby na jego miejscu. Tym bardziej że sytuacja w The Glen zaostrzała się coraz bardziej: przygnębienie majora objęło już także ich córkę, Leo, która najwidoczniej znajdowała się w sporym stresie, skoro traktowała tak obcesowo swoje dotychczasowe przyjaciółki. Spotkał ją, jadąc w stronę lasu Barna.

Podwieźć cię do domu, Leo?

Jedzie pan w tamtą stronę?

Auto jedzie zawsze tam, dokąd skieruje je kierowca.

Dziękuję, doktorze.

Zawarłaś w tym roku wiele nowych przyjaźni?

Wydawała się zaskoczona tym pytaniem. Nie, właściwie żadnych. A dlaczego pyta? Nie mieszając w to własnych ców-

rek, odparł tylko, że po prostu dawno jej nie widział.

- Wyjeżdżaliśmy, byliśmy nad morzem.

Rzeczywiście. Bill Hayes wspomniał mu nawet, że major zapakował wszystko do samochodu, łącznie z psami, po czym odjechał, nie uprzedzając o tym nikogo.

-No tak, ale już wróciliście, a ciebie nadal nikt nie widu-

je. Myślałem nawet, że uciekłaś gdzieś z taborem cygańskim.

- Kiedy wymawiał ostatnie słowa, wjeżdżali właśnie na teren The Glen. Dziewczyna drgnęła i spojrzała na doktora biała na twarzy jak papier, dodał więc czym prędzej: - Już dobrze, R

Leo. Tylko żartowałem.

-

Nie lubię żartów na temat Cyganów - szepnęła.

Może wystraszyła się ich w lesie, pomyślał. Kiedyś dali mu bażanta - za pomoc lekarską, jakiej udzielił jednej z ich kobiet. Z pełną powagą i dumą wręczyli mu ptaka owiniętego w trawę, aby podziękować za przysługę, o którą nie prosili, ale z której skorzystali chętnie, gdyż znajdował się w pobliżu akurat podczas skomplikowanego porodu.

Na progu stanął major.

Nie zaproszę pana do środka - mruknął.

Nie, nie. - Cieszył się opinią człowieka dyskretnego, co zawdzięczał między innymi umiejętności nienarzucania się, gdy czuł, że nie jest to odpowiedni moment do rozmowy. Nigdy nie nalegał, nie namawiał do zwierzeń, ale zawsze był

wdzięcznym słuchaczem, jeśli ktoś pragnął się przed nim otworzyć.

Żałował, że jego własny syn, Declan, unika takich rozmów.

-Jak sądzisz, spodoba ci się w tej nowej szkole?

-Nie mam pojęcia, to się okaże, kiedy już będę na miejscu.

Czy słyszał ktoś kiedyś o młodzieńcu, który byłby tak bardzo zamknięty w sobie jak on?

Maisie zasypywała go pytaniami. Czy chłopiec urządził

się od razu w swoim pokoju? Czy pościel była porządnie wy-wietrzona? Czy są tam także inni chłopcy z tych stron?

Doktor Jims Blake nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Zapamiętał jedynie, jak Declan pomachał mu ręką na pożegnanie. Nie przytulił się jak dwaj inni, którzy obejmowali kurczowo swoje matki, nie chcąc, by odeszły. Nie rozmawiał też z nikim, nie próbował nawiązać nowych przyjaźni, co czynili od razu ci bardziej śmiali.

Uczniowie wysyłali listy do domów w każdą niedzielę. Declan pisał o dniach świętych patronów, o spacerach i grach sportowych, o sporządzaniu map plastycznych. Doktor Jims wiedział, że wszystkie listy są cenzurowane przez księży, że mają ukazywać w pozytywnym świetle całą szkołę i jej działalność.

Czasem list od syna leżał na stoliku w hallu zamknięty, tak S

jak przyszedł, wraz z różnymi pismami reklamowymi, jakie nadchodziły nieprzerwanie od firm farmaceutycznych zgodnie z listą wysyłkową.

Declan nie pisał do Eileen, która studiowała obecnie archi-R

tekturę na uniwersytecie w Dublinie, ani do Sheili, zatrudnionej w jednym z najlepszych szpitali w Dublinie. Wysłał natomiast kartę urodzinową do Maisie, ale i tak nie informował

zbyt szczegółowo o swoim życiu w szkole z internatem.

Sądząc po świadectwach, był uczniem zadowolającym, o przeciętnych ocenach, wśród kolegów zajmował miejsce mniej więcej środkowe.

Ferie szkolne zdawały się go nużyć. Na ojcu sprawiał zawsze wrażenie, jakby nie mógł się już

doczekać dnia powrotu do szkoły.

-Może chciałbyś zaprosić paru swoich przyjaciół?

-Tutaj? - Pomysł ojca najwyraźniej zaskoczył Declana.

-Dlaczego nie? Mamy przecież mnóstwo pokojów. Myślę, że mogłoby się im spodobać.

-A co by tu robili, tato?

-Nie mam pojęcia. Cokolwiek. To samo co ty. - Ogarnia-

ła go już irytacja. Nie znosił tego zwyczaju odpowiadania pytaniem na pytanie.

Propozycja nie została przyjęta. Taki sam los spotkał pomysł wyjazdu do Dublina.

-Po co miałbym jechać tam na dwa dni?

-A po co inni ludzie jeżdżą do Dublina? Moglibyśmy odwiedzić twoje siostry, zabrać je na lunch. Byłoby miło, nie sądzisz? - Uświadomił sobie nagle, że mówi tak, jakby miał

przed sobą nie piętnastoletniego młodzieńca, lecz pięcioletnie dziecko.

Wizyta w Dublinie nie doszła do skutku, tak samo jak wy-cieczka do Galway na wyścigi, która miała być od dawna za-powiadana nagrodą dla Declana po otrzymaniu dyplomu ukończenia szkoły.

Jims Blake twierdził, iż jego zdaniem - z ręką na sercu -

uczynił wszystko, aby zacieśnić więź z synem; niestety jednak wszystkie próby zostały odrzucone.

O takich sprawach nie dyskutuje się zazwyczaj z obcymi, on jednak wspomniął o tym kiedyś Billowi Hayesowi.

Czy ty również, chcąc wydobyć jakieś słowo od swojego S

Nialla, masz wrażenie, jakby czekało cię przeoranie twarde-go ugoru, czy raczej rozmowa z synem odbywa się bez trudu?

Niall przemawiałby nawet do ptaków na drzewach, gdy-R

by wierzył, że będą go słuchać. Mógłby gadać całymi dniami.

Brakuje mu za to trochę drygu do właściwego obchodzenia się z klientami.

To mówiąc, pokręcił ze smutkiem głową. On także czuł się nieco zawiedziony, gdy myślał o synu. Niby wykwalifikowany prawnik, a jednak nie przejawia chęci do poszerzania swoich interesów. Nie daje sobie nawet rady z kontynuacją tego, co już funkcjonuje!

Ale czy rozmawia z tobą? - nie dawał za wygraną doktor Jims.

Owszem, jeśli widzi, że go słucham, a to nie zdarza się często. Nie mam ochoty wysłuchiwać tych jego porywających opowieści o górach i jeziorach, kiedy wraca od farmera, dla którego miał przygotować testament. Chcę raczej usłyszeć, że załatwił wszystko jak należy.

Doktor Jims westchnął.

U mnie jest zupełnie inaczej. Z Declanem nie mogę nawet porozmawiać o jego rekrutacji na studia. Stale jakieś wymówki...!

Pogadaj z nim przy stole. Nie daj mu jeść, dopóki nie odpowie na twoje pytanie... Tym sposobem zmusisz go do odpowiedzi. Chłopcy w jego wieku nie potrafią się obyć bez jedzenia.

Jims Blake wolał nie wyjaśniać, dlaczego ta metoda nie poskutkowałaby w jego domu. Wstydził się przyznać, że jego syn - tak jak dawniej - jada w kuchni wraz z Maisie. Nie by-

łoby sensu nakrywać w pokoju jadalnym na dwie osoby, bo przecież w każdej chwili mogło nadejść wezwanie do chorego i biedny doktor musiałby wyjść z domu.

Nastał wreszcie rok 1964, a to oznaczało konieczność załatwienia pewnych formalności, uregulowania koniecznych opłat, zarezerwowania miejsca w szkole medycznej i w domu akademickim.

Declan? Komuś patrzącemu z boku nie przyszłoby nawet do głowy, że mieszkamy w tym samym domu...

- Jeśli chodzi o mnie, jestem tu zawsze - odparł chłopiec.

Nie powiedział tego tonem buntowniczym, po prostu stwierdził fakt.

Jednak Jims Blake poczuł się urażony.

-Ja też jestem tu zawsze - odparł. - Chyba, że obowiązki wzywają mnie do pacjenta i muszę pracować, co czeka także R

ciebie.

-Ja nie będę lekarzem, tato.

Doktor Jims, o dziwo, nie poczuł się zaskoczony. Chyba podświadomie spodziewał się takiego wyznania.

-Kiedy zdecydowałeś się zmienić zdanie? - zapytał lodowatym tonem.

-Nigdy nie twierdziłem, że zamierzam być lekarzem. To ty sobie tak wyobrażałeś moją przyszłość, nie ja.

Rozmawiali jak ludzie sobie obcy, grzecznie, lecz stanowczo.

Declan chciał się zatrudnić w agencji nieruchomości, u ojca swojego przyjaciela Vinniego O'Neilla. Taka praca odpowiadałaby jego zainteresowaniom, chętnie oglądałby różne miejsca i pokazywał je potem klientom. Potrafił rozmawiać z ludźmi, wskazywać im zalety danego obiektu. Poza tym praca byłaby intratna. Vinnie natomiast chciał być księdzem.

W rodzinie O'Neillów był jedynym chłopcem, resztę rodzeń-

stwa stanowiły dziewczynki. Stary O'Neill lubił swojego syna, obaj rozumieli się doskonale.

Jims Blake z posępną miną wysłuchiwał opowieści o Gerrym O'Neilliu. Nie znał go osobiście, ale widywał już w okolicy tabliczki z nazwą jego firmy. A teraz, jak się okazało, nawiązał bliski kontakt z Declanem i był nawet gotów uznać go za kogoś w rodzaju syna, skoro jego własny syn odchodził

z domu i zamierzał zostać księdzem. Doktor Blake w milczeniu zaakceptował plany syna; Declan pragnął zamieszkać w mieście. Widocznie dostanie do swojej dyspozycji dotychczasowy pokój Vinniego, który wyjeżdżał za tydzień do seminarium.

Declan oświadczył, że przeprowadzi się w najbliższy weekend, wyraził też nadzieję, że Maisie nie odczuje zbyt boleśnie jego nieobecności, gdyż całe jej obecne życie koncentruje się wokół kościoła. Zresztą zdążyła się już przyzwyczaić, że przeważnie nie ma go w domu.

-A co ze mną? - zapytał Jims Blake. - Nie bierzesz pod uwagę, że ja mogę tęsknić za tobą?

-Och, tato, jesteś i tak zajęty swoimi sprawami. Na pewno nie będziesz za mną tęsknił.

S

Powiedział to spontanicznie, z pełnym przekonaniem, ale zrobiło mu się przykro, kiedy na twarzy ojca dostrzegł coś jakby ból osamotnienia.

-Przecież gdybym poszedł na medycynę, też nie byłoby R

mnie w domu - dodał.

-Ale przyjeżdżałbyś nieraz, aby mi pomóc i wyręczać w obowiązkach. Tak to sobie wyobrażałem.

Nastąpiła cisza. Długa cisza.

-Przykro mi - powiedział Declan.

Potem Jims zastanawiał się wielokrotnie, czy nie powinien był jednak objąć syna, uczynić coś, jakiś gest, aby przeprosić za chłód i rezerwę minionych osiemnastu lat, wyrazić nadzieję, że kolejne lata

będą lepsze. Ale w tym momencie jedynie wzruszył ramionami.

-Rób, co chcesz - powiedział. I dosłyszał jeszcze własny głos: - To w twoim stylu.

Wiedział, że byłoby trudno o bardziej definitywne pożegnanie.

Czasem, kiedy przyjeżdżał do miasta, składał wizytę w do-mu O'Neillów. Jak człowiek, który nie może się powstrzymać od dotykania raz po raz bolącego zęba, powracał wielokrotnie tam, gdzie Declan odnalazł miejsce dla siebie. Gerry O'Neill, rumiany mężczyzna, który sypał jak z rękawa aneg-dotami o rozmaitych ludziach i miejscach, uważał siebie za wielkiego gawędziarza, ale Jimsowi Blake'owi wydał się raczej nudny. Podczas gdy gospodarze łącznie z córkami i Declanem zaśmiewali się z tych opowieści niemal do łez, on siedział, patrząc na ich wesołość z niedowierzaniem.

Najstarsza z córek, Ruth, ulubienica ojca, była atrakcyjną dziewczyną, która odbywała właśnie kurs ekonomiczny w miejscowej uczelni i dzięki temu mogła pomagać ojcu w prowadzeniu interesów. O rodzinnym biznesie rozmawiali z takim namaszczeniem, jakby było to olbrzymie przedsiębiorstwo o zasięgu ogólnokrajowym, a nie drobna firma utworzona przez Gerry'ego O'Neill'a na bazie jego gadulstwa.

-Może byś zaprosił kiedyś Ruth do The Terrace? - zaproponował synowi Jims.

Zauważył już tęskny wzrok syna, jakim ten patrzył na S

ciemnowłosą dziewczynę w swojej nowej rodzinie.

-Nie sędzę, aby...

-Nie proszę cię, abyś tam zamieszkał, na litość boską, tylko żebyś którejs niedzieli przyprowadził Ruth na lunch. -

R

Znowu ten szorstki ton, którego nie zamierzał użyć. Syn spojrział na niego zaskoczony wybuchem.

-No, dobrze... Jasne... przyprowadzę ją... kiedyś.

Jims Blake zaczął rozważać możliwość zatrudnienia po-mocnika. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo musiał

się ucieszyć stary, samotny Charles Nolan przed laty, kiedy on się zjawił i zamieszkał u niego. I z jaką ulgą przyjął go wtedy na współnika. Jims myślał do jakiegoś czasu, że jego współnikiem będzie Declan, oczyma wyobraźni widział już wspólne wieczory, podobne do tych, jakie on spędzał dawniej z Char-lesem. Omawiali wspólnie artykuły opublikowane w facho-wej prasie medycznej, takiej jak „Lancet” i „Irish Medical Times”, oraz zastanawiali się nad nowymi lekami o cudownym jakoby działaniu, oferowanymi przez firmy farmaceutyczne.

Ale te marzenia nie spełniły się. Pozostały mu jedynie kontakty z córkami. Co tydzień telefonowała do niego ze szpitala w Dublinie Sheila, raz na tydzień otrzymywał też list od Eileen, która pracowała obecnie w angielskiej firmie architektonicznej.

Zdążył już niemal zapomnieć, jak wyglądała Frances i co czuł, trzymając ją w ramionach. Nie miał jeszcze sześćdziesię-

ciu lat i wiedział, że nie powinien czuć się jak starzec, a jednak coraz częściej odnosił wrażenie, jakby jego życie dobiegało kresu.

Którejś niedzieli przyjechali Declan i Ruth. Dziewczynie niemal nie zamykały się usta. Ożywiona, rozmawiała o tym i owym, tak jak u siebie w domu. Zadawała mnóstwo pytań, z zainteresowaniem wysłuchiwała odpowiedzi. Pytała na przykład Maisie, w jaki sposób układa kwiaty przed ołtarzem.

Maisie orzekła, że to dziewczyna z klasą i że Declan ma wielkie szczęście, ponieważ trafił na nią, a nie na jedną z tych głupich gęsi, od jakich roi się w mieście.

Podczas trzeciej wizyty Ruth przejęła inicjatywę: zegnając się, pocałowała ojca Declana w policzek.

-

Dziękuję, doktorze Jims - powiedziała. Pachniała przy-

jemnie i świeżo mydłem Knight's Castile. Doktor Jims rozumiał całkowicie, dlaczego jego syn stracił dla niej głowę.

Był przerażony, kiedy parę tygodni później ujrzał Decla-R

na. Chłopiec przyjechał w czwartek po południu, blady jak papier, z ciemnymi sińcami pod oczyma.

Przechadzał się niespokojnie po całym domu, dopóki nie wyszedł ostatni pacjent.

-Nie będzie już innych?

-Mam jeszcze wizytę u rannego. To jeden z braci Carrie.

Chyba ją jeszcze pamiętasz ?

-Jasne. Mogę pójść z tobą?

Jims Blake nie zapytał go nawet, co tu robi w dzień roboczy i dlaczego wygląda tak okropnie. Wolał nie ryzykować; bał

się, że ponownie użyje niewłaściwych słów. Uśmiechnął się tylko i otworzył przed synem drzwi w hallu, po czym ramię w ramię, jak przystało na ojca i syna, zeszli po schodkach segmentu mieszkalnego numer 3 w stronę auta.

W milczeniu dojechali na farmę, gdzie jeden z braci Carrie nadział się niechcący na zardzewiałe ostrze jakiejś maszyny rolniczej. Declan nie otworzył też ust w trakcie zabiegu, przyglądał się tylko, jak ojciec oczyszcza i zszywa ranę.

Zaczęli rozmawiać dopiero w drodze powrotnej.

Doktor Jims zatrzymał samochód w cieniu Starego Gła-zu, olbrzymiej formacji skalnej, od której Shancarrig wzięło swoją nazwę, a potem udali się na krótką przechadzkę. Powietrze było rześkie, cienie drzew wydłużały się z każdą chwilą.

Tu Jims wysłuchał całej historii. Smutnej historii o młodzieńcu, który nadużył zaufania pewnej rodziny, mimo iż korzystał z ich gościnności od jakiegoś czasu. O tym, że Gerry O'Neill nie przeżyje szoku, kiedy się dowie, że Ruth jest w ciąży, a jej brat Vinnie, który ma zostać księdzem, nie daruje mu nigdy, swemu przyjacielowi, tak potwornej zdrady.

Od tygodnia Declan nie mógł spać ani jeść, podobnie chyba jak dziewczyna. To był kres wszystkiego. Declan zaproponował jej, aby uciekli razem, ale ona się nie zgodziła. Zresztą w chwilach opamiętania on też uświadamiał sobie, że nie był to dobry pomysł.

Doktor Jims nie pytał syna, czego od niego oczekuje. Do-myślał się, że Declan sam tego nie wie. Uczynił więc to, co właściwie zamierzał uczynić od dawna: objął chłopca ramie-

niem.

Udał, że nie zauważył zaskoczenia, z jakim Declan zareagował na ten gest.

-Powiem ci, co o tym myślę - zaczął spokojnym, niemal R

pogodnym głosem. Czuł, jak ciało syna odprężyć się pod jego dłonią. - Mam w Dublinie przyjaciela, wspólnie odbywali-

śmy szkolenia. Jest ginekologiem i położnikiem. Specjali-stą... Uważam, że Ruth powinna zgłosić się do niego na badania... To nic strasznego, po prostu wziernikowanie i łyżeczkowanie, badanie szyjki macicy pod znieczuleniem.

Takie badania usuwają wszelkie nieprawidłowości... Przechodzi je większość dziewcząt...

Declan odwrócił się, spojrzał mu prosto w oczy.

-Czy masz na myśli... To znaczy... czy nie mówisz przypadkiem o...

Jims Blake postanowił wyłożyć karty na stół.

-Takie zabiegi mają rozmaite nazwy. Najważniejsze, aby Ruth się tam udała. Wyjdzie za dzień lub dwa i nikt poza moim przyjacielem nie będzie o niczym wiedział.

Podeszli do samochodu i wrócili do Shancarrig w niezmi-nionym nastroju.

Declan wszedł z ojcem do segmentu numer 3 w The Terrace, razem rozpalili ogień w kominku, bo wieczór zrobił się chłodny, a potem Declan napił się trochę brandy i na jego twarz powróciła część dawnych rumieńców.

Jim Blake przypominał sobie słowa starego doktora Nolana, który twierdził, że na świecie zdarzają się rzeczy, w któ-

re nikt by nie uwierzył. Teraz, siedząc przy kominku, Jim przyznał mu w duchu rację: jedyny wieczór, jaki spędził

w swoim życiu z synem w miłej i przyjaznej atmosferze, zdarzył się właśnie tego dnia - kiedy zaaranżował aborcję własnego wnuka.

S

R

Nora Kelly

Nora i Jim Kelly nie mieli żadnych zdjęć ślubnych. Kuzyn z aparatem fotograficznym nie wywiązał się należycie ze swojego zadania; po ślubie powiedział im, że widocznie klisza nie była w porządku.

Nie szkodzi, zapewnili go zgodnie.

Ale w rzeczywistości Nora żałowała bardzo, że tak się sta-

ło. Nie istniało bowiem teraz nic, co przypominałoby im pierwszy dzień ich małżeństwa. Sam ślub nie należał do hucznych, był raczej cichy i odbył się w okresie wielkiego postu, gdyż oboje - dwoje młodych nauczycieli, którzy zaczynali nowy etap życia - chcieli spędzić swój miesiąc poślubny podczas ferii wielkanocnych. Ślub w wielkim poście oznaczał często tylko jedno: małżeństwo było już sprawą przesądzoną z uwagi na niespodziewaną ciążę.

Ale tak nie było w przypadku Nory i Jima. Oboje niczego nie uprzedzili, a ciąża, która - jak obawiała się matka Nory

- mogłaby zhańbić całą rodzinę, kazała czekać na siebie bez-

skutecznie jeszcze po ślubie mimo upływu lat.

Co miesiąc Nora powiadamiała męża, że i tym razem nie ma nadziei na poczęcie. Wzruszali wtedy ramionami i pocieszali się wzajemnie, twierdząc, że wcześniej czy później los R

uśmiechnie się do nich. Tak upłynęły pierwsze trzy lata. Potem zaczęli sobie dodawać otuchy w inny sposób: Po co para nauczycieli, która ma do czynienia z całą dzieciarnią w Shancarrig, miałyby się przyczyniać jeszcze do zwiększenia liczby dzieci na tym świecie?

Dopiero po jakimś czasie zdecydowali się poprosić o pomoc.

Norze nie przyszło łatwo zwrócić się w tej sprawie do doktora Jimsa, chociaż był to człowiek nadzwyczaj uprzejmy i miły wobec wszystkich. Wiedziała też, że doktor nie będzie zbyt wścibski. Po prostu weźmie swój notatnik i zacznie notować własne spostrzeżenia, przysłuchując się pilnie jej słowom.

Nora Kelly miała bladą cerę nawet w najlepszych momentach swego życia - a obecny okres z pewnością nie należał do najlepszych. Była młodą szczupłą kobietą o jasnych, puszystych włosach, które zaplatała w warkocz, a ten zwijała w luź-

ny kok.

Nikt w Shancarrig nie widział jej nigdy z rozpuszczonymi lub rozwianymi włosami. Niektórym ludziom mina Nory wydawała się zbyt poważna, ale może właśnie taka była odpowiednia dla dyrektorki szkoły. Jej potężnie zbudowany mąż wyglądał raczej na miejscowego farmera niż nauczyciela.

Ktoś, kto znał Norę jeszcze przed jej ślubem, twierdził, że była jedną z trzech dziewcząt, których wszędzie było peł-

no i które jeździły stale na rozklekotanych rowerach w miejscowości oddalonej stąd o jakieś sześćdziesiąt mil. Podobno były to trzy rozdokazywane trzpiotki, ale opinia ta brzmiała zbyt nieprawdopodobnie, aby móc w nią uwierzyć bez zastrzeżeń.

Teraz Nora nie miała tam na pewno żadnych bliskich ani przeszłości czy odrębnej tożsamości. Była po prostu dyrektorką szkoły - rozsądną kobietą, stroniącą od wymyślnych strojów i niepodatną na kaprysy. Nie była też wymagająca w sprawach kulinarnych, jeśli oceniać ją po tym, co kupowała w sklepie mięsnym. Liczyła się dla niej przede wszystkim praca: uczenie dzieci. Oczywiście przygnębiał ją fakt, S

że Bóg poskąpił jej własnych dzieci, ale czy ktoś potrafi powiedzieć, co kryje się za takim lub innym zrządzeniem losu?

Tak jak się tego spodziewała, doktor Jims okazał się uosobieniem dobroci. Badanie trwało krótko i miało bezosobowy R

charakter, zalecenia były łagodne i praktyczne - jakieś proste, może nawet ludowe środki. Doktor Jims nie lekceważył

nigdy mądrości przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Wyznał Norze, że kiedyś nauczył się jakiejś metody leczenia od Cyganów, a ci - jak twierdził - znają wiele leków i sposobów kuracji, obcych na razie współczesnej medycynie. Zachowują jednak tę wiedzę dla siebie.

Babcine metody nie poskutkowały. Potem przyszła kolej na badania szpitalne w mieście. Jim musiał się poddać badaniu spermy, co okazało się dla niego bardzo deprymujące i stresujące. Lekarze oświadczyli potem, że jak na stan wiedzy medycznej z 1946 roku nie widać powodów, dla których

nie miałyby dojść do poczęcia. Trzeba po prostu uzbroić się w cierpliwość.

Nora wiedziała, że doktor Jims przekazuje jej te wieści z zakłopotaniem; zwłaszcza tej jesieni, kiedy jego żona ponownie zaszła w ciążę. Dwie córeczki Blake'ów niedługo już pójdą do szkoły, a teraz ich rodzina miała się jeszcze powiększyć. Doktor Jims współczuł Norze, ale nie okazywał tego w sposób ostentacyjny i za to go ceniła. Niełatwo być bezdzietną kobietą w małej miejscowości; od dawna czuła na sobie ukradkowe spojrzenia innych. Wiedziała wprawdzie, że niezbadane są wyroki boże, trudne do zrozumienia dla zwykłych śmiertelników, ale nie potrafiła się pogodzić z faktem, iż u Brennanów, a nawet Dunne'ów, a więc w rodzinach, gdzie brakuje już teraz środków do życia, rodzi się tak dużo dzieci, jej natomiast Stwórca odmawia prawa do posiadania choćby jednego.

Czasem, patrząc na twarze uczniów, którzy stawiali w szkole swoje pierwsze kroki, czuła w piersi intensywny, niemal fizyczny ból. Obserwowała te najuboższe dzieci, w za dużych ubraniach i butach, i powtarzała w duchu, że gdyby ona i Jim mieli własne, byłoby z pewnością zadbane.

W samym środku najsurowszej zimy, jaka kiedykolwiek nawiedziła Shancarrig - tak surowej, że mróz pokrył rzekę Grane grubą warstwą lodu na przeciąg trzech miesięcy - na świat przyszło trzecie dziecko doktora, ale jego żona zmarła S

przy porodzie.

Nora wzięła chłopczyka na ręce. Ogarnęło ją gorące pragnienie, aby zabrać go do domu. Wiedziała, że ona i Jim za-dbaliby o niego całym sercem, z szafy wyjęliby ubranka ku-R

pione i uszyte przed laty, przesycone teraz wonią naftaliny.

Dziecko wychowywałoby się w ich szkole, ale nie byłoby fa-woryzowane jako dziecko nauczycieli.

Tamtego dnia w pokoju dzieciennym, kiedy Nora przyszła na pogrzeb Frances, pomyślała przez jedną krótką, szaloną chwilę, że doktor odda jej swoje dziecko. Ale to oczywiście była tylko fantazja.

Nora usłyszała kiedyś opinię, według której w małżeń-

stwach bezdzietnych więź jest często szczególnie silna - tak jakby niedola małżonków spajała ich, stwarzając większe po-le do intymności i rekompensując w ten sposób tamten brak.

Pragnęła gorąco, aby tak właśnie było w ich przypadku, ale wiedziała doskonale, że tak nie jest.

Jim izolował się z każdym dniem bardziej, wieczorami wychodził na coraz dłuższe spacerunki. Ona zaś zostawała sama.

Siadywała przy kominku albo też wracała do szkoły, żeby przygotować się na następny dzień do zajęć.

W wieku dwudziestu ośmiu lat uświadomiła sobie, że mąż od jakiegoś czasu kocha się z nią coraz rzadziej.

- To i tak się mija z celem - mruknął pewnej nocy, kiedy przytuliła się do niego. Potem starała się już zawsze trzymać swojej połowy łóżka.

Oboje uznali, że nie należy dopatrywać się winy u żadnej ze stron, ale Nora zaczęła się przyglądać baczniej własnej rodzinie. Jej siostry miały niewiele dzieci: jedna urodziła dwoje, druga tylko jedno, podczas gdy siostry i bratowe Jima zdawały się rodzić jak królice.

Jej siostra Kay, która mieszkała w Dublinie, miała dwóch małych chłopców. Czasem przyjeżdżała z nimi z wizytą, a Norze aż krociło się serce, kiedy widziała, z jakim zapałem Jim obejmuje chłopców lub idzie z nimi na spacer. Zachowywał

się wtedy zupełnie inaczej niż w szkole, gdzie przecież także miał do czynienia z dziećmi. Podczas zajęć w klasie był cierpliwy i sprawiedliwy, ale oficjalny. Nie wykazywał wówczas tego niemal niekontrolowanego entuzjazmu, jaki cechował je-S

go kontakty z siostrzeńcami żony, z którymi brodził nieraz po rzece Grane, zbierał grzyby w pobliżu Starej Skały albo wędrował po lesie Barna, wypatrując niedźwiedzi.

- To urodzony tatuś, nie sądzisz? - mawiała w takich mo-R

mentach Kay, a Nora natychmiast zaciskała zęby.

Lepszy kontakt miała już ze swoją bliźniaczą siostrą Helen, mimo iż ta mieszkała na drugim końcu świata, w Chicago.

Helen przesłała jej kiedyś fotografie swojej córeczki, ma-

łej Marii. Wyjechała do Chicago, kiedy Nora zaczęła uczęszczać do seminarium nauczycielskiego; stwierdziła wówczas, że nie ma głowy do nauki i nie zamierza się dalej uczyć. Wo-lała zobaczyć kawałek szerszego świata niż spędzić całe życie w takiej dziurze, z jakiej pochodziły.

Prawdę mówiąc, Shancarrig było znacznie bardziej zapadłą dziurą. Nora miała nieodparte wrażenie, że w oczach Helen jest godna współczucia. Na co się przydał jej bystry rozum? Co osiągnęła? Poślubiła Jima, człowieka niezwykle cichego i małomównego, została dyrektorką szkoły w małej miejscinie i nie doczekała się własnych dzieci.

Życie Helen było bardziej ekscytujące. Początkowo pracowała jako kelnerka w kawiarni Stouffers - jednej z wielu na-leżących do rozległej sieci kawiarni i restauracji o tej samej nazwie. Potem poznała Lexiego, który dostarczał mięso.

Wysoki, jasnowłosy i przystojny, był Polakiem, katolikiem o spokojnym usposobieniu. Ani na chwilę nie przestawał wodzić za nią swoimi ciemnymi, niebieskimi oczyma, cokolwiek robiła. Helen opisała w liście, jak poprosił ją o spotkanie, a potem zaprowadził do siebie, aby mogła poznać jego rodzinę. Wszyscy mówili tam po polsku, ale zapewnili Helen łamaną angielszczyzną, że cieszą się z poznania jej.

Kiedy pobierali się w jednym z dużych kościołów polskich w Chicago, przy Helen nie było nikogo z

jej rodziny. Kto by się zdobył na tak daleką podróż przez ocean w 1942 roku, kiedy na świecie szalała wojna?

W 1944 roku urodziła się Maria, którą następnie ochrzcił

polski ksiądz. Na przyjęciu częstowano plackami ziemniaczanymi oraz jakąś okropną zupą, nazywaną polewką, którą wszyscy wypili jednym tchem.

Maria była śliczna; Helen powtarzała to niemal stale w swoich listach. Nora zdążyła się już przekonać, że nie S

wszystko, co mówią starsze kobiety, jest zgodne z prawdą, nieraz są to jedynie przesady - a z całą pewnością tego typu przekazy nie rozwiązały jej problemów z zajściem w ciążę -

wierzyła jednak, że w przypadku sióstr bliźniaczych każda R

z nich potrafi wyczuć jakby dodatkowym zmysłem, co się dzieje u drugiej, nawet jeśli obie są oddalone od siebie o niemal pięć tysięcy mil.

Kiedy Nora czytała listy z Ameryki, właśnie ów dodatkowy zmysł podpowiadał jej, że życie w Chicago nie jest wcale takim rajem, jak przedstawiała to w swoich relacjach Helen.

Pod wpływem impulsu napisała do siostry pewnego wio-sennego dnia 1948 roku.

Może to wygórowane żądanie, ale chciałabym, żebyś odwiedziła nas latem razem z Marią. Kiedy zaczynają się wakacje, Jim i ja mamy aż za dużo wolnego czasu. Sprawiłabyś nam olbrzymią radość.

Aby zachęcić siostrę do przyjazdu, opisała, jak umiała najładniej, kwiaty i żywopłoty rosnące w Shancarrig, a tak-

że połyskliwą rzekę i las, tak piękne jak z obrazka.

Zaprosiła również szwagra, ale tak się złożyło, że Lexi nie mógł w tym czasie wziąć urlopu. Helen na szczęście pracowa-

ła w restauracji jedynie na część etatu i dzięki temu udało jej się załatwić dni wolne. Powiadomiła o tym w liście i obieca-

ła, że wraz z Marią przyjadą niebawem do Shancarrig.

Nora nie mogła się ich doczekać. Jej starsza siostra Kay uznała, że Helen musi mieć pieniędzy w bród, skoro stać ją na to, aby tak po prostu wsiąść z córką na pokład samolotu i zjawić się w Dublinie, ale Nora czuła, iż nie obyło się przy tym bez całej masy wymówek i wyjaśnień oraz zaciskania pasa i oszczędzania na podróż. Zachowała jednak te domysły dla siebie, wołała bowiem wysłuchać najpierw Helen, kiedy się już zobaczą.

Bliźniaczki odetchnęły z ulgą, gdy po tak długo oczekiwany spotkaniu w Dublinie rozstały się z Kay i pojechały po-ciągim do Shancarrig. Trzymając się za ręce, gadały jedna przez drugą, wpadały sobie w słowa... a głównie powtarzały, S

że żadna fotografia nie oddaje urody córki Helen.

Maria była rzeczywiście piękna.

Miała cztery i pół roku oraz twarz rozjaśnioną niemal stale wdzięcznym uśmiechem. Cały czas śpiewała lub nuciła coś R

do siebie, uradowana kartonem do malowania i kredkami, jakie otrzymała w prezencie od Nory.

-Jesteś cudowna! - Helen patrzyła z wdzięcznością na siostrę. -Inni ludzie dają jej zazwyczaj różne dziwaczne świe-cidelka albo koronkowe ozdóbki, które ona od razu łamie lub drze na strzępy.

Słońce świeciło radośnie, kiedy pociąg wjeżdżał na stację w Shancarrig. Na peronie stał już Jim Kelly, gotów do powitania szwagierki i małej kuzynki.

Wyglądało na to, że natychmiast przypadł Marii do serca: wyciągnęła do niego swoją małą pulchną rączkę, a on po-chwycił ją skwapliwie i ruszył do wyjścia, trzymając w drugiej ręce ciężką walizę.

-Och, Noro! - Oczy Helen lśniły od łez. - Och, Noro, jakaś ty szczęśliwa!

Mijając ciąg sklepów na ulicy, gdzie jeszcze niedawno mia-

ła wrażenie, jakby była jedynie godną politowania bezdzietną nauczycielką, Nora poczuła, że naprawdę jest szczęśliwa.

Nellie Dunne wyjrzała zza drzwi swojego domu.

Ładnie pani dziś wygląda, pani Kelly! - zawołała.

To moja siostra, panno Dunne.

A to zapewne pani córeczka? - Nellie chciała wiedzieć jak najwięcej o każdej nowej osobie w miasteczku.

Tak, to moja Maria - odparła Helen z dumą.

Kiedy oddaliły się od niej na tyle, że Nellie nie mogła ich słyszeć, Nora zauważyła:

-Na jakiś czas będzie to temat numer jeden dla miejscowych plotkarek. Oto pokazuję się publicznie z kimś, kto ma dziecko.

Helen położyła jej dłoń na ramieniu.

-Cicho, dajmy temu teraz spokój. Mamy przed sobą parę tygodni na to, aby o wszystkim porozmawiać.

Ale los zrządził inaczej i nie dał Norze Kelly zbyt wiele czasu na rozmowy z siostrą o życiu w Chicago i w Shancarrig.

Pięć dni po przyjeździe do Irlandii Helen zginęła w tragicznym wypadku: jakiś spłoszony koń z wozem znalazł się nie S

wiadomo skąd na drodze, którą jechał autobus. Kierowca, chcąc uniknąć zderzenia, skręcił zbyt gwałtownie i potrącił

Helen. Zginęła na miejscu.

Nora przebywała w tym czasie z Marią w sklepie Nellie R

Dunne. Dziewczynka wybierała lizak; nie mogła się zdecydować, czy lepiej wziąć czerwony, czy zielony, przykładała więc na zmianę to jeden, to drugi do swojej żółtej plisowanej sukienki, jakby kolor cukierka mógł wpłynąć na jej wygląd.

Odgłosy towarzyszące zdarzeniu miały już na zawsze pozostać w umyśle Nory. Rozbrzmiewały wciąż od nowa i każdy z nich z osobna: turkot kół wozu, rżenie konia, pisk opon gwałtownie skręcającego autobusu i ten przeciągły krzyk.

A potem cisza i dopiero po chwili podniesione głosy przechodniów biegnących na miejsce wypadku.

Nieco później ludzie twierdzili, że nie słyszeli żadnego krzyku. Że Helen nie wydała żadnego dźwięku.

Ale Nora słyszała przecież na własne uszy.

Ktoś zaprowadził ją do hotelu Ryana. Podano jej kieliszek brandy, poczuła czyjeś ramiona, oferujące podporę, zewsząd słyszała pośpieszne kroki. Posłano do szkoły po Jima.

Major Murphy z The Glen, jak przystało na wojskowego, starał się pokierować wszystkim i wprowadzić trochę ładu w ten chaos.

Zjawił się ojciec Gunn ze stulą na szyi. Na wieść o wypadku przybiegł czym prędzej z kościoła, aby udzielić ostatniego namaszczenia nieżywej już kobiecie.

- Ona jest teraz w niebiosach - szepnął do Nory. - Jest tam i modli się za nas wszystkich.

Zaprzagnęła nagle krzyknąć na cały głos, że to rażąca niesprawiedliwość. Przecież Helen wcale nie zamierzała dostać się tak szybko do raju i modlić się za nich, lecz chciała spędzić

trochę czasu w Shancarrig, opowiedzieć długą i skomplikowaną historię swojego dziwnego małżeństwa z milczącym człowiekiem, który pił - nie tak, jak piją zazwyczaj Irlandczy-cy, lecz

zupełnie inaczej. Chciała omówić z siostrą jakiś sposób, żeby móc regularnie wysyłać córkę do Irlandii, nie wychowywać jej w środowisku polskim, lecz tutaj, dzięki czemu zżyłaby się bardziej z innymi dziećmi w rodzinie.

Nora nie mogła uwierzyć w to, co się stało. To chyba jakiś zły sen! Każda minuta wydawała się jej wiecznością, kiedy tak siedziała w hotelu, patrząc nieobecnym wzrokiem na twarze pojawiających się i znikających ludzi.

Głos sierżanta Keane, który mówił coś o ewentualnym wysłaniu telegramu lub zatelefonowaniu do Chicago, dobiegł ją jakby z daleka.

R

Nie możemy po prostu zadzwonić do tego człowieka i powiedzieć, że jego żona nie żyje. - Odniosła wrażenie, jakby jej własny głos brzmiał teraz inaczej niż zawsze. Sierżant wyjaśnił, że w telegramie mogliby go poprosić, żeby zatelefonował do hotelu Ryana, a ktoś zostałby tu, aby przekazać mu wiadomość.

Ja zostanę - powiedziała Nora.

Nie zmieniała zdania, mimo iż inni próbowali jej to wyperswadować. Obstawała przy swoim. W Chicago nie jest teraz trzecia po południu, lecz wczesny ranek. Lexi z pewnością rozwozi właśnie mięso. Upłyną całe godziny, zanim otrzyma telegram. Dlatego ona musi pozostać w hotelu, siedzieć tu, dopóki on nie zadzwoni. Pani Ryan postanowiła umieścić w hallu łóżko; goście hotelowi z pewnością zrozumieją, że jest to wyjątkowa sytuacja i że pani Kelly musi teraz być cały czas przy telefonie, bez względu na porę dnia i nocy.

Przynieśli jej herbatę, a dla Marii galaretkę. Czerwoną galaretkę udekorowaną kremem.

Potem, o dziesiątej wieczorem, otrzymała wiadomość: Lexi dzwoni. Rozmawiał z nią łamaną angielszczyzną, a ona mó-

wiała tak, jak się przedtem do tego przygotowywała: bez łez, przekazując rzeczowe informacje tonem możliwie spokojnym.

Nie oplakujesz siostry? - Miał obcy akcent, typowy dla cudzoziemca.

Nie. Helen chciałaby, żebym była silna podczas rozmowy z tobą - odparła po prostu.

Zapytała go, czy zamieni też parę słów z Marią, ale nie chciał. Poinformowała go, że ciało Helen zostanie przewiezione do miejscowego kościoła jutro wieczorem, następnego dnia odbędzie się pogrzeb, a pan Hayes dowiadywał się już o najbliż-

sze loty z Chicago, od rana wydzwania na lotnisko Shannon...

Lexi przerwał jej w pół zdania: nie przyleci na pogrzeb.

Nora dosłownie zaniemówiła.

A on mówił spokojnie, bez pośpiechu. Nie może przyjechać, nie ma tyle pieniędzy. I tak nie znalazł nikogo z orszaku pogrzebowego. Msze w intencji Helen będą odprawione w jego parafii, w jego kościele. Powrócił do samego wypad-

ku. Jak to się stało? Kto zawinił? Gdzie uderzył ją autobus?

Rozmowa wydawała jej się nie mającym końca koszmarem. Dopiero gdy telefonistka powiedziała:

-Sześć minut - Nora uświadomiła sobie, jak niewiele czasu

upłynęło.

-Zadzwoń znowu jutro? - zapytała.

-Po co?

-Porozmawiać.

-Nie ma o czym.

-A Maria...?

-Możesz się nią zaopiekować, dopóki po nią nie przyjadę?

-Oczywiście... ale jeśli masz po nią przylecieć, to dlaczego nie teraz, żeby być na pogrzebie?

-Teraz nie mogę.

Dni po pogrzebie mijały jakby za grubą zasłoną, Nora przeważnie nie wiedziała nawet, co się dzieje. Nadal miała przed oczyma Jima, jego dużą dłoń wyciągniętą do Marii, która płakała coraz ciszej. Wszyscy jej powtarzali, że mama jest teraz w raju, pokazywali jej obrazki święte na ścianie i w kościele, aby wiedziała, jak tam wygląda.

Pewnego dnia Nora usiadła na łóżku, aby przejrzeć rzeczy Helen. Jim w tym czasie zabrał Marię na spacer po lesie Barna.

Nora odłożyła na bok paszport siostry, a potem jakieś dokumenty dotyczące pracy i ubezpieczenia. Uświadomiła sobie, że nigdzie nie ma biletu powrotnego na samolot. Czy to możliwe, że Helen zamierzała nie wracać do Chicago, lecz zostać tutaj? W torebce leżał list od jakiegoś prawnika, „dotyczący omawianej sprawy”. Czyżby chodziło o przeprowadzenie rozwodu? Czy ten dziwny głos w słuchawce oznaczał, że Lexi był za bardzo zdenerwowany, aby rozmawiać normalnie? A może po

prostu w jego małżeństwie zabrakło już uczucia? Nora poczuła, że w głowie ma kompletny chaos. Szkoda, że nie zdążyły porozmawiać, ona i Helen... Właśnie zaczęły się ponownie poznawać, właśnie uświadomiły sobie, że istnieje między nimi więź tak doskonała, że jedna z nich potrafi odczytać i dokończyć myśl drugiej...

I pięć dni potem Bóg powołał Helen do siebie, niszcząc tę więź. Cóż za okrutny krok!

S

Kay, jak zwykle, była praktyczna.

-Nie przyzwyczajaj się za bardzo do dziecka - ostrzegła Norę. - Ten nieczuły typek przyjedzie tu po nią, kiedy tylko najdzie go taka ochota! R

Jak to: nie przyzwyczajając się za bardzo? Czy można w ogó-

le ustanowić limit uczucia, jakim ona obdarzyła tę małą dziewczynkę o dużych, ciemnoniebieskich oczach i kręconych włosach, dziewczynkę, która lubi głaskać ją po policzku?

Już po tygodniu Nora pytała Jima:

-Czy dziecko usnęło? - i dopiero potem zaczęła sobie uświadamiać, że traktuje Marię jak własną córkę.

Jim odpowiadał łagodnie:

-Przeczytałem jej bajeczkę, ale ona chce, żebyś teraz ty coś opowiedziała; mówi, że „No zna ładniejsze bajki”.

Znowu uśmiechał się do żony czule, jak przed laty. A w łóż-

ku przestał się od niej odwracać: odżyło w nim dawne pragnienie. Ich życie stało się pełne dzięki Marii.

Kay miała chyba rację, nie powinnam się do niej przyzwyczajając za bardzo - powiedziała Nora pewnego letniego wieczoru. Siedziała, patrząc, jak Maria bawi się z trzema ma-

łymi kurczakami, które pani Barton przyniosła dla dziewczynki w pudełku, aby jakoś ją rozerwać.

-A ja mam nadzieję, że on nie będzie nalegał na jej po-wrót - odparł Jim. Poruszyli ten temat po raz pierwszy od czterech tygodni.

-Nie możemy na to liczyć... Nie ma człowieka, który by nie chciał powrotu własnego dziecka.

-I nie ma człowieka, który by nie przyjechał na pogrzeb własnej żony - szepnął Jim.

Nora wysyłała regularnie listy do Chicago. Opisała pogrzeb, kwiaty, kazanie, grób Helen pod

drzewem na cmentarzu, gdzie przychodziła z Marią w niedzielę, aby złożyć kwiaty. Za rok mieli wymurować porządną grob. Nora pytała Lexiego, jaki napis chciałby umieścić na tablicy nagrobkowej.

Wspomniała też o kierowcy autobusu, który zmienił się zupełnie po wypadku, chociaż wszyscy go zapewniali, że to nie była jego wina. Po prostu Bóg sprawił, że konia poniosło akurat w tym momencie. On jednak powtarzał, że nigdy wię-

cej nie usiadł za kierownicą autobusu, a w chwilach, gdy nikt go nie widział, brał kwiaty i szedł na grob kobiety, któ-

ra niechcący zabił.

S

Nora pisała także, że Maria mówi już: „Boże chroń tatusia”, i wymienia przy okazji mnóstwo innych imion - zapewne są to imiona jej dziadków lub innych krewnych. Tak więc Lexi nie musi się obawiać, że rodzina z jego strony pójdzie R

u małej w zapomnienie. A we wrześniu Maria pójdzie po raz pierwszy do szkoły, bo ma już prawie pięć lat.

W listach Nora opisywała również całe miasteczko, olbrzymi czerwony buk przed szkołą, a nawet mapy wiszące na ścianach w klasach. Przestała jednak używać sformułowania:

„kiedy po nią przyjedziesz”; listy były teraz utrzymane w takim tonie, jakby już ustalono, że Maria zostanie w Shancarrig na czas nieokreślony.

Inni uczniowie zaakceptowali Marię bez zastrzeżeń. Przyzwyczaili się już do tego, że zwraca się „No” do pani Kelly; tłumaczyli to sobie tym, że jest od nich młodsza i może bardziej dziecinna. Geraldine Brennan z uboższej części miasteczka zaoferowała się, iż będzie opiekunką Marii. Nora postanowiła mieć oko na tę opiekunkę, aby nie zjadała przypadkiem kanapek swojej podopiecznej.

Lexi pisał rzadko i niewiele. Dziękował za informowanie go o wszystkim, ale sam nie kwapił się do podtrzymywania korespondencji; zdawał sobie sprawę, iż jego znajomość języka, a zwłaszcza gramatyki, pozostawia wiele do życzenia. Nader oszczędnie wypowiadał się na temat swoich zamiarów.

Pytał za to zawsze o przebieg wypadku, o ustalenia sądu, o szanse na uzyskanie odszkodowania. Kiedyś zapytał nawet, czy Helen miała ze sobą jakieś wartościowe rzeczy.

Z czasem mieszkańcy Shancarrig zaczęli traktować Marię jak rodzone dziecko Jima i Nory.

- Hej, Mario, Mario Kelly, podejdź tu, pokażemy ci kijan-ki! - usłyszała pewnego dnia Nora, kiedy dzieci bawiły się podczas przerwy na dziedzińcu szkolnym. Mówią do niej

„Kelly”, pomyślała i serce urosło jej natychmiast z radości.

Tamten wypadek sprawił, że ona ma teraz dziecko, własne dziecko.

Dziecko, które obchodziło już piątą rocznicę urodzin, a na przyjęciu były świece i tort. Dziecko, które święto Bożego Narodzenia spędziło po raz pierwszy w Shancarrig i odśpiewało kolędy w tutejszym kościele.

-

Pamiętasz może, jak wygląda w święta kościół w Chica-S

go? - zapytała ją Nora, otulając dziewczynkę ciepłą chustą przed wyjściem na drogę.

Maria pokręciła głową.

-

Nie, nic nie pamiętam - odparła, a Nora uśmiechnęła R

się w mroku. Im mniej Maria pamięta, tym większe prawdopodobieństwo, że zostanie tu z nimi.

Pan Hayes, ojciec Nialla, spokojnego chłopca, któremu często dokuczali koledzy, przyszedł porozmawiać na temat syna.

-

Moja żona mówi, że paru chłopców nie daje mu spokoju. Pani mąż uzna zapewne, że to nie zaszkodzi przysłemu mężczyźnie. Zastanawiam się jednak, czy pani i mnie nie udałoby się osiągnąć lepszego konsensusu? - zapytał.

Uśmiechnęła się. To był typowy dla niego sposób załatwiania spraw: najpierw poszukiwał dróg ugody, nie sięgał od razu po broń dużego kalibru.

Myślę, że Niall powinien się zaprzyjaźnić z Foxym Dunne'em - odparła po namyśle.

Z Foxym? Tym diablem wcielonym z chałup?

Tak. Ale ten chłopak to prawdziwy spryciarz, ma głowę nie od parady. Na pewno wyrwie się stamtąd, nie będzie tkwił wiecznie w bagnie, gdzie podraślał.

Ale w jaki sposób Niall miałby się zaprzyjaźnić z takim typem? Ethel bałaby się cały czas, że zginą jej jakieś srebra.

Foxy niczego nie ukradnie. A dla pańskiego syna byłby dobrym sojusznikiem. Niall jest spokojny, łagodny. Niepo-trzebny mu łagodny przyjaciel pokroju Eddiego. Potrzebuje przy sobie raczej kogoś o charakterze wojownika.

Jak widzę, nie ma dla pani sprawy, której by nie można rozwikłać.

Chciałabym, żeby tak było naprawdę. Chciałabym na przykład wiedzieć, w jaki sposób zatrzymać przy sobie dziecko mojej siostry. Chciałabym wierzyć, że już sam fakt posiadania stwarza korzystną sytuację prawną.

Na to ma pani zbyt etyczne przekonania.

Wydaje mi się, że moja siostra zamierzała odejść od swojego męża. Znalazłam w jej rzeczach listy od adwokata...

Jednak nie wynika z nich wiele.

Z listów nigdy nie wynika wiele - przyznał Bill Hayes jakby z żalem.

S

Westchnęła. To samo co Bill mówili jej przedtem ojciec Gunn i doktor Jims. Nic nie robić. Mieć nadzieję. To dobry znak, że mąż Helen nie zjawił się tu w ciągu pierwszych sze-

ściu miesięcy.

R

Kiedy upłynął rok, Nora nabrała jeszcze większego optymizmu.

Zanim rozpoczęły się uroczystości związane z obchodami Roku Świętego, Maria Kelly stała się członkiem rodziny Kellych oraz społeczności Shancarrig. Jima nazywała „tatusiem”, a Norę „mama No”.

To brzmi trochę jakby po japońsku albo jak imię z „Ma-dame Butterfly” - powiedział Jim do Nory. Od jakiegoś czasu był przeważnie w dobrym nastroju.

Ale dlaczego ona mówi do mnie „mama”? Przecież mu-si jeszcze pamiętać swoją prawdziwą matkę - dziwiła się Nora.

Ale jednak zapomniała już swego ojca - szepnął Jim.

Wieczorne modlitwy Marii dotyczyły całej rzeszy przyjaciół szkolnych, a także kurczaków - teraz już kur - podarowa-nych jej przez panią Barton. Dziewczynka modliła się za wiele różnych osób, takich jak mały Declan Blake, wożony w wózek przez tę dziwną, nieco roztargnioną służącą, Carrie. Maria lubiła Carrie i Declana, często pytała mamę No, czy i oni nie mogliby mieć w domu takiego małego dziecka, z którym potrafiłaby się bawić. Modliła się także za psa Leo Murphy, Jessikę, która złamała sobie łapę, nawet za Foxy'ego Dunne'a, a raczej o to, aby dał jej jedną ze swoich dżdżownic w słoiczku. Z listy tych, za kogo się modliła, zniknęły jednak osoby związane z przeszłością, a zwłaszcza z Lexim.

Niebawem zorientowała się, że w szkole posiada pozycję uprzywilejowaną.

Co by się stało, gdybyś się nie nauczyła tabliczki mnożenia? - zainteresowała się pewnego dnia Geraldine Brennan.

- Czy też byś dostała linijkę po dłoni, jak my wszystkie?

Skądże znowu! - Catherine Ryan jak zwykle była zo-rientowana lepiej niż one. - Ona jest w innej sytuacji. Gdyby chciała, mogłaby się w ogóle nie uczyć.

To niesprawiedliwe! - zaprotestowała Geraldine. - Ja mogę dostawać lanie, bo moi mamusia i tata nie są nauczycie-S

lami, ale tobie wszystko wolno!

Maria Kelly nie lubiła, kiedy ktoś wyrażał się krytycznie o jej tacie lub o mamie No. Dlatego zaczęła się uczyć pilniej niż dotychczas.

R

Idź już spać, kochanie. Zmęczysz sobie oczy - powiedział

Jim Kelly, widząc, że dziewczynka uczy się wiersza przy świetle lampy naftowej.

Muszę nauczyć się go na pamięć, muszę. Jeśli tego nie zrobię, będę musiała być ukarana, bo inaczej zaczęliby gadać w szkole o tobie i mamie!

Tej nocy Jim i Nora długo rozmawiali o niej szeptem. Żad-ne inne dziecko, nawet ich własne, nie dałoby im większej ra-dości i szczęścia, byli tego pewni. Czuli się tak, jakby pięć lat temu, w 1948 roku, otrzymali wspaniały dar od Boga.

Praca Mattie, listonosza, polegała na dostarczaniu do wszystkich domów w Shancarrig wiadomości, dobrych i złych.

Robił to bez zarzutu. Wiedział, kiedy dla rodzin tych, którzy wyemigrowali, przychodzą pieniądze, wiedział też, które listy nie są mile widziane. Każdorazowo, gdy miał wręczyć pani Kelly kolejny list ze stemplem poczty w Chicago, czynił to z pewnym wahaniem.

Ponieważ koperta z pieczętkami amerykańskimi, którą niósł w torbie tego dnia, była większa i grubsza niż zazwyczaj, a także wyglądała bardziej poważnie niż poprzednie, znacznie cieńsze i dość niechlujne, Mattie zapytał, czy mógłby wejść na chwilę i napić się trochę wody. Pani Kelly poczęstowała go filiżanką herbaty.

-

Nie chciałem przeszkadzać... Wpadłem tylko na wszelki wypadek, bo może wieści nie są najlepsze... Wiem, że jest pani dziś sama. Mąż, jeśli się nie mylę, zabrał wszystkie dzieci pod Starą Skałę?

Tak, nie mylił się. Jak co roku w lecie, Jim i tym razem zorganizował wycieczkę. Poszła cała szkoła - łącznie pięćdziesię-

cioro sześcioro dzieci. Ojciec Gunn zwykł towarzyszyć im w tej imprezie, a kiedy stary monsiniar O'Toole czuł się dobrze, zabierał także jego. Monsiniar przywiązywał dużą wagę do tego, aby dzieci nie uznawały Starej Skały za jakieś pogańskie miejsce. Na tym właśnie polega kłopot z pomnika-mi przeszłości pochodzącymi z okresu sprzed świętego Patryka... że ludzie nie utożsamiają ich z Bogiem.

S

Tym razem Nora nie poszła z innymi - no i proszę, jak na złość, nadszedł list z Chicago. Może to dokumenty sądowe?

Drżącymi rękami otworzyła kopertę. Jakieś wycinki z gazet, artykuł o ojcu Marii, Lexim, który otworzył własny sklep, R

piękny sklep mięsny. I jego własnoręczny dopisek: chciałby, żeby córka wiedziała o tym, aby była z niego dumna.

Czy Nora mogłaby pokazać list Marii? I byłoby wspaniale, gdyby Maria odpisała. „To już przecież duża dziewczynka, właściwie dziwne, że nie pisze”. Po przeczytaniu tego zdania Nora ukryła twarz w dłoniach i zapłakała gorzko przy kuchennym stole.

Mattie wyciągnął rękę, pogłaskał ją po ramieniu.

-Wszystko będzie dobrze, pani Kelly. Ona jest pani prze-znaczona - powtarzał w kółko.

Nora wzięła się w garść. Obmyła sobie twarz, poprawiła włosy, założyła swój letni słomkowy kapelusz, wyszła z domu i udała się do The Terrace, gdzie mieszkali doktor Jims Blake oraz Bill Hayes, adwokat.

Nellie Dunne, która akurat wyjrzała zza lady przez otwarte drzwi swojego sklepu, ujrzała dyrektorkę szkoły idącą przez ulicę szybkim krokiem, z zarumienioną twarzą. Może śpieszy do lekarza? Ludzie powiadali, że właśnie wtedy, gdy kobieta przestaje się zamartwiać faktem, iż nie może zajść w ciążę, następuje ów upragniony moment...

Ale nie, Nora Kelly wchodzi na stopnie domu Hayesa.

A więc jej sprawa ma charakter prawniczy, nie medyczny.

Pan Hayes dostrzegł od razu wyraz determinacji na twarzy gościa, zdawał się domyślać, iż chciałaby załatwić wreszcie sprawę odszkodowania.

-Czy coś się stało, pani Kelly? - zapytał łagodnie. - Przecież do tej pory twierdziła pani, że pieniądze nie przywrócą siostrze życia i że dziecko ma wszystko, czego mu trzeba.

-To prawda - przyznała Nora. - Tak właśnie sądziłam do tej pory. Ale teraz uważam, że zależy mi bardzo na otrzymaniu tego odszkodowania. Oddałabym te pieniądze jemu.

-Jemu?

-Jej ojcu. Proszę mi wierzyć, jemu chodzi tylko o pieniądze, o nic innego.

-Ale odszkodowanie jest przeznaczone także dla Marii.

-Oddamy je jemu, jeżeli za to pozwoli nam zatrzymać dziecko.

S

-Noro, Noro... - Zazwyczaj ojciec Nialla nie zwracał się do niej po imieniu. Najwidoczniej był bardzo poruszony.

-Co pan mi chce powiedzieć?

-Chyba to, że nie może pani kupić sobie dziecka.

R

-A ja twierdzę, że to właśnie zamierzam uczynić - odparła z ogniem w oczach.

Znużonym gestem Bill Hayes położył na biurku teczkę z dokumentami. Wspólnie przejrzeni jeszcze raz listy od firmy przewozowej CIE i prawników towarzystwa ubezpieczeniowego oraz kopie własnych pism. Była już nawet uzgodniona wstępnie wysokość odszkodowania. Kwota miała wynosić od 1200 do 2000 funtów; im byłaby niższa, tym wcześniej mogłaby zostać wypłacona. Ale niewykluczone, że teraz mogliby wystąpić o jej podwyższenie, ponieważ upłynęło już sporo czasu.

-Niech pan zaakceptuje to, co oni zaoferują, mister Hayes.

-Proszę mi wybaczyć, ale czy pani małżonek nie...

-Jim też pragnie zatrzymać to dziecko. Pragnie tego nawet bardziej niż ja, jeśli to w ogóle możliwe.

-Nie mamy żadnej gwarancji....

-Wiem. Muszę jednak mieć coś, co mogłabym mu zaoferować. Napisał, że ma teraz własny sklep. Jest z niego dumny jak paw. Nagle zapragnął, żeby Maria napisała do niego...

- Usta Nory zadrżały.

-Może dopiero teraz poczuł, że stoi pewnie na nogach.

Wie pani chyba, jacy są Amerykanie... Najpierw starają się rozkręcić interes...

-Niech pan go nie broni. Patrzyłabym na to inaczej, gdyby wtedy przyjechał natychmiast i zabrał córkę do siebie.

Ale tak, to co innego. Nie może tego zrobić po tych wszystkich latach, kiedy Maria jakby nie istniała dla niego...

-Mogłaby przyjeżdżać tu na wakacje...

Nora Kelly zacisnęła usta.

-Wiem, że chce pan jak najlepiej, mister Hayes, ale nie tak to sobie wyobrażałam.

-W porządku, pani Kelly. Zajmę się wszystkim i uczynię, co tylko możliwe, oczywiście w granicach prawa.

S

Chcesz napisać parę zdań do ojca? - zapytała Nora Ma-rię tego wieczoru.

Mam podziękować mu za wycieczkę pod Starą Skalę? -

Dziewczynka spojrzała na nią zdumiona.

R

Nora zaniemówiła z wrażenia. Najwyraźniej Maria uzna-

ła już Jima za swojego ojca. Mężczyzna, który z taką dumą donosił o swoim sklepie mięsnym, najlepszym w Chicago, przestał dla niej istnieć.

Parę dni później Nora wróciła do tego tematu.

- Dostaliśmy list od twojego taty z Chicago. Chciał, żebyś obejrzała zdjęcia jego nowego sklepu.

Maria spojrzała na wycinki z gazet.

Fe! Popatrz na te nieżywe zwierzęta, które wiszą na ha-kach! - zawołała, krzywiąc się z odrazą.

Taką ma pracę. Podobnie jak tata Jimmy'ego Morris-seya. - Nora najchętniej poprzestałaby na tej jednej próbie, czuła jednak, że powinna zdobyć się na jeszcze jedną. - Po-słuchaj, Mario, mogłabyś chyba wysłać do niego list, napisać, że ma ładny sklep.

-Kiedy to nieprawda! - zachichotała dziewczynka.

Miała już długie, ale nadal kędzierzawe włosy, związane kolorową wstążką. Lubiała książki; wprost pożerała je jedną po drugiej - procentowały teraz długie chwile w dzieciństwie, kiedy przed

zaśnięciem Nora lub Jim czytali jej bajeczki.

Dziś ta dziesięcioletnia dziewczynka, wysoka, opalona i silna, uradowałaby każdego jako jego córka.

Ale on chciałby znaleźć w liście coś w tym stylu - nalegała Nora.

Nawet jeśli to nie jest prawda? - Maria ponownie przy-sunęła do siebie wycinki z prasy i skierowała wzrok na zdję-

cie wysokiego, przystojnego mężczyzny przed witryną sklepu.

-To on? - zapytała.

-Tak.

Wyglądała teraz na zakłopotaną, w jej ciemnoniebieskich oczach zamigotał niepokój.

-

Co mam napisać?

Co chcesz. To, co ci przyjdzie do głowy. Nie mogę przecież tego dyktować.

Wiem, ale... naprawdę nie wiem, o czym miałabym pi-sać. Czuję się dziwnie, kiedy myślę... o tym wszystkim.

S

Nora objęła ją ramieniem.

-Wszystko będzie dobrze, skarbie. Możesz być tego pewna.

Dziewczynka odsunęła się trochę; emocje okazały się dla R

niej za silne.

No dobrze. Okay, napiszę coś. Może tak: wyglądasz wspaniale i bogato?

Och, nie, Mario. Tylko nie to! Wymyśl coś innego!

Nie potrafię, mam, naprawdę. Chyba jednak będziesz musiała mi coś podyktować.

Chyba tak - przyznała Nora.

Ich listy były utrzymane w tonie grzecznym i kurtuazyj-nym, lecz dość oficjalnym, nie mówiły nic o życiu w Shancarrig ani o Kellych, którzy praktycznie byli teraz rodzicami Marii.

Nora obserwowała z satysfakcją, jak pobieżnie i bez specjalnego zainteresowania dziewczynka

przeogląda pompatycz-ne odpowiedzi, jakie nadchodzi z Chicago. Każda z nich zaczynała się od zwrotu: „Droga córeczko Mario”.

Ten człowiek miał niewiele do powiedzenia.

On chyba ukrywa jakąś tajemnicę - powiedziała kiedyś Maria. - Czy wiadomo coś na jego temat?

Ależ kochanie, on niczego nie ukrywa. Skąd ci to przyszło do głowy?

Bo nigdy o nim nie rozmawiamy. I nikt inny nie ma ojca, który mieszka tak daleko.

Nieraz o nim rozmawiamy. Pisujemy do niego. I na pewno nie wiąże się z nim żaden sekret. - Nora nie chciała, aby Lexiego otaczał jakikolwiek nimb tajemniczości.

O czym teraz do niego piszesz, mamie No?

O interesach, kochanie.

O handlu mięsem? - zapytała Maria, nie kryjąc zdumienia.

Nie, o sprawach natury prawniczej. Wiesz, po tym wypadku z twoją mamą...

A dlaczego musisz o tym pisać?

Och, po prostu na biurokrację nie ma rady. Takie tam formalności... - Nora starała się nie powiedzieć zbyt wiele.

Maria przestała się już interesować tym tematem. Wolą teraz opowiedzieć mamie No o pannie Ross.

Widziałam ją rano, jak wchodzi na drzewo - poinformo-

wała i zachichotała na samo wspomnienie tamtego widoku: zawsze tak elegancka panna Ross postawiła nogę na dolnej gałęzi i wspięła się wyżej.

Nonsens! Zdawało ci się!

R

Wcale nie. Wyjrzałam właśnie przez okno, była szósta ra-no. A ona weszła na dziedziniec przed szkołą. Przysięgam, że tak było.

A co, na Boga, robiła tam o tak wczesnej porze?

Nie wiem, w każdym razie widziałam ją. Wracała z lasu Barna.

Chyba przeczytałaś za dużo książek. Teraz nie odróż-

niasz już, co jest prawdą, a co fantazją.

Po tych słowach Nora pokręciła głową. Co za pomysł! Panna Ross miałaby się wspinać po pniu buku! Bzdura!

-Panno Ross?

-Tak, Mario.

-Panno Ross, czy wczoraj rano wspinała się pani na tamto drzewo?

-Twarz panny Ross poczerwieniała.

-Co takiego?

- Bo... bo... powiedziałam o tym mamie No, a ona na to: nonsens.

-Bo tak jest naprawdę, Mario. To nonsens.

Panna Ross odwróciła się i odeszła.

Nora usłyszała tę rozmowę. W głosie młodej nauczycielki zabrzmiała dziwna nuta, która ją zaintrygowała.

- Myliłam się co do panny Ross - powiedziała Maria.

- Może zawiniła tu gra światła. O wschodzie promienie słoń-

ca tworzą rozmaite cienie - odparła Nora.

Obie wymieniły spojrzenia i nagle Maria odniosła wrażenie, jakby Nora wiedziała, że to wcale nie było złudzenie. To wydarzyło się naprawdę.

- Nie podziękowałem jeszcze za wspaniałą radę odnośnie do tego Foxy'ego Dunne'a - powiedział do Nory przy kolejnym spotkaniu pan Hayes. - Ten młody diabeł nauczył już Nialla, jak łapać króliki. Syn schwytał własnoręcznie sześć.

Samce. Foxy pokazał mu też, jak z nimi postępować.

Nora parsknęła śmiechem.

-Ciekawe, czy jest coś, na czym ten chłopak się nie zna.

Pan Hayes wyjrzał przez okno na ogródek za domem.

S

Proszę popatrzeć. Foxy pokazał też Niallowi, jak zbudować porządną klatkę dla królików. Zrobił to

bardzo fachowo, a przecież jest jeszcze bardzo młody.

-Zawsze powtarzam, że zajdzie daleko. - Wiedziała, że R

wizyty w The Terrace mają na Foxy'ego pozytywny wpływ.

Przychodził porządnie uczesany i z czystymi rękami, chociaż nikt od niego tego nie wymagał. Naśladowując gospodarzy, nauczył się jeść powoli. Był naprawdę bystrym obserwatorem.

Nora lubiła rozmawiać z Billem Hayesem. Ludzie, którzy nie znali go bliżej, uważali, że jest zbyt powolny i drobiazgo-wy. Ona jednak wiedziała, że życie u boku Ethel Hayes, któ-

ra nie śmiała się od dawna, nie jest usłane różami. Najważ-

niejsze, że okoliczni mieszkańcy, którzy powierzyli swoje sprawy Billowi, mogą spać spokojnie, pewni jego umiejęt-ności i dyskrecji. I że - tak jak ona teraz - usłyszą od niego zawsze dobrą poradę, najlepszą, jaka istnieje.

-No, ale wiem, że nie przyszła pani rozmawiać ze mną o królikach lub ich klatkach. Trochę się zaniehbuję, jak wi-dzę. - Wrócił za biurko i wziął do ręki jakieś dokumenty. -

Otrzymaliśmy od nich nową ofertę... Cieszę się, że mogliby wreszcie zamknąć tę sprawę, po niemal sześciu latach.

-Jak brzmi ich propozycja?

-Tysiąc trzysta funtów. Możemy się...

-Zgadza się. A to oświadczenie Jima. On też wyraża zgodę. To na wypadek, gdyby pan sądził, że działał na wła-sną rękę.

-Ależ... skądże znowu! - Wziął jednak oświadczenie.

-Kiedy dostaniemy pieniądze?

-Za tydzień. Może dwa.

-A jaki według pana powinien być podział procentowy?

Ile dla niego i ile dla Marii?

-Moim zdaniem połowa winna być dla niej, abyśmy mogli zainwestować...

-Pewnie pan wie, co zamierzamy zrobić z jej częścią, nieprawdaż?

-Owszem. I muszę powiedzieć, że z państwa strony było-by to posunięcie bardzo nierozsądne. Zastanawiam się, czy je-

Śli dziewczynka naprawdę zostanie u państwa, będzie w przyszłości zadowolona, że nie otrzymała należnego jej spadku?

Ale Nora nie chciała tego słuchać. Jeszcze dziś wysłała wiadomość do Chicago, to już postanowione.

Poszła na pocztę po znaczek, a Katty Morrissey, siedząca w okienku, spojrzała na nią zdumiona.

-Co za zbieg okoliczności! Właśnie pół godziny temu nadszedł dla pani telegram. Wysyłałam już z nim Mattiego...

Nora poczuła, jak oblewa ją fala chłodu. Jej ręka drżała, kiedy na oczach Katty Morrissey i Nellie Dunne, zawsze obecnych tam, gdzie zapowiadała się jakaś sensacja, otwierała kopertę. Po chwili czytała wiadomość: Lexi przyleci w piątek rano na lotnisko Shannon, u nich będzie po południu.

-Podać pani szklankę wody, pani Kelly?

- Nie, dziękuję, panno Dunne. - Nora zebrała resztki sił

i wyszła z powrotem na ulicę. Była pewna, że Nellie i Katty przekażą wkrótce wszystkim ciekawskim w Shancarrig sensacyjną nowinę: dobry okres w życiu nauczycielki dobiega końca, ze Stanów Zjednoczonych przyjedzie niebawem prawdziwy ojciec Marii, aby zabrać ją do domu.

-Nie wygląda pani najlepiej, pani Kelly. - Maddy Ross wyłoniła się za nią jakby spod ziemi, kiedy w drodze powrotnej do domu weszła na most.

-Ani pani, panno Ross - odparowała Nora. Wiedziała, że nie może liczyć na zrozumienie ze strony tej młodej nauczycielki, która ma jeszcze przed sobą całe życie - życie u boku męża, z gromadką własnych dzieci.

-Jestem po prostu trochę zmęczona. Nie sypiam nocami.

Dużo spaceruję po lesie. To pomaga zebrać myśli. - W jej spojrzeniu było coś dziwnego, niemal szaleńczego.

-Jim powtarzał stale, że dla Shancarrig to bardzo ważne, aby panna Ross nadal pracowała w szkole. Dostawała niewielką pensję, na większą ministerstwo nie wyraziłoby zgody. Nikt prócz Maddy Ross, która miała dom i matkę z własnymi zasobami pieniężnymi, nie mógłby wyżyć z tego, co przekazywano jej każdego miesiąca w kopercie.

Jednak chwilami Nora odnosiła wrażenie, jakby pannę Ross cechowały trzpiotowatość i lekkomyślność obce nawet najbardziej rozdokazywanym czternastolatkom w szkole. Niejednokrotnie też wydawało jej się - Boże, wybacz grzesznej!

- że panna Ross flirtuje z młodym ojcem Barrym. Nora zachowała to spostrzeżenie tylko dla siebie, nie zwierzyła się nawet Jimowi.

-Czy nie sądzi pani czasem, że świat pęka z nadmiaru S

szczęścia? - zapytała Maddy parę metrów dalej.

Nora Kelly, która nie miała teraz chęci na tego typu rozmowę, odparła zwięźle, że nie zastanawiała się nad tym, zwłaszcza dziś. I jeśli panna Ross nie ma nic przeciw temu, ona wo-

łaaby teraz pomyśleć o swoich sprawach.

Zauważyła, że Maddy Ross skuliła się jak kopnięte zwierzę.

Trudno. Z tą młodą nauczycielką może przecież porozmawiać kiedy indziej. Teraz musi się zająć sprawą, która wisi nad nią jak zmora od chwili śmierci Helen: przyjazdem szwagra, który chciałby zabrać swoją córkę z Shancarrig do domu.

Szła jak we śnie. Nigdy przedtem nie miała tego dziwnego uczucia, jakby opuściła własne ciało i przyglądała się samej sobie z pozycji drugiej istoty.

Kiedy Jim wszedł do kuchni, Nora siedziała bez ruchu przy stole. Ujrzał telegram i natychmiast domyślił się, co zawiera.

-Kiedy przyjeżdża? - zapytał tylko.

-W piątek.

-Och, Noro! Kochanie, co my teraz zrobimy?

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał jak dziecko.

Siedziała tak, głaszcząc go po ramieniu i rozważając po kolei możliwości, jakie im pozostały. Wyjechać z Shancarrig i ukryć się gdzieś? Nie, to bez sensu, Lexi mogłby wysłać za nimi policję. Skłamać, że Maria zachorowała i nie może teraz odbyć tak dalekiej podróży? Poprosić pana Hayesa, aby wynajął dla nich w Dublinie najlepszego prawnika, który poprowadziłby sprawę w sądzie i uzyskał wyrok uniemożliwiający wywiezienie Marii za granicę? Żadna z tych możliwości nie rokowała nadziei na sukces.

A gdyby poprosić Marię, aby go ubłagała? Nie, nie wolno wciągać dziecka w takie rozgrywki.

Z drugiej strony, może dla Marii byłoby to jednak najlepsze rozwiązanie? Wygodne życie w Ameryce. Mnóstwo kuzynów, liczna rodzina, gościnny dom... Tak jakby te pięć lat, jakie upłynęły, odkąd w 1948 roku wsiadła do samolotu na lotnisku w Chicago, stanowiły jedynie krótką przerwę w jej prawdziwym życiu.

W końcu uznali, że w tej konkretnej sytuacji są zupełnie bezsilni. Muszą poczekać do piątku, zobaczyć, co się zdarzy.

S

Kiedy pokazywali telegram Marii, byli już opanowani przynajmniej na tyle, aby mówić bez okazywania emocji.

-Czy on chce mnie stąd zabrać? - zapytała Maria.

R

-Nie znamy jego planów. Napisał, że przyjeżdża z wizytą.

Nie dodał nic więcej.

-Nie chcę stąd wyjeżdżać.

-Kochanie, tak nie można - szepnął Jim.

-A jak można? - zawołała i spojrzała na nich roziskrzonym wzrokiem. Dopiero teraz dostrzegli, jak bardzo stała się samodzielna i stanowcza. - Mój dom jest tutaj. Jesteście moimi rodzicami. Nie chcę wyjeżdżać z kimś, kogo nawet nie pamiętam. Z człowiekiem, który nie przyjechał po mnie, kiedy zginęła moja matka.

-Nie mógł tego zrobić. A ty nie powinnaś robić sobie z niego wroga.

-Ale ja nie chcę się z nim spotkać. Ucieknę!

-Nie, Mario, proszę. Nie rób tego, nie mogłabyś postąpić gorzej.

-A jak powinnam postąpić?

-Przede wszystkim porozmawiać z nim. Powiedzieć, że czujesz się tu jak w prawdziwym domu. I że my jesteśmy jak twoi... jak twoi krewni.

-Rodzice - poprawiła z naciskiem.

-To mu się nie spodoba - pokręciła głową Nora.

-A mnie nie obchodzi, co mu się spodoba. Dlaczego mia-

łabym go prosić o zgodę na to, żebym została w swoim do-mu?

-Bo w życiu nie wszystko jest proste, a ty masz dopiero dziesięć lat.

Maria zerwała się z miejsca i pobiegła przed siebie, w stronę lasu Barna.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, była bardzo milcząca.

I blada. Nora, która potrafiła wyczytać wszystko z jej twarzy, zorientowała się, że przyczyną jej wzburzenia jest coś nowego, nic, co by się wiązało z piątkową wizytą gościa z Ameryki.

-Co cię tak przeraziło?

-Nic się przed tobą nie ukryje, mammo No.

Zobaczyłaś coś?

S

-Tak. - Zwiesiła głowę.

Policzki Nory pałały. Jak to możliwe, aby życie było tak okrutne! Z pewnością ktoś w lesie obnażył się przed tym dzieckiem!

-Powiedz, co się stało.

R

-Nie mogę. Nie uwierzyłabyś mi.

-Ależ tak! Zawsze ci wierzę.

-Widziałam, jak panna Ross całuje się z ojcem Barrym. -

Wyrzuciła to z siebie jednym tchem.

Momentalnie Nora uświadomiła sobie, że Maria nie kłamie. A więc coś takiego dzieje się niemal pod jej nosem!

Sługa boży i asystentka nauczycielki!

Ale wymowa tego skandalu i świadomość, że należy ja-koś taktownie poinformować o wydarzeniu ojca Gunn, uwzględniając ewentualne komplikacje... wszystko to bladło w porównaniu z szokiem, jaki przeżyła Maria.

-Pamiętasz, jak mówiłaś mi, że panna Ross wspinała się na drzewo? Początkowo myślałam, że fantazjujesz, ale później zrozumiałam, że mówisz prawdę. I wierzę ci również teraz, Mario. Ale w tej chwili mamy inne sprawy na głowie. A więc odłóżmy to na potem, gdy wyjaśnimy już inne kwestie.

Przyjdzie czas, że porozmawiamy o tym, ty i ja. Ale na razie nie mówmy o tym nikomu, pamiętaj: nikomu. Najpierw trzeba będzie wszystko wyjaśnić.

-Nie oddawajcie mnie tacie Lexiemu.

-Musisz być grzeczna i silna, kiedy on tu przyjedzie. Bę-

dę przy tobie. Zapytamy go, czy mogłabyś dzielić swój czas między nas i niego. Czy nie byłoby wspaniale? Dwa różne kraje. Dwa kontynenty. I wszędzie chcą cię zatrzymać. Nie każde dziecko ma tak dobrze.

-Czy to się uda?

-Tak - odparła Nora. Wiedziała, że nigdy dotąd nie mówi-

ła z takim przekonaniem o czymś, czego wcale nie jest pewna.

Jakimś cudem przeżyli te cztery dni dzielące ich od piąt-ku.

Ludzie okazywali im wiele życzliwości, co było zgodne z ich oczekiwaniami, ale także wiele taktu, co ich z kolei zaskoczyło. Wszyscy udzielali im praktycznej pomocy.

Pani Ryan przejrzała dla nich rozkład lotów i wyliczyła, o której ich gość może przyjechać do Shancarrig. Prawdopo-S

dobnie w porze lunchu. W takim razie, jak zaproponowała, mogliby zjeść lunch od razu w hotelu, w osobnym pokoju.

Pan Hayes zaoferował się, że omówi z nimi szczegółowo wszystkie punkty umowy, doradzając zarazem najlepsze rozR

wiązania.

Doktor Jims przyniósł im tabletki nasenne - na wypadek gdyby mieli bezsenność.

Leo Murphy, córka majora z The Glen, powiedziała, że Maria mogłaby przyjść do nich i pograć z nią w piłkę na korcie tenisowym, jeśli zechce.

Młody ojciec Barry, patrząc oczyma rozognionymi szczerym entuzjazmem, zapewnił, że Bóg jest przede wszystkim Bogiem miłości i otworzy serce tego człowieka, aby mógł on wejrzeć w miłość państwa Kelly do Marii.

Nora Kelly wolała nie myśleć zbyt intensywnie o Bogu mi-

łości w interpretacji ojca Barry, ale podziękowała mu za te słowa.

Ojciec Gunn przypomniał im, że katolicyzm polski otacza szczególną czcią Matkę Boską.

Proponował, aby pani Kelly pokazała swojemu gościowi wiszącą na ścianie tabliczkę pa-miątkową, która informowała, iż szkoła jest poświęcona Naj-

świętszej Pannie.

Foxy Dunne oświadczył, że skoro zaistniał problem, on i jego bracia znają paru energicznych twardzieli, którzy mogliby wkroczyć w razie potrzeby do akcji. Jim Kelly ze szczególnie surową miną odrzucił tę ofertę, ujął jednak młodzień-

ca pod ramię i nazwał go „wspaniałym facetem”.

Eddie Barton wpadł na genialny pomysł, który przedstawił matce: oto w okolicy pojawią się teraz, jak co roku, Cyganie. Mogliby porwać Marię, a potem, kiedy już ten człowiek wyjedzie z powrotem do Chicago, oddać ją państwu Kelly.

Pani Barton poprawiała dla pani Kelly jej najlepszą suknię z koronkową lamówką z przodu, na kołnierzyku i man-kietach.

Powtarzam słowa syna tak na wszelki wypadek. Może ten pomysł nie jest zły - dodała z ustami pełnymi szpilek.

Nich was Bóg błogosławi - odparła Nora, patrząc na swoją bladą twarz w lustrze.

Pod wieloma względami nastrój w Shancarrig przypominał sytuację z westernu, kiedy to mieszkańcy miasteczka cze-

kają z zapartym tchem na przybycie rewolwerowca. U wylotu drogi stał Mattie, listonosz, ze swoim nieodłącznym rowe-rem. W napięciu wpatrywał się przed siebie. Sierżant Keane siedział na parapecie okiennym obok przystanku autobuso-

wego, tylko chwilami rzucając jakieś słowo do Nellie Dunne, która wyszła zza swojego kontuaru i stanęła na progu.

Morrisseyowie ze sklepu mięsnego wychodzili raz po raz na ulicę, a Breda Ryan z hotelu wydawała się tego dnia szczególnie zaaferowana i zabiegana, co zmuszało ją do ustawicz-nego krzątania się przy drzwiach wejściowych.

Nikt z nich nie przyznałby oczywiście, jakie są prawdziwe pobudki tego niecodziennego poruszenia, nie uszło też uwagi nikogo, że firanki w plebanii drżą lekko, gdyż przy jednym oknie stoi pani Kennedy, a przy drugim ojciec Gunn...

ale wszyscy oni po prostu czekali.

O pojawieniu się tego człowieka miano natychmiast powiadomić Kellych, nie przypuszczano jednak, że przyjedzie samochodem osobowym. Ponieważ zaś było to zwykle niepo-zorne auto, a nie jakiś ogromny krążownik szos, na przykład cadillac, nikt się nie zorientował, w którym momencie Lexi wjechał do Shancarrig i zaczął się rozglądać, szukając budynku szkoły.

Nie dostrzegł go jednak w centrum ani w pobliżu kościoła, skręcił więc w stronę Grane i po chwili zatrzymał się pod olbrzymim czerwonym bukiem, za którym wznosił się jednopię-

trowy budynek z napisem: Szkoła Powszechna w Shancarrig.

Parę metrów dalej stał niewielki dom Jima i Nory Kellych. Oboje czekali na wiadomość o przyjeździe gościa; z pewnością nie spodziewali się jeszcze jego samego.

Był wysoki i przystojny, miał jasne kędzierzawe włosy i ciemnoniebieskie oczy. Liczył sobie z pewnością nie wię-

cej niż trzydzieści sześć, może trzydzieści siedem lat, ale sprawiał wrażenie znacznie młodszego i wyglądał jak gwiazdor filmowy.

Nora i Jim stanęli na progu ramię w ramię, jakby chcieli w ten sposób dodać sobie wzajemnie sił. Spoglądali na przybysza.

- Jestem Aleksander - odezwał się pierwszy. - Nora i Jim, czy tak?

- Witaj w Shancarrig - powiedziała Nora. Miała nadzieję, że uśmiech na jej twarzy wygląda na szczery.

S

-A gdzie moja córka Maria?

-Jest u koleżanki. Pomyśleliśmy, że tak będzie najlepiej.

Ale zaprowadzimy cię do niej, kiedy tylko zechcesz. - Jim mówił nienaturalnie głośno, aby zamaskować swój lęk i zde-

nerwowanie.

-Gdzie jest dom tej koleżanki?

-Niedaleko. Dziesięć minut pieszo, a samochodem dwie, może trzy minuty stąd. Nie przejmuj się. Ona tam jest i wie, że przyjechałeś - odparł Jim. Wydało mu się, że w głosie Lexiego zabrzmiała nuta nieufności.

-Doszliśmy do przekonania, że będzie uczciwiej nie mó-

wić z nią w jej własnym domu... to znaczy, w domu, który uważa za własny... - Nora rozejrzała się po ścianach kuchni małego domku, w którym spędziła wszystkie lata swojego małżeństwa.

-Mówić z nią?

-Tak, porozmawiać z nią, poznać bliżej. Jakkolwiek to nazwiesz.

-To dobrze, że Marii nie ma teraz tutaj. Mogę usiąść?

Oboje jednocześnie podsunęli mu krzesło.

-Napijesz się herbaty? A może whisky? - zapytała Nora.

- Wprawdzie miejscowa nauczycielka powinna świecić przykładem i unikać alkoholu, ale kupiłam butelkę dobrej irlandzkiej whisky.

Uśmiechnął się. Lexi, człowiek, który przyjechał odebrać im Marię, uśmiechał się, jakby był ich przyjacielem

-Do tego, aby powiedzieć, co mam do powiedzenia, przyda mi się łyk czegoś mocnego.

Z bijącym sercem Jim napełnił trzy kieliszki. Nie wznosił

żadnego toastu.

-Zenię się znowu - oświadczył Lexi. - Z Polką. Na imię jej Karina. Jej ojciec ma sklep mięsny, tak jak ja. Niedługo stworzymy spółkę, połączymy oba sklepy. Karina jest młodsza ode mnie. Ma dwadzieścia dwa lata.

-Tak, tak. - Nora wstrzymała oddech, czekała w napięciu na dalsze słowa.

-Powiem wam prawdę. Będzie lepiej dla naszego małżeń-

stwa, jeśli Karina i ja utworzymy naszą rodzinę... od począt-ku, tak jak to często bywa. Najpierw poznamy się lepiej, potem przyjdą na świat nasze dzieci...

Poczuła nagle, że zaczyna jej brakować tchu. Ścisnęła S

szklankę tak mocno, że omal nie rozprysnęła się w jej dłoni.

-I co w związku z tym? - zapytała.

- I pomyślałem w związku z tym, że może... jeśli Maria czuje się tu szczęśliwa... może wolałaby zostać tutaj... Ale R

z drugiej strony... może to nie w porządku, gdybym zostawił

ją u was... Macie przecież swoje życie... a i tak byliście dla niej bardzo dobrzy tyle lat...

Łzy ciekły po twarzy Nory, ona jednak nie próbowała ich nawet otrzeć ręką.

Lexi mówił dalej:

-Dowadywałem się od dawna o sprawy finansowe, bo chcę, abyście mieli pieniądze, opiekując się Marią. Pytałem parę razy, ale nie dawaliście mi żadnej odpowiedzi. Bałem się, że nie macie

pieniędzy, bałem się też przesłać je wam, że-byście nie pomyśleli, że chcę was przekupić...

Jim zerwał się na równe nogi.

-Och, Lexi, zatrzymamy ją tu z całego serca! Zawsze bę-

dzie dla nas jak rodzona córka! I będzie cię odwiedzać, kiedy tylko zechcesz...

-Może staniesz się dla niej wujkiem Lexim, zamiast ta-tą Lexim? - odezwała się Nora. Nie wiedziała nawet, skąd wzięła siłę, aby wypowiedzieć słowa, jakie chciał usłyszeć Lexi.

Jego twarz pojaśniała.

-Tak, tak - podchwycił skwapliwie ten pomysł. - Chyba nawet byłoby lepiej, gdyby Karina widziała w niej nie córkę, lecz kuzynkę - bo przecież tak właściwie jest.

Kątem oka Nora dostrzegła przy buku na dziedzińcu szkolnym czyjąś postać. To Foxy Dunne. Czaił się, niczym drapież-

nik przed skokiem na ofiarę. Dostrzegł już samochód i od razu domyślił się, kto nim przyjechał.

-Foxy! - zawołała. Podszedł bliżej, patrząc spode łba na przybysza jak na śmiertelnego wroga. - Foxy, mógłbyś coś dla nas zrobić? Maria jest u Leo Murphy. Idź do niej, powiedz, żeby przyszła do domu. I że wszystko w porządku.

-Do The Glen jest dosyć daleko - zaprotestował nieoczekiwanie Foxy.

-To tylko dziesięć minut! - obruszył się Jim.

-Byłoby lepiej, gdybym mógł do niej podjechać tym autem. - Obrzucił wzrokiem kluczyki od stacyjki, leżące na sto-

le.

-A ile masz lat? - zapytał Lexi.

-Prowadziłem już nie takie auta. To nic trudnego.

-Ma trzynaście i pół - poinformowała Nora.

R

-A więc jest wystarczająco dorosły - orzekł Lexi. - Ale uważaj na samochód, nie zadrap go gdzieś. Jeszcze dziś mu-szę odstawić go z powrotem na lotnisko Shannon. - Rzucił

chłopcu kluczyki.

-Dziś! A więc wraca do swojego nowego życia jeszcze dziś!

Bez Marii!

Blask słońca wpadał do kuchni cały czas, kiedy siedzieli i rozmawiali jak starzy przyjaciele o przeszłości i przyszłości

- dopóki do domu nie wbiegła Maria, blada z emocji po szaleńczej jeździe. Foxy objechał z nią trzykrotnie całe Shancarrig, nie chcąc rozstawać się z samochodem zbyt szybko, ale potem dostrzegł sierżanta Keane i wcisnął pedał gazu do oporu, aby nie wpaść policjantowi w oko i odwieźć Marię do domu.

Nora objęła dziewczynkę ramieniem.

-Pogadaliśmy tu sobie, kochanie - powiedziała. - To jest Lexi, właściwie wujek Lexi. Jeszcze dziś wraca do Ameryki, ale przedtem chciał się z tobą zobaczyć, poznać trochę lepiej.

Maria patrzyła na nich szeroko otwartymi oczyma, pró-

bując pojąć sens tych słów.

-Chciał cię zobaczyć, zanim wróci do Chicago, zostawiając cię z nami. Bo doszliśmy do przekonania, że tego właśnie chcesz - dodała Nora. Niedawno obiecała Marii, że wszystko będzie w porządku. Teraz okazało się, że dotrzymała słowa.

S

R

Nessa

W hotelu Ryanów głową domu była pani Ryan. Wiedzieli o tym wszyscy. I bardzo dobrze, że tak się rzeczy miały, gdyż w przeciwnym razie, to znaczy gdyby żoną Conora została jakaś potulna myszka, dom już dawno zszedłby na psy.

Ale Conor Ryan, poślubiając Bredę O'Connor, z pewno-

ścią nie wiązał się z potulną myszką. Ta drobna i szczupła dziewczyna o bystrych oczach i czarnych lśniących włosach była daleką kuzynką Ryanów. Poznali się na weselu jakiegoś członka rodziny. Conor wyznał jej, że zamierza wyjechać do Anglii i zaciągnąć się do wojska. Był gotów na wszystko, byle tylko uniezależnić się od rodziców, którzy w tej zapadłej dziurze prowadzili mały hotelik.

-Ale dlaczego chcesz służyć w armii? - zapytała Breda. -

Przecież gdyby wybuchła wojna, mógłbyś zostać zabity!

Conor dał jej do zrozumienia, że nie ma wyboru: albo to, albo utknąć u rodziców.

Chyba nie są aż tak źli.

S

Właśnie że są. Ich dom jest jak arka. Nie, arka była bezpieczna i sucha, ludzie nie chcieli z niej uciekać. A ten dom przypomina kostnicę.

Więc dlaczego nie zrobisz nic, żeby coś w nim zmienić?

R

Mam dopiero dwadzieścia trzy lata, nie daliby mi wolnej ręki - wyjaśnił.

Niedługo potem Breda O'Connor postanowiła wydać się za niego. Kiedy Wielka Brytania wypowiedziała wojnę III Rzeszy, oni byli już zaręczeni.

No i jak, nie cieszysz się, że nie pozwoliłam ci zaciągnąć się do wojska? - zapytała Breda.

Jeszcze nie wiesz, co to znaczy mieszkać razem z moimi rodzicami - odparł. W jego głosie zabrzmiała wyraźnie rezygnacja, z której ona postanowiła go wyleczyć.

Niebawem się dowiem - powiedziała z zapalem. - Zobaczysz, jak to wszystko rozbudujemy.

Kiedy przybudówka została przekształcona w niewielkie mieszkanie dla przyszłych nowożeńców, ojciec Conora orzekł, że jego syn znalazł sobie na żonę osobę nader rozrzutną, przekonaną, iż oni śpią na pieniądzech.

Matka Conora oświadczyła, że nie pozwoli, aby w sprawy domu wtrącała się jakaś młoda dziwaczka, która sądzi, iż po-zjadała wszystkie rozumy, gdyż ukończyła odpowiednie kursy. Conor nie przekazał tych opinii swojej narzeczonej, uznał, że sama pozna prawdziwą naturę jego rodziców, kiedy przyjdzie na to pora.

Jednak tak naprawdę Breda nigdy się nie dowiedziała, jak bardzo państwa Ryan irytuje jej obecność w tym domu, a zwłaszcza fakt, iż zostanie żoną ich jedyne go syna.

Zimą 1939 roku w kraju rozszalała się epidemia grypy, której ofiarą padli rodzice Ryana.

Dwa tygodnie po ślubie Conora z Bredą ci sami parafianie zebrali się w kościele po raz drugi - na podwójną ceremonię: pogrzeb rodziców pana młodego.

Wielu ludzi kiwało głowami. Taka młoda dziewczyna i od ra-zu tyle problemów! Nie ma łatwego startu! To przecież taka kruszyna! Będzie się musiała nieźle natrudzić, żeby wykrzesać z Conora choć trochę energii i zmobilizować go do działania.

Z pewnością są to już ostatnie chwile hotelu w Shancarrig.

Mylili się jednak - jak nigdy dotąd.

S

Breda Ryan natychmiast przejęła kontrolę nad wszystkim. Zaczęła jeszcze w dniu pogrzebu. Zapewniła żałobników, że w barze hotelowym dostaną lepsze drinki niż w pubie Johnny'ego Finna, dokąd chcieli się udać ze względu na szar

cunek należny zmarłym.

-Najlepszy sposób, aby okazać im szacunek, to złożyć wizytę w naszym hotelu - powiedziała Breda.

Jeszcze przed upływem tygodnia dała wszystkim do zrozumienia, że nie chce, aby mówiono o niej „młoda pani Ryan”.

- Matka mojego męża spoczywa już w spokoju, gdyż Bóg powołał ją do siebie, a skoro nie ma jej tutaj, ja jestem teraz panią Ryan - oświadczyła.

I tak się też stało. To ona była odtąd panią Ryan z hotelu w Shancarrig, jednego z trzech elementów tak zwanego „serca miasteczka”: w jego skład prócz hotelu Ryanów wchodzi-

ły jeszcze The Terrace, gdzie mieszkali miejscowi bogacze, jak doktor i pan Hayes, prawnik; oraz ciąg sklepów, takich jak spożywczy, należący do Nellie Dunne, drogeria pana Con-nora, artykuły żelazne Dunne'ów, mięsny i tekstylny.

Hotel nie był zbyt imponujący, ale porządny, utrzymany w tonacji ciemnego brązu. Podłogi pokrywało linoleum, w każdym pokoju mieścił się masywny dębowy kominek, na ścianach wisiały obrazy w solidnej ciemnej oprawie; wśród nich romantyczne scenki rodzajowe z mężczyznami w surdu-tach dość egzotycznych jak na Shancarrig lub nawet tutejsze hrabstwo, z galanterią oferującymi swe ramię damom w równie nietypowych strojach.

W hallu przeważały obrazy o tematyce religijnej. Przed jednym z nich, który przedstawiał Najświętsze Serce Jezusa, wisiała mała czerwona lampka. W kredensach w hallu i pokoju stołowym stały naczynia ze szkła, nigdy nie podawane do stołu, a także porcelana z Belleek.

Pani Ryan miała ambitne plany dotyczące zmian i przebudowy hotelu, ale najpierw musiała przyciągnąć gości.

Zadbała o to, aby zapach z kuchni nie rozchodził się na hall; w tym celu zawiesiła na progu grube zasłony. Obok la-dy recepcyjnej umieściła oszkloną tablicę informacyjną, gdzie zamierzała wywieszać anonse o koncertach i innych imprezach organizowanych w pobliskich miejscowościach.

Pragnęła uczynić z tego hotelu centrum życia w Shancar-S

rig, miejsce, gdzie każdy mieszkaniec mógłby liczyć na komplet interesujących go informacji, również dotyczących rozkładów jazdy autobusów i pociągów. Miało to zachęcić turystów do złożenia choćby krótkiej wizyty w barze, oferu-R

jącym drinka lub kawę.

Zaledwie zaczęła realizować swoje dalekosiężne plany, zorientowała się, że jest brzemienna.

Pierwsze dziecko, dziewczynka, przyszło na świat w 1940

roku. Poród odebrał doktor Jims, gdyż była to noc, a doktor Nolan czuł się już zbyt stary, aby wyjeżdżać do pacjentów o każdej porze.

-Śliczna córeczka - powiedział doktor Jims. - Czy takie było pani życzenie?

Roześmiała się.

Prawdę mówiąc, nie. Chciałam syna, silnego syna, który potem poprowadziłby hotel.

Cóż, jakiś czas ona będzie mogła się tym zajmować, do-póki nie zjawi się braciszek.

Nie, to zbyt ciężkie życie jak na kobietę. Dla Vanessy znajdziemy inną pracę. - Przytuliła dziecko do serca.

Ach, więc takie dostanie imię... Vanessa!

Conor Ryan podał doktorowi kieliszek brandy, po czym obaj - mimo iż była 4.30 nad ranem - usiedli w barze, aby wy-pić za nowe życie w Shancarrig.

Za Vanessę! Żeby dożyła roku 2000! - powiedział doktor Jims.

Wtedy będzie miała dopiero sześćdziesiąt lat! Dlaczego życzy jej pan tak krótkiego życia? - obruszył się świeżo upieczony tatuś.

Od samego początku wszyscy mówili do niej „Nessa” i nie zdołała tego zmienić nawet jej matka, kobieta o niezwykle silnej woli. Potem urodziła się Catherine, a trzecia z sióstr otrzymała imię Nuala. Nie przyszedł na świat ów silny chłopiec, który mógłby potem przejąć prowadzenie hotelu. Ale zanim Ryanowie uświadomili sobie, że nigdy nie będą mieli syna, przyzwyczaili się do istniejącej sytuacji i przestali o niej my-

śleć w kategoriach problemu.

Nessa była przekonana, że odziedziczyła po swoich rodzi-

cach najgorsze ze wszystkich możliwych cechy zewnętrzne.

Miała proste włosy matki, które za żadne skarby nie chcia-

ły się ułożyć w fale, poza tym szerokie ramiona ojca i duże stopy. Dlaczego natura nie obdarzyła jej kręconymi włosami R

ojca i filigranową budową ciała matki? Życie potrafi jednak być niesprawiedliwe. Wszyscy podziwiają zazwyczaj kręcone włosy.

Takie, jakie ma Leo.

Odkąd Nessa mogła sięgnąć pamięcią, zawsze przyjaźniła się z Leo Murphy, która mieszkała w The Glen. Była jakby je-dynaczką, szczęściara! Nie takim prawdziwym jedynym dzieckiem jak Eddie Barton, syn krawcowej, ale prawie, bo jej dwaj bracia byli o wiele starsi od niej i nie mieszkali w tym domu.

Nessa знаła się z Leo, zanim jeszcze obie zaczęły uczęszczać do szkoły w Shancarrig. Pani Ryan zaprosiła ją kiedyś do domu, aby pobawiła się z Vanessą, chciała bowiem, aby jej córka zaprzyjaźniła się z kimś odpowiednim, zanim zacznie w szkole przestawać z rówieśnikami pokroju Dunne'ów lub Brennanów.

Co to znaczy: przestawać? - zapytała Nessa.

Nieważne. I tak będę cię chciała przed tym uchronić -

odparła matka.

Właśnie po to idziesz do szkoły, tam będziesz mogła poznawać takie wyrazy - dodał Conor Ryan i złożył gazetę, aby popatrzeć na szpaltę poświęconą wyścigom konnym; kto wie, może by się udało wytypować zwycięzcę w wieczornej goni-twie?

Pierwszego dnia w szkole Nessa siedziała w ławce obok Maury Brennan. Odbywały się właśnie ćwiczenia z kaligrafii, a one miały robić wężyki.

Dlaczego mówi się: wężyki? - zapytała Nessa, kiedy obie wypełniały całą stronę zeszytu literką S.

Bo tak wygląda wąż, kiedy się skrada w zaroślach - odparła Maura.

Nessa z dumą przekazała tę informację matce.

- Co takiego? A dlaczego posadzili cię obok tej Brennan?

- zawołała matka.

-Nie wpajaj jej takiej postawy. - Nieoczekiwanie ojciec Nessy stanął w obronie Maury. - Przecież ta biedna Brennan musi z kimś siedzieć. Czy nie jest człowiekiem jak inni?

Ale Breda nie dawała za wygraną. S

- Tak mówisz teraz! A co myślisz o tym, kiedy jej ojciec wpada tu pijany, klnąc jak ostatni ordynus?

Po tym, jak go potraktowałaś ostatnim razem, zmienił lokal. Przesiaduje teraz u Finna...

R

Myślałby kto, że jest ci go żal, tego nicponia. Bardzo dobrze, że pokazałam mu wtedy drzwi. Sam mi

przyznałeś rację.

Tak, to prawda.

A więc o co ci teraz chodzi?

Nie wiem, Bredo... - Potrząsnął głową. Jak zauważyła już wielokrotnie Nessa, ojciec często nie wiedział tego lub tamtego. Nie znał się na wszystkim tak jak mama. Nie potrafił na przykład prowadzić hotelu, nie podejmował decyzji.

Nie będę już siedziała z Maura Brennan? - zapytała Nessa.

Twarz jej matki złagodniała.

Nie zwracaj uwagi na to, co mówiłam. Tatuś ma rację. To dziecko nie jest niczemu winne. Widziałaś się dziś w szkole z Leo?

Siedziała z Eddiem. Dostali burę, bo gadali na lekcji.

I co się jeszcze działo? Opowiedz mi o wszystkim.

Bawiliśmy się przy drzewie, zrobiliśmy takie kółeczko, wiesz?

Kiedyś i ja się tak bawiłem - odezwał się ojciec.

Nessa ujrzała, jak mama podeszła do niego i objęła ramieniem. Oboje patrzyli na siebie z uśmiechem. Poczła się bezpieczna. Może jednak mama kocha tatę, chociaż on nie potrafi prowadzić hotelu? Każdy, kto wchodził do hotelu, pytał

o panią Ryan, nigdy zaś o pana Ryana, chyba że nie wiedział, jak tu jest, bo był obcy. Ale w takim przypadku tracił tylko czas, bo pan Ryan posyłał wówczas po żonę.

Także Nessa wyrastała w przekonaniu, że w razie potrzeby powinna się zwrócić do matki, nie do ojca.

Początkowo myślała, że podobnie dzieje się we wszystkich rodzinach, ale potem okazało się, że jest inaczej. Na przykład matka Leo nie miała nigdy o niczym pojęcia, a domem zajmowali się major Murphy i Bidy, służąca. Leo nie musiała uzgadniać niczego z matką, miała pełną swobodę działania.

Jak dowiedziała się Nessa, matka Maury musi nieraz zebrać, bo pan Brennan przepija wszystko, co zarobi. Kiedy Nessa zapytała, dlaczego pani Brennan nie skarci go jakimś S

słowem albo spojrzeniem, jak by to zrobiła jej mama, Maura wzruszyła ramionami. „Kobiety nie zachowują się w ten sposób”, odparła.

Niall Hayes twierdził, że u niego w domu mama nie ma nic R

do powiedzenia. Ojciec opłaca rachunki, zajmuje się wszystkim. Foxy Dunne opowiedział, że jego matka w ogóle nie otwiera ust, za to ojciec nigdy nie zamyka swoich, a więc równowaga zostaje zachowana.

Jedynie Eddie, którego ojciec albo nie żył już, albo wyjechał gdzieś daleko, przyznał, że domem rządzi matka, chociaż widocznie wcale tego nie lubi, bo stałe powtarza, że w domu przydałby się mężczyzna.

Czasem dzieci żartowały na temat matki Nessay, widziały bowiem, że różni się od innych kobiet w Shancarrig. Nessa nie lubiła takich rozmów, ale w duchu przyznawała, że to prawda. Jak na jej gust, matka była na przykład za bardzo ciekawska. Dopytywała się o wszystko, co się działo.

Dlaczego chcesz wiedzieć tak dużo? - zapytała ją kiedyś Nessa.

-Bo pragnę cię ustrzec przed popełnieniem błędu, jaki ja kiedyś popełniłam. Chcę, abyś miała normalne dzieciństwo.

- Matka odpowiedziała jej w sposób prosty i bezpośredni, jakby miała przed sobą kogoś w swoim wieku.

Daj jej spokój - odezwał się ojciec, tak jak robił to już niejedyn raz w przeszłości. - Dzieci nie pozostają dziećmi długo. Niech się nacieszą dzieciństwem, póki mogą.

Dlaczego sądzisz, że dzieciństwo nie trwa długo? - Matka Nessa pokręciła głową. - Znam tu w okolicy parę osób, które jakoś nie mogą dorosnąć, mimo iż czas mija.

Czasem, gdy znajomi na ulicy zatrzymywali Nessę i pytali żartobliwie, kim są jej rodzice, wyobrażała sobie, że jest znajdą. Może Cyganie, którzy przejeżdżają tędy co rok, pod-rzucili ją na próg, przed drzwi hotelu? A może znaleziono ją pod Starą Skałą, gdzie zostawiła ją piękna długowłosa da-ma, zmuszona do takiego kroku z powodu poważnych, tajemniczych tarapatów?

Nessa nie wiedziała dokładnie, czego pragnie, była jednak pewna, że chodzi jej o coś zupełnie innego niż to, co ma. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie zadowoli matki, choćby starała się ze wszystkich sił, ojciec natomiast jest zbyt łagodny S

i uległy, aby zdołał kiedykolwiek przeforsować swój punkt widzenia.

W chwilach, gdy ogarniał ją szczególnie religijny nastrój, prosiła Boga, aby uczynił ją lubianą i kochaną.

R

Nie proszę o to, żeby być ładną, Panie, wiem, że nie przystoi modlić się o wygląd zewnętrzny. Chciałabym tylko być bardziej lubiana. Ludzie lubiani są bardzo, bardzo szczęśliwi. Mogą czynić wszędzie wiele dobrego, nawet jeśli są jeszcze dziećmi. Byłabym wspaniałym dzieckiem i wspaniałą

osobą dorosłą. Wypró-

buj mnie, Boże.

Dzieciństwo Nesy przypadło na okres wielkich zmian w hotelu Ryana.

Wojna w Europie przyniosła długotrwałe racjonowanie, a nawet braki w dostawach benzyny, potem jednak samochody pojawiły się znowu na drogach. Turyści nie przyjeżdżali już do Shancarrig pociągiem na stację kolejową, lecz autami bezpośrednio przed drzwiami hotelu. Większość z nich niechętnie zostawiała samochody na ulicy, mimo iż była to najspokojniejsza część miasteczka. Ale turyści nie wiedzieli, że właśnie w pobliższym The Terrace mieszkają pod numerem 3 doktor Nolan i doktor Jims, a pod numerem 5 państwo Hayes, nie mieli też pojęcia, iż są to tutaj najlepsze adresy. Chcieli po prostu mieć możliwość bezpiecznego parkowania swoich samochodów.

Hotel nie był już ciemnobrązowy. Ciemne barwy zostały zastąpione kolorem kremowym oraz odcieniem nazwanym przez Bredę „wodą Nilu”. Pani Ryan obejrzała kilka innych eleganckich hoteli i doszła do przekonania, iż ten blady seledyn jest ostatnim krzykiem mody.

Większość obrazów w ciężkich ramach, o poważnej tematyce, przeniesiono do sypialni pana Ryana, tak aby nie widzieli ich goście hotelowi.

Na piętrach przybyło trochę łazienek, nocniki pochowano dyskretnie w szafkach przy łóżkach; nie stały już tak ostentacyjnie na widoku.

Kelnerki w sali jadalnej nosiły teraz ładne zielone sukienki z białymi fartuszkami i białe małe czepki. Czarne stroje przeszły do historii. W hallu wejściowym ustawiono wygodne fotele.

Nessa i jej siostry, Catherine i Nuala, były trzymane z da-

ła od gości hotelowych, wiedziały jednak, że na ich widok należy mówić „dzień dobry” lub „dobry wieczór” - nawet do półprzytomnych pijaków, którzy nie byłiby w stanie wybą-

kać jednego słowa.

R

Breda Ryan uporządkowała dziedziniec przed hotelem.

Usunięto z niego stare i popsute urządzenia, pomalowano zabudowania gospodarcze i tym sposobem stworzono możliwości parkowania.

Zmienili się także sami goście.

Nieliczni Amerykanie, którzy poznali Europę podczas wojny, przyjeżdżali obecnie z żonami, zwłaszcza jeśli ich drzewa genealogiczne wykazywały choć trochę krwi irlandzkiej. Wynajmowali pokoje w hotelach na terenie całego kraju i tropili ślady przodków.

Ojciec Gunn nie ukrywał, że jest już zmęczony tym przeglą-

daniem starych ksiąg kościelnych w poszukiwaniu korzeni.

Inną grupę turystów stanowili handlowcy. Przyjeżdżali stale ci sami, regularnie raz na miesiąc, czasem raz na dwa tygodnie. Zazwyczaj rezerwowali dwa, trzy pokoje, a potem za-

łatwiali swoje interesy w Shancarrig i całej okolicy.

Breda Ryan traktowała ich z olbrzymim szacunkiem. „To nasza ostoja, źródło naszych dochodów”, mawiała do męża.

Conor Ryan wzruszał ramionami. Dla niego byli to zwykli ludzie bez polotu, skromni i oszczędni, na których trudno coś zarobić. Po prostu przemęczeni pracą mężczyźni, niepewni swoich dochodów, niespokojni.

Breda wpadła na pomysł, aby zorganizować dla nich pokój roboczy ze stolikami, przy których owi ludzie mogli wypełniać swoje dokumenty i zamówienia, wypalić papierosa albo wy-pić kawę lub herbatę.

Conor Ryan uważał, że to zbyt wiele. Dlaczego oni nie mogliby usiąść sobie przy barze jak inni goście? Nawet nie ma z nimi o czym rozmawiać.

W szkole interesowano się hotelem i następującymi tam zmianami. Pytano też na przykład, co farmerzy, którzy przyjeżdżali raz w miesiącu na targ, zamówili na śniadanie albo czy żadne ze zwierząt nie wybiło okna, jak to się kiedyś zdarzyło w sklepie Nellie Dunne, kiedy Nellie zapomniała za-bezpieczyć witrynę.

Nessa opowiadała o obfitych śniadaniach serwowanych przez cały ranek, o tym, jak ojcowie i synowie zmieniali się S

przy stołach; podczas gdy jedni jedli jajecznicę na bekonie, drudzy pilnowali zwierząt.

-Z kim się przyjaźniłaś w młodości? - zapytała matkę, kiedy ta szcztokowała jej ciemne, lśniące włosy; mimo iż cór-R

ka nie przestawała na nie narzekać, ona twierdziła nieodmiennie, że są ładne.

-Wtedy nie było czasu na zawieranie przyjaźni. Nie ruszaj głową, Vanesso.

-Dlaczego zwracasz się do mnie w ten sposób? Nikt nie mówi mi „Vanessa”.

-Tak właśnie brzmi twoje imię. O, zobacz, jak ci do twarzy w tej fryzurze.

-W szkole wyglądam jak czarownica.

-Kochanie, dlaczego mówisz o sobie zawsze takie okropne rzeczy? Jeśli ty oceniasz siebie w ten

sposób, to co mają myśleć o tobie inni?

-Dziwne... To samo mówi mi ciągle Leo.

-Po prostu ona ma głowę na karku. - Pani Ryan nie kry-

ła uznania wobec przyjaciółki córki.

-Od przyszłego roku pójdziemy razem do szkoły przyklasztornej, będziemy jeździły tam codziennie autobusem.

Może wtedy zaprzyjaźnimy się bardziej.

W nagłym przyływie czułości, co nie zdarzało się u niej często, pani Ryan objęła Nessę i przytuliła mocno.

-Będziesz jeszcze miała wiele przyjaciółek, zobaczysz! -

szepnęła.

-Najwyższy czas, mam już przecież prawie czternaście lat - odparła dziewczynka ponurym głosem.

Marzyła nieraz, aby w jej życiu było podobnie jak w historyjkach z czasopism, które czytała: tam matki traktowały swoje córki jak bliskie przyjaciółki. Taką właśnie wolałaby mieć matkę.

Tymczasem Breda Ryan była kobietą zbyt szorstką, zbyt pewną siebie. Nessa nigdy nie widziała jej speszonej, zbitej z tropu. Ojciec był inny, zawsze z zakłopotaniem drapał się po głowie, przyznawał otwarcie, że nie wie, jak postąpić lub co zrobić. Matka natomiast zdawała się znać zawsze odpowiedzi na wszystkie pytania.

W dniu zakończenia szkoły w Shancarrig Nessa ustawiła się do pamiątkowego zdjęcia w towarzystwie Nialla Hayesa i Foxy'ego Dunne'a. Pani Kelly, jak co roku, przywiązywała S

dużą wagę do takich zdjęć, wymagała też od uczniów, aby tego dnia ubierali się szczególnie porządnie. Niech przyszłe pokolenia zobaczą, jak sumienna była młodzież z tej szkoły.

Grupowe zdjęcie uczniów robione pod drzewem przed R

wejściem do szkoły stało się już tradycją. Był to ostatni moment roku szkolnego, zorganizowany po to, aby dzieci ochłonięły po innych emocjach, również uświęconych już tradycją, takich jak wypisywanie imion na drzewie albo szaleńczy bieg po salach lekcyjnych, połączony ze zbieraniem podręczników i piór oraz z chóralnym śpiewem:

Koniec z lekcjami irlandzkiego,

Koniec z lekcjami francuskiego,

Wyrzucie ławki, krzesła, tablice,

Wyrzućcie belfrów na ulicę.

Wprawdzie w Shancarrig nie uczono nigdy francuskiego, ale na takie szczegóły nikt nie zwracał uwagi. Jak wszędzie na całym świecie, dzieci kończyły szkołę własną piosenką.

Ci uczniowie, którzy mieli dopiero trzynaście lat i po wakacjach wracali do szkoły, patrzyli na starszych z zawiścią.

Wszyscy jednak tego dnia wypisywali na pniu drzewa swoje imiona. Chłopcy przynieśli scyzoryki, każdy z nich gorliwie rył

w korze starego drzewa poszczególne literki.

Nessa nie potrafiła się angażować w tę czynność całym sercem, tak jak robili to pozostali. Maura Brennan obmyślała już od tygodni, w którym miejscu ma wypisać swoje imię. Eddie Barton postanowił wyryć imię na tle rysunku kwiatka, tak aby inni podziwiali jeszcze po latach jego dzieło. Foxy nic nie mówił, ale sądząc po jego minie, obmyślił już wszystko.

Nessa wzięła nóż od pana Kelly i napisała na drzewie:

„Vanessa Ryan, czerwiec 1954”. Czuli, że powinna coś dopisać, nie wiedziała jednak co.

Słońce świeciło im prosto w oczy, kiedy spoglądali w obiektyw aparatu pani Kelly.

-Stójcie prosto, nie wiercić się! - Dyrektorka szkoły zdawała sobie sprawę, że to ostatnia okazja, kiedy może wydawać tym uczniom jakiegokolwiek polecenia.

Foxy Dunne musnął dłonią włosy Nessy, opadające swobodnie na ramiona.

S

-Bardzo ładne - powiedział.

-Zabierz rękę, Foxy - syknęła dziewczyna.

-Po prostu je podziwiam, panno Nietykalska. Podziwiam, nic więcej. - Nie wydawał się wcale speszony jej tonem.

R

-Coś podobnego, ten Foxy z chałup ośmielił się dotknąć jej włosów!

-Masz naprawdę ładne włosy - powiedział Niall Hayes.

Kanciasty, nudny Niall, który nie zdobył się nigdy na żadną oryginalną myśl! A teraz powiedział to takim tonem, jakby chciał się przypochlebić temu Foxy'emu!

-No cóż... - Poczowała, że brak jej słów. Zaskoczona, uświadomiła sobie także, że poczerwieniały jej twarz i szyja. Po raz pierwszy usłyszała z ust chłopca komplement pod swoim adresem. Zakryła twarz dłonią, aby nikt nie dostrzegł jej rumieńców.

Uśmiechajcie się. Nesso, natychmiast opuść rękę, od-słoń twarz. Leo, jeśli jeszcze raz zobaczę twój język, będziesz miała kłopoty. Poważne kłopoty.

Wszyscy się roześmieli, cała scena miała pogodny i radosny nastrój.

Kiedy po raz ostatni wracali ze szkoły w Shancarrig, Nessa wzięła pod ramię Leo. Razem z nimi szła Maura Brennan.

Maura wyznała, że nie chce jechać do Anglii jak jej siostry, zamierzała znaleźć sobie pracę w fabryce albo jako służąca.

Nessę ogarnęła nagle fala współczucia dla dziewczyny, która nie ma takich szans na przyszłość jak ona. Ojciec, mówiąc kiedyś o Brennanach i Dunne'ach, powiedział, że nie czeka ich łatwa rozgrywka, gdyż nie dysponują wieloma asami.

-Nie rozpatruj wszystkiego w kategoriach kart - ofuknę-
ła go matka.

-Dobrze. Ujmę to inaczej: bukmacherzy nie obstawialiby tych ludzi wysoko - uśmiechnął się pan Ryan.

Ale Maura Brennan nigdy się nie uskarżała na los.

Była zawsze cicha i zgodna, sprawiała wrażenie, jakby już dawno temu pogodziła się z faktem, że ojciec przynosi wstyd całej rodzinie, a matka musi prosić o pomoc finansową. Foxy Dunne był inny, zawsze zachowywał się tak, jakby w jego rodzinie byli sami hrabiowie i książęta, a nie pijacy i obiboki.

Sądząc po postawie tego chłopca, nikt by się nie domyślił, że w miejscowych kręgach towarzyskich nie uznaje się jego ojca ani braci.

S

Foxy nie próbował nawet ich usprawiedliwiać lub bronić.

Chyba odnosił się do nich jak do obcych sobie ludzi.

Nessa żałowała nieraz, że nie potrafi być taka jak on. Bo-lało ją, kiedy matka traktowała zbyt ostro ojca, a jednocze-

ś

R

nie irytowała się, gdy ojciec tylko wzruszał ramionami, nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności.

-Tu jest Cyganka, która wróży - przerwała jej rozmyślania Maura. - Podobno jest fantastyczna.

-Damy sobie powróżyć? - Oczy Leo zaiskrzyły się natychmiast.

Nessa wiedziała, że matka będzie się gniewać, jeśli zbliżą się choćby trochę do obozowiska Cyganów. Nie byłaby też zachwycona pani Murphy, ale Leo nie przejmowała się tym ani trochę. To musi być wspaniale czuć się do tego stopnia wolną.

-Ona powtórzy tylko to, co sama powiesz - machnął ręką Foxy. - Zawsze tak robią. Najpierw cię pytają, kim chcesz być, a dwie minuty później twierdzą, że to właśnie cię spotka.

-To nieuczciwe - obruszył się Niall Hayes.

-Takie jest życie. - Foxy powiedział to tonem eksperta; jakby mieszkając w tych obskurnych chałupach poznał świat lepiej niż Niall, syn prawnika, zajmującego piękny segment mieszkalny w The Terrace.

-To jak? Idziemy? - Leo miała najwyraźniej chęć przeżyć coś ekscytującego.

-Możemy sami odczytać naszą przyszłość z dłoni - odezwał się nagle Eddie.

Pomysł spodobał się Nessie. W ten sposób matka nie dowie się o niczym.

-Jak to się robi? - zapytała.

-Nie ma nic prostszego. Tu jest linia życia, tu linia miło-

ści i jeszcze mnóstwo mniejszych, te dotyczą dzieci. - Eddie wydawał się bardzo pewny siebie.

Gdzie się tego nauczyłeś? - zapytał Foxy.

Zainteresował mnie tym mój kolega.

-Kolega, z którym korespondujesz? - wtrąciła Leo.

Kiwnął głową.

Nessa poczuła żądło zazdrości. Dlaczego Leo wie wszystko o wszystkich, a prawie nic o niej, mimo iż się przyjaźnią?

-Jeśli mamy się tym zająć, zrobimy to wreszcie - odezwa-

ła się ostrym tonem.

Przeszli między drzewami lasu Barna w stronę Starej Skały. Było to ich stałe miejsce spotkań, zwłaszcza gdy mieli coś ważnego do załatwienia.

R

Eddie pokazał, gdzie na dłoni znajduje się linia życia.

Okazało się, że u wszystkich jest ona dość długa.

-Jak myślisz, ile lat oznacza jeden centymetr? - zapytał

Foxy.

-Nie mam pojęcia - przyznał Eddie.

-Myślę, że dużo. - Maura wydawała się pełna optymizmu.

-A to linia serca - wyjaśnił Eddie.

-Tutaj sprawa była bardziej skomplikowana. U Nessy linia serca jakby się rozdwajała.

To znaczy, że będziesz miała w życiu dwie miłości - uznał

Eddie.

-Albo będzie kochała dwa razy tę samą osobę. No wiesz...

Ktoś złamie ci serce, a potem wróci do ciebie z powrotem -

odezwała się Maura.

-A może raczej ja złamię komuś serce, obojętne, kto by to był. - Nessa odrzuciła głowę w tył.

-Tak, jasne. Nigdy nie wiadomo. Wracajmy do tych linii.

- Eddie wolał się przenieść na bardziej spokojne wody.

Foxy miał linię serca dość niewyraźną. Również Leo.

-To źle czy dobrze? - zapytała.

-Bardzo dobrze. - Foxy nie miał co do tego żadnych wątpliwości. - Taka linia oznacza, że ani ty, ani ja nie będziemy mieli romansów, dopóki nie nadejdzie pora, abyśmy się po-brali.

Roześmieli się.

Eddie zajął się kolejnym etapem wróżenia z dłoni. Liczba drobniutkich linii biegnących u podstawy małego palca wska-zuje, ile będzie dzieci, wyjaśnił. Maura miała ich sześć. Zachichotała.

-A więc będzie jak u mojej matki - powiedziała. - Mówią o niej, że nie wie, kiedy skończyć.

U Leo zapowiadała się dwójka. Tyle samo u Foxy'ego. Kiwnął głową z uznaniem. Ale Eddie i Niall daremnie wpatrywali się w swoje dłonie. Wyglądało na to, że w ogóle nie będą mieli dzieci.

Nessa dojrzała u siebie trzy drobne linie.

-To znaczy, że wprowadzisz do hotelu trójkę miłych ma-

łych Ryanów - uświadomił ją Foxy. Zdążył już zwrócić uwagę Leo na fakt, że oboje mają identyczne linie na dłoniach.

-Nie Ryanów - sprostowała Nessa. - Dzieci będą nosiły nazwisko mojego męża. R

-No tak, ale jeśli jesteś jak twoja matka, to wszyscy będą

widzieli w nich i tak Ryanów - odparował Foxy.

Postanowiła nie okazywać mu swego oburzenia. Z trudem zdusiła łzy.

-Nie zwracaj na niego uwagi - próbowała ją pocieszyć Leo.

-Łatwo ci mówić. Ty nie przejmujesz się swoją rodziną -

burknęła Nessa.

Pozostali liczyli w dalszym ciągu, ile będą mieli dzieci.

Leo i Nessa usiadły nieco dalej.

Nessa czuła już łzy cisnące się jej do oczu, postanowiła jednak zapanować nad sobą. Jeśli zacznę mówić, nie rozplączę się, pomyślała. To najlepsza metoda.

-Zawsze, kiedy ktoś zaczyna mówić coś o twoich rodzicach, ty się po prostu śmiesz - dodała.

-Bo według mnie nie jest ważne, co ludzie mówią, Nesso, lecz tylko, czy to cię denerwuje. Jeśli nie, machnij na nich ręką.

ką. Nie warto się denerwować.

Jak zwykle, Leo szybko straciła zainteresowanie rozmową.

Podeszła do innych, którzy odkryli właśnie na dłoni linię oznaczającą pieniądze. Wyglądało na to, że jedyną osobą, mogącą liczyć na znaczne bogactwo, jest Maura Brennan -

właśnie ta, która z nich wszystkich wydawała się najmniej godna uwagi.

Nessa nie czekała, żeby poznać własną przyszłość w prze-liczeniu na pieniądze. Może Foxy zacznie sobie żartować z mi-

łości jej ojca do koni i chartów? Na samą myśl o tym zaciska-

ła pięści. Najgorsze, że nie może się odciąć. Bo co by miała powiedzieć? Że ojciec Foxy'ego Dunne'a nie ma teraz wstę-

pu nawet do pubu Johnny'ego Finna z powodu swoich wybryków po pijanemu?

Nie mogła mu też wytknąć, że ma jednego brata w więzieniu, a drugi nie siedzi tylko dlatego, że odpłynął statkiem do Anglii dokładnie na godzinę przed aresztowaniem.

A jednak, mimo iż wiedziała o tym wszystkim, irytowało S

ją, gdy w domu matka wypowiadała się pogardliwie o Dunne'ach. Wtedy stawiała w obronie swojego kolegi i w ogóle przyjaciół - tak jak w innych sytuacjach, przebywając z przyjaciółmi, broniła własnej rodziny.

R

Nie lubiła, gdy Maura Brennan wycierała nos o mankiet bluzki, bo oczyma wyobraźni widziała już swoją matkę, jak wzdycha i kręci z wyrzutem głową.

Ale czuła się równie nieswojo, a nawet gorzej, kiedy matka, zwracając się w obecności Eddiego lub Nialla do ojca, ostrym tonem kazała mu uprzątnąć jakieś papiery, założyć marynarkę albo nawet czyniła wymówki, gdyż załatwił jakąś sprawę nie tak, jak należało. Widywała już wymowne spojrzenia przyjaciół, jakie wymieniali, słysząc ton głosu Bredy Ryan.

Często odczuwała pragnienie, aby wyjaśnić im, iż tak wła-

śnie trzeba, bo w przeciwnym razie tata siedziałby godzinami, snując opowieści o psach i koniach wyścigowych, zamiast obsługiwać gości. A i tak nie należy do mężczyzn, którzy ob-rażają się za zwróconą uwagę.

Nessa dałaby wiele, aby jej przyjaciele interesowali się te-matami rozmów, jakie prowadzi się u niej w domu przy rodzinnym stole. Niestety, te sprawy nie obchodziły chyba nikogo. Chciała także, aby matka i ojciec słuchali jej opowieści o Foxym, na tyle szalonym, aby adorować Leo - ale żeby nie parskali przy tym lekceważąco i nie kręcili głowami.

Do tej pory czuła się bezpiecznie na łonie rodziny. Obecnie budziły się w niej pewne obiekcje. I to właśnie była jedna z licznych wad związanych z dorosłością: człowiek zaczyna w tym momencie odnosić wrażenie, że wcale nie jest tak bezpieczny, jak mu się to wydawało.

Parę dni po zakończeniu semestru szkoła przyklasztorna, do której Nessa miała uczęszczać od jesieni, przysłała pisemko: przyszli uczniowie są proszeni o stawienie się na miejscu już teraz, tak aby opiekunowie mogli ich poznać nieco wcześniej.

Ubierz się porządnie. Liczy się pierwsze wrażenie, to bardzo ważne - powiedziała matka.

-Ale chyba nie mogą mnie odrzucić?

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, na czym to polega? Jeśli chcesz, aby traktowano cię poważnie, musisz wyglądać po-

ważnie!

- Mamo, to są siostry zakonne. One nie patrzą na świat w tak snobistyczny sposób jak ty.

-Wszystko wypadło bardzo dobrze. Leo pojechała w swoim R

normalnym stroju, nie ubrała się w szczególny sposób.

-Ona nie musi - orzekła matka Nessa, kiedy ujrzały Leo w jej starej, różowej bawełnianej sukience z wyblakłym kwie-cistym deseniem i wytartym kołnierzykiem.

-Dlaczego?

-Bo jest już taka, a nie inna.

Nie wyjaśniła nic więcej.

Leo była tego dnia we wspaniałym humorze, ona i Nessa śmiały się niemal bez przerwy; należało wykorzystać każdą chwilę swobody, gdyż w szkole miały już zachować powagę.

Korytarze były długie, pachniały świeżą pastą. Małe czerwone lampki świeciły przed posązkami i obrazami Najświętszego Serca Jezusa, a błękitne przed obrazami Matki Boskiej.

Przełożona, matka Dorota, zrobiła im długi wykład na temat obowiązku należytego zachowania, zwłaszcza kiedy nosi się szkolny mundurek. Podkreśliła, że tutaj będzie zupełnie inaczej niż w Shancarrig - a nazwa ich rodzinnego miasteczka zabrzmiała w jej ustach tak, jakby znajdowało się ono gdzieś na księżycu.

-A wy obie przyjaźnicie się? - zapytała wreszcie.

-W naszej szkole wszyscy się przyjaźnią - wzruszyła ramionami Leo.

Jasne oczy przełożonej śledziły każdy ich ruch.

Po rozmowie Leo zaproponowała zwiedzanie miasta.

-Lepiej już wracajmy - zaproponowała Nessa. - Rodzice będą się niepokoić.

Leo spojrzała na nią zaskoczona.

Mamy już prawie po piętnaście lat, przyjechałyśmy obejrzeć miejsce, które przez trzy najbliższe lata

będzie naszym więzieniem. Dlaczego mieliby się niepokoić?

-Na pewno znajdą jakiś powód - upierała się Nessa.

-Jesteś zabawna!

A potem, jakieś trzy tygodnie później, Leo zmieniła się nie do poznania, przynajmniej w oczach Nessay. Nigdzie nie moż-

na było jej znaleźć, przeważnie siedziała cały czas w domu, nie widując się z nikim, w tajemniczy sposób wyjechała też S

na lato z rodzicami i dwoma wielkimi, głupimi psami, nie informując nawet nikogo, dokąd jedzie.

Lato zdawało się nie mieć końca. Nessa nie miała nikogo, z kim mogłaby spędzać czas. Maura Brennan wypytywała R

wszystkich, czy mogłaby pracować u nich jako służąca. Wreszcie zatrudniła ją matka Nessay - jako pokojówkę w hotelu.

Tutaj też Maura nocowała, co Nessie wydało się niemądre, bo przecież do jej chałupy było tylko dziesięć minut drogi na piechotę. Ale matka wytłumaczyła jej, w czym rzecz: Maura z pewnością nie chciała sypiać u siebie w domu - i trudno się temu dziwić.

Dla Eddiego Bartona istniały obecnie tylko dwie rzeczy: jego suszone kwiatki i prowadzenie korespondencji. Niall Hayes narzekał cały czas na szkołę, do której miał chodzić od września. Bez przerwy pytał, czy aby na pewno wszystko bę-

dzie dobrze.

Nessa żałowała, że Leo nie jest taka jak on, nie prosi jej ciągle o radę. A właściwie to dziwne: Niall powinien się zachowywać tak jak ta twarda dziewczyna z The Glen, która potrafi walczyć o swoje, wie, jak przetrwać.

Matka uraczyła ją mądrością życiową, którą powtarzała co jakiś czas.

Idź przodem, a inni podążą za tobą, mówiłam ci to już ty-siąc razy.

Nawet gdybym przeszła tysiąc mil, Leo nie poszłaby za mną. - Słowa wymknęły się jej z ust, zanim sobie uświadomi-

ła, że nie chciała się do tego przyznać. Breda Ryan westchnę-

ła ciężko, wyglądała na rozczarowaną. - Przykro mi, mamó, ale ty podchodzisz do tego inaczej. Jesteś typem przywódcy, taki już masz charakter. Niektórzy ludzie rodzą się z tym.

Matka patrzyła na nią zamyślona.

-Zastanawiałam się właśnie nad twoją fryzurą - powiedziała nieoczekiwanie.

-Och, daj spokój! - zawołała Nessa. - Nie myśl ciągle o tym, że wszystko byłoby lepsze, gdyby ludzie stosowali się do twoich rad!

-Nesso!

-Mówię poważnie. Mam piętnaście lat. Są kraje, gdzie dziewczyny w moim wieku są już zameżne i mają dzieci. Ale ty wiesz wszystko najlepiej. Wiesz, że tata nie powinien mó-

wić o chartach. Wiesz, że nie powinno się mówić „kumpel”, bo to brzmi prostacko, a więc mówimy „chłopiec” albo „młodzieniec”, albo jeszcze inaczej, w każdym razie tak, jak nie mówi nikt inny.

-Staram się uczyć cię dobrych manier. Na tym polega styl.

-Wcale nie. Nie pozwalasz nam zachowywać się normalnie. Maura jest nie wiadomo dlaczego gorsza od nas. Leo Murphy i jej rodzina są od nas lepsi, bo mieszkają w dużym domu. Jesteś alfą i omegą na każdym kroku, po prostu wiesz, że masz rację. - Twarz Nessy pociemniała z irytacji.

-Czy wolno zapytać, co cię tak wzburzyło?

-Moje włosy. Prowadziłyśmy normalną rozmowę, ale ty nagle postanowiłaś omawiać moją fryzurę. Nie obchodzi mnie, jaka fryzura odpowiadałaby tobie; i tak się do tego nie zastosuję. Możesz być tego pewna.

-Dobrze już, dobrze... skoro tak stawiasz sprawę. - Matka wstała, skierowała się do wyjścia.

Nessa jeszcze się nie uspokoiła.

-No właśnie. Idź teraz na dół, do taty. I poskarż się na mnie! Powiedz mu, że jestem trudna, że nie wiesz, jak sobie ze mną poradzisz. A wtedy biedny tata przyjdzie tu i zacznie mnie błagać, żebym cię przeprosiła.

-Naprawdę sądzisz, że chciałam tak postąpić? - Matka nie potrafiła ukryć, jak bardzo jest zaskoczona.

-Przecież dokładnie w ten sposób postępujesz od lat!

-Tak się składa, że istotnie chciałam porozmawiać o twoich włosach: powiedzieć ci, że nigdy nie wyglądały lepiej, ale powinnaś się wybrać do dobrego fryzjera. Chciałam pojechać z tobą do Dublina i zaprowadzić w świetne miejsce, o jakim się dowiedziałam.

-Nie wierzę ci!

-Możesz wierzyć lub nie, to twoja sprawa. Adres jest na tej karteczce. Zamierzałam zaproponować ci krótką wycieczkę w środę. Ale proszę bardzo: jedź sama.

-Mam jechać sama? Przecież nie mam pieniędzy!

-Chciałam poprosić ojca, aby dał ci trochę.

-Rozumiem. Teraz nie poprosisz go o to, bo zachowałam się nieodpowiednio. - Nessa parsknęła gorzkim śmiechem, aby pokazać, że zna się na sztuczkiach dorosłych.

-Poproś go sama. Jesteś dziś zbyt niezdolna, abym mogła z tobą dłużej rozmawiać.

S

Ale ponieważ Nessa nie poprosiła ojca, on sam poruszył

ten temat we wtorek wieczorem. Dlaczego nie wybierze się do Dublina, żeby obciąć sobie ładnie włosy? Nessa wyjaśni-

ła, że nie chce, że matka jej nie cierpi, że stale krytykuje R

jej włosy, porównuje je do końskiego ogona.

-I nie pojedę tam sama - dodała.

-Weź ze sobą Leo. Kupię wam bilety.

-Nie możesz, tato.

-Owszem, mogę. Część decyzji podejmuję ja. Przynajmniej te, na których mi zależy. - W jego głosie było coś, co ka-zało jej uwierzyć w te słowa.

Do Dublina pojechały obie, ona i Leo.

Fryzjerka przycinała i układała włosy bez końca.

-Powinnaś przychodzić co trzy miesiące - powiedziała.

-A nie wystarczy raz na pięć lat? - zapytała Nessa.

-Proszę nie zwracać na nią uwagi - wtrąciła się do rozmowy Leo. - Wygląda tak ładnie, że będzie tu się zjawiać co tydzień.

-Naprawdę? - zapytała Nessa.

-Naprawdę co?

-Naprawdę wyglądam ładnie? Czy powiedziałaś to tylko, żeby mi sprawić przyjemność?

-Naprawdę wyglądasz bosko. Nie mów tylko, że tego nie wiesz! Jesteś podobna do Jean Simmons. - Powiedziała to z takim przekonaniem, jakby nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości.

-Niby skąd miałabym wiedzieć? Nikt mi jeszcze tego nie mówił.

-Ja ci mówię.

-Bo jesteś moją przyjaciółką. Może po prostu chcesz mnie pocieszyć!

-O Boże, Nesso! Potrafisz być wyjątkowo nieznośna! - za-wołała Leo.

-Tego samego słowa użyła matka. Trzeba będzie bardziej na siebie uważać.

Cały ten okres, kiedy Nessa uczęszczała do szkoły w mie-

ście, miał swoje wzloty i upadki, jeśli chodzi o stosunki z matką.

Nie było sensu rozmawiać o tym z Leo, gdyż Leo zdawała się nie traktować własnej matki jako części swojego życia. Je-S

śli Nessa nie mogła iść do kina, to dlatego, że matka kazała jej oczyścić srebra. Jeśli Leo nie mogła pójść do kina, to tylko dlatego, że Lance i Jessica, jej psy, musiały odbyć z nią spacer albo ojciec potrzebował jej pomocy.

R

Pani Murphy nie liczyła się chyba w ogóle.

Nessa słyszała o niej, że nie czuje się najlepiej i prawdopodobnie cierpi na jakąś chorobę nerwową, ale nie znała żadnych szczegółów, gdyż dorośli trzymali je w tajemnicy przed dziećmi. Leo wydawała się bardzo roztargniona, jakby w domu coś nie było w porządku, nie chciała jednak o tym mówić, nawet gdy były tylko we dwie.

Niewiele było osób, z którymi Nessa mogła porozmawiać.

Nie miała okazji, aby uciąć sobie pogawędkę z Maura Brennan, która pracowała już w hotelu jako pokojówka. Ilekroć spotkała ją na korytarzu i chciała się do niej odezwać, Maura rozglądała się nerwowo na wszystkie strony.

-Nie, Nesso, twoja matka nie byłaby zadowolona, gdyby zobaczyła, że rozmawiamy.

-Bzdura! A zresztą, nie dbam o to.

-A ja tak. Zarabiam tu na życie!

-Czasem matka była wspaniała, na przykład kiedy załatwi-

ła dla nich lekcje tańca - dla Leo, Nessy i jej siostr, Catherine i Nuali. To było wspaniałe.

-Czasem jednak była okropna - jak wtedy, gdy poprosiła oj-ca, aby odszedł od baru. Zdarzyło się to

tego wieczoru, kiedy postawił na jakiegoś charta i wygrał osiemdziesiąt pięć funtów.

-Po prostu nie chciałam, aby za chwilę stracił dwieście osiemdziesiąt pięć funtów - tłumaczyła potem córce. - Tym bardziej że wybierał się potem na ulicę, żeby stawiać drinki wszystkim właścicielom chartów.

Nessa nie podzielała jej zdania. Dlaczego ojciec nie mógł uczcić wygranej na swój sposób?

Matka była wspaniała, kiedy kupiła adapter. Nessa zaczę-

ła kolekcjonować płyty, takie jak „Three Coins in the Fountain”, „Rock Around the Clock” i „Whatever Will Be Will Be”. Gdy jednak kupiła „Young Love” Tabu Huntera, matka S

stała się znowu okropna: ostrzegła Nessę, że na świadectwie ukończenia szkoły będzie miała same słabe oceny.

Nie było mowy o uniwersytecie, nie było planu dotyczące-go kariery zawodowej - nic prócz jedyne wyjścia dla tych, R

które nie wiedzą, co robić: kursu dla przyszłych sekretarek.

Tego lata w Nessę wstąpił niezwykły upór. Ojciec kilkakrotnie prosił ją, aby w imię świętego spokoju spróbowała swych sił.

-Jesteś taki słaby, tato - warknęła wreszcie któregoś dnia i natychmiast pożałowała tych słów. Wiedziała, że to samo powiedziałyby matka.

-Nie, wcale nie jestem słaby. Po prostu lubię spokojne życie, bez awantur - odparł łagodnie.

-Dlaczego się tak na mnie uwzięłaś? - zapytała matkę. -

Przecież to nie da szczęścia nikomu z nas, a tata się tylko gryzie.

-Nie uważam, że się na ciebie uwzięłam. Myślę, że jest to sposób na dodanie ci odwagi oraz siły, tak abyś mogła potem wieść własne życie.

-A ty zawsze miałaś dość odwagi?

-Nie. Zdobyłam ją dopiero w tym domu. Kiedy musiałam się przeciwstawić tej parze wiszącej na ścianie.

-Komu?

-Twoim świętym dziadkom - odparła matka cierpkim tonem.

Nessa spojrzała zaszokowana na portret dziadków; o tych ludziach mówiono dotychczas w tym domu zawsze z szacunkiem i uznaniem.

-A dlaczego musiałaś się im przeciwstawiać? - zapytała.

-Bo chcieli, aby twój ojciec żył w szklanej klatce. A oni rzucaliby mu czasem kostkę cukru na osłodę.

Kiedy mówiła jak teraz, wydawała się zupełnie normalną kobietą, taką, z którą można rozmawiać. Ale nie zdarzało się to często.

Tak więc tego lata, kiedy ukończyła osiemnaście lat, Nessa, chcąc nie chcąc, zapisała się na kurs stenografii i maszyny-nopisania.

Uczęszczała tam bez Leo Murphy, która wymówiła się niezbyt przekonująco brakiem czasu, gdyż rzekomo jest teraz

potrzebna w The Glen. W Shancarrig nastął właśnie okres dość niekorzystny dla spotkań towarzyskich.

Eddie Barton był do tego stopnia przygnębiony pracą u Dunne'ów, że nawet nie podnosił wzroku, kiedy ktoś wcho-

dził do sklepu. Niall Hayes przebywał w Dublinie, szykując się do studiów prawniczych. Foxy wyjechał do Anglii, związał

się z firmą budowlaną. Córki doktora Blake'a studiowały w Dublinie. Trudno też było rozmawiać z Maura, matka natomiast zamęczała ją pytaniami, z kim chodzi w mieście do ki-na, tak że Nessa nabierała przeświadczenia, że cała ta gra nie jest warta świeczki.

Dojrzała właśnie do momentu, w którym pała się żądzą przeżycia czegoś ekscytującego, kiedy w mieście zjawiał się Richard Hayes.

Był bardzo przystojny, nie taki krępy jak Niall. Wysoki, szczupły i dorosły, siedem lub osiem lat starszy od Nessy; miał dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat i musiał opu-

ścić Dublin ze względu na dziewczynę, którą zhańbił.

Fakt ten był tajemnicą poliszynela.

Richarda wysłano do Shancarrig, zapewne dlatego, że tu nie było dziewcząt. A przynajmniej takich, które mogłyby go zainteresować.

Nessa ubierała się bardzo, bardzo starannie, dopóki nie skierował na nią wzroku.

-Jestem Richard Hayes - powiedział.

-Cześć, Richard - odparła głosem, który ćwiczyła od tygodni.

Jego uśmiech był pełen ciepła, ale wywoływał w niej niepokój. Zapra gnęła uciec gdzieś daleko, zapytać kogoś o radę

- i właśnie w tym momencie zawołała ją matka.

-Nareszcie usłyszałem, jak masz na imię - powiedział Richard.

-Tylko moja mama mówi do mnie Vanessa - odparła.

Była jednak zadowolona, że ma pretekst, aby odejść.

Matka dostrzegła już, z kim rozmawiała.

-Cóż to za przystojny młody człowiek! - szepnęła.

-Tak. - Nessa przygryzła wargi.

-Nie musisz się obawiać konkurencji - zapewniła ją matka. - Ten człowiek, jak widać, lubi ładne dziewczęta, a pod tym względem nie masz sobie równej w Shancarrig.

S

Kiedy spotkała go następnym razem, zaproponował jej wspólny spacer.

-Chętnie bym poszła, ale muszę przećwiczyć te okropne R

logogramy - odparła.

-Stenotypia wychodzi już mody, zastąpią ją wkrótce maszyny - powiedział.

-Możliwe, że do tego dojdzie, ale na pewno nie przed mo-im egzaminem. Spotkajmy się trochę później, wieczorem. -

Wyraz jego oczu powiedział jej, że oczekiwał takiej właśnie reakcji z jej strony.

-Świetnie, Vanesso - odparł z żartobliwym ukłonem.

Wzięła go na długi spacer po okolicy.

Zaprowadziła go pod Starą Skałę i opowiedziała wszystkie związane z nią legendy. Pokazała mu szkołę i drzewo, na któ-

rym wypisali swoje imiona. Potem poszli na cmentarz, aby obejrzeć najstarsze nagrobki. Popatrzyli też na dzieci wędku-jące nad rzeką, a Nessa wyjaśniła mu, w jaki sposób można zwabić rybę na kamienie przy brzegu i złapać ją gołymi ręko-ma.

Opowiedziała mu o listonoszu Mattie, który nie uczęszczał na msze, ale potrafił dostarczyć list każdemu w Shancarrig, nawet, jeśli na kopercie nie było adresu, tylko nazwisko. Zapoznała go z

ojcem Gunn i ojcem Barrym, a kiedy ujrzała pełną dezaprobaty minę pani Kennedy, gospodyni księdza, roześmiała się wesoło i usiadła przy stole; jak oświadczyła, przyprowadziła tu Richarda Hayesa specjalnie po to, aby mógł skosztować tych słynnych placków pani Kennedy.

Potem, kiedy już byli sami, wyjaśniła mu, z czego słyną te placki: są ciężkie jak kamienie.

Następnie Nessa zaprowadziła Richarda do domu panny Ross i do sklepu Nellie Dunne. W ciągu trzech dni pokazała mu wszystkie ciekawe zakątki i kryjówki w okolicy.

- A więc zostałeś już wprowadzony - powiedziała z uśmiechem. - Tak abyś nie mógł mi zarzucić, że nie oprowadziłam cię jak należy. - Czuła, że jest nią oczarowany. Że uważa ją za kobietę bystrą i wartościową.

I rzeczywiście taka była.

Miała ciemne grube włosy, ładną cerę, nosiła twarzowe żółte i czerwone bluzki, a przede wszystkim nie chichotała S

bez przerwy jak większość dziewcząt, z którymi miał do czynienia. To dzięki matce nabrała tej wiary w siebie; przekonania, że dorównuje każdemu Adonisowi, który znajdzie się w miasteczku.

R

Nie zdecydowałaby się jednak związać z mężczyzną słab-szym od siebie, tak jak uczyniła to matka. Nie poślubiłaby ko-goś pozostającego w cieniu, będącego na drugim miejscu pod względem doskonałości, człowieka przeciętnego i nijakiego. Nie teraz, kiedy już poznała, co znaczy pełne zachwyty spojrzenie mężczyzny takiego jak Richard.

Podobny jemu zjawia się w miasteczku takim jak Shancarrig raz na pięćdziesiąt lat. Miała szczęście, że zwrócił na nią uwagę; musi się teraz pilnować, aby go nie utracić. Inne dziewczęta marzą o takim we śnie i na jawie, myślą o nim dniem i nocą. Ona jednak, sama nie wiedząc dlaczego, nie analizowała tego, co czuje do uroczego Richarda Hayesa, któ-

ry najwidoczniej pragnął spędzać w jej towarzystwie każdą wolną chwilę. Wyobrażała sobie oczywiście, że on naprawdę ją lubi, ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegawczy doradzał rezerwę. Tylko w ten sposób, jak sądziła, zdoła naprawdę skupić jego uwagę.

To było jak gra na scenie.

A życie nie powinno być grą sceniczną. Ale Nessa czuła instynktownie, że w pewnym sensie Richard góruje nad nią. Bę-

dzie więc musiała zachować wobec niego daleko idącą ostroż-

ność.

Doszły oczywiście jej uszu opowieści o tym, dlaczego przyjechał tu i pomaga teraz wujowi Billowi

w jego biurze. Ludzie powiadali, że pan Hayes zaangażował się zbyt w swoją pracę, coraz mniej nadziei pokłada natomiast w Niallu. Syn studiował obecnie prawo na uniwersytecie w Dublinie, tam również miał odbyć praktykę adwokacką. Ale zanim uzyska odpowiednie kwalifikacje, upłynie jeszcze około pięciu lat.

Nic więc dziwnego, że stary Bill Hayes zdecydował się przyjąć do pracy Richarda.

Mówiono też, że Richard przyjechał do Shancarrig, aby móc się zaszyć w tym ustroniu i przeczekać burzę: podobno w Dublinie był zamieszany w aferę z córką sędziego. Przebąkiwano coś także o zerwanych zaręczynach i karygodnym S

niedotrzymaniu obietnicy małżeństwa.

-We wszystkich tych opowieściach Richard Hayes, kuzyn solidnego Nialla, jawił się jako playboy.

-Panowało powszechne przekonanie, że Shancarrig jest R

zbyt ciasną miejsciną dla kogoś, kto widział już i działał tak wiele jak ten przystojny dwudziestoparoletni człowiek.

-Czy on nie jest fantastyczny? - szepnęła Leo, kiedy ujrzała go po raz pierwszy.

-Miło się z nim rozmawia - poinformowała skwapliwie Nessa, aby dać swojej przyjaciółce do zrozumienia, że w wy-

ścigu, do którego przystąpiły chyba wszystkie mieszkanki Shancarrig, ona zdołała już zająć znakomite miejsce.

-Szkoda, że nie bywa częściej w naszym barze - powiedziała matka Nessy. - Byłby prawdziwą atrakcją i przycią-

gałby więcej klientów.

-Wygląda na młodzieńca, którego wypraszano już z nie-jednego baru - zauważył Conor Ryan tonem znawcy.

Nieoczekiwanie przytaknął mu ich barman, Gerry O'Sullivan.

-Prawdziwy pożeracz serc niewieścich - mruknął. - Przez takich jak on ludzie skaczą sobie do gardła.

-No, takie rzeczy nie są nam potrzebne - orzekła stanowczo pani Ryan. - Może to i dobrze, że on nie bywa tu co wieczór.

-A kto w Shancarrig skakałby w takiej sytuacji drugiemu człowiekowi do gardła? Do tego trzeba by więcej ognia i na-miętności niż widać w naszym miasteczku. - Conor powrócił

już do lektury gazety, a zwłaszcza do prognoz dotyczących wyścigów, na które i tak się nie wybierał.

Breda Ryan patrzyła z namysłem na Nessę, która sumiennie ćwiczyła pisanie na maszynie. Miała to robić codziennie przez godzinę, zasłaniając klawisze, tak aby nie widzieć liter.

Jej włosy były lśniące, oczy błyszczące, dekolt bluzki wydawał się wystarczająco głęboki i kuszący. Jeśli chodzi o Richarda Hayesa, nie trzeba będzie szukać daleko ognia i na-miętności.

Nessa odrzuciła już trzy próby matki, aby skierować rozmowę na temat seksu.

Przecież wiem o tym, mamó. Mówiłaś mi to wszystko już parę lat temu, kiedy po raz pierwszy dostałam okres.

S

Ale teraz zmieniły się okoliczności, trzeba rozważyć jeszcze inne sprawy... proszę cię, Nesso.

-Nie ma żadnych innych spraw, nie chcę o tym mówić.

Bała się, że usłyszy od matki coś nieprzyjemnego lub R

straszego. Była już i tak przerażona. A matka nie zdoła przecież rozwiązać tych nowych dla niej problemów; nie rozwią-

załaby ich także żadna inna matka.

Richard powiedział jej, że jest piękna. Wszedł do hotelu i usiadł na ławce, żeby z nią porozmawiać. Było wczesne po-południe, pora słabego ruchu w hotelu, jej jednak przyszło do głowy, że Richard powinien chyba być w tym czasie w biurze swojego wuja.

-Powiedział, że ma wspaniałą urodę i przypomina mu Dianę, boginię łowów.

-To była dobra bogini czy zła?

-Była piękna. Nie słyszałaś o niej?

Niezbyt wiele, zakonnice kładły raczej nacisk na Nowy Testament. Zdaje się, że była bardzo cnotliwa, nieprawdaż?

-Podobno. I ta opinia przylgnęła już do niej na stałe. - Ro-ześmiał się, a ona poczuła, że się rumieni. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby się nad czymś zastanawiał, a po chwili musnął dłonią jej policzek.

-A co się dzieje z tutejszymi dziewczętami, jeśli nie są tak bardzo cnotliwe? - zapytał.

-Wyjeżdżają do swoich babć albo do Anglii. - Miała nadzieję, że wypieki na jej twarzy już zniknęły. Peszyło ją, że on kieruje wzrok na jej piersi i w ogóle patrzy na nią tak, jakby jej pragnął.

-A może to tylko złudzenie? Od paru dni Nessa nie potrafiła oddzielić fantazji od rzeczywistości.

-Zachowałbym daleko idącą ostrożność, gdybyśmy mieli... uczynić cokolwiek, co mogłoby potem spowodować twój wyjazd do babci - zapewnił ją. - Możesz mi wierzyć, byłbym bardzo ostrożny. Nic by ci nie groziło.

Udało jej się zachować spokojny ton i znaleźć właściwe słowa:

-Och, o tym nie może być mowy.

Nie ukrywał nawet, jak bardzo jest zaintrygowany.

Czyżbyś się bała?

S

Nie. Ale mogą przecież istnieć jeszcze inne powody, dla których ludzie mówią ci: nie.

Wiem jednak, że ci się podobam...

Ale czy cię kocham i czy ty kochasz mnie? O to powi-

nienesz zapytać siebie samego, zanim jeszcze pomyślisz, żeby wybrać się ze mną na prawdziwą randkę.

-Na przykład pod Starą Skałę?

W Shancarrig był dopiero od dziesięciu dni, a już zdążył

się dowiedzieć, dokąd idą zakochane pary: na małą polankę w lesie Barna, skąd ścieżka wiedzie do Starej Skały.

-Gdybyśmy wiedzieli, co to miłość, Vanesso Mary Ryan, moglibyśmy władać światem. - Westchnął przesadnie cięż-

ko.

-Ale czy umielibyśmy władać nim jak należy, Richardzie Aloysiusie Hayes? - roześmiała się.

-Skąd znasz moje imiona?

-Zapytałam Nialla, co oznacza RAH na twojej torbie tenisowej.

I on ci powiedział? Co za świnią!

Roześmieli się oboje po tej wymianie zdań, a on pochwycił ją za rękę.

-Nie żartowałem, jesteś naprawdę najładniejszą dziewczyną w okolicy.

-Nie widziałeś tu jeszcze wszystkich.

-Wybacz, ale jednak widziałem. Wybrałem się na inspekcję. Wziąłem torbę tenisową i poszedłem do The Glen, ale jednak nie pograłem tam i nie sprawiło mi przyjemności spotkanie z twoją tak zwaną przyjaciółką od serca, tego kłębka nerwów o kędzierzawej głowie.

-Nie mów tak o Leo.

-Przyjrzałem się też Madeleine Ross.

-Jest stara jak świat.

-Tylko trzy lata starsza ode mnie. Popatrzmy, kto jeszcze... Milutka Maura Brennan, która pracuje w hotelu Ryanów... Ale coś mi się zdaje, że ona była już pod Starą Skałą z młodym panem O'Sullivan. Jeśli się nie mylę, niedługo za-grają im dzwony weselne.

-Maura miałyby być w ciąży? Nie wierzę.

Uniósł dłonie obronnym gestem.

-Niewykluczone, że się mylę.

S

-Jaka ona głupia! Przecież ten Gerry O'Sullivan nigdy się z nią nie ożeni... - Ugryzła się w język, ale było już za późno.

-Aha... czyli nie chodzi o miłość, tylko o to, czy facet po-

ś

R

lubi dziewczynę, czy nie?

-A więc punkt dla niego! Nessa wstała.

-Muszę już iść - powiedziała.

Z trudem weszła po schodach na górę; nogi miała jak z wa-ty. Otworzyła drzwi do swojego pokoju i ujrzała, jak jej siostry, Catherine i Nuala, gwałtownie odskakują od toaletki, gdzie trzymała swój pamiętnik. Widocznie czytały go po kryjomu.

-Miałaś być teraz w recepcji! - Catherine uznała, że najlepszą obroną jest atak.

-I tak nie czytałyśmy nic osobistego, naprawdę! - zawoła-

ła błagalnym tonem Nuala, młodsza i bardziej bojaźliwa od Catherine.

-Dobrze, że się boi!

Nessa, starsza od nich i pewna siebie, gdyż pożądał jej najprzystojniejszy mężczyzna w Irlandii, wyprostowała się na całą wysokość.

-Wyjaśnicie to wszystko później - powiedziała i wzięła klucz od drzwi. - Zamknę was w pokoju i będziecie tu siedzia-

ły, dopóki nie znajdę mamy.

N-ie mów nic mamie! - Nuala była bliska płaczu.

-Mama cię za to nie pochwali! - ostrzegła Catherine.

Ale Nessa nie miała się czego obawiać. W pamiętniku nie było nic szczególnego; wszystko, co ważne, zapisała w swoim notatniku, z którym nie rozstawała się nawet na chwilę.

Właściwie przyszła tu, aby dopisać parę słów: o namiętno-

ści brzmiącej w jego głosie; o ciarkach, jakie przechodzą ją, kiedy on ujmuje jej dłoń; o jego spojrzeniu, kiedy mówił, że mógłby ją pokochać.

Ignorując prośby i szlochy dochodzące zza drzwi jej pokoju, poszła odszukać matkę.

Na korytarzu ujrzała Maurę Brennan z naręczem bielizny pościelowej.

-Wszystko w porządku? - zapytała.

-Dlaczego pytasz?

-Czy ja wiem...? Może dlatego, że jesteś jakaś zmieniona, S

inna niż zawsze.

-Naprawdę jestem inna. W przyszłym tygodniu wychodzę za Gerry'ego. Jeszcze nie mówiłam o tym nikomu, bo za-ręczyliśmy się dopiero co.

R

-Wychodzisz za mąż?

-Tak. Czy to nie wspaniałe?

Nessa patrzyła na nią oszołomiona. Może reguły gry uległy już zmianie, może jednak faceci żenią się z dziewczętami, które wybrały się z nimi przedtem pod Starą Skałę? Może to, co mówią jej matka, siostry zakonne i członkinie Katolickiego Stowarzyszenia Prawdy, jest mocno przesadzone?

Wzięła się w garść.

-Rzeczywiście wspaniałe - odparła. - Gratuluję.

Po chwili odnalazła matkę i opowiedziała jej o obu wino-wajczyniach zamkniętych w pokoju.

Obmyśl dla nich jakąś surową karę - zakończyła swoją relację.

-Czy one nie mogły przeczytać w twoim pamiętniku czegoś, o czym nie powinny jeszcze wiedzieć? -
Matka spojrza-

ła na nią z lękiem.

-Jeśli będę musiała powtórzyć ci jeszcze raz, że nie ma tam nic takiego, zwariuję! - Ostatnie słowa niemal wykrzyczała.

Ku jej zdumieniu matka spojrzała na nią z podziwem.

-Wiesz, wydaje mi się, że mimo wszystko Richard byłby dla ciebie odpowiedni. Od jakiegoś czasu jesteś bardziej pewna siebie, to widać. Jeszcze nadejdzie moment, że liczyć się będzie twoje słowo.

Istotnie, także Nessa czuła, że czuje się ostatnio pewniej niż zwykle. Z satysfakcją przyjęła też fakt wyznaczenia kary dla Catherine i Nuali. Nieoczekiwanie prócz matki skarcił

je również ojciec.

-Każdy człowiek musi mieć prawo do prywatności i własnych marzeń - oświadczył nadąsanym córkom, które otrzymały zakaz wychodzenia z domu przez tydzień. - To okropne wdzierać się w czyjś świat marzeń.

-Przecież w tym pamiętniku nie było nic szczególnego -

broniła się Catherine.

-Mówiąc tak, jeszcze pogarszasz swoją sytuację.

Dziewczynki nie wierzyły własnym uszom.

Oto Nessa, która stwarza zawsze problemy, ta, która robi cielece oczy na widok kuzyna Nialla Hayesa, ma teraz pełną S

aprobata rodziców - i za co? Że zachowała się wobec własnych sióstr okrutnie, bo naraziła je na niebezpieczeństwo, zamykając w sypialni na klucz.

-A gdyby wybuchł pożar, co wtedy? - Na wszelki wypadek R

Catherine postanowiła uświadomić rodzicom, co groziło im obu.

-Wtedy byście się spaliły - odparła matka.

Czasem Eddie Barton wpadał na pogawędkę.

-Kombinujesz coś z Richardem Hayesem? - zapytał ktoś-

regoś dnia.

-Co miałabym kombinować?

-No, nie wiem... Tak się zastanawiam... A kombinujesz z nim?

-Nie. Po prostu nieraz przychodzi i znowu odchodzi. Jest bardzo przystojny, może nawet zbyt przystojny jak na mnie.

-Wiem, o czym myślisz. - Eddie był jak zwykle rzeczowy.

-Dziękuję. Widać, że jesteś naprawdę moim przyjacielem.

-Nie, źle mnie zrozumiałaś. Jesteś bardzo ładna, a ostatnio jeszcze wyładniałaś, słowo daję... - Eddie mówił coraz chaotyczniej, bezwiednie zaczął pokazywać gestami, w jakim sensie wyładniała; najwidoczniej miał na myśli piersi i szczupłą talię. Ale Nessa nie wydawała się tym urażona. -

Wygląd jest bardzo ważny, nieprawdaż?

-Chyba tak. Ale niektórzy ludzie nie przywiązują do te-go wagi.

Eddie przeczesał sobie dłonią sterczące włosy.

-Szkoda, że u facetów wygląd nie zmienia się tak jak u dziewcząt.

-Przecież ty też wyglądasz wspaniale - powiedziała to ona, który jej samej wydał się pogodny i zachęcający.

-Nie śmieć się ze mnie. - Twarz poczerwieniała mu jak burak.

-Wcale się nie śmieję.

-Jak to nie? Mam włosy okropne jak nie wiem co. I nie będą inne, choćbym szczotkował je cały dzień. Kto na mnie spojrzy?

Wybiegł z hotelu, odprowadzany zamyślonym wzrokiem Nessy. Nie słyszała do tej pory, aby Eddie rozmawiał w ten sposób z innymi dziewczynami albo w ogóle interesował się nimi. Czasem wpadał tu i prowadził tajemnicze rozmowy tei S

lefoniczne z kimś w Szkocji. Nessa pokręciła głową. Nie, nie wie, co o tym myśleć. A zresztą... ma poważniejsze sprawy na głowie.

Richard zawiózł Nessę do kina w mieście samochodem R

wuja.

-Wuj pozwala ci prowadzić?

-Jasne, skoro sam nigdzie nie wychodzi wieczorami.

-Niall nigdy nim nie jeździł.

-Bo o to nie prosił.

Niall przebywał u swojego kolegi. Wspólnie uczęszczali na trzytygodniowy kurs księgowości. Nie cierpieli tych za-jęć. Niall wysłał do Nessy kilka listów i pocztówek; we wszystkich żalił się na ten przeraźliwie nudny kurs i wyrażał nadzieję, że na uniwersytecie będzie lepiej.

Według mnie Niall podkochuje się w tobie - powiedział

Richard, całując ją w aucie.

-Nie sędzę - odparła chłodnym, suchym tonem. Matka miała rację, pomyślała. Rzeczywiście dorosłam, odkąd Richard zjawił się w Shancarrig.

-A ja myślę jednak, że tak. Przyznaj się: nie zabiera cię do kina? Nie chce wybrać się z tobą pod Starą Skałę jak ja?

-Nigdy mnie o to nie prosił - odparła.

-Ethel mówiła, że jutro Niall wraca do domu - poinformowała córkę pani Ryan.

-To rzeczywiście sensacja, która wstrząśnie całym miasteczkiem - mruknęła Nessa.

-O ile wiem, przyjaźniliście się oboje. - Matka mówiła nadal łagodnie i Nessa, skruszona, zmieniła ton.

-Istotnie, byliśmy przyjaciółmi. Ale on ostatnio jest taki ponury, trudno z nim wytrzymać.

-Nie każdy jest obdarzony takim urokiem jak jego kuzyn Richard.

-Richard zachowuje się normalnie. Jest miły dla wszystkich i nie narzeka stale, nie gdera jak Niall.

-Może Niall ma powody do niezadowolenia?

-Jakie powody?

-No cóż, dziewczyna, która mu się podoba, nie może oderwać oczu od jego kuzyna. Miejsce w firmie ojca-

żał za swoje, nie jest już takie pewne... no i jest w gorszej sy-S

tuacji niż ty, bo nie ma takiej cudownej, wyrozumiałej matki, lecz starą, posępną Ethel.

Roześmiały się jak serdeczne przyjaciółki; tak właśnie odnosiły się do siebie ostatnio.

R

-A co ty byś doradziła Niallowi na moim miejscu? - zapytała Nessa. Nie była pewna, czy matka naprawdę spojrzała teraz na nią badawczo, czy jest to tylko złudzenie.

-Namawiałabym go, żeby walczył w firmie o swoje. Prze cięż Bill to jego ojciec. To miejsce mu się należy. Powiedzia łąbym, że ma pewne szanse i musi je wykorzystać, nie wolno mu tracić czasu

-Może nie zechce mnie wysłuchać...

-Możliwe. Ludzie często nie słuchają dobrych rad, nawet od ludzi im życzliwych.

-A tata cię słuchał?

-O, tak. Ale to co innego. Ja kochałam twój ojca. Kocham go nadal.

-Nie mogę powiedzieć, abym kochała Nialla. Ale bardzo go lubię.

-Więc mu pomóż.

Nessa zaprosiła Nialla do hotelu na drinka. Zabrzmiało to bardzo poważnie.

-Wyglądasz świetnie - powiedział.

-Dziękuję, Niall. Ty też prezentujesz się całkiem, całkiem.

Chciałem powiedzieć, że jesteś ładna jak...

-Na czym polega twoja praca w biurze? - przerwała mu, zmieniając temat.

-Papierkowa robota! Wyjmuję jakieś dokumenty z rozciętych kopert i wkładam je do nowych. Boże, co za koszmar!

Niall był uosobieniem nieszczęścia, a Nessa płonęła z niecierpliwości. Dlaczego on nie ma w sobie dość ikry, aby rzucić tę głupią pracę, dlaczego nie jest taki jak jego kuzyn?

W końcu ich ojcowie byli braćmi! No tak, widocznie tym bardziej energicznym był ojciec Richarda.

Richard zdołał przekonać wuja, że wizyty domowe to zadanie dla człowieka młodszego; dzięki temu mógł korzystać z samochodu i przebywać cały dzień poza domem. Przecież nikt nie byłby w stanie sprawdzić, ile czasu pochłania rzeczywiście sporządzenie testamentu lub poznanie wszystkich szczegółów w sprawie o dochodzenie roszczeń prawnych? Kto S

mógłby wyliczyć, ile godzin trzeba na przeprowadzenie rozmowy z właścicielem gospody, któremu chcą odebrać licencję, lub z kobietą na temat umowy przedmałżeńskiej obejmują-

cej także przejęcie farmy?

R

Richard, rozmawiając z klientami, był zawsze pogodny i uczynny.

Gdyby to jego obarczono taką papierkową robotą, potrafiłby uczynić z niej czynność najbardziej prestiżową ze wszystkich innych wykonywanych w biurze. Dlaczego Niall nie dostrzega takiej możliwości? Dlaczego od razu się kuli i przybiera minę męczennika, zamiast zadrzeć głowę wysoko i roześmiać się wesoło?

-Często się widywałeś z Richardem, kiedy mnie tu nie było? - zapytał Niall, przerywając jej rozmyślenia.

-Przychodził raz po raz, był bardzo wytrwały.

-Ale chyba wiesz, że nie jest człowiekiem, na którym można polegać?

-Nie bądź takim skarżypytą, Niall. - Zachowała swój lekki ton, choć czuła już wzbierającą w niej irytację. Nie chcia-

ła słyszeć o niczym, co mogłoby zachwiać jej wiarę w Richarda Hayesa, nie zamierzała wysłuchiwać jeszcze jednej bzdurnej historyjki o hańbie dla rodziny.

-Po prostu powinnaś o tym wiedzieć.

-Och, wiem o nim wszystko - odparła beztróska.

-Naprawdę? - Powiedział to niejako z ulgą.

-Co miasto, to jego dziewczyna. Tydzień temu przyjecha-

ła tu nawet ta Elaine z Dublina. Jak widzisz, znam wszystkie sekrety.

-Była tu Elaine? Po tym wszystkim, co się stało?

Odwiozła go pod twój dom, pod same drzwi. Szykownym autem.

-Jeśli ktoś się dowie, rozpęta się piekło. To właśnie ona.

-Jaka ona?

-No, ta która... która wpadła...to ona.

-Ach, no tak, to ona. - Starła się ukryć przygnębienie, jakie ogarnęło ją w tym momencie. Niall nie musiał wyjaśniać, o co mu chodzi. Już przedtem doszły ją wieści o córce sędziego, która zaszła w ciążę.

-Pomyśleć tylko: po tym wszystkim przyjeżdża do Shancarrig jakby nigdy nic, uganiania się za Richardem.

-Musi być bardzo zdesperowana. S

-A więc wszystko w porządku. - Niall spojrzał na Nessę z ulgą: skoro wszystko wie, nie będzie jej musiał niczego wy-jaśniać.

-W każdym razie my tutaj mieliśmy piękne lato. Ale ty R

masz chyba za sobą ciężki okres. - Celowo przypomniała mu jego niedolę, aby móc się oddać własnym rozmyślaniom. To niemożliwe, aby Richardowi zależało na tamtej dziewczynie.

Ale nie ulega wątpliwości, że Elaine, w przeciwieństwie do niej, poszłaby z nim do łóżka. Zresztą już to zrobiła.

-Czy jemu chodzi tylko o to? Z pewnością pragnie też innych rzeczy - miłych rozmów, pocałunków i dziewczyny młodszej od siebie o siedem lat, podobnej do Diany, bogini ło-wów. ..

Gdyby mogła o tym z kimś porozmawiać! Ale nikogo takiego nie było w pobliżu.

W dzień ślubu Maury Brennan Leo zaproponowała, aby poszły do kościoła.

-Maura nie będzie tym zachwycona - zasugerowała Nessa. - Ze względu na swoją pracę w hotelu nie chce utrzymywać kontaktów towarzyskich.

-Bzdura - parsknęła Leo. - To raczej twoja matka nie życzy sobie tego typu kontaktów. Chodźmy.

Usiadły w kościele, czekając na rozpoczęcie tej rozpaczliwie skromnej ceremonii, i Nessa w pewnym momencie odetchnęła z ulgą, kiedy ujrzała także Nialla Hayesa i Eddiego Bartona.

-Udało mi się wyżebrać wolną godzinę od tych bezna-dziejnych Dunne'ów - szepnął Eddie. Odkąd zaczął pracować w sklepie z artykułami żelaznymi, należącym do wuja Fo-xy'ego, czuł się bardzo nieszczęśliwy.

-Ja też mam chwilę wytchnienia od tych głupich kopert

- mruknął Niall.

-Miałam iść na kurs stenotypii, ale powiedziałam matce, że tego dnia zarządzono przerwę. Pilnuje mnie, jakbym była więźniem - poskarżyła się Nessa.

Potem umilkli, patrząc na ślub ich koleżanki ze szkoły, Maury, ciężarnej, ale szczęśliwej, z niewysokim, przystojnym Gerrym O'Sullivanem. W ceremonii uczestniczył oczywiście S

drużba, nie przybył jednak nikt z rodziny.

-Ten facet nie wygląda na godnego zaufania - szepnął

Niall.

-Na miłość boską, a kto w tych czasach jest godny zaufa-R

nia? - syknęła Nessa.

-Na przykład ja. - Spojrzał na nią i nagle uświadomiła sobie, że on naprawdę ją lubi. Wbrew temu, co o nim dotychczas myślała, potrafi nie tylko narzekać i uzalać się nad so-bą, ale także kocha się w niej. O dziwo, ta świadomość nie dała jej takiej satysfakcji, jakiej się spodziewała. W przeszłości, kiedy nikt nie zwracał na nią większej uwagi, potraktowałyby to po prostu jako okazję do odnotowania sukcesu i zachętę do złamania adoratorowi serca.

Nialla ceniła jednak zbyt mocno jako przyjaciela.

-Dziękuję - szepnęła.

Maura ucieszyła się z prezentu, jaki od nich otrzymała: małej oszklonej gablotki. Zawsze marzyła o meblu, w któ-

rym mogłaby przechowywać różne ładne przedmioty i bibe-loty. W jej oczach zaszklily się łzy radości, kiedy przynieśli gablotkę do jej nowego mieszkania - oddalonego zaledwie o rzut kamieniem od domu, gdzie ojciec nadal dawał się poznać rodzinie jako pijus.

-Jesteście kochani - powiedziała Maura zdławionym głosem. - Dobrzy z was przyjaciele.

Nessa poczuła nagle wyrzuty sumienia. Maura pracowała w hotelu Ryanów od paru lat, a ona zamieniła z nią w tym czasie zaledwie parę zdań. Gdyby była tak odważna jak Leo Murphy, nie oglądałaby się na matkę, nie przejmowałaby się jej gadaniem o koniecznym dystansie i granicach poufało-

ści między właścicielem hotelu a personelem.

Ostatnio ma jednak coraz więcej odwagi i teraz ją okaże.

Kiedy wróciła do hotelu, matka zapytała, gdzie odbędzie się uroczystość weselna.

-Dobrze wiesz, że Maurę nie stać na nic więcej prócz pa-ru drinków u Johnny'ego Finna i trochę kurczaka na zimno dla tych, którzy pójdą potem do jej domu.

-No cóż, powinna była pomyśleć o tym trochę... - zaczę-

ła matka.

-Nie, powinna mieć możliwość urządzenia przyjęcia tutaj.

Chodziła ze mną do szkoły, a teraz pracuje w naszym hotelu, podobnie zresztą jak Gerry. Prosta przyzwoitość wymagała-S

by, aby dać im obojgu przynajmniej tyle.

Breda Ryan patrzyła na nią zaskoczona.

-Nie rozumiesz...

-To, co rozumiem, wcale mi się nie podoba. To takie snoR

bistyczne i niedorzeczne. Czy jesteśmy jako ludzie lepsi od Maury Brennan? Czy tego zawsze chciałaś? Takiej drabiny społecznej, na której można розміścić siebie i innych?

-Nie, wcale tego nie chciałam. - Matka zachowała spokój i nie okazywała gniewu, mimo iż Nessa podniosła na nią głos w miejscu publicznym, w hallu hotelowym.

-A czego chciałaś?

-Powiem ci, kiedy się uspokoisz i przestaniesz krzyżeć jak handlarka przy straganie. Chodź ze mną. - Podeszły do baru.

-Conor, może byś wziął z kasy pięć funtów i poszedł do Johnny'ego Finna, żeby postawić wszystkim kolejkę na cześć nowożeńców?

Ojciec Nessy spojrział na żonę mile zaskoczony.

-Przecież to ja zaproponowałam...

-I miałaś rację. Idź teraz, dopóki są jeszcze na tyle trzeź-

wi, że wiedzą, kto stawia. My z Nessą zajmiemy się barem.

Patrzyły obie, jak Conor Ryan odchodzi dziarskim krokiem, jeszcze nie wierząc w to, co się stało. Nessa siedziała bez ruchu, czuła, że matka ma chęć na rozmowę, czekała więc. Pani Ryan nałala dwa małe kieliszki sherry. Nie robiła tego nigdy przedtem, ale Nessa powstrzymała się od komentarza. Obie uniosły kieliszki, jakby były w tym barze stałymi bywalczyniami.

-Ludzie chcą nieraz różnych rzeczy - odezwała się w koń-

cu Breda Ryan. - Ja chciałam kiedyś Teddy'ego Burke'a. My-

ślałam o nim od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałam, a więc odkąd ukończyłam szesnaście lat, do czasu, kiedy liczyłam ich sobie dwadzieścia jeden. Pięć długich lat. - Nessa, zdumiona, nie odrywała od niej oczu. Takiej matki nie znała jeszcze. -

Teddy miał dla wszystkich miłe słowa, ale nic poza tym...

słowa. Myślałam, że dla mnie będzie miał coś więcej. Myśla-

łam, że jestem dla niego kimś specjalnym - na tym budowa-

łam swój świat marzeń. Nie mogłam jeść, a to z czasem odbi-

ło się na moim zdrowiu i wyglądzie. Rodzice wysłali mnie na kurs ekonomii.

-Nie wiem, czy uwierzysz, ale naprawdę mało pamiętam z tamtych lat. Jakoś ukończyłam ten kurs i zdobyłam dyplom, ale ani na chwilę nie przestałam myśleć o Teddym Burke.

Matka umilkła na długą chwilę, co Nessa wykorzystała, aby zapytać:

-A on, czy wiedział...?

-Nie sędzę. Był przyzwyczajony do hołdów, zewsząd okazywano mu sympatię. Ja byłam po prostu jedną z wielu. -

Breda Ryan zapatrzyła się przed siebie, jej ciemne włosy przytrzymała perłowa spinka, kołnierzyk blad różowej bluzki był wyłożony na ciemnoróżowy sweterek; kobieta sukcesu w każdym calu. Trudno było uwierzyć w tę historię o nie-

śmiałej, bojaźliwej dziewczynie, zakochanej przez pięć lat w mężczyźnie, który nawet jej nie zauważał.

-W każdym razie dowiedziałam się pewnego dnia, że Teddy Burke żeni się z Annie Lynch, najbardziej prostacką dziewczyną w trzech parafiach, złośnicą i na domiar złego - zezowatą. Poślubił ją dla jej ziemi, dla akrów, które rozciągały się po jeziora i doliny, dla praw do połowu. Okazało się, że dla tak przystojnego mężczyzny liczy się ziemia.

-Wtedy zaczęłam się zastanawiać, co właściwie liczy się dla mnie.

-Poszłam na wesele kuzynki, poznałam tam twojego ojca i uświadomiłam sobie, że chcę uciec jak najdalej stąd, gdzie mieszkam i gdzie wszystko będzie mi przypominać uśmiech Teddy'ego Burke'a. Zapragnęłam uczynić twojego ojca silnym i pewnym siebie, takim, jakim stał się Teddy, gdy dostał ziemię. Takim właśnie człowiekiem była zawsze Annie Lynch, od dziecka posiadająca ziemię.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Przerwała je Nessa.

-Żałowałaś potem swojej decyzji?

-Nigdy. Ani przez moment. Zresztą nie miałam powodu.

Hotel prosperował dobrze. Ta para z portretów na ścianie doprowadziłaby go do ruiny, a poza tym mało brakowało, aby twój ojciec wstąpił przez nich do armii brytyjskiej.

-Dlaczego mówisz mi teraz o tym wszystkim?

-Żebyś nie sądziła, że przede wszystkim chcę wywyżżyć naszą rodzinę nad inne. Może czyniłam to przypadkowo, ale z pewnością nie umyślnie.

-Tata wie o tym Burke?

-O czym miałby wiedzieć? Przecież to były jedynie marze-S

nia młodej głupiutkiej dziewczyny, nic więcej.

Do hotelu wszedł Mattie z torbą pełną listów.

-To miasto, jak widzę, schodzi na psy - mruknął. -

U Johnny'ego Finna trwa wesele, a tu dwie panie same sączą R

sherry przy barze.

-I nie ma takiego, kto by podał kufel listonoszowi - roze-

śmiała się matka Nessay.

Nastrój tamtej chwili minął, może nawet bezpowrotnie.

Jednak Nessa zaczęła od tej pory postrzegać innych ludzi w nowym świetle. Może każdy człowiek ma w swoim życiu taką wielką miłość - albo coś, co mu się wydaje wielką miło-

ścią. Może pan Kelly szalał kiedyś na punkcie jakiejś pio-senkarki z nocnego klubu, zanim poślubił dzisiejszą panią Kelly. Może Nellie Dunne zakochała się po uszy w jakimś wędrownym handlarzu, który wiele lat temu zatrzymał się w hotelu Ryanów.

Nie można tego wykluczyć.

Albo ten Eddie Barton... Zakochał się w dziewczynie ze Szkocji, Christine Taylor. Nie wiadomo nawet, w jaki sposób nawiązał z nią kontakt. Podobno korespondowali od lat, rozmawiali też wiele razy telefonicznie.

A potem ta Chris przyjechała do Shancarrig i zamieszka-

ła w domu Bartonów. Nessa obserwowała z podziwem, jak bardzo Eddie się zmienił. Z kuzynami Foxy'ego zaczął rozmawiać jak z równymi sobie, a kiedy przyszedł z Christine do Bredy Ryan, przedstawił rzeczowym, spokojnym tonem swój projekt unowocześnienia hotelu.

Miłość naprawdę odmienia ludzi.

Eileen Blake z The Terrace przyniosła sensacyjną wiadomość: wracając z Dublina, zatrzymała się na

kawę w Portlaoise i kogo tam ujrzała? Richarda Hayesa z jakąś dziewczyną. Zameldowali się w hotelu jako mąż z żoną.

Młodą Marię Kelly ze szkoły w Shancarrig widziano z nim na tańcach w mieście, ale jej rodzice nie mieli o tym pojęcia, bo dziewczyna wymknęła się przez okno, a wracając, wdrapa-

ła się po gałęziach starego czerwonego buku i w ten sposób znalazła się znowu w swojej sypialni.

Nessa dowiedziała się o tych dwóch wydarzeniach w cią-

gu trzech dni, ale był to przypadek; nikt nie przyniósł jej S

tych informacji umyślnie, jako złych wieści.

Wbrew temu, czego się zawsze obawiała, nie poczuła się zdradzona. Nie ogarnął jej gniew na człowieka, który powiedział, że jest wyjątkowa i chciałby, żeby była jego dziewczy-

na, a w rzeczywistości, jak się okazuje, traktuje w ten sam sposób połowę dziewcząt z okolicy. Po prostu przyjęła do wiadomości, że jej zaślepienie dobiegło końca. A może była córką swojej matki w większym stopniu, niż to się jej dotychczas wydawało? Nie chciała jeszcze zrezygnować z niego całkowicie, ale odtąd będzie istniał w jej życiu w zupełnie innym sensie.

W pewnym momencie do pokoju roboczego dla handlowców wszedł Richard. Tego dnia w hotelu nie było przejezdnych, pokój był wolny i Nessa skorzystała z tego faktu, ćwicząc tam zadania ze stenografii.

-Muszę pojechać jutro do miasta. Mógłbym cię podwieźć na kursy - zaproponował.

Oczywiście wyobraźni ujrzała natychmiast swoje koleżanki, które patrzą z okien, jak Richard Hayes otwiera przed nią drzwiczki samochodu.

-A dokąd byśmy potem poszli? - zapytała.

-Na pewno coś znajdziemy.

Nessa spojrzała w stronę baru, gdzie stali rodzice, poza zasięgiem ich głosów.

-Nic nie słyszą. - Richard nie krył zniecierpliwienia. Ale Nessa interesowała się teraz czymś innym: ujrzała właśnie, jak matka czule muska dłonią twarz ojca.

Uzmysłowiła sobie nagle, że to naprawdę nieważne, kto za-

łatwia dostawę piwa z browaru lub ciastek z cukierni ani kto zatrudnia lub zwalnia barmanów. To nieważne, że sierżant Keane rozmawia o przepisach dotyczących prawa do wyszynku nie z ojcem, lecz z matką. Matka zapomniała już o tamtym Teddym, wie teraz, na kim jej naprawdę zależy, i właśnie z nim dzieli swą siłę. Bo ten, którego wybrała, wcale nie jest kimś gorszym.

Zdumiona, uświadomiła sobie w tym momencie, że pójdzie w ślady matki, postąpi dokładnie tak samo. Nie chodzi o to, aby mierzyć wysoko i poszukiwać tego, co się błyszczy. Wyda-

ło jej się nagle, że widzi zatroskaną, niespokojną twarz Nialla. Zapragnęła pocieszyć go, zapewnić, że wszystko będzie w porządku.

S

Spojrzała Richardowi prosto w oczy.

-Nie, dzięki - odparła. - Dziękuję za wszystko, ale nie.

Nie przyszło jej to łatwo.

Nie chciała jednak żyć potem w ustawicznym lęku przed R

nim, przed jego reakcjami. Nic nie jest tego warte.

-Ach, tak... - Powiódł dokoła gniewnym wzrokiem. - Więc to się dla ciebie liczy najbardziej. Podrzędny hotelik... A ty będziesz już do końca niewolnicą własnej matki. - Narasta-

ła w nim wściekłość. Ludzie nie odzywali się w ten sposób do niego, Richarda Hayesa. A już na pewno nie dziewczęta.

Także Nessa poczuła wzbierającą furję.

-To nie jest wcale podrzędny hotelik. To mój dom. Mój.

Mieszkam tu, bo takiego dokonałam wyboru. A ty nie mo-

żesz nawet mieszkać tam, gdzie byś chciał, bo wygonili cię z miasta. Tak więc nie przyjeżdżaj tu, aby nas krytykować.

Nie jesteś do tego uprawniony. I odpowiedz mi na jedno pytanie: co byłabym warta, gdybym pojechała z tobą gdzieś, aby potarzać się na trawie parę minut?

-To by trwało dłużej niż parę minut - odparł z figlarnym uśmieszkiem. A więc nie utraciła go. I nawet podoba mu się jeszcze bardziej, bo mu odmówiła.

Cóż za wspaniały rodzaj władzy!

Tak oto narodziła się nowa Nessa Ryan.

Nie flirtowała z nim, jak zapewne czyniły to inne dziewczę-

ta w promieniu stu mil. Nie chciała, aby nazywano ją jego dziewczyną.

Wydawało się, jakby zdołała odmienić radykalnie styl ich relacji. Droczyła się z nim na temat jego

ostatnich podbojów, tych prawdziwych i domniemanych, tym bardziej iż brak zazdrości z jej strony doprowadzał go do szaleństwa, o czym ona doskonale wiedziała. Podobało jej się, że jest przez niego pożądana, ale spotykała się z nim wyłącznie w większym gronie, nigdy sama.

Po ukończeniu kursu na uczelni zaczęła pracować w hotelu rodziców.

To ona postanowiła zadbać o podniesienie poziomu świadczonych usług i w tym celu nawiązała kontakty z firmami turystycznymi, występując o dotacje. Gości z Ameryki prosiła,

aby wysyłali listy do redakcji ich lokalnej prasy, zachwalając hotel. Zaproponowała też zmianę jego nazwy na

„Ryan's Shancarrig Hotel”.

-Ta dziewczyna to żywe odbicie swojej matki - orzekła R

Nellie Dunne. - Pamiętam jeszcze, jak zjawiała się tu po raz pierwszy Breda O'Connor i przejęła cały interes rodziców Conora. Nessa robi to samo.

Ale Nessa nie zamierzała rywalizować z rodzicami. Wraz z matką śmiała się z uwiecznionych na portretach dziadków, którzy spoglądali na nią uparcie. Ojcu powiedziała, że jest mu do twarzy w marynarce, namawiała go, aby powiesił na ścianie ładnie oprawione zdjęcia koni - to uzasadniałoby fakt, że konie stanowią zawsze główny temat jego rozmów.

Catherine i Nuala nie rozumiały postępowania siostry.

Najprzystojniejszy mężczyzna w Irlandii ubiega się o jej względy, a ona nie ma dla niego czasu! A Nessa piękniała z dnia na dzień, jej ciemne lśniące włosy były zawsze ładnie przystrzyżone i opadały wdzięcznie na ramiona; styl, jaki zawdzięczała nie tyle gustowi fryzjerki, co raczej pewnej książce dla dzieci, w której znalazła wizerunek Diany, bogini łowów.

Nessa rozumiała się teraz doskonale z matką. Obie czę-

sto jeździły do Dublina po rozmaite przybory i materiały. Już od dawna Nessa cieszyła się pełnym zaufaniem rodziców, korzystała więc ze swobody, jakiej odmawiano jej siostrze.

-Dlaczego nie możemy pojechać same do Galway? A Nessie wolno? - narzekała Catherine.

-Bo wam nie można ufać. Pewnie poszłybyście w krzaki z pierwszym lepszym Cyganem, jakiego byście spotkały - roześmiała się Nessa. Ta uwaga zabolęła je obie, uznały ją za zdradę i przejaw braku solidarności między siostrami. Żeby mówić coś takiego, wspominać o pójściu w krzaki w obecno-

ści matki! Jeszcze pomyśli, że to prawda!

-Nie muszę być wobec was solidarna - powiedziała Nessa. - Podkradacie mi kosmetyki, zakładacie

moje pończochy, używacie moich perfum. Nie myjecie po sobie wanny, nie pomagacie w hotelu, tylko czekacie na sposobną chwilę, żeby stąd wyjechać. Dlaczego więc miałabym wam pomagać?

Na tak postawione pytanie trudno było znaleźć odpowiedź.

S

-A więzy krwi? - zasugerowała Catherine.

-Przeceniasz znaczenie tego faktu - odparła starsza siostra.

-Nessa, może byś pomyślała o kursie zarządzania hotelami?

- zaproponowała kiedyś matka. - To by ci dużo dało.

Kurs organizują w Dublinie.

-Tutaj jest mi dobrze.

-Nie pytam cię o Richarda...

-Wiem, mamó. I to mi się w tobie bardzo podoba - ucię-

ła ten temat Nessa.

Zastanawiała się, jak długo będzie trwało jego wygnanie do Shancarrig, martwiła się też ze względu na Nialla, czy Richard nie zadomowił się za bardzo u swojego wuja.

Pan Hayes wpadał czasem na drinka z majorem Murphym, ojcem Leo. Nessa stawała wówczas za barem; twierdziła, że pomagając w ten sposób rodzicom, poznaje lepiej upodobania klientów. Jednak pan Hayes nie wspominał nic o tym, jak długo jeszcze będzie zatrudniał bratanka, za to - ku strapieniu Nessy - wykazywał mało entuzjazmu wobec perspektywy powrotu syna.

-Trudno się dowiedzieć, czego się tam nauczył, nie mogę wyciągnąć z niego nawet słowa na ten temat - usłyszała pewnego wieczoru, jak mówi do doktora Blake'a. Nie chciała się wtrącać do rozmowy, ale potem sama powróciła do tego tematu.

-Zdaje się, że Niall lubi studia - powiedziała.

-Diabelnie słabo to widać.

-Och, wszyscy ojcowie są tacy sami. Co najważniejsze, interes kwitnie. Nialla czeka moc pracy, kiedy wróci.

-Sam nie wiem... A co z Richardem... - Zawiesił głos.

-Przecież Richard nie zostanie tu chyba na stałe? - Powiedziała to lekkim tonem, bez żadnych

podtekstów.

Bill Hayes spojrział jej prosto w oczy.

-Coś lub ktoś trzyma go tutaj. Przyszło mi na myśl, że może to ty?

-Nie, panie Hayes. Nie jestem dla niego odpowiednią dziewczyną - odparta spokojnie, jakby stwierdzała po prostu fakt.

-No cóż, w każdym razie coś go trzyma w Shancarrig, Nesso. Na pewno nie pieniądze ani życie towarzyskie.

-Myślę, że któregoś dnia wyjedzie stąd tak nagle, jak S

przyjechał. - Jej głos nie wyrażał żadnych emocji.

-Ja też tak myślę. - Pan Hayes wydawał się zatroskany.

Tydzień później Niall przyjechał do domu.

R

-Jak słyszałem, dostajesz w prezencie samochód na swoje dwudzieste pierwsze urodziny - powiedział do Nesy.

-Przestań, to miała być niespodzianka - syknęła.

-Nie wiedziałem, że zdradzam sekret. Ale to wspaniale, czyż nie? Mieć własny samochód...

-Ty też mógłbyś mieć auto.

-Wolno zapytać, w jaki sposób? Nie jestem oczkiem w głowie rodziców.

-Rzeczywiście. Jesteś jednak najstarszym synem w rodzinie, a nie okazujesz zainteresowania sprawami, jakie prowadzi ojciec.

-Po prostu kształcę się na cholernego prawnika. - Niall wydawał się urażony.

-Ale jakiego prawnika? Nie pytasz nawet ojca, czym się zajmuje. I nie masz chyba pojęcia o konkurencji.

-Jak sądzę, masz na myśli Richarda?

-Wcale nie, głuptasie. Richard jest twoim kuzynem, powinniście trzymać się razem. Twoja konkurencja to Gerry O'Neill, który w mieście ma firmę i handluje nieruchomościami.

A jego brat z kolei udziela porad prawnych w sprawach przekazywania własności. Na nich musisz uważać.

-Nie miałem pojęcia.

-Bo nie pytasz.

-Kiedy pytam, w czym mogę pomóc, słyszę w odpowiedzi, żeby zakleić koperty.

-Och, daj spokój, to było trzy lata temu! - Objęła go ramieniem. - Zaproś tu ojca na piwo, potraktuj go jak przyjaciela.

-To by mu się nie podobało.

-Ja też tak kiedyś myślałam w dzieciństwie. Wydawało mi się, że matce nie spodoba się to albo tamto. Myliłam się.

Rodzice chcą, abyśmy się kierowali własnym rozumem.

-Nie, chcą po prostu móc na nas polegać - upierał się Niall.

-Niech i tak będzie. Ale ty i ja jesteśmy godni zaufania, tak więc ich oczekiwania mogą być spełnione. Chcą także, żebyśmy mieli swoje poglądy, opinie, żebyśmy byli nieprzeciętni.

S

Spojrzał na nią z podziwem.

-Czy ty... ? - zaczął.

Wiedziała, że chce zapytać o Richarda.

-Tak?

R

Na dźwięk jej głosu umilkł.

-Już nic.

-Przyjdź wieczorem z ojcem.

Kiedy Nessa dostała samochód, swój prezent urodzinowy, przede wszystkim zabrała rodziców na przejażdżkę po Shancarrig, machając po drodze do przechodniów. Parę razy napotkała w lusterku wstecznym wzrok matki i wtedy uśmiecha-

ły się do siebie. Jak przyjaciółki. Jak ludzie, którzy rozumieją się wspaniale. Nie mogła postąpić lepiej. To był wspaniały sposób, aby publicznie podziękować rodzicom, a mieszkań-

com Shancarrig pokazać, że Breda O'Connor przybyła tu dwadzieścia dwa lata temu i odniosła w życiu sukces.

Była szósta i dzwoniło już na Anioł Pański, kiedy Nessa zawróciła. Zbliżała się pora, kiedy ludzie przychodzą do ba-ru hotelowego na drinka. Zaczynali też zjawiać się turyści preferujący jesień jako okres wypoczynku.

Mijając dom Bartonów, Nessa dostrzegła w ogródku Eddiego i jego Christine. Zatrzymała auto.

-Przyjadę po was trochę później. Wezmę też Leo, Nialla i Maurę. Wybierzemy się na przejażdżkę - zawołała.

-Eddie pojedzie z wami - powiedziała Christine. - Wtedy wszystko będzie jak za dawnych czasów.

-Jedź z nami.

-Nie. Dzięki, ale nie.

-Ona wie, co robi - mruknęła z uznaniem matka Nessy.

-Wygląda na to, że wszystkie kobiety wiedzą - powiedział

Conor Ryan z westchnieniem, które, jak się już przekonała Nessa, wcale nie wyrażało rezygnacji, lecz ulgę. Dawniej są-

dziła, że ojciec pragnie się czuć wolny, teraz jednak była przekonana, iż odpowiada mu życie, jakie wie.

Podejrzewała, że Maura nie zgodzi się z nimi pojechać.

Trudno. Najważniejsze, że przyjaciele nie zapominają o niej.

To ją z pewnością ucieszy. Będzie uszczęśliwiona, kiedy auto zatrzyma się przed jej domkiem, a grupa lepszych gości, jak nazywała ich pani Brennan, zacznie ją prosić, aby wybrała się S

z nimi na przejażdżkę.

Mimo to nie pojedzie, zostanie w domu z Michaeliem, swoim ukochanym dwuipółletnim synkiem, który nigdy nie pozna ojca. Gerry O'Sullivan, przystojny barman z hotelu, okazał się R

człowiekiem na tyle godnym zaufania, aby poślubić Maurę, ale nie dość solidnym, aby zostać, kiedy się dowiedział, że dziecko przyszło na świat upośledzone.

Nessa zatrzymała auto przed The Terrace, wbiegła po stopniach i stanęła przed zawsze otwartymi drzwiami segmentu numer 5.

-Dzień dobry, panie Hayes. Przyszłam, aby zaprosić na przejażdżkę człowieka, który jest pana prawą ręką.

-Winszuję z całego serca, Nesso. Słyszałem już o urodzi-nach i o aucie. Richard zejdzie za chwilę.

-Miałam na myśli Nialla - sprostowała.

-Ach, tak, oczywiście.

-Nie wiem właściwie, dlaczego nie grywa pan w golfa, mając tu tylu pomocników, panie Hayes. - Mówiła lekkim tonem, jakby mimochodem. Ojciec Nialla lubił ją, wiedziała o tym. Jeszcze trzy lata temu nie śmiałyby na niego podnieść wzroku, a co dopiero odezwać się tak swobodnie.

-Moja żona nie byłaby tym zachwycona - odparł.

Pomyślała przez krótką chwilę o pani Hayes, tęgiej, stale posępnej kobiecie, której nie widziała nigdy w innych kolorach prócz brązu i oliwkowej zieleni. Żadnego ognia ani śla-du życia. Panu Hayes byłaby raczej potrzebna żona taka jak matka Nessy albo sama Nessa.

Niall usłyszał jej głos.

-I co, jest samochód?

-Jest. Przyjechałam wziąć cię na przejażdżkę - powiedziała i ujęła go pod ramię. Zdawała się nie dostrzegać Richarda, który wyszedł właśnie ze swojego pokoju, poprawiając krawat, sądził bowiem, że zjawił się któryś z jego klientów.

Stał potem na szczycie schodów, patrząc, jak Nessa umieszcza Nialla na przednim siedzeniu auta.

-Czy nie chciałaś... ? - zaczął Niall.

-Tak. Chciałam pojechać z tobą, ale czekałam do szóstej, żeby nie narażać się twojemu ojcu. Jedziemy po Eddiego.

Nawet jeśli Niall chciał coś powiedzieć o Richardzie, nie uczynił tego. Rozparł się tylko wygodnie na swoim miejscu.

S

Eddie dołączył do nich sam, bez Chris, która miała jeszcze załatwić jakieś sprawy z jego matką. Podjechali długą alejką do The Glen. Przed drzwiami czekała już na nich Leo.

-Pokazać samochód twoim rodzicom? - zapytała Nessa.

R

-Nie, lepiej nie - machnęła ręką Leo.

-Może rodziców Leo nie stać na kupno auta dla córki? Al-bo jej matka nie czuje się dobrze? Pani Murphy od dawna nie pokazuje się publicznie, a bracia Leo, Harry i James, w ogó-

le nie przyjeżdżają do domu. Biddy, służąca Murphych, mil-czy jak grób, tak jakby musiała ochraniać

swoich chlebobawców. Może ta rodzina ma naprawdę jakieś tajemnice? Nessie by to nie przeszkadzało.

Dobrze też przewidziała reakcję Maury, która podziękowa-

ła za pamięć, ale wyjaśniła, że nie może z nimi jechać. Przygotowała za to ciasto. Zjedli je w przyjaznej atmosferze w jej domku. W oszklonej gablotce stało już parę rzeczy: czerwone aksamitne puzderko z widelcem, odłamek marmuru z Con-nemara oraz suszone kwiaty od Eddiego - prezent z okazji chrzcina małego Michaela.

Nad kominkiem wisiała oprawiona fotografia Gerry'ego O'Sullivanana.

- Czy to nie wspaniałe, że tak długo trzymamy się razem?

- powiedziała Maura. A kiedy przytaknęli tylko, niezdolni wymówić choćby jedno słowo, dodała: - Gdyby jeszcze zjawił

się Foxy, bylibyśmy w komplecie.

-Foxy radzi sobie doskonale - odezwała się niespodziwianie Leo. - Jeśli tak dalej pójdzie, będzie niebawem w stanie wykupić całe nasze miasteczko.

-A ma taki zamiar? - zainteresował się Niall.

-W każdym razie chciałby być tu kimś znaczącym, to pewne - odparta Leo.

-Czy nie dążymy do tego wszyscy? - zapytał Niall.

-Ty na pewno. Jesteś prawnikiem. Jeśli kiedykolwiek zajmę się interesami, przyjdę z tym do ciebie - obiecała Maura.

Roześmieli się, najgłośniejsz z nich Maura.

-Ale nie zapominaj, że kiedy czytaliśmy naszą przyszłość z dłoni, wyszło na to, że ty będziesz bogata, nie Foxy. Może więc rzeczywiście zajmiesz się prowadzeniem interesów -

pocieszył ją Eddie Barton. Pamiętali jeszcze ostatni dzień szkoły. Od tamtej pory upłynęło siedem lat - cała wieczność, S

jak się im teraz wydawało.

Nessa podjechała do podnóża Starej Skały. Tam zostawili samochód i zgodnie ze swoim zwyczajem wspięli się wyżej.

Trudno było odczytać coś pewnego z ich twarzy, ale Nes-R

sa odniosła wrażenie, jakby przyszłość Eddiego u boku Chris rysowała się różowo.

Wiedziała też, że Maura nigdy nie uzna siebie za nieszczę-

śliwą. Pragnęła zamieszkać w lepszym domu, a może dopiero odkładała na ten cel, gdyż jej domek był urządzony nader skromnie; nie widać było w nim efektów jej ciężkiej pracy w hotelu i u innych chlebodawców.

Leo była jak zwykle zamknięta w sobie, ale to nie nad nią zastanawiała się dziś Nessa, lecz nad poczciwym, niezawodnym Niallem. Leo i Eddie odeszli na bok, wspięli się na głąz, skąd otwierał się widok na cztery hrabstwa. Czasem widoczność stawała się lepsza wieczorem: można było dostrzec wówczas strzelistą wieżę, charakterystyczną dla jednego z okrę-
gów, oraz góry wznoszące się w drugim.

Niall usiadł obok Nessy. Nosił za ciasną marynarkę i pomiętą koszulę, jego włosy, o tej samej ciepłej brązowej barwie jak u Richarda, były zmierzwione. Spojrzał na nią jakby z niepokojem.

- Będziemy szczęśliwi, nieprawdaż? - szepnęła i pogłaska-

ła go po dłoni.

- Mam nadzieję, że zaznasz wiele szczęścia - odparł ochryłym głosem, w którym dosłyszala szczerość, oddanie i poczucie osamotnienia. Może to samo usłyszała kiedyś jej matka w głosie Conora Ryana?

- I ty, i ja - powiedziała. - Pobierzemy się, czyż nie? Kiedyż wreszcie poprosisz mnie o rękę?

- Nie wyśmiewaj się ze mnie, Nesso.

- Jeszcze nigdy nie mówiłam bardziej serio niż teraz.

- A Richard?

- Co z nim?

- Czy ty nie...?

-Nie.

-Ale chyba...

-Nie.

-Wydawało mi się, że nawet mnie nie dostrzegasz.

-Ależ tak, widziałam cię bardziej niż innych. Od tego dnia, kiedy kończyliśmy szkołę, a ty powiedziałaś, że mam S

ładne włosy.

-Wyryłem na drzewie twoje imię - powiedział Niall.

-Co takiego?

Napisałem: JNH kocha VR. I to była prawda. Była i jest R

nadal.

-John Niall Hayes, Vanessa Ryan? Nie, naprawdę tak napisałeś?

-Możemy tam pojechać i sprawdzić. Wtedy się przekonasz.

Właśnie tego dnia, kiedy obchodziła swoje dwudzieste pierwsze urodziny, w blasku zachodzącego słońca, pocałowali się po raz pierwszy na wzgórzu, skąd roztaczał się widok na całe miasteczko. Nessa wiedziała, że ma jeszcze przed sobą długą drogę. Czeka ją walka z apatią jego posępnej matki jak również z niechęcią pana Hayesa wobec syna. Będzie mu siała zadecydować, gdzie mają zamieszkać i jak żyć. Richard wyjedzie wcześniej lub później. Może nawet wcześniej, skoro ustalili się już tyle spraw.

Będzie miała teraz sporo czasu na przekonanie Nialla, że nie musi się niczego obawiać w związku z Richardem, gdyż ten nie był jej kochankiem i w ogóle nie łączyło ich uczucie.

Był po prostu kimś, kto zjawiał się przy niej, kiedy tego potrzebowała, a potem natchnął ją odwagą i wiarą w siebie, czego brakowało kiedyś jej matce.

Z drugiej strony czuła jednak, że świadomość, którą teraz posiada, ma ścisły związek z faktem, iż jest nieodrodną cór-ką swojej matki.

S

R

Richard

Richard nie cierpiał widoku Starej Skały. Patrząc na nią, uzmysławiał sobie, że znowu przyjechali na letni wypoczynek do Shancarrig. Do ciemnego, posępnego domu wuja Billa i ciotki Ethel. Gabinet, w którym byli przyjmowani intere-sanci, mieścił się na parterze, sypialnie znajdowały się na piętrze. Wszędzie ciężkie, masywne meble i nic poza tym. Co tu można robić? Można zwariować z nudów. Shancarrig to dziura. W dodatku zapadła dziura.

Odkąd sięgał pamięcią, przyjeżdżali w lipcu na tydzień właśnie tutaj. Przez wszystkie lata wojny, a także potem, w okresie tak zwanego kryzysu, jeździli tu pociągiem, w któ-

rym zamiast węgla spalano torf. Kiedy pogoda nie dopisywała, torf był gorszej jakości i wtedy podróż trwała dłużej, ciągnęła się w nieskończoność.

Ojciec Richarda odbywał z wujem Billem co wieczór dłużej, wielomilowe spacery. Brali ze sobą gałązki tarniny i ura dowani wskazywali nimi miejsca, gdzie kiedyś bawili się ja S

ko dzieci - na przykład zwirowate płycizny rzeki Grane, gdzie schwyтали rybę; gęstwinę lasu Barna, który zmalał znacznie w ciągu ostatnich lat; albo olbrzymi, szpetny stos kamieni nazwany Starą Skałą.

R

Czasem stawali przed szkołą i zachwycali się starym czerwonym bukiem, na którym dawno temu, w 1914 roku, wyryli obaj - czternastoleni wówczas bliźniacy - swoje inicjały: KI i WH, a więc Kevin i William. Richard czuł za każdym razem, że aż go mdli, kiedy tak na jego oczach, uszczęśliwieni oddawali się bzdurnym, bezwartościowym wspomnieniom.

On sam był przystojnym, niesfornym chłopcem, a tego tygodnia prześladowała go myśl o stracie czasu, jaką jest dla niego przymusowy pobyt w tej nudnej miejscinie. Kiedyś, dawno temu, zapytał przed wyjazdem do Shancarrig, czy naprawdę muszą tam jechać.

-Tak, oczywiście. Zresztą to tylko jeden tydzień z pięć-

dziesięciu dwóch, jakie mamy w roku - odparła matka.

Jej słowa natchnęły go nadzieją, że i ona nie lubi tego miejsca. Ale matka, choć często uległa, okazała się w tym przypadku nieugięta.

Twój ojciec nie oczekuje od nas wiele. Tylko tego jednego wspólnego tygodnia w jego rodzinnym miasteczku. Pojedziemy tam i masz nie okazywać niechęci!

-Ale tam są straszliwe nudy. A ciotka Ethel jest okropna.

-Nie jest okropna, tylko cicha. Możesz zabrać coś ze sobą, skoro boisz się nudy: książki, gry.

Matka brała ze sobą druty. Zazwyczaj w ciągu tego jednego tygodnia w Shancarrig udawało jej się zrobić dwa swetry.

-Jesteś prawdziwą mistrzynią w robieniu na drutach -

powiedziała kiedyś ciotka Ethel.

-Lubię to, odprężam się przy tej pracy - mruknęła jego matka. Nie wspomniała, że w Dublinie nigdy nie sięga po druty i włóczkę. Tylko Shancarrig było dla niej miejscem odpowiednim na taką czynność: jej czyścieniem na Ziemi.

Dzieci wuja Billa były jeszcze małe. Najstarszy syn, Niall, był o całe siedem lat młodszy od Richarda, który w tym czasie liczył już sobie dwanaście lat i rozglądał się niecierpliwie za towarzystwem.

W 1950 roku Richard miał siedemnaście lat. Tym razem miały to być jego ostatnie ferie w tym

okropnym miejscu.

S

Stojąc na dłużej się niemiłosiernie uroczystości poświę-

cenia szkoły, w której uczestniczyli biskup, ksiądz i inne waż-

ne osobistości, Richard przysięgał w duchu, że jego noga nie postanie tu nigdy więcej. Dusił się tu, czuł się jak ktoś, kto R

cierpi na klaustrofobię.

Na szczęście opuszczał już tę szkołę z internatem prowadzoną przez jezuitów. Zamierzał udać się z dyplomem i świadectwem dojrzałości na uniwersytet, chciał jednak studiować nie medycynę, jak ojciec, lecz prawo. Za rok, latem, będzie mógł

wyjechać oficjalnie na jakiś kurs lub nawet za granicę.

Nigdy więcej nie zaciągną go do tej dziury. Siostry mogą tu przyjeżdżać, proszę bardzo, zdaje się, że sprawia im to przyjemność, kiedy bawią się z miejscowymi dziećmi. On, Richard Hayes, wykonał już swoją normę.

Na uroczystości zwrócił uwagę na ładną dziewczynę w nie-biesko-białej sukience i słomkowym kapeluszu z rondem ob-szytym takim samym materiałem. Dłonią osłaniała oczy przed słońcem i przysłuchiwała się bacznie kolejnym wystąpieniom mówców. Była szczupła, o wdzięcznie wciętej talii i ładnej, choć bladej twarzy.

Kto to jest, wujku? - zapytał.

Madeleine Ross. Miła dziewczyna, ale trochę za bardzo zdominowana przez matkę. Chyba już zawsze będzie robiła wszystko pod jej dyktando.

Zostanie tu do końca życia? - zapytał przerażony taką perspektywą.

Część tutejszych mieszkańców czyni to z własnej woli, bez niechęci - odparł sucho wuj.

Jasne, wiem. Chodziło mi o to, że ona wygląda jeszcze tak młodo.

Też byłem młody, kiedy postanowiłem wrócić tu na sta-

łe. Gdyby stary doktor Nolan potrzebował wówczas kogoś do pomocy, musiałby przyjechać tu również twój ojciec. To nasz dom, rozumiesz?

Richard wzdrygnął się na samą myśl o tym.

W Dublinie Hayesowie mieszkali przy Waterloo Road, a więc w miejscu idealnym dla kogoś

mającego syna studenta. Richard miał tylko parę kroków na zajęcia i - co ważniejsze - do miejsc oferujących rozrywkę. Puby na Leeson Street mijał co krok, idąc do domu, w pobliżu odbywały się także za-

bawy taneczne dla studentów, a na Baggot Street koledzy organizowali przyjęcia, tym atrakcyjniejsze, że zaledwie o parę metrów dalej niektórzy z nich wynajmowali pokoje.

Richard zaproponował rodzicom, że odnowi i przystosuje R

do zamieszkania piwnicę w ich domu. Jak powiedział: po to, aby im nie przeszkadzać. I móc się spokojnie uczyć.

Ani matka, ani ojciec nie widzieli w tym nic niewłaściwego. Byli zadowoleni z syna, niezmiernie czarującego, kiedy siadał z nimi o szóstej do kolacji albo gdy w weekendy jadali razem lunch. Zawsze uśmiechał się mile, kiedy dawał Liz-zie swoje brudne rzeczy do prania, potrafił przy tym stworzyć w tym domu własny, odrębny świat.

-Sam utrzymam swoje miejsce w porządku i czystości, naprawdę - zapewniał z tym swoim chłopięcym uśmiechem.

I zanim jeszcze ktokolwiek się zorientował, zamieszkał w odnowionej piwnicy. W wieku osiemnastu lat korzystał już z wolności, o jakiej nie śnili jeszcze jego rówieśnicy.

Rodzice nie mieli nawet pojęcia o dziewczynach, które sprowadzał do siebie, ani o tym, że nie wszystkie wychodzi-

ły stamtąd przed świtem. Ściany ozdobił plakatami, butelki po chianti przerobił na lampy, krzesła, sofę i łóżko okrył ko-lorowymi indiańskimi narzutami.

Kilka razy odbyły się bardzo hałaśliwe przyjęcia młodzie-

żowe, organizowane przez Richarda zazwyczaj dla dwojga, a nieraz i dla czworga. Jego piwniczne mieszkanie składało się z dwóch pomieszczeń, z których uczestnicy zabawy mieli wychodzić pewnym krokiem, jakby nigdy nic.

-Nie wymykaj się chyłkiem - ostrzegł Richard jedną z dziewcząt. - Wyjdź spokojnie, udawaj, że po prostu dostarczyłaś mi jakiś list. Wtedy starzy nie domyśla się niczego.

I rzeczywiście rodzice nie wiedzieli nic o jego prywatnym życiu. Swoim przyjaciołom i wujowi Billowi mówili z przekonaniem, że studia ich syna przebiegają pomyślnie, a on sam, w przeciwieństwie do swoich rówieśników, niespokojnych duchów, jest domatorem, co bardzo ich cieszy.

W tej sytuacji pełnym wstrząsem stało się mające miejsce tuż przed zakończeniem przez Richarda studiów nieprzyjemne zdarzenie z Olive Kennedy i jej rodzicami.

Okazało się, że Olive jest w ciąży, a wina spada na Richarda Hayesa.

Na spotkaniu obu rodzin Richard miał wrażenie, jakby S

oglądał film z gatunku sensacyjnych dramatów sądowych.

Nikt nie mówił tu prawdy.

Ani Olive, która, szlochając, zapewniała, że nie widziała nic złego w tym, co robi, gdyż Richard kochał ją i mieli się po-R

brać. Ani państwo Kennedy, którzy twierdzili, że on zrujnował życie ich córce. Ani jego rodzice, którzy zaklinali się, że ich syn nie mógłby uczynić czegoś takiego. Mieszkał przecież w porządnym domu, pod ich czujnym okiem.

Olive nie wspomniała, ile długich wieczorów spędziła w piwnicy przy Waterloo Road. Nie rozprawiano zresztą o miejscu, gdzie doszło do poczęcia, lecz o odpowiedzialności. I o tym, co teraz zrobić. Richard wypowiadał się kła-rownie. Jest mu bardzo, bardzo przykro. Nie zamierza się niczego wypierać, ale on i Olive są jego zdaniem zbyt młodzi na zawarcie małżeństwa. Nigdy o tym nie myśleli.

Zdawał się przy tym przekonany, że takie słowa załatwiają sprawę.

Jego rzeczowy i pełen respektu sposób bycia zyskał uznanie. Wszystko stało się teraz sprawą negocjacji. Olive miała wyjechać do Anglii, urodzić tam dziecko i wrócić po oddaniu dziecka do adopcji, aby kontynuować studia. Wymagało to pewnych środków finansowych; wysokość kwoty mieli ustalić obaj ojcowie.

-Olive, za nic na świecie nie chciałem, aby do tego do-szło - zapewnił Richard, kiedy wychodzili.

-Dziękuję, Richardzie. - Opuściła wzrok, uszczęśliwiona, że on nadal ją szanuje i kocha, chociaż są jeszcze oboje za młodzi na zawarcie małżeństwa.

Wtedy właśnie Richard Hayes odetchnął z ulgą i doszedł

do przekonania, że stał się prawdziwym pozeraczem serc niewieścich.

Przez parę miesięcy po tym wydarzeniu Richard uczył się pilnie. Kilka razy zaprosił do swojego piwnicznego mieszkania rodziców, tak aby mogli się przekonać naocznie, że mają wspaniałego, pracowitego syna.

Stopniowo, chociaż nie musiał o tym wiele mówić, ojciec i matka Richarda zaczęli widzieć Olive w nowym świetle - ja-ko wyrachowaną dziewczynę, która postanowiła zapolować na ich syna. Doszli do przekonania, że on w obliczu takiej pokusy zachował się i tak przyzwoicie.

S

Z dumą więc patrzyli na niego, gdy odbierał dyplom, gdy otrzymał zgodę na odbycie praktyki prawniczej, a potem zdobył posadę w prestiżowej kancelarii prawniczej w Dublinie.

Zanim jeszcze dostał swoją pierwszą pensję, dali mu pienią-

R

dze na ubranie. Dzięki temu poszedł do krawca i jego wygląd jeszcze zyskał w oczach wszystkich.

Zwłaszcza w oczach Elaine, praktykantki w jego biurze.

Była siostrzenicą starszego wspólnika w firmie i córką sę-

dziego. Nosiła najelegantsze kostiumy, prawdziwe perły, torebki i jedwabne szaliki prosto z Paryża. Oboje wyglądali na wytworną parę, gdy pokazywali się razem.

Zdarzało się to jednak rzadko, gdyż Richard twierdził, że nie stanowi dla niej odpowiedniego towarzystwa. Młody, ubogi prawnik, który dopiero startuje...

-Wcale nie jesteś ubogi, mój wujek płaci ci fortunę... -

Wieszała mu się na ramieniu, jakby się bała, że go utraci.

-Ale my jesteśmy jeszcze za młodzi, ty i ja... - przekonywał ją, wiedząc, że będzie pragnęła go tym goręcej, im bardziej on będzie protestować.

-Możemy dorastać razem - zasugerowała, patrząc mu prosto w oczy.

Od tej pory spotykali się często sam na sam, ale zawsze w jego mieszkaniu, gdzie nie mógł ich widzieć nikt inny.

Przez trzy lata wiedli wspólnie sekretne życie. W biurze zachowywali się wobec siebie całkowicie poprawnie, noce spędzali za to wśród namiętnych uścisków. Podziwiał zawsze jej spokój, z jakim potrafiła informować rodziców, że dziś zostanie na noc u przyjaciółki.

Kiedy stała półnaga, oświetlona promieniami słońca, odziana jedynie w górę od jego pidżamy, i przyrządzała jajecznicę na śniadanie, nie wierzył własnemu szczęściu: wybrała go taka śliczna i mądra dziewczyna!

-Czy ty mnie w ogóle kochasz? - zapytała kiedyś, mieszając jajecznicę na patelni.

Leżał na łóżku i czekał na śniadanie, które ona jak zwykle miała przynieść mu na tacy, zanim wstanie, ubiorą się i pójda

- ale oddzielnie - do biura. Upajał się świadomością, że nikt w pracy niczego nie podejrzewa.

-Co za dziwne pytanie! Dlaczego w ogóle pytasz?

-To zawsze niebezpieczne, jeśli ktoś odpowiada pytaniem S

na pytanie - roześmiała się; śliczna Elaine o złotych włosach, której eleganckie ciuszki leżały teraz porozrzucane w nieładzie na podłodze.

-Nie, coś takiego! Kochaliśmy się dwukrotnie w nocy i raz R nad ranem... a ty pytasz mnie jeszcze o takie rzeczy! - Wyglądał na szczerze zdumionego.

-Ale mnie chodzi o prawdziwą miłość.

-To właśnie jest prawdziwa miłość. Mnie wydała się prawdziwa.

-Jestem w ciąży - powiedziała.

-Niech to szlag!

-Wszystko jasne, już wiem. - Elaine cisnęła jajecznicę do zlewu i pozbierała z podłogi ubranie.

-Elaine, poczekaj... Nie to chciałem...

Poprzez szum wody w łazience usłyszał jej głos.

-Masz cholerną rację, nie tego chciałem. Ani jednego cholernego słowa nie mówiłeś serio.

Wyszła z łazienki już ubrana, uosobienie furii. Zrobił krok w jej stronę.

-Nie dotykaj mnie. Powiedziałeś już, co miałeś do powiedzenia.

Wcale nie. Musimy porozmawiać.

-Ty już powiedziałeś swoje. Niech to szlag - to twoje słowa.

W biurze czuł się jak na torturach. Elaine unikała jego wzroku, nie chciała się z nim umówić. Potem zniknęła na cztery dni.

W domu Richard bał się nawet myśleć o tym wszystkim.

Czy to możliwe, że Elaine udała się na zabieg, że zdecydowała się na aborcję?

W Dublinie w 1958 roku takie rzeczy się zdarzały. On sam słyszał różne historyjki, nie zawsze miłe, o pielęgniarce...

Czym prędzej odpędził od siebie ten pomysł. Elaine nie zgodziłaby się na to.

Jednak... czy on nie dał jej do zrozumienia, że nie chce mieć z tym nic wspólnego? Zatelefonował do

niej, ale gdy podał służącej swoje imię, poinformowała go, że „panienka”

nie chce teraz z nim rozmawiać.

Tym razem nie było żadnych układów, żadnej narady, jak wtedy, w przypadku Olive Kennedy. Po prostu starszy wspólnik w firmie poinformował go, że otrzymuje wypowiedzenie.

S

-Ale dlaczego? - zawołał Richard.

-Myślę, że pan wie. - Wuj Elaine, mężczyzna w sile wieku, wstał i odwrócił się do niego plecami.

Z taką bezwzględnością Richard zetknął się po raz pierw-R

szy. I jak to wyjaśnić rodzicom?

Postanowił znaleźć pracę w innej firmie: wtedy mógłby powiedzieć rodzicom, że sam pragnął zmiany. Nie wziął jednak pod uwagę wpływów, jakie posiadał starszy wspólnik, brat sędziego, ani faktu, jak mały jest światek kręgów prawniczych w Dublinie. Opinia na jego temat dotarła do wszystkich pracodawców. Nie wiedział dokładnie, jaka, ale z pewnością zawierała coś o jego niesolidności, o tym, że uwodzi młode kobiety, a na domiar złego nie potrafi ponieść konsekwencji za swoje wyczyny.

Dla Richarda Hayesa nie było tu pracy.

Wtedy opowiedział o wszystkim rodzicom.

Rozmowa nie należała do łatwych ani miłych. Możliwości wyjścia z tej sytuacji było wyjątkowo niewiele. I w końcu Richard uświadomił sobie przerażony, że jedyne, co mu chyba pozostało, to wyjazd do Shancarrig.

W lipcu 1958 roku wprowadził się do The Terrace, do segmentu numer 5. Pierwszego dnia włączył się niepocieszony po całym miasteczku, bez żadnego zainteresowania popatrzył

na kościół z naklejonymi na drzwiach ogłoszeniami o najbliższych wydarzeniach, między innymi o turnieju gry w wista, z którego dochód będzie przeznaczony na pomoc dla jakiejś wioski w Ameryce Południowej.

Z rękami w kieszeniach spacerował nad rzeką Grane, a potem skierował się do szkoły, gdzie parę lat wcześniej uczestniczył w jednej z tych nudnych uroczystości. Nic się tu nie zmieniło, podobnie jak na zaniedbanym brzegu, gdzie nadal stał cały rząd nędznych chałup, oraz w skupisku drzew, okre-

ślanym tu dumnie jako las Barna. Kiedyś, jako dziecko, wspinał się wraz z innymi na Starą Skałę. Dziś nie miał na to ochoty. Zniechęcony powlókł się w stronę domu.

Na moście wiodącym do miasteczka bawiła się grupa wyrostków. Kiedy ich mijał, przerwali

zabawę i obrzucili go za-ciekawionym spojrzeniem. Uświadomił sobie nagle, że cokolwiek tu zrobi, będzie pod ostrzałem setek oczu. Wzdrygnął się na samą myśl o tym.

S

Wszystko w Shancarrig potęgowało tylko jego przygnę-
bienie.

Ten niski, tłusty ksiądz o oczach jak paciorki, który powitał go słowami, że z przyjemnością widzi go w gronie swoich R

parafian - ciekawe, co miał na myśli? Albo ta upiorna gospodyni księdza, o twarzy wiedźmy, surowa pani Kennedy, która zdawała się przenikać go wzrokiem i odczytywać jego myśli... Tylko kiwnęła głową, kiedy się przedstawiał, jakby chciała powiedzieć, że dobrze zna takich jak on i wcale za nimi nie przepada.

Również pobyt w domu wuja nie zapowiadał się zbyt ciekawie. Wuj Bill był wprawdzie miłym człowiekiem i dobrym prawnikiem, ale niestety pojął za żonę kobietę naprawdę po-nura. Ciotka Ethel nie dostrzegała na tym świecie wiele powodów do zadowolenia. A jej dzieci nie mogły liczyć na korzystną pozycję w kręgach towarzyskich.

Niall miał teraz osiemnaście lat - był więc w wieku, kiedy człowiek jest zazwyczaj pełen radości. On jednak wydawał

się przygnębiony i pozbawiony jakiejkolwiek werwy. Richardowi nie przyszło w ogóle na myśl, że jego kuzyn może cierpieć na kompleks niższości; on sam nie doznał nigdy takiego uczucia. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Niall nie pożyczka od ojca forda zaparkowanego przed domem. W ten sposób mógł-

by pojeździć po całej okolicy, odnaleźć szersze horyzonty.

Nawet w takiej miejscinie jak ta musi istnieć życie towarzyskie dla młodzieńca w jego wieku. Widocznie jednak Niall nie jest w stanie wpaść na jego ślad; cały czas przebywa w pobliżu domu, nie oddalając się poza hotel Ryanów.

Richard zmierzzył posępnym spojrzeniem sypialnię, w jakiej miał zamieszkać. Masywna, ciężka mahoniowa szafa by-

ła obszerna, ale i tak z trudem pomieściła garnitury i płaszcze młodego prawnika. Ciotka Ethel z dumą pokazała mu nowoczesną baterię na ciepłą i zimną wodę; tylko w jego pokoju znajdowała się umywalka. Richard przeniósł wzrok na łóżko. Chyba nie może liczyć na to, że nie będzie spędzał noc samotnie. Wprowadzenie tu dziewczyny, obok kuchni, ty-lu pokoiów i sypialni, graniczyłoby z cudem. Grozi mu więc celibat, chyba że trafiłby na dziewczynę dysponującą własnym mieszkaniem - to zaś nie wydawało się możliwe w Shancarrig.

Oczywiście i tutaj zdarzały się ślicznotki.

S

Na przykład Nessa z hotelu. Zdążył już dostrzec w jej oczach duże zainteresowanie, skwapliwość obok onieśmienia, chęć przypodobania się, jak również lęk, że mogłaby się wydać nudna.

R

W takich sytuacjach nie okazywał arogancji, potrafił spojrzeć na sprawę w sposób rzeczowy. Znał się na tym, wiedział, jak się zachować. Wystarczy być miłym, uśmiechać się do niej i słuchać cierpliwie, co mówi, po prostu okazywać jej sympatię, a rozwinie się jak kwiat.

Oczywiście dużą zaletą jest wygląd zewnętrzny, ale liczy się przede wszystkim, aby dziewczyna czuła, że jest lubiana.

Niejeden z jego kolegów w Dublinie, którzy zazdrościli mu sukcesów, przystępował do współzawodnictwa z nim w tej dziedzinie tak spięty, że zapominał przy tym czerpać radość z łowów. Jeśli zaś istniała w tych sprawach jakaś tajemnica, umożliwiająca odnoszenie zwycięstwa, to polegała właśnie na tym.

Wiele czasu spędził na zalecaniu się do Vanessy Ryan.

Lepszej od niej nie było tu w całej okolicy. Miał wrażenie, jakby odbywał misję odkrywczą.

Była także ta nauczycielka ze szkoły, Madeleine Ross, niezmiernie uczuciowa i natchniona, prawdopodobnie zaabsorbowana bez reszty próbą nawrócenia jakiejś wioski o hiszpań-

sko brzmiącej nazwie, która w języku peruwiańskim oznacza chyba to samo co „Shancarrig”. Jak przypuszczał, w sercu Madeleine Ross drzemały tęsknoty dotyczące tego księdza o wyglądzie szaleńca, ale nie sądził, aby którekolwiek z nich obojga mogło się zdobyć na coś, co byłoby częściowym choć-

by urzeczywistnieniem tej cieplarnianej namiętności, jeśli ona w ogóle istniała.

Zwrócił również uwagę na niewysoką dziewczynę z pod-upadłej georgiańskiej rezydencji o nazwie The Glen; miała kędzierzawe włosy, zgrabne nogi i wyrazistą twarz. Także w jej rodzinie istniała jakaś tajemnica. Może chodziło o pieniądze, może o jakiegoś krewnego niespełna rozumu. Złożył

jej wizytę, ale nie spotkał się z zachętą do kontynuowania tych spotkań.

Bezowocne okazały się też nieliczne próby, podejmowane wobec innych dziewcząt.

Uznał, że na sukces może liczyć tylko u Nessy. Ku wielkiemu zdumieniu musiał jednak niebawem przyznać, że nie potrafi

złamać jej oporu. „Chyba tracę swój talent, podejście, z które-go słynąłem”, pomyślał. Ten zniewalający urok, który zjednywał mu serca kobiet w Dublinie, tu zdawał się nie działać.

Zagroził jej, oczywiście delikatnie, że nie zobaczą się ni-R

gdy więcej, jednak Nessa już go przejrzała... Powiedziała: nie.

I na tym stanęło.

Tracił panowanie nad sobą, kiedy widywał ją w hotelu rodziców, z tygodnia na tydzień jeszcze piękniejszą i bardziej pewną siebie. Ciemne lśniące włosy okalały jej ładną twarz, sukienki, utrzymane przeważnie w tonacji czerwonej lub żół-

tej, podkreślały korzystnie karnację ciała. Często śmiała się i żartowała z klientami; nawet goszczący w hotelu Amerykanie spoglądali na nią z uznaniem.

Lata wygnania upływały powoli.

Nie były aż tak złe, jak się tego obawiał, ale nadal marzył

o powrocie do Dublina.

Pewnego dnia do Shancarrig przyjechała Elaine.

-Wychodzę za mąż - poinformowała.

-Kochasz go? - zapytał.

-Jeszcze parę lat temu nie przyszłoby ci na myśl pytać o coś takiego. Nie sądziłeś w ogóle, że miłość istnieje.

Wiem, że istnieje. Po prostu jeszcze się z nią nigdy nie zetknąłem.

-Z pewnością poznasz ją. I to wkrótce - powiedziała cicho.

-A jeśli chodzi o dziecko...

-Nie miałam żadnego dziecka.

-Co takiego?

-Nie miałam żadnego dziecka. To był tylko mój wymysł.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

-Przez ciebie zostałem wygnany do tej dziury! Twoje kłamstwo sprawiło, że musiałem opuścić Dublin!

-Ale do ciąży mogło dojść naprawdę, a twoja odpowiedź

brzmiałaby tak samo: niech to szlag! Tylko tyle byś powiedział, gdyby dziecko przytrafiło się nam

rzeczywiście.

-Ty jednak... dlaczego zdecydowałaś się pokazać wszystkim w takim świetle... dlaczego powiedziałaś ojcu i wujowi... i pozwoliłaś, aby ludzie pomyśleli...?

Wtedy wydało mi się, że warto. Ale od tamtego dnia upłynęło wiele czasu.

S

-A dlaczego mówisz mi o tym teraz? Czyżby wyrok na mnie został uchylony? Mogę wrócić z wygnania? Mogę się pojawić znowu w Dublinie i otrzymać tam pracę?

-Nie, tu chodzi raczej o mnie. Wyznałam ci prawdę, abyś R

wiedział, że nigdy nie byłam w ciąży, nie urodziłam dziecka, nie poszłam na zabieg. Chciałam, żebyś wiedział, na wypadek...

-Na wypadek czego?

-Na wypadek... - Najwidoczniej zabrakło jej słów. Są-

dził, że Elaine wyzna zaraz, że chciała oszczędzić mu ewentualnych wyrzutów sumienia. A on przecież i tak nie pomyślał

nigdy o dziecku, ani o rzeczywistym, ani o zmyślonym.

-Na wypadek, gdyby Gerald miał się dowiedzieć. Albo gdybyś ty mu coś wypaplał...

Uświadomił sobie, iż bardziej niepokoi ją perspektywa poznania jej przeszłości przez Geralda niż cokolwiek, co wią-

że się z jego osobą.

-Powiedz mu, że jesteś czysta jak śnieg - rzucił. Poczuł nagle ulgę: jak dobrze, że nie poślubił tej podstępnej i fałszywej kobiety!

Wkrótce potem o radę poprosił go jego młodszy kuzyn Niall.

-Jak widzę, znasz się na wszystkim, Richardzie.

-Naprawdę?

-Nie dość, że jesteś przystojny i w ogóle... ale wiesz tak-

że, jak być miłym dla innych i co zrobić, aby cię lubili. Czy jest na to jakiś sposób?

Richard spojrział na niego; na zmierzwione włosy, drogą, lecz niemodną już marynarkę, workowate spodnie. No i ta postawa: obwisłe ramiona, wzrok skierowany w dół, nie na rozmówcę... Może

odgrywała tu dużą rolę wrodzona nieśmia-

łość? Ogólnie Niall sprawiał wrażenie człowieka chwiejnego i niesolidnego.

Kiedy indziej i w innym miejscu Richard udzieliliby mu braterskiej porady; w końcu przecież Niall zdobył się na to, aby poprosić go o pomoc, co z pewnością nie przyszło mu łatwo.

To jednak nie był odpowiedni moment na tego typu rozmowę.

Sprawa z Elaine wzburzyła go do głębi. Z jej powodu zaczął wątpić w swoje powodzenie u kobiet, tym bardziej iż ta S

mała madam, Nessa Ryan, odnosiła się do niego ostatnio coraz bardziej zuchwale, z coraz większą pewnością siebie. Richard nie czuł się teraz w odpowiednim nastroju do udzielania rad.

R

-Nie ma żadnego sposobu - odparł szorstko. - Po prostu: albo ludzie cię lubią, albo nie. Tak to już jest w życiu. - Starał się nie widzieć wyrazu rozczarowania na twarzy Nialla.

-Uważasz, że ludzie nie mogą się zmienić, aby zyskać sympatię innych lub móc odnosić sukcesy?

Richard wzruszył ramionami.

-Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś się zmienił, a ty?

Niall milczał, przygnębiony.

Jego nastrój nie poprawił się także później, kiedy siedzieli przy stole. Richard zastanawiał się, jaką pracę wuj znajdzie u siebie dla tego chłopca później, kiedy on już wróci do Shancarrig na stałe. Może Niall zrobiłby lepiej, próbując swych sił

w innym biurze prawniczym? Ale z drugiej strony tu znajduje się firma jego ojca. Powinien się upomnieć o należne mu miejsce w niej, w przeciwnym razie mógłby go wygryźć jego konkurent, Richard. Tylko, że on, Richard, nie ma nawet takiego zamiaru. Nie zostanie tu przecież długo. Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedział się już, jak się mają sprawy z Elaine.

W tej sytuacji... kto wie? Może nadeszła wreszcie pora powrotu do Dublina?

Ale wtedy właśnie poznał Glorię Darcy.

Państwo Darcy byli tu obcy. Nie urodzili się w Shancarrig, nie mogli się wykazać - jak inni - trzema pokoleniami przodków wychowanymi na tej ziemi. Początkowo, kiedy się zjawili, uważano ich za wędrowne ptaki, ale to było jeszcze, zanim ich mały sklepik spożywczy rozrósł się znacznie i zanim zaczęli handlować także żarówkami, rondlami i sztuczkami, odbierając zysk Dunne'om. Mike i Gloria Darcy uśmiechali się zawsze, nawet do najbardziej zrzędlivych klientów.

Tu znajdzie się miejsce dla wszystkich - mawiał Mike z szerokim uśmiechem na twarzy.

-Dopiero zaczynamy, ale niedługo interes ruszy na całe-go - dopowiadała Gloria, odrzucając ruchem głowy czarne jak u Cyganki włosy.

Cygański wygląd nadawała jej także barwna chusta, jaką często nosiła na szyi, ale mimo to różniła się zdecydowanie od S

tych milczących, zabiedzonych Cyganek, które zjawiały się raz do roku w Shancarrig, gdy ich tabory zatrzymywały się na skraju lasu Barna.

Stopniowo społeczność Shancarrig zaakceptowała rodzinę R

Darcych.

Gloria była wyjątkowym zjawiskiem, przyznawały to wszystkie kobiety. Richard podsłuchiwał kiedyś, jak próbowa-

ły ją obgadywać jego ciotka Ethel, Nellie Dunne oraz pani Ryan, ale tak naprawdę nie można jej było nic zarzucić. Nie nosiła zbyt głębokich dekoltów ani za krótkich sukienek. Po prostu poruszała się w sposób, który świadczył o jej pewno-

ści siebie. Niemal stale wodziła dokoła wzrokiem, a kiedy napotykała czyjeś spojrzenie, w jej oczach zapalały się błyski. Jedno nie ulegało wątpliwości: Gloria Darcy nie grzeszy-

ła nadmiarem skromności.

Po raz pierwszy Richard zetknął się z nią, kupując pudeł-

ko żyletek do golarki. Nie lubił robić zakupów w drogerii pa-na Connorsa, niskiego człowieczka o niemiłym oddechu. Kiedy więc ujrzał żyletki na wystawie sklepu Darcych, uznał to za uśmiech losu.

-Coś jeszcze? - zapytała Gloria z szerokim uśmiechem i ledwo dostrzegalnie przesunęła koniuszkiem języka po dolnej wardze.

Gdyby nie obecność jej męża, który stał niemal tuż przy niej, Richard mógłby pomyśleć, że była to próba flirtu.

-Nie w tej chwili - odparł takim samym tonem jak ona i ich oczy spotkały się na moment.

Wracając do domu wuja, ostrzegał w duchu samego siebie, aby nie popełnić głupstwa. To byłaby najgłupsza rzecz, jaką człowiek w jego sytuacji mógłby zrobić.

-Powinien się teraz skupić na szukaniu nowej pracy w Dublinie i opuścić to miasto, nie zostawiając w nim żadnych niemiłych śladów po sobie. Przez trzy lata swego wygnania odkładał sumiennie pieniądze. Nie widział potrzeby kupowania kolejnych wytwornych ubrań, gdyż nie miałby się w nich gdzie pokazać, nie urządził też przyjęć ani nie chodził

na wyścigi. Zdążył się już również oswoić z życiem na pro-wincji. Jednak natura pozostała w nim ta sama.

Tego dnia, zamiast udać się jak zwykle o tej porze do The Glen i pójść na przechadzkę z majorem Murphym, Bill Hayes pozostał w swoim gabinecie.

S

Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji - zwierzył się Richardowi.

-Opowiedz mi o tym - poprosił Richard. Usiadł, wyciągnął nogi daleko przed siebie, na jego twarzy jaśniał zapal do R

rozmowy. Wiedział, że to spodoba się wujowi.

W domu prócz nich nie było teraz nikogo, ani zimnej ciotki Ethel, ani wiecznie posepnego Nialla.

-Chodzi o mieszkańców The Glen. Miriam Murphy stale do mnie wydzwania, mówi, że chce uporządkować swoje sprawy.

-A w czym problem?

-No... Frank mówi, żeby ją ignorować. Że ona nie wie, co mówi.

-Jest trochę stuknięta, czy tak? - Richard próbował zachęcić wujka do bardziej otwartych wypowiedzi.

-Chyba tak. W każdym razie nie jest to coś, o co mógłbym zapytać Franka. Nie można rozmawiać z przyjacielem w ten sposób. - Bill Hayes nie potrafił ukryć głębokiego zatroskania.

Richard pomyślał w tym momencie, że właśnie z przyjaciółmi powinno się mówić o takich sprawach, jak na przykład, czy żona jest normalna, czy nie, ale już nie po raz pierwszy doszedł do przekonania, że w małżeństwie nic się nie odbywa normalnie.

-A więc co zamierzasz zrobić? - zapytał, jak zwykle umiejętnie sondując rozmówcę przed wyjawieniem swojego stano-wiska.

-Wiesz, wydaje mi się, że coś ją gryzie, jakieś przestęp-stwo... oczywiście wyimaginowane.

-No cóż, jeśli jest wyimaginowane...

-A jeśli nie? Przypuśćmy, że z jakiegoś powodu ona chciałaby się zrehabilitować?

-Wujku Bill, nie jesteś przecież ojcem Gunn. Ani sier-

żantem Keane. Twoja powinność to albo postąpić zgodnie z jej wolą, albo odmówić, jeśli uznasz, że tak należy dla dobra Franka.

-Ta sprawa nie daje mi spokoju.

-A może ja pójde się z nią zobaczyć? Wtedy nie będziesz miał obiekcji, że zawiodłeś ją albo jego.

-Zrobiłbyś to?

-Mogę pójść nawet dziś, a ty w tym czasie wybierz się na przechadzkę z majorem, jak zawsze. -
Znowu uśmiechnął się promiennie.

S

-Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie, Richardzie.

-Masz przecież syna, który chętnie udzieli ci wszelkiej pomocy. Wtedy ja przestanę być ci potrzebny. Zresztą i tak wyjeżdżam wkrótce do Dublina.

R

-Nie wyjeżdżaj za wcześnie.

-Zgoda, nie za wcześnie. Ale jednak wkrótce. - Wstał

i klepnął wuja po ramieniu.

-Jeszcze jedna stara wariatka, której chodzi po głowie nie wiadomo co!

Podczas lunchu, który zjedli w ciemnym pokoju stołowym, rozmawiali o innych sprawach, a potem Richard poczekał, aż wuj spotka się z majorem. Dopiero wtedy wyruszył do The Glen.

Nie musiał nawet wchodzić do domu, aby ją znaleźć. Pani Miriam Murphy na pół siedziała, na pół leżała w poprzek ogródka skalnego. Miała na sobie długie, białe odzienie, zapewne nocną koszulę, włosy przyprószone siwizną opadały beładnie na ramiona.

Płakała.

Wokół niej stało trochę mebli ogrodowych. Richard przy-sunął sobie krzesło.

-Jestem bratankiem Billa Hayesa, przychodzę z jego biura. Mój wuj przysłał mnie, bo chciałyby pani podobno wyja-

śnić pewne sprawy.

-Jest pan na to za młody - odparła.

-Ależ nie, pani Murphy, jestem starszy, niż to by się mo-gło wydawać. Mam dwadzieścia osiem lat, a

więc dobiegam już trzydziestki. - Swoim uśmiechem mógłby sobie zjednać każdą mieszkankę Irlandii, jednak umysł Miriam Murphy znajdował się teraz o mile stąd.

-On miał tyle samo, dwadzieścia osiem, jeśli mówił prawdę - wyszeptała.

Patrzył na nią zbity z tropu.

-Co według pani powinniśmy zrobić? - zapytał.

Wiedział jedno: wuj oczekuje, że ta kobieta zmieni zdanie, zrezygnuje ze sporządzenia testamentu i wyjaśniania spraw z przeszłości. Trzeba więc nakłonić ją, aby tak właśnie postąpiła.

-Już za późno, aby cokolwiek zrobić - odparła. - To się już stało.

S

Kiwnął głową całkowicie zdezorientowany, a potem nastąpiła długa cisza. Miriam Murphy nadal niejako leżała wśród roślin, na kamieniach tworzących ogródek skalny. Richard nie zachęcił jej nawet, aby usiadła wygodnie; wiedział, że R

i tak by go nie posłuchała.

Może więc powinniśmy zostawić sprawy, jak są obecnie? -

Spojrzał na nią wzrokiem mającym rozproszyc jej wątpliwości.

-I to wystarczy? - zapytała.

-Sądzę, że tak.

-Nie uważa pan, że powinniśmy opuścić to miejsce, The Glen, dla nich, bez względu na to, kiedy się znowu zjawią?

-Zostawić je konkretnie dla kogo?

-Dla Cyganów.

-Nie, nie, z pewnością nie. Ludzie zawsze starają się obdarować ich jakimś miejscem. A oni chcą być wolni.

-Wolni?

-Tak, na tym zależy im najbardziej. - Wstał, marząc, aby znaleźć się wreszcie poza zasięgiem tych przenikliwych, obłą-

kanych oczu. To niedobrze, że Leo spędza większość czasu w takiej atmosferze. Dlaczego ta

dziewczyna nie znajdzie sobie jakiejś pracy?

-Skoro pan tak uważa. - Nie wyglądało na to, aby jego słowa przyniosły jej ulgę; sprawiała raczej wrażenie zrezygnowanej.

Ruszył przed siebie długą alejką, kierując się w dół, ku Shancarrig. Boże, oby oddalić się stąd jak najszybciej. W pewnym momencie ujrzał kobietę idącą w jego stronę. Gloria Darcy;

-Proszę, proszę... Jak widzę, już pan się ogolił. - Spojrzała mu prosto w oczy.

-Co pani ma na myśli?

-Dziś rano sprzedałam panu żyletki. Chyba nie zapomniał

pan o tym tak prędko? - Najwyraźniej prowokowała go! Roześmiała się swobodnie, widząc wyraźnie, jak duże wywarła na nim wrażenie.

-Ależ skąd, pani Darcy! Tylko niewiele osób, jak sądzę, mogłoby panią zapomnieć - odparł. Był teraz równie szarmancki i uwodzicielski jak ona.

-Zamierzał pan zejść z tego wzgórza ścieżką prosto do domu czy obrać przyjemniejszą drogę przez las?

Wiedział, że stanął na rozdrożu. Mógł powiedzieć, że waż-

S

ne sprawy wzywają go do biura, że czeka go praca, że musi zatelefonować do Dublina. Mógł powiedzieć cokolwiek. Zamiast tego, odparł:

-Właśnie miałem nadzieję, że spotkam kogoś interesu-

jącego, kto dotrzymałby mi towarzystwa podczas spaceru po lesie. I tak się stało.

Roześmieli się i skręcili w stronę drzew. Gloria droczyła się z nim, kpiąc żartobliwie z jego miejskiego ubrania, on zrewanżował się, twierdząc, że odziała się jak Cyganka. Kiedy zapytała go, co robił w The Glen, odparł, że sprawy pomiędzy prawnikiem i jego klientem okrywa tajemnica zawodowa.

Chciał wiedzieć, czy ona z mężem mają oficjalne prawo własności do swojego sklepu, bo nie załatwiali tej procedury w kancelarii jego wuja, ona zaś odparła, że taka sama tajemnica zawodowa dotyczy spraw handlowych.

Zanim wyszli z powrotem pomiędzy drzew na otwarte miejsce pełne słońca i ruszyli wzdłuż rzędu chałup w stronę mostu, wiedzieli już wiele o sobie. Więcej niż tylko to, że druga osoba ma ładną twarz lub ujmujący sposób bycia. Już teraz łączyło ich wiele, pasowali do siebie.

Kiedy więc ponownie przyszedł do jej sklepu zrobić zakupy, zdawał sobie sprawę, że jest to przede wszystkim gest, rodzaj zalotów.

-Boże, ależ musimy mieć twarde zarost - powiedziała.

Tak jak za pierwszym razem, również teraz tuż obok niej stał

jej mąż.

Ponieważ Richard kupił pół kilo pomidorów, zapytała go, czy wybiera się na piknik w lesie. Mike Darcy obsługiwał

w tym czasie innego klienta.

-Nie, to dla ciotki.

Niemożliwe! Przecież była tu rano i kupiła ich całą torbę - przekomarzała się z nim Gloria. W jej oczach tańczyły figlarne ogniki.

Tego typu spotkania i zarciki ciągnęły się jeszcze parę dni.

-To miłe, że odwiedza mnie pan tutaj tak często - powiedziała, nachylając się nad kontuarem. Na szyi nosiła łańcu-szek, od którego wisiołek ginał między piersiami, przycią-

gając wzrok.

-Owszem, to miłe z mojej strony, ale pani nigdy mnie nie odwiedza - odparł.

S

-Rzeczywiście, tylko że ja nie mogę użyć jako pretekstu do takiej wizyty spraw prawniczych - wyjaśniła. - Pan natomiast może się tłumaczyć na wiele sposobów: żyletki, pomidory i inne.

R

-A więc musimy się spotkać na neutralnym gruncie - zasugerował.

Spotkali się dwa dni później w kościele, dokąd przyszli na pogrzeb pani Miriam Murphy.

Doktor Jims Blake orzekł, że to zapalenie płuc. Ktoś inny twierdził, że śmierć nastąpiła wskutek nadmiernego ochłodzenia organizmu, gdyż pani Murphy zasnęła w ogrodzie po-między roślinami skalnymi. Jeszcze raz potwierdziła się teza, według której pieniądze i pozycja społeczna nie dają szczę-

ścia.

Richard spoglądał na drobną Leo, która szła przez kościół, podpierając ojca. Na pogrzeb przybyli z

zagranicy jej bracia; wyglądali na żołnierzy i zachowywali się tak, jakby nikogo tu nie znali.

Stypa odbyła się w hotelu Ryanów. Nessa przygotowała na tę okazję jedno z pomieszczeń na parterze. Podano to, co zwykle w takich sytuacjach: kawę, kanapki i drinki. Ci, któ-

rzy mieli ochotę, mogli udać się do baru. W Shancarrig była to nowość. Zazwyczaj ludzie szli albo do domu organizatora, albo do pubu.

-Mądrze to obmyśliłaś, Nesso - powiedział ze szczerym uznaniem Richard.

-Leo jest moją przyjaciółką. Na pewno nie jest dziś w nastroju do podejmowania gości w domu. - Nessa nie miała teraz czasu na rozmowę z nim. Ostatnio istniała wyłącznie dla Nialla, który dzięki temu zaczął się prezentować korzystnie.

Czesał się ładniej, nosił nową marynarkę i nawet trzymał się prosto, nie garbił się już jak dawniej.

Wśród gości znajdowali się także Gloria i Mike Darcy, chociaż Richard zastanawiał się, czy przyszli tu zaproszeni, czy z własnej inicjatywy.

Ludzie przesuwali się powoli, składając kondolencje rodzinie zmarłej, w tym Harry'emu i Jamesowi, którzy wyjechali z Shancarrig dawno temu. W pewnej chwili Richard ujrzał

obok siebie Glorię.

-Jesteśmy teraz na neutralnym gruncie - powiedziała.

-Na neutralnym, ale bardzo zatłoczonym - odparł i niejaS

ko ze smutkiem pokiwał głową.

-Znasz miejsce, które nie byłoby tak zatłoczone? - Nie mogła być bardziej bezpośrednia, nawet gdyby zapytała go wprost, czy ma ochotę się z nią kochać.

R

-No cóż, skoro nie wchodzi w rachubę twój dom, mój dom i ten hotel, trzeba pomyśleć o czymś, gdzie w tej chwili nie ma nikogo. - Nie wierzył w taką możliwość. W Shancarrig nie istniało miejsce, gdzie można by liczyć na pełną dyskrecję.

-Może The Glen? - zaproponowała i dostrzegła na jego twarzy wyraz gwałtownej odrazy. Przecież żegnali właśnie kobietę, która całe swoje życie spędziła w The Glen; jakże więc mogliby wykorzystać fakt, że tym momencie dom stoi pusty?

- Nie chodzi mi o sam dom, lecz o stróżówkę - dodała.

-A jak się dostaniemy do środka? - Jej słowa pozwoliły mu pozbyć się skrupułów; rzeczywiście, stróżówka to nie dom.

-Tylne okno jest otwarte. Już sprawdziłam.

-Za dwadzieścia minut? - zapytał. Dziesięć wystarczy mi, aby się pożegnać, dwie na dojście do sypialni, skąd musiał

wziąć prezerwatywy.

-Za piętnaście - odparła i ponownie przejechała koniuszkiem języka po dolnej wardze.

Richard pożegnał się ze wszystkimi grzecznie, ale po-

śpiesznie. Obmyślił już sobie wyjaśnienie: gdyby ktoś go zapytał, dokąd idzie, odpowie, że do tego starego, dziwnaczka-go farmera, który mieszka przy drodze wiodącej do The Glen.

Nikt go jednak o nic nie pytał, nikomu nie przyszło nawet do głowy, co on zamierza.

Czekała już na niego. Leżała na otomance okrytej kocem.

W stróżówce pachniało stęchlizną, ale nie wilgocią.

-Przyniosłeś coś?

-Jasne, dlatego przyszedłem później. Musiałem pójść po nie do sypialni, nie noszę ich stale przy sobie. - Roześmiał się i wymownym gestem poklepał kieszeń.

-Nie bądź taki nieromantyczny. Miałam na myśli szampana albo coś w tym rodzaju.

-Nie, niestety nie wziąłem nic takiego - mruknął zbity z tropu.

-Ale ja tak, nie przejmuj się. - Błysnęła bielą zębów, kiedy odgryzała sreberko z korka butelki. Na kredensie stały fi-liżanki. Szampan, wypity zbyt łąpczywie, poszedł nosem. ParS

sknęli śmiechem, a potem pocałowali się.

-Zdążyłaś jeszcze pójść po butelkę do sklepu?

-Nie, miałam ją w torebce już wcześniej. - Roześmiała się ponownie na myśl o własnym sprycie i przezorności.

R

-Pomogę ci zdjąć to ciemne poważne ubranie. Nie do twarzy ci w nim - zaproponował Richard.

-W końcu był to pogrzeb. Nie mogłam założyć czerwonej spódnicy. Ale za to... - Miała na sobie czerwoną haleczkę obszytą białą koronką i nie nosiła stanika, tylko złoty łańcu-szek na szyi. Było w niej coś tak niepohamowanego i zwierzę-

cego, kiedy leżała naga, uśmiechnięta, że poczuł, iż nie może dłużej czekać.

Pragnę cię od dawna, Richardzie Hayes - wyszeptła, a on natychmiast pogrążył się w niej - tak swobodnie, jakby znał ją dobrze, odkąd przyszedł na ten świat.

Niecierpliwie oczekiwali kolejnych spotkań, ale nie była to sprawa łatwa. Szkoda, że ten Murphy z córką nie prowadzą bardziej regularnego trybu życia, ubolewał Richard. Gdyby wiedział, kiedy lokatorzy The Glen pozostaną na pewno w do-mu albo kiedy ich tam nie ma, stróżówka byłaby idealnym miejscem schadzek. Tego jednak nigdy nie byli pewni, a gdyby ktoś ujrzał ich, jak wchodzą lub wychodzą przez okno, nie potrafiliby się z tego wytłumaczyć.

Upłynęły tygodnie, zanim udało im się ustalić orientacyj-ny schemat rozkładu dnia majora i Leo.

Leo zaczęła ostatnio uczęszczać na kurs dla sekretarek, w związku z czym jeździła regularnie autobusem do miasta.

Łatwo więc mogli ustalić, kiedy nie będzie jej w domu. Trudniej było przewidzieć godzinę powrotu majora, który codziennie wychodził na długie spacery ze swoimi starymi psami, Lance i Jessie. Richard usiłował dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego zwyczajów spędzania czasu od wuja, ale wyglą-

dało na to, że mimo dwudziestopięcioletniej przyjaźni Bill Hayes nie wiedział prawie nic o Franku Murphym. Trudne do uwierzenia, ale fakt pozostawał faktem.

W tym czasie firma prawnicza Hayes i Syn otrzymała zle-cenie zajęcia się tą posiadłością. Pod pozorem prezentowania nieruchomości ewentualnym nabywcom Richard spędził tam z Glorią wiele uroczych chwil.

Łatwość, z jaką jego kochanka wychodziła z domu na mi-
łosne spotkania, niemal budziła w nim lęk.

S

-Mike nie pyta nigdy, dokąd idziesz?

-Boże, co ci przyszło do głowy! Dlaczego miałby o to pytać?

-No wiesz, gdybym ja miał tak piękną żonę, nie pozwolił-

bym jej włóczyć się nie wiadomo gdzie... - Przyciągnął ją R
do siebie.

-Wtedy nie byłbyś mężem, lecz strażnikiem więziennym

- roześmiała się.

Długo rozważał jej słowa. Było w nich coś sensownego. Po-

ślubianie kogoś po to, aby móc strzec go potem jak swojej własności, jest właściwie równoznaczne z uwięzieniem. Ale z drugiej strony... gdyby Mike uważał bardziej na swoją żonę, Gloria z pewnością nie zachowywałaby się tak swobodnie.

Czasem pytał ją o synów, małego Kevina i Seana.

-O czym tu mówić?

-Nie boisz się, że mogliby cię znienawidzić, gdyby dowiedzieli się o nas?

-Mój drogi, dręczy cię poczucie winy. Może powinniśmy maszerować po każdym naszym spotkaniu wprost do ojca Gunna?

-Nie drażnij się ze mną. Mówię to tylko dlatego, że cię kocham.

-Wcale mnie nie kochasz.

-Ależ tak. Jesteś pierwszą kobietą, której to powiedziałem.

łem.

-Łatwo mówić o miłości w momencie, kiedy uprawiamy seks. Ale nie darzysz mnie prawdziwym uczuciem.

-Jestem w stanie obdarzyć cię prawdziwą miłością.

-Nie, Richardzie. - Przytknęła palce do jego warg, wsunę-

ła je do ust, a potem pocałowała namiętnie i natychmiast zapomniał, o czym mówili.

Była idealną kochanką. Nigdy przedtem, nawet w naj-

śmielszych marzeniach, nie wyobrażał sobie kobiety aż tak namiętnej i czulej, pięknej i na tyle odważnej, aby wyznać mu, jak bardzo go pragnie. Kobiety, która ofiarowała mu go-rącą, sekretną miłość i której ciemne oczy witały go ogni-stym lśnieniem, gdziekolwiek się spotkali: w hotelu Ryana, w sklepie lub w kościele.

Po latach znajomości z dziewczętami, oczekującymi od niego czegoś więcej, miał teraz do czynienia z kobietą, któ-

S

ra nie chciała nic. Ani wspólnego pokazywania się publicznie, ani wyznań, ani pierścienka zaręczynowego, bo przecież no-siła już na palcu grubą obrączkę. Przez pewien czas był to romans, o jakim można jedynie marzyć.

R

Ale potem Richard zaczął wyczuwać, że coś się w nim zmienia. Nie potrafił powiedzieć, czy zmieniła się Gloria, by-

ła bowiem jak zawsze beztroska, gdy on okazywał lęk przed wyjściem ich związku na jaw... i jak zwykle żarliwa w dawa-niu i zaznawaniu rozkoszy.

Nie. To on się zmienił.

Nie potrafił znieść jej widoku, kiedy szła ze swoimi dzieć-

mi, trzymając je za ręce. W takich chwilach przychodzili mu na myśl jego rodzice w Dublinie, szanowany lekarz i jego żona. Ich dom przy Waterloo Road, gdzie on podraستاł, był

stabilny. Matka była tam zawsze, na każde jego zawołanie.

Czy można sobie wyobrazić, aby wymykała się z domu w ramiona jakiegoś kochanka, podczas gdy ojciec pracował?

Natychmiast odegnał od siebie tę myśl jako bzdurną fantazję.

A jednak nigdy przedtem nie porównywał swojego życia z życiem rodziców, dlaczego więc miałby uznawać ich teraz za przykład i wzór do naśladowania? Gloria była dla Kevina i Seana wspaniałą matką, to natomiast, có łączyło ją z kochankiem, było zupełnie inną sprawą.

Richard nie wiedział też, co myśleć o Mike'u, wysokim i przystojnym Mike'u Darcym, który spędzał długie godziny w sklepie rozbudowanym przez siebie z olbrzymim zapalem wespół z żoną. O Mike'u, który zawsze starał się, jak tylko mógł, znaleźć dokładnie taki towar, o jaki chodziło Richardowi. Irytowało go, gdy mąż Glorii dwoił się i troił, aby spełnić jego życzenia. Prostoduszna twarz Mike'a jawiła mu się od pewnego czasu jako gorzki wyrzut.

Kiedy wspomniał o tym Glorii, zareagowała śmiechem.

-Między tym, co łączy Mike'a i mnie, a tym, co jest mię-

dzy nami, istnieje duża różnica... Nie mieszajmy jednego z drugim.

-Ale ja wiem o nim dużo, a on o mnie nic!

Roześmiała się ponownie.

-Dlaczego mężczyźni myślą zawsze, że wszystko musi być grą zgodną z zasadami? - zapytała. S

Czasem zastanawiał się, czy wie wszystko o Glorii i Mi-ke'u, o tym, co ich naprawdę łączy. Widział przecież parokrotnie, jak oboje tulili się do siebie, sądząc, że nikt ich nie widzi. Dostrzegał nieraz, jak Mike przesuwa pieszczotliwie R

dłonią po ciele żony.

Zrodziło się w nim nie znane mu dotąd uczucie zazdrości.

- Chyba nie robisz tego samego z Mikiem? - zapytał pewnego popołudnia, kiedy leżeli w stróżówce.

-Z nikim innym nie mogłabym robić tego, co z tobą. To na-leży tylko do nas.

-Ale czy on chce...? To znaczy... czy ty i on...?

-Do twarzy ci z takim zatroskaniem, Richardzie - przerwała mu.

-Muszę wiedzieć!

Poderwała nagle głowę z poduszki, usiadła na otomance, jej oczy ciskały błyskawice.

-Nie, nic nie musisz wiedzieć. W ogóle nie może być mo-wy o żadnym „musisz”. Między nami nie ma układu pan-nie-wolnica... Nie masz prawa pytać o coś, o czym ja nie chcę mówić. Czy ja zadaję ci jakieś pytania?

-W moim życiu nie ma nic, co mogłoby cię zainteresować. - Był zdruzgotany.

-Tylko dlatego, że ja patrzę na to w ten sposób. Nie jestem ciekawska ani podejrzliwa, nie pytam o to, o co nie powinnam pytać. - Jej słowa zabrzmiały jak ultimatum.

-Zaakceptuj sprawy tak, jak się toczą, albo nie będziesz już miał czego akceptować... On zaś pragnął wiedzieć, czy po ślubie z Mikiem Gloria miała kochanków, a jeśli tak, czy odpadli przy tym jej osobliwym teście.

Mógłby zabić własnoręcznie każdego mężczyznę, który przyznałby się, że sypiał z Glorią. Tak, chwyciłby go za gardło i wycisnął z niego resztki życia, nie bacząc na konsekwencje. Dlaczego więc

ten Mike stoi i spokojnie odważa cukier lub pomidory, nie zastanawiając się w ogóle, co jego śliczna żona porabia wieczorami?

Niebawem Richard zaczął miewać kłopoty ze znalezie-niem po południu czasu na schadzki, zwłaszcza odkąd pracę w firmie podjął Niall. Ten młodzieniec nabrał ostatnio pewności siebie, co zawdzięczał - jak przypuszczał Richard - roz-kwitowi przyjaźni z Nessą Ryan. Może nawet było to coś wię-

cej niż przyjaźń?

S

Okres, kiedy Niall zadowalał się podrzędną pracą biurową, należał już do przeszłości. Od jakiegoś czasu Niall pragnął się uczyć, poznawać tajniki prawidłowego podejścia do klientów, naśladować w tym kuzyna.

R

-Mogę iść tam z tobą? Chciałbym zobaczyć, na czym polega problem tego tytułu własności? - prosił na przykład.

Chodziło mu właśnie o wymyśloną przez Richarda sprawę, będącą pretekstem do wychodzenia wieczorami z biura. Richard opowiadał wielokrotnie o starym farmerze, z którym ja koby miał obecnie do czynienia i który miał sprawiać mu kłopoty, nie ujawniając wszystkich dokumentów.

-Nie, Niall. Lepiej pójdę do niego sam... Ten typ jest drażliwy jak pszczoły w roju. Nie wiem, jak by się zachował, gdybym przyszedł do niego z kimś obcym.

-To może chociaż przejrzę jego akta? - nie ustępował

Niall.

-Po co? Dlaczego chcesz sobie zawracać głowę tym starym piernikiem, mamy tu mnóstwo innych spraw...

-Ale może powinienem poznać również tę, bo przecież kiedy już...

Nie dokończył zdania, ale wiadomo było, co oznacza to: kiedy. Kiedy Richard wróci do Dublina. W firmie nie było miejsca dla nich dwóch, nie było tyle pracy. Wypłacanie dwóch pensji zaczynało spędzać sen z powiek Billa Hayesa.

A Niall był przecież jego synem.

Nie ulegało wątpliwości, że dzień wyjazdu Richarda zbli-

ża się wielkimi krokami.

Jedynie Richard zdawał sobie sprawę, że nie potrafi opu-

ścić Shancarrig i kobiety, którą kocha.

-Kocham cię - powiedział zdecydowanym tonem, siedząc z Glorią pewnego chłodnego wieczoru w stróżówce przed ma-

łym piecykiem.

-Wiem. - Objęła oburącz kolana.

-Nie, nie wiesz. Powiedziałaś wtedy, że nie powinniśmy rozmawiać o miłości, bo czuję ją tylko wtedy, gdy cię biorę.

Tak powiedziałaś.

-Przestań się zachowywać jak uczeń. - Wyglądała prze-

ślicznie w tym migotliwym blasku piecyka.

-O czym myślisz? - zapytał.

-O tobie. I o rozkoszy, jaką mi dajesz.

-I co teraz zrobimy, Glorio?

S

-Jak to: co? Ubierzemy się i wrócimy do domów.

-Ale tak w ogóle?

-Nie możemy rozwiązać wszystkiego. Możemy jedynie zadbać, aby zasłonić porządnie okna, tak żeby nikt nie zobaczył

ś

R

wiatła.

-Co powiesz jemu... że gdzie byłaś?

-O to się nie martw.

-Martwię się wszystkim, co dotyczy ciebie.

-Potrafię zadbać o siebie. - Znowu dostrzegł w jej oczach ten ostrzegawczy błysk, który już kiedyś

napelnił go lękiem Spotykali się całe lato, jesień i wilgotną zimę, aż nastał

wczesna wiosna. Richard uznał, że należy podjąć jakąś decyzję.

Ale dla Glorii wiosna oznaczała jedynie możliwość chodzenia w lekkich żółtych lub białych sukienkach w kwiatki i sandałkach, jak również spotkania się z kochankiem w ustronnych zakątkach lasu Barna albo w dolinkach porośniętych dzwoneczkami i miękką sprężystą trawą. Natychmiast odezwały się w nim dawne lęki: skąd ona zna te miejsca? Przecież nie wychowywała się w tych stronach. Czyżby oddawała się tu już także innym mężczyznom? Dręczyła go świadomość, że nie wolno mu pytać o te sprawy, a nawet myśleć o nich. Żałował, że sklep prosperuje tak dobrze. Pragnął móc obsypywać ją prezentami, ale ona nie przyjęłaby ich od niego.

-Jak bym się z tego wytłumaczyła? Nie mogłabym przecież powiedzieć, że przystojny młody prawnik, który czasem wpada do sklepu po żyletki, kupił mi srebrną bransoletkę, prawda?

A jednak Gloria otrzymała w prezencie biżuterię. Kupił

jej Mike: naszyjnik ze szmaragdem oraz diamentowe kolczyki. W Shancarrig nie spotkano się jeszcze do tej pory z taką ekstrawagancją. Ciotka Richarda, Ethel, pokiwała głową, twierdząc, że to niestosowne.

W głębi duszy Richard przyznał jej rację, ale powstrzymał się od wyrażania wszelkich opinii na ten temat.

Ku jego zdumieniu Niall nie krył, iż jest odmiennego zdania.

-Po co ludzie mieliby pracować, gdyby nie mogli potem kupować tego, na co mają ochotę? - zapytał.

-Mam nadzieję, że ty nie będziesz marnował pieniędzy na szmaragdy dla Glorii Darcy i kobiet jej pokroju - odezwał

S

się jego ojciec z dezaprobatą.

-Niall, nie ten sam co przedtem, nie pozostawił tych słów bez komentarza.

-Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o „kobietach jej R

pokroju", ale gdybym ja kogoś kochał i zarabiał pieniądze w sposób uczciwy, nie widziałbym nic złego w kupowaniu tej kobiecie prezentów.

W pokoju zaległa nagle cisza. Ethel spojrzała na syna niejako ze zdumieniem. Na jej sweterku nie widać było biżuterii; nie miała zresztą żadnej prócz pierścionka zaręczynowego, obrączki i porządnego zegarka. Może życie stałoby się piękniejsze, gdyby Bill Hayes zajrzał jednak do sklepu i zainteresował się biżuterią.

-Uczcijmy naszą rocznicę - zaproponował Richard.

-W jaki sposób? Obiad we dwoje w hotelu Ryana, z butelką wina?

-Nie, ale zrobmy coś, co nam sprawi przyjemność.

-Wydaje mi się, że to, co robimy, jest wystarczająco przyjemne. - Uśmiechnęła się znacząco.

-Z pewnością pragniesz czegoś więcej... musisz pragnąć więcej, a nie stale tylko kryć się po kątach.

Westchnęła. Było to pełne znużenia westchnienie matki, która nie potrafi nauczyć swojego malca, jak się wiąże sznurowadła w butach.

-Nie, ja niczego więcej nie pragnę - oświadczyła zrezygnowana. - Ale ty tak, a więc uczcijmy tę rocznicę wedle twego uznania.

Trudno mu było wymyślić coś sensownego. Fakt, że spotykali się już cały rok i zdołali utrzymać to w tajemnicy, graniczył z cudem - zwłaszcza jeśli brało się pod uwagę miejsce i małomiasteczkowe wścibstwo tutejszych mieszkańców.

Mogliby pojechać do Dublina. Wymyśliłby jakiś pretekst dla siebie i dla niej.

Ale przedtem musiałby zaplanować, co będą tam robili, bo inaczej Gloria wzruszy ramionami i powie, że równie dobrze mogą pozostać tutaj. Chciał obejść z nią bary w Dublinie i tamtejsze restauracje, chciał, aby ludzie patrzyli na nią z zachwytem, aby podziwiali jej urodę i srebrzysty śmiech.

Chciał ujrzeć ją na innym tle niż te szare bezkształtne domy w Shancarrig.

S

Obmyślił wszystko ze szczegółami. Przyjedzie po nią na dworzec w Kingsbridge samochodem - sam uda się tam o dzień wcześniej, aby nie wzbudzać podejrzeń - a potem oprowadzi ją po Dublinie; przyznała przecież, że nie zna te-R

go miasta. Będzie jej przewodnikiem.

Wynajmą pokój w jednym z najlepszych hoteli, a on sprawdzi, czy jest to naprawdę taki pokój, o jaki mu chodzi... Potem ramię w ramię pójdą na spacer po Grafton Street. A je-

śli spotkają kogoś z Shancarrig, roześmieją się i powiedzą:

„Jaki ten świat mały!”

Jednak im dłużej Richard rozmyślał nad swoim planem, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że wcale nie chce pojechać z Glorią do Dublina na jedną dobę; chce być z nią tam zawsze. I nie chodzi mu o to, aby spędzić z nią potajemnie noc w jakimś pokoju hotelowym. Nie. Chce zamieszkać z nią w ich

własnym domu. Razem z nią już na zawsze.

Na drodze stały mu jednak wyjątkowo poważne trudności.

Największą z nich i najbardziej tego nieświadomą był Mike Darcy, stale uśmiechnięty, nie zdający sobie nawet sprawy z tego, że jego żona kocha innego.

Drugą przeszkodę stanowiły dzieci. Richard zawsze patrzył na nie z przyjemnością, na tych ciemnowłosych chłop-ców o dużych oczach Glorii i krzywym uśmiechu Mike'a.

Nie potrafiliby stwierdzić, czy mają charakter ojca, czy też matki. Chętnie poznałby ich bliżej, gdyż wtedy przyszedłoby im łatwiej zamieszkać z nim w Dublinie. Uświadomił sobie nagle, że nie planuje już jakiegokolwiek potajemnej wycieczki z okazji rocznicy ich znajomości, lecz nowe wspólne życie. Musi tylko działać z rozwagą, bez zbytniego pośpiechu.

W przeciwnym razie mógłby ją utracić.

Rocznica ich znajomości okazała się bardzo udana, nie mogliby wymyślić nic lepszego.

W hotelu zameldowali się bez kłopotu jako pan i pani Hayes. Upierścieniona dłoń Glorii mogła budzić zaufanie, obrączka nie sprawiała wrażenia, jakby nałożono ją na palec specjalnie tego dnia.

W pokoju napili się szampana, a potem wyszli na spacer.

Richard pokazał jej miejsca, które pamiętał jeszcze z dzieciń-

S

stwa, na przykład brzeg kanału ciągnącego się od Baggot Street do Leeson Street. Z pewnym rozrzewnieniem uświadomił sobie, że są teraz tuż obok Waterloo Road. Niewykluczone, że właśnie tędy ojciec chodził do księgarni na Baggot R

Street Bridge, a matka szła do rzeźnika, aby powiedzieć mu, że pieczyście z ostatniej niedzieli nie było tak kruche, jak się tego spodziewała, i nie smakowało panu doktorowi.

Nie odwiedził rodziców, ujrzał za to Elaine; ciężarna, najwyraźniej zadowolona z siebie, wysiadała właśnie z samochodu matki. Nie zauważyła go i w innych okolicznościach Richard nie próbowałby jej nawet zatrzymywać. Ten dzień był

jednak wyjątkowy, a on pragnął pokazać jej Glorię, chciał, aby zobaczyła go z tą wspaniałą kobietą u boku.

Wykrzyknął jej imię. Elaine odwróciła się i podeszła do nich.

Och, mama będzie niepokojona, że nie spotkała się z tobą - powiedziała. Nie miała pojęcia, że Richard umyślnie odczekał chwilę, aż matka odjedzie. Nie wierzył, aby w tej rodzinie wymawiano jego imię z sympatią.

Pozwól, że ci przedstawię: Gloria Darcy. - Duma w jego głosie była aż nadto wyraźna.

Wszczęli ożywioną rozmowę. Gloria zapytała Elaine, czy to jej pierwsze dziecko. Patrząc Richardowi prosto w oczy, Elaine potwierdziła: tak. I dlatego jest bardzo podekscytowana.

Gloria opowiedziała, że ma dwóch synów, że chciałaby, żeby zawsze byli tak mali i słodcy jak teraz i że wszystko, co oni robią, napełnia ją dumą. Mówiła to, co Elaine chciała usłyszeć.

Zapewniła też, że opowieści o mękach przy porodzie są mocno przesadzone - powtarza się je z takim uporem zapewne w celu odstraszenia od rodzenia dzieci przed wyjściem za mąż.

-Och, zapewne niewiele kobiet zdecydowałoby się na zrobienie takiego głupstwa - zawołała Elaine i ponownie spojrzała na Richarda.

Wstrząśnięty, uzmysłowił sobie w tym momencie ogrom jej egoizmu. Jak dobrze, że go wtedy okłamała! Jak dobrze, że nie nosiła wtedy pod sercem jego dziecka. A Olive Kennedy jednak zaszła z nim w ciążę! Wyjechała potem do Anglii i tam urodziła. Gdzie teraz jest jego dziecko? Chłopiec czy dziewczynka? W sierocińcu czy w rodzinie zastępczej, która je adoptowała?

S

Jak to możliwe, że nie zainteresował się tym dotychczas?

Poczuł łzy cisnące mu się do oczu.

Na drinka poszli do baru Shelbourne, lunch natomiast zjedli w niewielkiej restauracji w pobliżu Grafton Street.

R

Kochałeś dawniej tę Elaine? - zapytała go potem Gloria.

Nie, nie kochałem nigdy żadnej kobiety prócz ciebie -

odparł krótko.

Jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że jesteś smutny i zbiera ci się na płacz... ale to nie moja sprawa. Gdybyś to ty zaczął mi zadawać jakieś wścibskie pytania, pogniewałabym się na ciebie - dodała, ściskając mu dłoń.

Nie od razu odzyskał głos.

Umarłbym, gdybym nie mógł być z tobą - wykrztusił

wreszcie.

Ćśś... - Zanurzyła palec w swoim kieliszku Irlandzkiej Mgiełki, a potem wsunęła mu go do ust.

Natychmiast poczuł

napływ znajomej żądz, która na długą chwilę odegnała jego niemiłe myśli o rychłym powrocie do rzeczywistości w Shancarrig. Poszli do hotelu i tam, w swoim pokoju, uczcili rocznicę tak, jak tego pragnęli.

Nigdy nie zapytał, jakiej użyła wymówki na usprawiedliwienie swojego wyjazdu do miasta: zakupy, wizyta w szpitalu czy też spotkanie ze starą przyjaciółką. Nie chciała go wtajemniczać w swoje kłamstewka, a Mike'a nietrudno było oszukać; był tak prostoduszny, że nawet nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że otaczający go świat mógłby się okazać nieszczerzy, Gloria potrafiłaby go zdradzać, a stały klient i niemal przyjaciel Richard Hayes zjawia się w sklepie tak naprawdę nie w celu zrobienia zakupów, lecz aby nasycić wzrok jego ponętą żoną, przypomnieć sobie ostatnią schadznię i po-marzyć już o następnej.

Kevin Darcy uczęszczał do szkoły w Shancarrig. Richard zatrzymywał się nieraz przy nim na drodze, aby zamienić parę słów.

-Jak się miewają mama i tata? - pytał.

-Dobrze - odpowiadał mrukiwie chłopiec.

-Czego się dziś nauczył w szkole?

-Niewiele - słyszał w odpowiedzi.

Pewnego dnia Kevin rozciął sobie głowę. Christy Dunne wyjaśnił, że spadł z drzewa. Richard, przerażony, pobiegł do S

sklepu. Mike'a nie było akurat w domu, poszedł parę minut wcześniej do robotników zatrudnionych przy rozbudowie sklepu, który od czasu przejścia go przez Darcych powiększył

się niemal trzykrotnie. R

-Och, na miłość boską, Richardzie, to przecież tylko skałeczenie! Nie bądź taką kwoką - zawołała Gloria.

-Bardzo krwawił, więc się niepokoiłem.

-Nie przejmuj się, nic mu nie będzie. Nakleiłam mu już plasterek i dałam dwa batoniki: jeden dla niego, drugi dla Christy'ego. Nawet nie płakał.

Spojrzał na nią z podziwem. Jak ona to robi, że jest tak spokojna, tak dobra i taka mądra jako matka? Zresztą jest cudowna nie tylko pod tym względem.

Jego podziw wzrósł bardziej w następnym tygodniu, kiedy ktoś włamał się do domu Darcych i skradł biżuterię kupioną przez Mike'a dla żony.

Sierżant Keane przychodził wielokrotnie, zadawał pytania wszystkim w okolicy. Okazało się, że w pubie Johnny'ego Finna byli Cyganie. I jak tu upilnować porządku?

Gloria miała do sprawy filozoficzny stosunek. To, co się stało, jest okropne, szkoda jej zwłaszcza naszyjnika ze szmaragdem, miał taki piękny połysk. Ale jak należałoby go pilnować? Nie spuszczać z oka dniem i nocą, zamienić dom w Fort Knox? Czułaby się wtedy jak w więzieniu; wzdrygnę-

ła się na samą myśl o takim rozwiązaniu. No tak, Richard wiedział, że Gloria ceni wolność. Kiedyś powiedziała mu przecież, że gdyby miała za męża zazdrośnika sprawdzającego każdy jej krok, czułaby się jak w więzieniu.

Maura O'Sullivan, która opiekowała się dziećmi Darcych i sprzątała w ich domu, przychodziła także pracować u Hayesów. Richard usiłował dowiedzieć się od niej czegoś o tamtej rodzinie, ale Maura - w przeciwieństwie do większości mieszkańców Shancarrig - nie była skoro do plotkowania.

-Co właściwie chciałby pan wiedzieć? - mówiła tonem, który odbierał mu chęć do dalszego zadawania pytań.

-Po prostu chodzi mi o to, czy pogodzili się już z tą strażniczką - odpowiadał zrezygnowany.

Do pracy Maura przychodziła zawsze ze swoim synem, wrażliwym chłopcem o imieniu Michael, który urodził się ob-

ciążony chorobą, zwaną zespołem Downa. Richard lubił go, podobało mu się zwłaszcza, jak chłopczyk podbiega ufnie do każdego, kto wszedł do pokoju.

-Tata? - zawołał z nadzieją w głosie na widok Richarda.

R

Richard wiedział już od Maury, że ojciec dziecka wyjechał do Anglii, a Michael widzi teraz swego tatę w każdym mężczyźnie.

-Tata, mój tata? - powtórzył.

-Tak jakby, przecież wszyscy jesteśmy dla kogoś tatusiami i mamusiami - odparł Richard.

Jego słowa usłyszał Niall.

-Wiesz, jesteś bardzo miły - powiedział. -I widać, że taką już masz naturę. Naprawdę, odnosisz się do innych niezwykle sympatycznie. I dlatego odnosisz sukcesy. - Po raz pierwszy zdobył się na tak długie przemówienie. Richard spojrzał

na niego zdumiony.

-Nie sędzę. Właściwie mam w sobie dużo z egoisty. I dziwi mnie, że tego nie widzisz.

-Nigdy tego u ciebie nie zauważyłem. Owszem, zazdro-

ściłem ci powodzenia u kobiet, ale nie sądzę, abyś był egoistą.

-I nie jesteś już zazdrosny?

-Prawdę mówiąc... zależy mi tylko na jednej osobie, a ona zapewnia mnie, że nie jest tobą zauroczona, tak więc... - Niall rzeczywiście wyglądał na człowieka szczęśliwego,

-Nigdy nie była mną zauroczona. Jeśli zaś chodzi o mnie...

podobała mi się, nic w tym zresztą dziwnego, ale możesz mi wierzyć: to był jedynie taki podziw z daleka.

-Ona mówiła o tym w podobny sposób. - Niall uśmiechnął

się z satysfakcją.

-Mam nadzieję, że nie jestem ci zawadą w biurze twego ojca? - Richard chciał już mieć ten temat za sobą, a obecna chwila wydawała się idealna na taką rozmowę.

-Nie, oczywiście, że nie. Tylko, że... chyba spodziewaliśmy się wszyscy, iż... wcześniej czy później...

-Tak. Nadejdzie taki dzień, że wyjadę, ale... jeszcze nie teraz.

-Wiem, odkładasz pieniądze. - Niall pokiwał ze zrozumieniem głową.

-Skąd wiesz?

-Jak to: skąd wiem? Bo nigdzie nie wychodzisz, jeździsz S

starym samochodem, nie kupujesz sobie szykownych ubrań.

To prawda - przyznał Richard. - Odkładam pieniądze. -

„Wspaniała wymówka - pomyślał. - Będę mówił, że odkładam, aby otworzyć praktykę w Dublinie”.

R

Upływały miesiące. Któregoś dnia Gloria przyniosła mu jedwabny krawat.

Miało nie być żadnych prezentów. - Z zachwytem muskał palcami kremowozłocistą tkaninę.

Powiedziałam tylko, że ty masz nie robić prezentów.

-Chciałbym podarować ci coś z biżuterii. Nie szmaragd, lecz rubin. Bardzo mały rubin. Pozwól mi to zrobić - błagał.

-Nie, Richardzie, naprawdę nie. Kiedy bym mogła go no-sić? Bądź rozsądny.

Kupił rubin i tak. I dał go jej w stróżówce.

Środowe popołudnia były w pełni bezpieczne. Major Murphy szedł z wujem Richarda na tradycyjny spacer, bez wzglę-

du na pogodę, a Leo pracowała od niedawna w biurze jednej z firm budowlanych w mieście. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale Gloria słyszała, że Leo utrzymuje ścisły kontakt z tym szalonym Foxy Dunne'em, który prosperuje coraz lepiej na angielskich placach budowy. Chodziły słuchy, że ma niedługo wrócić i otworzyć własną firmę. I że łączy go coś z Leo.

-Foxy Dunne? Syn Dinne'a Dunne?

-Och, on i jego ojciec to dzień i noc. Dinny, jak wiesz, spędza większość wieczorów w pubie Johnny'ego Finna, Fo-xy natomiast jest pracowity i odpowiedzialny.

-Coś podobnego! - Uświadomił sobie w tym momencie, że przesiąkł jui trochę mentalnością małomiasteczkową; nie mógł uwierzyć, aby major Murphy z The Glen pozwolił swojej córce związać się z jednym z Dunne'ów. Wiadomość przekazana przez Głorię była jednak optymistyczna: oznaczała, że Leo pracuje daleko stąd.

Gloria spoglądała na rubin.

-Nie gniewasz się?

-Jakże mogłabym się gniewać, skoro wydałaś na mnie ty-le pieniędzy? Jestem wzruszona, ale nigdy tego nie założę.

-A nie mogłabyś powiedzieć w domu...?

-Wiemy oboje, że nie znajdę odpowiedniej wymówki.

-Więc noś go przynajmniej tu, gdy jesteś ze mną.

-Dobrze, zgoda.

S

Wzięła kamyk i przerobiła go na spinkę do krawata, po czym oddała Richardowi.

-Dopóki jesteśmy tu razem, będę go nosić na łańcuszku, ale przez resztę czasu należy do ciebie. Noś go do tego R

krawata, który ci podarowałam, wtedy będziesz myślał

o mnie.

-Zawsze o tobie myślę - zapewnił ją.

Może zbyt intensywnie.

Nadchodził początek końca.

Richard czuł to i ta świadomość dręczyła go boleśnie.

Chwilami myślał, że do miasteczka przybył ktoś nowy, wiedział jednak, że tak nie jest. Z drugiej strony fakty mówiły sa-me za siebie. Gloria nie obmyślała już sposobów, żeby spotkać się z nim choćby na pięć minut, i chociaż pozostawała jego kochanką, nie zachęcała go do miłości jak dawniej, kiedy kusi-

ła i prowokowała, inspirując do rzeczy, o których nie sądził

nawet, że mogą istnieć.

Czuł, że zawiniło miejsce, w którym przebywają. Że zaczynają ich przerastać problemy. Te nie kończące się kłopoty z dostawcami materiałów budowlanych; nieprzyjazny stosunek Dunne'ów, którzy stwierdzili otwarcie, że nie zależy im na rozbudowie sklepu, będącego dla nich konkurencją; opóźnianie się wypłaty odszkodowania z firmy ubezpieczeniowej za skradzioną biżuterię. Nellie Dunne utrudniała też dostawę prasy, zaplanowaną przez Darcych.

Z kolei w biurze wuja Niall stawał się coraz bardziej niecierpliwy, nalegał, aby wprowadzano go w większą liczbę spraw, domagał się rozmów z klientami i innymi prawnikami, chciał poznać jak najwięcej tajników swojego zawodu. Richard czuł, że będzie odtąd spychany na bok.

Nadeszła pora, aby zabrać stąd wreszcie Glorię.

Zaczął jej to wyjaśniać, a kiedy spróbowała mu przerwać, pokręcił energicznie głową.

-Nie, przestań mnie uciszać. Musimy pomyśleć. To już prawie dwa lata. Musimy stworzyć dom dla siebie, ułożyć sobie życie. Nie chcę skrzywdzić Mike'a, ale trzeba mu powiedzieć. Jest przyzwoitym człowiekiem, zgodzi się na to, co mu proponujemy. Może przecież przyjeżdżać do Dublina i widywać się z chłopcami, nie będziemy ukrywać przed nimi, kto jest ich ojcem... - Urwał i spojrzał na nią.

Siedzieli w stróżówce, jeszcze ubrani. Na stole leżały pa-S

pierosy i niewielka puszcza, której używali jako popielniczki, myjąc ją po każdym spotkaniu. Nie było to najlepsze miejsce na rozmowę o przyszłości. Słuchając jego wywodów, Gloria miała dziwną minę, która wyrażała chyba zaskoczenie R

i szok.

Początkowo myślał, że to po prostu lęk przed ogromem czekających ich zadań, połączony z troską o los dzieci. To nic, trzeba ją jakoś pocieszyć.

-Oglądałem już w Dublinie kilka domów z dala od centrum, tak żebyśmy mieli trochę prywatności. Kevin i Sean mogliby uczęszczać do dobrej szkoły lokalnej, nie do takiego wielkiego monstrum jak szkoła braciszków w środku miasta.... - Umilkł, gdyż dopiero teraz pojął, co oznacza naprawdę jej mina.

Nie chodziło jej wcale o słowa pocieszenia; chciała, żeby natychmiast przestał mówić.

-To wszystko nie ma sensu, Richardzie. Nie zrobimy tego, musisz o tym wiedzieć.

-Ale ty mnie kochasz...

-Nie na tyle, żeby uciec z tobą...

-Po co w takim razie robiliśmy to wszystko...? - Zatoczył

ręką rozległy łuk, demonstrując pokój, w którym kochali się tak często.

-To nie miało nic wspólnego z moim wyjazdem z Shancarrig. Nigdy ci tego nie obiecywałam.

Spoglądał na nią oszołomiony.

-Po co było to wszystko? - powtórzył.

Wstała i poczęła krążyć po pokoju. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak ślicznie. Cichym głosem mówiła o szczęśliwych chwilach spędzonych z nim, o tym, że dzięki niemu poczuła się kochana i piękna.

Jednak jej przyszłość jest związana z Shancarrig lub innym tak samo małym miasteczkiem. Możliwe, że w pewnym momencie sprzedadzą swój sklep Dunne'om i przeniosą się gdzie indziej. Ona i Mike lubią zaczynać co jakiś czas od no-wa. To się już im zdarzyło parę razy. Traktują następne miejsce jako wyzwanie, ekscytujące wyzwanie, aby stworzyć coś nowego.

Patrzył na nią zdumiony, kiedy z takim respektem i miło-

ścią mówiła o swoim mężu.

Odniosł wrażenie, że łączy ją z Mikiem coś szczególnego, S

coś, czego on nie rozumiał. Jej zatroskanie nie wynikało z lę-

ku, że mogliby skrzywdzić Mike'a lub przysporzyć mu cierpień. Było to raczej silne przywiązanie, które nie pozwalało jej zostawić go samego. R

-Przecież go nie kochasz! - jęknął.

-Oczywiście, że go kocham, nigdy nie kochałam nikogo innego.

-W takim razie dlaczego...? - Nie potrafił skończyć tego zdania.

-Po prostu nie był w stanie dać mi wszystkiego, czego pragnęłam. Nikt nie jest do tego zdolny. A kocham go dlatego, że pozwala mi być wolną.

Uświadomił sobie, że Gloria mówi prawdę.

-Ale czy on wie...

-O czym?

-O mnie, o nas. Czy opowiadasz mu o nas? - Jego głos przybierał gniewny ton, brzmiał coraz głośniejsz. - Czy to go podnieca? Rajcuje go, kiedy wracasz do domu i opowiadasz mu, cośmy tu robili razem?

-Nie bądź wulgarny - szepnęła.

-To ty jesteś wulgarna. Najpierw prowadzisz się jak kotka w marcu, a potem udajesz przykładną żonę i matkę!

Spojrzała na niego z miną wyrażającą ból, a on uświadomił sobie, że to koniec.

W przeszłości, kiedy rozbijał kolejne związki i uciekał

przed problemami, nie był tak uczciwy jak ona teraz. Unikał

szczerzej rozmowy w cztery oczy, chyba że dochodziło do niej z konieczności. Przygnębiony, pomyślał przez chwilę o Olive Kennedy, o tym, jak ją niecnie potraktował w obecności jej rodziców.

-Gdyby mógł cofnąć czas! Ale to niemożliwe! Zwiesił głowę.

-Richard?

-Wcale nie uważam, że zachowujesz się jak kotka w marcu.

-Wiem.

-Kochanie, nie wiem, co zrobić. Naprawdę nie wiem.

-Wyjedź stąd, urządz się dobrze w Dublinie. Pewnego dnia spotkamy się tam i wtedy porozmawiamy w cywilizowany sposób, tak jak rozmawiałeś z tą dziewczyną na Baggot Street, która była w ciąży.

-Nie.

S

-Zrób tak. - Mówiła kojąco.

-A jeśli przeniesiecie się do innego miasta i tam znajdziesz sobie kogoś innego?

-Nie będę szukała nikogo innego, mogę cię o tym zapewnić-

nić.

-A on... czy pogodzi się z tym wszystkim? - Nie potrafił teraz nawet wymówić imienia jej męża.

-Mike wie, że go kocham i że go nigdy nie opuszczę.

Nie było już o czym rozmawiać.

Wiedział, że czeka go wiele roboty.

-Musi wrócić do biura i zatelefonować do kilku kancelarii prawniczych w Dublinie. Potem do matki; zapyta, czy mógł-

by zamieszkać znowu w tym piwnicznym mieszkaniu przy Waterloo Road. Do wyjazdu będzie pracował jak wół, aby uporządkować wszystkie sprawy i zostawić Niallowi czystą sytuację. A potem zacznie od nowa.

Po raz ostatni posprzątał w stróżówce, popiół z prowizorycznej popielniczki przesypał do koperty, ustawili wszystko tak, jak stało poprzednio, po czym wyszli oknem, jak zawsze.

Gloria nie przyprowadzi tu nikogo innego, był o tym przekonany. Ale czy dawniej spotykała się w stróżówce z kimś innym? Przeszedł go dreszcz na samą myśl o tym.

-Teraz, kiedy już postępujemy właściwie, możemy wrócić razem - powiedział.

-Dlaczego nie? - Była jak zwykle pogodna i tkliwa.

Wybrali drogę biegnącą w stronę Starej Skały, potem przez las, obok domu Maddy Ross, która siedziała przy swoim małym biurku i może pisała jeszcze jeden list do tamtego księdza, wiodącego teraz życie misjonarza. Richard po-myślał o niej ze współczuciem. To była rzeczywiście zaprzepaszczone miłość. Czy można ją porównać z jego płomiennym uczuciem?

Doszli do mostku, na którym bawiła się gromadka dzieci

- tak jak pięć lat temu, owego dnia, kiedy Richard Hayes przybył do Shancarrig.

Inne dzieci, ta sama zabawa.

I pomyśleć, że zaledwie godzinę temu planował, że zamieszkają wspólnie w Dublinie, a dzieci Glorii pójdą do tamtejszej szkoły! Wtedy był przekonany, że założy nową rodzinę.

S

A teraz wszystko się skończyło.

Teraz, kiedy mogliby porozmawiać swobodnie o wszystkim, nie było o czym mówić. Myślami powędrował do starej szkoły i rozłożystego buku, którego pień pokrywały wyrze-

inicjały i imiona uczniów.

Na początku znajomości z Glorią poszedł tam kiedyś i ukradkiem, aby nikt go nie zauważył, napisał na pniu: „Gloria in Excelsis”.

Nie uważał, że to bluźnierstwo, nie widział w tym nic złego. Jeśli kiedyś ktoś przeczyta te słowa, pomyśli po prostu, że wyrażają pochwałę Boga i że napisał je któryś z księży. Nie, nie pójdzie tam teraz, żeby zatrzeć litery. To by była dziecinada. Oczywiście mógłby uzupełnić tamte słowa, wyrzeć na pniu jeszcze: „Sic transit Gloria Mundi”. Niewiele osób zrozumiałoby, o co chodzi, a jeśli nawet, to i tak nie powiązalıby nigdy tych słów z Glorią Darcy, kochającą żoną Mike'a Darcy, sklepikarza.

Ale to też byłaby dziecinada.

Stali właśnie na moście - Gloria i Richard, którzy mieli już za sobą ostatnią wspólną rozmowę - kiedy ujrzeli Maurę O'Sullivan i jej syna Michaela.

-Dzień dobry, pani Darcy, dzień dobry, panie Hayes - powiedziała Maura.

-Tata? - zawołał chłopiec. Podbiegł do Richarda i objął go za nogę.

Richard nachylił się, aby odwzajemnić uścisk.

-Idź już do domu, Glorio - poprosił.

Bez słowa ruszyła do przodu. Jeszcze przez chwilę słyszał

stukot jej czerwonych bucików na wysokich obcasach.

-Co słyhać, Michael? Wiesz, rośniesz jak na drożdżach -

powiedział Richard i ukrył twarz na ramieniu chłopca, tak aby nikt nie dostrzegł łez ciekących mu po policzkach.

S

R

Leo

Kiedy Leonora Murphy była małym szkrabem, ojciec czę-

sto sadzał ją sobie na kolana i opowiadał o małej dziewczyn-ce z uroczym loczkiem dokładnie pośrodku czoła. Przy słowie

„dokładnie” pukał ją palcem w czoło, aby pokazać, gdzie był ten loczek. Potem opowiadał dalej: „I kiedy zachowywała się grzecznie, była bardzo grzeczna, ale kiedy była nie-grzeczna, stawała się OKROPNA”. - Przy ostatnim słowie robił straszliwą minę i powtarzał kilkakrotnie: „OKROPNA, OKROPNA”. - Opowieść napęłniała ją zawsze lękiem, chociaż wiedziała, że na zakończenie ojciec obejmie ją czule, a nieraz nawet podrzuci do góry.

Nie bała się tatusia, tylko tej dziwnej bajeczki. Odnosił

wrażenie, jakby opowiadał ją ktoś inny, nie ojciec.

Zresztą bajeczka nie pasowała do niej, bo ona była dziewą czynką z wieloma kędziorkami, nie tylko z jednym. Miała S

ich mnóstwo na głowie, pełno rudawozłocistych loczków. Kiedy ktoś próbował je rozczesać, plątały się w nieprzebyty gąszcz. Matka, zrozpaczona, dawała wtedy za wygraną. „Masz nie włosy, ale szope na głowie. Zupełnie jak cygańskie dziecię” - mawiała. Leo wiedziała, że to obraźliwe określenie.

R

Ludzie bali się trochę Cyganów, którzy, udając się na wyści-gi w Galway, obozowali nieraz na skraju lasu Barna.

Gdyby Leo zachowała się kiedyś niegrzecznie, nie zjadła zupy z ryżem lub nie zawiązała sznurowadeł jak należy, Biddy mogłaby powiedzieć, że następnym razem, skoro któryś z Cyganów zjawi się w pobliżu, odda mu ją. Nie mogłoby jej chyba spotkać nic gorszego.

Potem jednak, kiedy trochę podrosła, przyszło jej do głó-wy, że życie w taborze cygańskim mogłoby nawet być interesujące. Nieraz widziała tam ogniska, wokół których biegały na pół ubrane dzieci. Uganiały się chyba za zającami.

Leo podkradała się do nich razem z przyjaciółmi ze szko-

ły: Nessą Ryan, Niallem Hayesem i Eddiem Bartonem. Wstrzymując ze strachu oddech, przyglądali się im zza drzew i krzewów, obserwowali ten cudownie swobodny, naturalny styl życia ludzi, którzy stosowali się do własnych praw i reguł.

Leo nie pamiętała już, dlaczego dawniej bała się ich tak bardzo.

Wtedy jednak była jeszcze małym dzieckiem. A kiedy ukoń-

czyła jedenaście lat i stawała się doroślejsza, zaczęła patrzeć na wszystko innym okiem. Uświadomiła sobie, że istnieje wiele spraw, których dotychczas nie pojmowała, gdyż była za młoda.

Nie rozumiała na przykład, że mieszka w największym domu w Shancarrig. The Glen było wspaniałą rezydencją georgiańską, z obszernym hallem, do którego przylegały z ty-

łu kuchnia i spiżarnia. Boczne drzwi hallu prowadziły z jednej strony do pokoju stołowego, gdzie na

stole leżały głównie książki i jakieś papiery, gdyż rzadko przyjmowano tu gości, a z drugiej do salonu, w którym stało stare, nie strojone już od lat pianino, a na poduszkach za dużym koszem pełnym drewnianych szczap do kominka spały psy.

W głębi domu mieściły się jeszcze pokój śniadaniowy, gdzie spożywano wszystkie posiłki, oraz sportowy, w którym przechowywano wysokie buty z cholewami, sztucery myśliwskie i sprzęt wędkarski.

Tu także Leo wprowadzała swój rower, kiedy o tym pamiętała, często jednak zostawiała go przed drzwiami kuchennymi. Czasem sadowiły się na nim koty, które Bidy uwielbiała podkarmiać pod oknem kuchni.

R

Kiedyś jedna z kotek przyprowadziła tu swoje małe i jedno po drugim włożyła do bagażnika roweru, traktując go jako bezpieczne schronienie.

Właśnie tamtego dnia Leo patrzyła osłupiała, jak jej ojciec topi wszystkie kocięta w beczce z deszczówką.

- Tak trzeba - powiedział. - Życie polega nieraz na czynieniu tego, co potrzebne, mimo iż to ci się może nie podobać.

Ojcem Leo był major Murphy. Dawniej służył w armii brytyjskiej. W momencie gdy Leo przyszła na świat, on przebywał na wojnie. Wiedziała o tym, ponieważ zawsze na urodziny opowiadał jej, jak walczył pod Dunkierką, nie wiedząc nawet, czy ma syna, czy córkę. Kiedy jednak otrzymał wreszcie wiadomość o Leo, ucieszył się niezmiernie, miał już bowiem dwóch synów.

Bracia Leo uczęszczali do szkoły, ale nie w Shancarrig jak ich rówieśnicy; jeszcze jako małe dzieci zostali wysłani do szkoły z internatem w Anglii, gdzie mieszkał ich dziadek.

Dziadek chciał mieć przy sobie kogoś z rodziny i aby dopiąć swego, zdecydował się opłacać niezmiernie wysokie chesne swoich wnuków. Była to bardzo prestiżowa szkoła; w gronie jej absolwentów znajdowali się nawet późniejsi premierzy.

Leo wiedziała, że nie jest to szkoła katolicka, ale Harry i James chodzą na niedzielne msze. Wiedziała także, że z jakiegoś powodu nie wolno jej o tym mówić z Nessą Ryan, chociaż jest jej przyjaciółką, ani z panną Ross, ani z panią Kelly, a już na pewno nie z ojcem Gunn. Z jednej więc strony wszystko wydawało się w porządku, ale z drugiej - nie był to z pewnością temat do rozmów.

Leo dostrzegała różnice pomiędzy ich rodziną i mieszkań-

cami Shancarrig. Major Murphy nie wychodził nigdy do pracy, jak czynili to inni ojcowie. Nie prowadził żadnej firmy, nie miał też farmy, tylko tę rezydencję, The Glen. Wieczorami nie chadzał do hotelowego baru, jak większość mężczyzn, ani do osławionej gospody Johnny'ego Finna. Czasem wybierał się na spacer z ojcem Nialla Hayesa lub wyjeżdżał po-ciągami do Dublina na cały dzień. Nie miał jednak żadnej S

pracy.

Matka nie robiła rano zakupów, nie chodziła do sklepu Dunne'ów ani do rzeźnika, nie szła sobie ubrać xi matki Eddiego Bartona. Nie angażowała się w układanie kwiatów przy R

ołtarzu dla ojca Gunna, nie pomagała też w organizowaniu loterii fantowych w szkole. W domu natomiast snuła się usta-wicznie po wszystkich pokojach, stwarzając wrażenie, jakby miała pełne ręce roboty. Była piękną kobietą; wszyscy stwierdzali to zgodnie. Miała rudawozłociste włosy, jak córka, ale bez loków - gładkie i lśniące. Raz w miesiącu jeździła do Dublina, aby w zakładzie fryzjerskim o nazwie St.Stephen's Green przystrzyć je elegancko.

Leo domyślała się, że Harry i James nie wrócą do Shancarrig po ukończeniu szkoły. Odkąd mogła sięgnąć pamięcią, obaj mówili stale, że marzą o dostaniu się do akademii woj-skowej w Sandhurst. Kiedy wreszcie zostali tam przyjęci, ojciec nie posiadał się z radości.

Musimy opowiedzieć o tym wszystkim - zawołał po przeczytaniu listu.

A komu moglibyśmy przekazać tę wiadomość? - Jego żona spojrzała na niego przez stół nieobecny wzrokiem.

Ojciec nie potrafił ukryć rozczarowania.

Hayes byłby zachwycony.

Twój przyjaciel Bill Hayes to tutaj jedyny człowiek, który słyszał o Sandhurst. - Powiedziała to ostrym tonem.

Och, daj spokój, ci ludzie wcale nie są tacy źli.

Owszem, Frank, są. Znam ich dobrze, bo mieszkam tu od dziecka. Ty jesteś przybyszem.

Mieszkam tu od osiemnastu lat, a jednak nadal uważasz mnie za przybysza? Ech!... - uśmiechnął się do niej tklawie.

Matka Leo urodziła się w The Glen. Jako małe dziecko biegała po lesie Barna, wędkowała nad rzeką Grane, na pik-niki wybierała się pod Starą Skałę, od której wzięła swoją na-zwę cała miejscowość Shancarrig. Przebywała tu podczas niepokojów wywołanych powstaniem wielkanocnym w 1916 roku oraz w okresie wojny domowej w 1922 roku. Czasy były tak burzliwe, że rodzice zdecydowali się wysłać ją do szkoły przyklasztornej w Anglii.

Niemal natychmiast po ukończeniu szkoły, na początku S

lat trzydziestych, poznała Franka Murphy'ego. Z dala od ro-dzinnej Irlandii, spędzając czas na grze w krykieta i tenisa, poczuła niebawem, że coś ciągnie ją ku niemu. Sympatia by-

ła obopólna. Wiedza Franka na temat Irlandii miała raczej R

charakter powierzchowny, zabarwiony romantyzmem. Od dawna marzył o osiedleniu się w tamtych stronach. Miriam Moore była bardziej praktyczna. Jak przyznała, miała wala-

cy się już dom, a jego remont wymagał więcej pieniędzy, niż rodzina była w stanie przeznaczyć na ten cel.

Rodzice Miriam, ludzie już starzy, przyjęli tak inteligentnego zięcia z otwartymi ramionami. Mieli nadzieję, że zdoła przywrócić świetność ich pięknej, choć zaniedbanej rezydencji i posiadłości, a także da szczęście ich pięknej, lecz niesfornej córce.

Oboje zmarli jednak, zanim zdołali stwierdzić, czy rzeczywiście Frank jest w stanie zaspokoić ich oczekiwania.

-Czy Sandhurst leży nad morzem? - zainteresowała się Leo. Gdyby miało się okazać, że w przyszłym roku Harry i James będą chodzić na plażę, zamiast do szkoły, zaczęłaby im zazdrościć.

Rodzice uśmiechnęli się pobłażliwie, po czym wyjaśnili jej, że Sandhurst leży w Surrey i nie ma nic wspólnego z piaskiem na plaży*3. A dostać się do tamtejszej szkoły to wielki zaszczyt. Absolwenci mogą potem liczyć na najwyższe stopnie oficerskie.

Czy będą mieli wyższy stopień niż tata, jeśli znowu wybuchnie wojna? - zapytała Leo.

Nie będzie już nowej wojny, zwłaszcza po tej ostatniej.

Frank, mówiąc te słowa, miał posępną minę, a Leo żałowa-

ła, że w ogóle poruszyła ten temat. Ojciec chodził o lasce, miewał często bóle w nodze; słyszała nieraz, jak pojękiwał, gdy sądził, że nie ma nikogo w pobliżu. Może nie lubił w ogó-

le wspomnień o wojnie, która uszkodziła mu kręgosłup.

-Powinnaś do nich napisać, Leo - powiedziała matka. -

Na pewno się ucieszą, kiedy dostaną list od swojej siostrzyczki.

Czuła się, jakby miała wysłać list do obcych ludzi, ale jednak napisała. O tym, że siedzi właśnie w salonie, a Lance S

i Jessie leżą przed kominkiem; o szkolnym koncercie, na któ-

rym uczniowie chcieli zaśpiewać „Mam piękną kiść orzechów kokosowych”, ale pani Kelly powiedziała, że to nieprzyzwoita piosenka; o Eddiem Bartonie, który nauczył ją rysować R

różne liście, ryby i ptaki. Jeśli chcą, mogłaby narysować dla nich coś specjalnego na Boże Narodzenie.

Bardzo się cieszy, że oni zostaną kiedyś wysokimi oficera-mi w armii, chociaż podobno nie będzie

już nigdy wojny. Ta-ta chodzi teraz trochę lepiej, a mama nie wygląda na tak smutną jak kiedyś.

Była zdumiona faktem, że bracia odpisali jej niemal natychmiast. Podziękowali za list i zapewnili, że wieści, jakie przesłała, bardzo ich ucieszyły.

Leo miała dużą sypialnię z widokiem na ogród. Był to jeden z czterech przestronnych pokoi okalających obszerny 3 **Sand (ang.) - piasek. Przep.tlum.*

kwadratowy podest. Nessa Ryan zawsze podziwiała to piętro.

-Sam podest jest tak wielki jak pokój - powtarzała zachwycona. - A w naszym hotelu jest mały. I wszystkie drzwi są ponumerowane.

Leo opowiedziała jej, że kiedy mama była jeszcze młoda, śniadanie przynoszono na podest - po to, aby nikt z rodziny nie musiał schodzić na dół. Nieraz - wiedziała to od matki -

jadano w szlafrokach.

Nessa nie mogła się nadziwić, dlaczego major i pani Murphy mają oddzielne sypialnie; jej rodzice sypiali bowiem w jednym łóżku.

-

Nie bujasz? - Leo była zafascynowana tą wieścią. Postanowiła porozmawiać z Bidy i wyjaśnić zagadkę.

Jednak temat najwidoczniej nie nadawał się do takiego szczegółowego omawiania.

Nie rozpytuj wszędzie, gdzie i jak ludzie sypiają. Mogą wyniknąć z tego tylko kłopoty.

Ale dlaczego, Bidy?

Och, ludzie sypiają tam, gdzie mają na to ochotę. Twoi S

rodzice mają oddzielne sypialnie, bo tak chcieli. I mają do tego prawo.

A gdzie sypiali twoi rodzice?

-Razem z nami, w jednym pokoju.

R

Słowa Bidy nie wyjaśniły niczego.

Kiedy Harry i James przyjechali z bardzo krótką wizytą do domu, postanowiła zapytać ich o to. Spojrzeli po sobie.

No, wiesz... Kiedy tata został ranny na wojnie...

Wszystko się zmieniło - wyręczył brata James.

Co znaczy: wszystko? - zapytała Leo.

Znowu spojrzeli po sobie, jakby zrezygnowani.

-Po prostu wszystko - odparł Harry. Zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca.

Matka nie poruszała z nią nigdy spraw życiowych. Gdyby nie Biddy i Nessa, pierwsza miesiączka byłaby dla dziewczynki olbrzymim zaskoczeniem. Wiedziała wprawdzie, w ja-ki sposób rodzą się małe kocięta, szczeniaki i króliki, a więc dzieci, nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób zostają poczę-

te. Żywiła gorącą nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z za-chowaniem psów i kotów w pewnych momentach. Nie potrafiła sobie zresztą wyobrazić, w jaki sposób mieliby robić to samo ludzie, nawet gdyby chcieli. Nienawidziła Nessy Ryan, ponieważ ta wydawała się zawsze wszystkowiedząca. Postanowiła więc nie rozmawiać z nią. Wiedziała jednocześnie, że jeśli wejdzie do kuchni i wspomni o tym Biddy, ta spłonie ciemnym rumieńcem...

W wieku czternastu lat Leo zdobyła już szereg informacji.

Nawet jeśli nie były całkowicie dokładne, to czuła przynajmniej, że dzięki lekturze magazynów i broszurek wie na interesujący ją temat to i owo.

Podzielała w tym względzie zdanie Nessy Ryan i Maury Brennan: niemożliwe, aby ich rodzice robili kiedykolwiek coś takiego. No, ale z drugiej strony one same stanowiły ży-we dowody, że jednak tak było.

Maura podzieliła się z nimi swoją wiedzą: takie rzeczy zdarzają się często, kiedy mężczyzna jest pijany. Leo uznała, że byłoby uczciwiej, gdyby kobiety także mogły się upijać, skoro to takie okropne.

Maura była miłą dziewczynką, nie narzucała się nigdy nikomu. W pewnym sensie Leo lubiła ją bardziej niż Nessę, S

która nieraz miewała humory, zwłaszcza gdy coś nie poszło po jej myśli. Szkoda tylko, że Maura mieszkała w najnędzniej-szej z chałup. Jej ojca, Paudiego, widywano często siedzące-go przed czymś domem z butelką w dłoni; najwidoczniej pił

R

tak całą noc.

Maura nie mogła uczęszczać z nimi od przyszedłego roku do szkoły przyklasztornej w mieście. A jednak, mając dopiero czternaście lat, zdawała się wiedzieć o życiu znacznie wię-

cej niż one.

Leo uważała za niesprawiedliwe, że takie rodziny jak Brennanowie lub Dunne'owie muszą mieszkać w obskurnych cha-

łupach nad rzeką i chodzą w wytartych ubraniach. Foxy Dunne był bardziej bystry niż Niall Hayes, szybszy w odpowiadaniu na lekcjach, ale nie miał roweru ani ładnych ubrań i chyba nigdy nie nosił butów w odpowiednich rozmiarach.

Maura Brennan była miłsza i bardziej delikatna niż Nessa Ryan, ale nigdy nie dostała takiej sukienki jak Nessa na urodziny i na pewno nie miała zimowego palta.

Leo wiedziała, że nie wolno jej odwiedzać nikogo w cha-

łupach, tak więc nie chodziła tam; nikt nie zabronił jej tego wprost, czuła jednak, że rodzice nie byłiby zadowoleni, gdyby złamała ten niepisany zakaz.

Jedynie Foxy nie zważał na to.

- Nie zajrysz do mnie, aby obejrzeć, jak rodzina Dunne spędza swój czas wolny? - zapytał.

Wyrażenie „czas wolny” poznali tego dnia w szkole. Pani Kelly napisała te dwa wyrazy na tablicy i wyjaśniała potem ich sens.

Nie, dzięki, muszę już wracać do domu.

Ale ja chyba mogę wpaść do domu państwa Murphy i zobaczyć, jak u nich wygląda czas wolny?

Leo lubiła go.

-Tak, oczywiście, zawsze będziesz u nas mile widziany, kiedy tylko zechcesz.

Oboje podziwiali się wzajemnie... i tak było zawsze, odkąd znaleźli się w jednej klasie.

Po zakończonych letnich wakacjach Leo i Nessa pojecha-

ły autobusem do szkoły przyklasztornej. Spotkały się z matką przełożoną, otrzymały wykaz podręczników i innych rzeczy potrzebnych do nauki, poznały szczegóły dotyczące S

wyglądu mundurków szkolnych oraz regulaminu. Sądziły, że ktoś oprowadzi je po szkole, ale nic takiego się nie stało. Korciło je, aby pokręcić się trochę po tym mieście dziesięć-krotnie większym od Shancarrig i zaznać tu nieco swobody, R

czuły jednak, że to by się wydało. Potem w hotelu Ryana wszyscy powtarzaliby sobie na ucho, że stały na jakimś skrzy-

żowaniu z obcym młodzieńcem i zaśmiewały się do rozpuku albo szły sobie ulicą, liżąc lody.

Lepiej złapać wcześniejszy autobus i wrócić od razu do domu, jak przystało na porządne panienki.

Wchodząc do hotelu, Nessa odniosła wrażenie, że jej szybki powrót nikogo nie ucieszył.

Już jesteś? - W tonie matki nie było nawet cienia entuzjazmu.

Mam nadzieję, że zdążyłaś załatwić wszystko - dodał ojciec.

Leo uśmiechnęła się do przyjaciółki.

-To samo będzie u mnie w domu - szepnęła. - Nakarmi-li psy, a nie zostawili nic dla mnie.

Wspinając się na wzgórze, przystanęła obok Eddiego Bartona, aby opowiedzieć mu o swojej nowej szkole. Eddie miał

kontynuować naukę u braciszków, ale nie był tym zachwycony. Tam interesowano się tylko piłką.

-A w mojej szkole liczą się jedynie modły - westchnęła Leo. - Na każdej ścianie wiszą wizerunki świętych.

Zarzuciła sobie torbę na ramię, mijając starą stróżówkę.

Kiedyś pozwolono zamieszkać w niej ludziom, którzy zostawili tam potem bałagan jak w chlewie. Od jakiegoś czasu stró-

żówka pozostawała zamknięta, aby nie weszli do niej jacyś in-truzi.

Był czwartek. Wchodząc do domu, Leo przypomniała sobie, że dziś Bidy pracowała u nich tylko do południa. A więc zostawiła jej na pewno jedzenie w szafce chłodniczej. Zazwyczaj gdy Bidy miała wolny wieczór, jadal z zimną kolacją.

Leo wiedziała, że musi się obsłużyć sama, gdyż nie ma nikogo, kto by ją w tym wyręczył. Ojciec pojechał do Dublina rannym pociągami, a matka spaceruje z pewnością po lesie Barna. Leo postanowiła zanieść kolację do sypialni i posłuchać płyt. Napisała ostatnio do Jamesa i Harry'ego, że mogła-by nastawiać bez końca „Kocham Paryż wiosną”. Kiedyś po-S

jedzie do Paryża z kimś, kto będzie umiał jej to zaśpiewać.

Była przekonana, że ta piosenka nigdy nie wyjdzie z mody.

Zamknęła drzwi sypialni i zanim jeszcze zajęła się mlekiem i kanapką z kurczakiem, nastawiła płytę.

R

Usiadła jak zwykle przy oknie i zaczęła nucić cicho do wtóru, kiedy nagle, zdumiona, usłyszała

odgłos zamykanych drzwi, a po chwili kroki na schodach; nie wiedziała tylko, czy ktoś wchodzi na górę, czy schodzi na dół.

Przyszło jej do głowy, że może nastawiła płytę za głośno, podeszła więc do gramofonu i w tym samym momencie dostrzegła kątem oka postać młodego mężczyzny, który przebiegł po trawniku i zniknął w zaroślach. W biegu naciągał

na siebie koszulę.

Ogarnął ją lęk. Z pewnością jakiś włamywacz! Może na dole są jeszcze jego wspólnicy? Co robić? Zawołać o pomoc, czy udawać, że jej tu nie ma?

Myśli kłębiły się jej w głowie. Na pewno wiedzą już, że ona tu jest, bo przecież słyszeli muzykę! Może jeden z nich zaczął się pod drzwiami sypialni? Czuła, jak mocno wali jej serce. W panującej wokół niej ciszy usłyszała teraz skrzypnięcie drzwi. A więc jednak miała rację. Tam ktoś jest, czyha na nią! Zaczęła się modlić tak żarliwie jak nigdy dotąd.

Jakby w odpowiedzi na te modły rozległ się nagle wyczarowany chyba przez Boga, tak dobrze jej znany głos:

-Leo? Leo? Czy to ty?

Przed drzwiami stała matka, jakby trochę zaczerwieniona i zmieszana.

Leo podbiegła do niej.

Mamo! Tu byli włamywacze... nic ci nie jest?

Cicho już, cicho. Oczywiście, że nic... O czym ty w ogóle mówisz?

Słyszałam, jak zbiegali po schodach... uciekli przez ogród.

Bzdura. Leo, nie było tu żadnych włamywaczy!

Ależ tak, byli! Słyszałam ich. I widziałam... Widziałam jednego z nich.

Co widziałaś?

Jeden z nich biegł w stronę zarośli i zdejmował... albo zakładał koszulę... Skrył się za bzem, przy tylnym parkanie.

A co ty w ogóle robisz teraz w domu? Miałaś przecież obejrzeć swoją nową szkołę...

S

Tak, ale nikt nas nie wprowadził, więc wróciłyśmy wcz-

ściej... Mamo, ja go naprawdę widziałam. Może nawet w do-mu są nadal jego wspólnicy?

Leo nie widziała jeszcze nigdy swojej matki tak rezolutnej R

jak dziś.

Zejdź ze mną na dół w tej chwili i skończmy wreszcie z tą bzdurą. - Szła przed córką, otwierając na oścież wszystkie drzwi. - Czy włamywacz zostawiłby tutaj te srebra, kieliszki? Albo tu, w pokoju sportowym... czy nie ukradłby tych sztucerów ojca? Ani słowa więcej o włamywaczach czy rabu-siach, rozumiesz?

A kroki na schodach? - Leo nie była już tak pewna tamtego nieznanego w ogrodzie.

To ja zeszałam na dół, a potem weszłam do sypialni. Nie wiedziałam, że już jesteś...

Nastawiłam sobie płytę...

Tak. I dlatego właśnie wyszałam z pokoju, żeby zajrzeć do ciebie. Zobaczyć, dlaczego najpierw rozkręciłaś muzykę na cały regulator, a potem ją ściszasz.

Matka była jakaś podekscytowana, inna niż zazwyczaj.

Leo nie wiedziała, dlaczego ten fakt wydaje jej się groź-

ny, czuła jednak ogarniający ją niepokój. Mimo woli porusza-

ła się potem cicho, jakby w domu rzeczywiście czaił się jeszcze jakiś złoczyńca.

Nie wspomniała o tym wydarzeniu ojcu ani Bidy. Kiedy Nessa zapytała ją, jak została powitana w domu, mniej czy bardziej serdecznie niż ona w hotelu, Leo odparła, że po prostu zrobiła sobie kanapkę i poszła z nią do sypialni, aby po-słuchać „Kocham Paryż”.

Nessa uznała, że życie jest niesprawiedliwe: ona od razu po powrocie zastała zagnana do polerowania sreber.

Pomyśleć tylko: mieć taką swobodę w olbrzymim domu!

Nie zauważyła, jak Leo zadygotała nagle silnie, uświada-miając sobie, iż zataiła swój lęk. I przez to strach spotęgował

się bardziej.

Foxy Dunne zjawił się na podjeździe następnego dnia.

Szedł dziarskim, buńczucznym krokiem, co wskazywało na pewność siebie, jakiej bez wątpienia nie

odczuwało wielu dwukrotnie starszych od niego, kiedy zbliżali się do drzwi The Glen.

S

Nie kusił jednak losu: przezornie podszedł do tylnych drzwi.

Biddy nie ukrywała dezaprobaty.

Tak? - powitała go lodowatym tonem.

R

Och, dziękuję, Biddy. Zawsze powtarzam, że nie ma to, jak prawdziwe, tradycyjne, irlandzkie, gościnne powitanie.

Ty i inni twego pokroju potraficie się tylko naigrawać z ludzi, którzy cenią pracę.

Patrzył na nią, nie mrugnawszy nawet okiem.

Różnię się od innych mego pokroju, jak to nazwałaś, Biddy. I mam zamiar przyłożyć się do pracy.

Byłbyś w takim razie jedynym z Dunne'ów, który ceni pracę. - Nadal nie była zachwycona faktem, że Foxy tak bez-ceremonialnie rozsiadł się w jej kuchni.

-W każdej rodzinie znajdzie się ktoś, kto jest pierwszy.

Gdzie Leo?

-Po co ci ona?

-W tym momencie Leo weszła do kuchni. Ucieszyła się na widok gościa i natychmiast poczęstowała go jednym z placków Biddy, które studziły się na drucianej osączarce.

-Podoba ci się w nowej szkole? - zapytał.

-Chyba tak. Może trochę za dużo tam świętości, ale uj-dzie.

Wielu ludziom tutaj nie zaszkodziłoby odrobinę więcej świętości - wtrąciła Biddy.

Leo roześmiała się. Wszystko zdawało się wracać do nor-malności.

-Przyłóż się tam do nauki, dobrze? - Foxy patrzył na nią, najwyraźniej przejęty.

-Coś podobnego! Chłopak Dinny'ego Dunne'a nawołuje do nauki! - parsknęła Biddy.

Foxy nie zwracał na nią uwagi.

-To ważne, żebyś starała się tak jak ja - mówił dalej. - Ja muszę, bo nie mam nic. Ty musisz, bo masz

wszystko.

Nie wiem, o czym mówisz - mruknęła Leo.

Mogłabyś równie dobrze nic nie robić, tylko - że tak powiem - płynąć z prądem, a potem po prostu wyjść za mąż.

-Nie ma mowy! - Wyglądała na urażoną.

-A widzisz. Powinnaś więc znaleźć sobie pracę.

-Może jednak kiedyś zechcę kogoś poślubić.

-Tak, tak, jasne. Ale i w tym przypadku zrobisz lepiej, S mając pracę, bez względu na to, czy poślubisz kogoś, czy nie.

Nigdy jeszcze nie słyszałam tak bzdurnej gadaniny! -

Biddy poczęła przestawiać hałaśliwie rondle, aby okazać swoją dezaprobatę.

R

-Chodź, Foxy, przejdziemy do sadu - zaproponowała Leo.

Zebraли trochę drobnego agrestu i wrzucili do koszyka, zo-stawionego przez matkę pod drzewem.

Nie zawsze będzie tu tak jak teraz, chyba wiesz o tym?

- powiedział Foxy.

-Rzeczywiście. Mam spis książek, które muszę przeczytać, spis długi jak twoje ramię.

Nie, miałem na myśli ten dom.

Podniosła na niego wzrok pełen niepokoju. Pamięć podsunęła jej koszmar tamtego dnia; zdarzały się tu różne rzeczy, odbierające jej poczucie bezpieczeństwa.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie spodobał mu się wyraz lęku na jej twarzy, czym prędzej więc zaczął ją uspokajać. Potem wyznał, że gdyby mógł udawać szesnastolatka albo nawet trochę starszego, przyłą-

czyłby się do człowieka, który kompletuje grupę mającą pracować na placach budowlanych w Anglii. Są to ludzie stąd, z okolicy... Zacząłby od prostych prac, ale w miarę upływu czasu

zdobywałby nowe umiejętności.

-Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżał - powiedziała Leo. -

Wiem, to głupie, ale mam dziwne wrażenie, że stanie się coś strasznego.

I stało się rzeczywiście - trzy tygodnie później, pewnego ciepłego letniego wieczoru. W domu panowała cisza. Biddy, jak co roku latem, pojechała na farmę swojej rodziny. Leo ukończyła właśnie list do Harry'ego i Jamesa, w którym powiadomiła, że z kręgosłupem taty jest trochę lepiej, a doktor Jims orzekł, iż spacerowanie nie mogą tacie zaszkodzić, w każdym razie nie bardziej, niż zaszkodziła mu wojna, i że gdyby siedział cały czas w fotelu okryty kocem jak zniedołężniały starzec, zamieniłby się w końcu w takiego starca.

Dlatego tata zaczął chodzić na długie spacerowanie z panem Hayesem, aż pod Starą Skałą. Poszli tam również dzisiaj. Leo postanowiła wysłać list jak najprędzej, tak aby nie leżał nie-potrzebnie na stoliku w hallu. Znalazła znaczek i wybiegła z domu. Pani Barton prasowała; widać ją było przez okno.

S

Nigdy nie wychodziła do ogródka, aby sobie posiedzieć. Ciekawe, dlaczego? W ciepły wieczór, taki jak dziś, mogłaby przecież wyjść z szyciem przed domek. Leo powiodła wzrokiem po innych oknach, wypatrując twarzy Eddiego. WieR

działa, że pisze niemal tyle listów co ona. Czasem spotykała go na poczcie.

Teraz jednak nie dostrzegła go nigdzie. Może chodzi gdzieś po lesie i ogląda drzewa lub kwiaty, aby móc je potem narysować. Spotkała za to Nialla Hayesa, który najwyraźniej strapiiony kręcił się tam i z powrotem przed swoim domem Boże, ta szkoła, do której chodzę, jest jak więzienie -

zawołał na jej widok. - Będę się tam czuł jak hrabia Monte Christo w celi!

A moja nie jest taka zła. Tylko że pełno w niej wizerunków świętych o skrzywionych twarzach.

Och, skoro to tylko wizerunki, nie masz się czym przejmować. Powinnaś zobaczyć twarze braciszków w mojej szkole, jakie są zacięte. I wszyscy jak jeden mąż w tych długich czarnych sutannach!

Przecież ojciec Gunn też chodzi w długiej sutannie. I ojciec Barry. Jeszcze się do tego nie przyzwyczyłaś? - Odniosła wrażenie, że Niall Hayes wyolbrzymia teraz wszystko.

Ale oni nie mają takich zaciętych twarzy.

-Czy twój ojciec także chodził do tej szkoły?

-Oczywiście. On i moi wujowie. Ale zdążyli już zapomnieć, jak tam okropnie. Ciągłe tylko przedstawiają mi zalety i plusy, żadnych minusów.

Twój ojciec poszedł na spacer z moim. - Leo miała już dość tego utyskiwania.

Tak? A więc musiał to być krótki spacer, bo mój ojciec jest już w domu. Przygotowuje tekst testamentu jakiegoś farmera. Wiesz, Leo, chyba nie potrafiłbym być prawnikiem w Shancarrig.

-
Możesz przecież otworzyć praktykę w innym miejscu -

odparła. Wyglądało na to, że Niall widzi dziś przed sobą sa-me piętrzące się kłody.

Żałowała, że ojciec nie wybrał się na dłuższy spacer. Ale może siedzi teraz z mamą w sadzie? Nieraz widywała ich tam, jak odpoczywają, popijając lemoniadę. Wyglądali wtedy na dość szczęśliwych.

S

W drodze do domu spotkała ojca Gunna, który wyraził

zdumienie, że czas płynie tak prędko. Kolejna klasa w szkole szykowała się do opuszczenia Shancarrig i rozproszenia się po szerokim świecie. To dziwne, że dorosłym wydaje się R

zawsze, iż czas pędzi na łeb na szyję, pomyślała Leo. Dla niej włókł się jak zółw.

Dochodziła już do furtki, kiedy usłyszała krzyki dobiega-jące ze stróżówki. W tej samej chwili dostrzegła ojca; tak szybko, jak pozwalała mu na to noga, zdążył tam, skąd dobiegał harmider. Leo zatrzymała się na odgłos łamiących się mebli i wrzask.

Nie miała żadnych wątpliwości, że to głos matki, która krzyczała teraz:

-Nie, nie! Nie zrobisz tego! Nie! - Po tych słowach nastą-

pił przeciągły jęk.

-O, Boże! Boże! Miriam, Miriam!

Ojciec potknął się, laska wypadła mu z dłoni. Zatrzymał

się, aby ją podnieść.

Niemal w tej samej chwili rozległ się huk wystrzałów.

Trzech wystrzałów. Przed drzwi stróżówki, zataczając się, wybiegła matka. Jej bluzka była zboczona krwią, potargane włosy i błędne spojrzenie dopełniały obrazu.

-Boże... on próbował... chciał mnie... omal mnie nie za-bił! - łkała. Raz po raz spoglądała z lękiem za siebie, gdzie na podłodze widniał jakiś ciemny, nieruchomy kształt.

-Frank! - zawołała. - Och, Frank, zrób coś! Na miłość bo-ską, Frank! On by mnie zabił!

Leo cofnęła się, jakby chciała umknąć przed tą niezrozumiałą sceną, rozwijającą się na jej oczach.

Widziała, jak ojciec dochodzi do stróżówki, ogarnia matkę ramieniem, pociesza ją niczym małe dziecko.

Już po wszystkim, Miriam, już po wszystkim - usłyszała jego głos.

Czy on nie żyje? - Matka najwidoczniej bała się teraz spojrzeć za siebie.

Leo, zdrętwiała z trwogi, ujrzała, jak ojciec nachyla się nad ciałem leżącym na podłodze i odwraca je na wznak. Dostrzegła czarne, gęste włosy, dużą czerwoną plamę krwi rozrastającą się na koszuli.

Był to ten sam mężczyzna, którego trzy tygodnie wcze-

śniej widziała biegnącego ku krzakom bzu i którego wzięła za S

włamywacza.

A teraz oboje, ojciec i matka, płakali.

-Już dobrze, Miriam, kochanie, już po wszystkim. On nie żyje. - Ojciec powtarzał te słowa w kółko, wciąż od nowa.

R

Nieco później napili się brandy i dali kieliszek również Leo, rozcieńczając dla niej alkohol odrobiną wody.

Drzwi stróżówki były już zamknięte. Kiedy wrócili do do-mu, matka poszła się umyć.

-Nie musisz się chyba przebierać - usłyszała Leo głos oj-ca, ale matka spiorunowała go wzrokiem.

-Miałabym... nosić dalej to? Ubranie zbroczone krwią?

Dlaczego? Frank, rusz głową! Po co mam to nosić? - Była bliska hysterii.

-Pomogę ci się umyć - zaproponował.

-Nie. Proszę, zostaw mnie. Chcę być przez chwilę sama.

W sypialni matki była zainstalowana umywalka z lustrem i lampką na ścianie oraz różową, kwiecistą zasłonką.

Leo, nie chcąc teraz zostać sama, weszła tam za matką.

Spotkały się oczami w lustrze.

-Wszystko w porządku, mamusiu? - Rzadko zwracała się do niej w ten sposób.

Twarz matki złagodniała.

-Tak, oczywiście, Leo. Już po wszystkim. - Niczym papu-ga powtórzyła słowa ojca.

-I co teraz zrobimy? Co będzie?

-Cicho. Nie myślmy o tym choćby przez chwilę. Wyrzuć-

my to w ogóle z naszej pamięci. Mam wrażenie, jakbym zbudziła się z koszmarnego snu.

-Ale...

-Tak będzie najlepiej, Leo, zaufaj mi. - Wyglądała teraz jak młoda dziewczyna, kiedy tak stała w samej spódnicy i halce. Zawzięcie szorowała sobie flanelową, namydloną myj-ką szyję i ramiona, chociaż nie było na nich nawet śladu krwi.

Czerwone plamy widniały jedynie na bluzce, która leżała już w koszu.

Matka wyszczotkowała zęby, strzepnęła na dłoń odrobinę talku i roztarta go na skórze.

-Idź już, kochanie. Zejdź do ojca. Chcę się ubrać.

Ma do założenia tylko bluzkę, pomyślała Leo. I oczywi-

ście stanik. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że z jakiegoś S

niewiadomego powodu matka nie ma na sobie stanika. Jedynie halkę. Jedwabną, brzoskwińową halkę.

Jakie to wszystko dziwne i nierealne! Fakt, że matka poprosiła ją, aby wyszła z pokoju, stanowił zaledwie drobny R

fragmencik całej tej niezwykłej zgadywanki.

Leo przeszła do salonu. Miała wrażenie, że nie powinni rozmawiać o tym, co się stało, w pokoju śniadaniowym, gdzie zazwyczaj spędzali wolne chwile. Ojciec czuł zapewne to sa-mo. Zapalił w kominku, co Lance i Jessie przyjęły najwyraż-

niej z zadowoleniem; oba psy ułożyły się wygodnie w pobl-

żu ognia, wyciągając z lubością długie łapy.

Leo pomyślała o nich przez ułamek sekundy - nawet nie wiedzą, co się wydarzyło! - a potem uzmysłowiła sobie, że nie wie o tym nikt: ani Niall Hayes, z którym rozmawiała pół

godziny wcześniej, ani pani Barton, która przedtem pomacha-

ła do niej ręką przez okno, nie przerywając prasowania, anij ojciec Gunn, który ubolewał, że czas

upływa tak szybko.

Ojciec Gunn? Dlaczego nie ma go tutaj?

Przecież jeśli ktoś umiera, posyła się po księdza. Powi-I nien też być doktor Jims, ojciec Eileen i Sheili. Zawsze, kiedy ktoś był ciężko chory albo umierał, przyjeżdżali natychmiast ojciec Gunn i doktor Jims.

Na progu stanęła matka. Drżąc jakby z zimna, oplotła się rękami.

-Dobrze, że napaliłeś - szepnęła.

Podnieśli na nią wzrok oboje, Leo i ojciec. Matka miała zupełnie normalny głos, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego.

Właśnie wtedy ojciec nalał brandy dla niej i dla siebie.

Leo też powinna się trochę napić. - Matka powiedziała to tonem, jakim zazwyczaj proponuje się dokładkę zupy.

Chodź, usiądź przy kominku, ogrzejesz sobie dłonie. A ja zatelefonuję do sierżanta Keane'a. Przyjedzie na pewno za parę minut.

Nie. - To krótkie słowo zabrzmiało jak smgnięcie batem.

Musimy go powiadomić, powinniśmy byli zrobić to natychmiast.

Leo sączyła tę wstrętą brandy po raz pierwszy w życiu.

Nie mogła pojąć, jak ludzie pokroju ojca Maury Brennan S

mogą pić coś takiego niemal bez przerwy. Okropność!

Nie wytrzymam tego nerwowo, Frank. Jestem już i tak wykończona.

Sierżant Keane to człowiek bardzo delikatny i taktowny.

R

Z pewnością zrobi wszystko, żeby nie męczyć cię za długo.

To tylko formalność.

Nie chcę żadnych formalności. I nie prosz mnie o to.

Ten mężczyzna chciał cię zabić, trzymał w ręku jeden z moich sztucerów. Mógł cię zabić! - Głos ojca łamał się z emocji.

Matka odzyskiwała już lodowaty spokój.

Ale tego nie zrobił. To ja zabiłam jego.

Broniłaś się... sztucer wypalił w trakcie szamotaniny.

Ten typ sam się zabił.

Nie. Podniosłam broń i zastrzeliłam go.

-Nie wiesz dokładnie, jak do tego doszło. Byłaś w szoku.

Major Murphy postąpił krok do przodu, jakby chciał wyjść do hallu, gdzie stał telefon.

Matka nie podniosła nawet głosu, aby uwiarygodnić sens swojego ostrzeżenia:

-Jeśli do niego zadzwonisz, Frank, opuszczę ten dom i nie zobaczysz mnie nigdy więcej. Ani ty, ani Leo.

Wyciągnął ręce, jakby chciał ją znowu objąć i podtrzymać, jak przedtem na podjeździe, pocieszyć ją, tak jak wtedy, gdy powtarzał jej, że już po wszystkim.

Matka uwierzyła mu chyba rzeczywiście, że już po wszystkim.

Leo obracała kieliszek w dłoniach, słuchając, jak rodzice rozmawiają o martwym mężczyźnie leżącym w stróżówce.

Dziwnym, nienaturalnym głosem matka przedstawiała swój punkt widzenia.

Przecież sam Frank mówił przedtem, że już po wszystkim, czyż nie? A więc lepiej o wszystkim zapomnieć. Po co sprowadzać tu policję, przeżywać wszystko od nowa, wysłuchiwać masy pytań i odpowiadać na nie? Ten mężczyzna był niebezpieczny. I zginął. Oko za oko, ząb za ząb. Sprawiedliwości sta-

ło się zadość. I niech tak pozostanie.

Za każdym razem, kiedy ojciec chciał jej przerwać, uciekała się do tej dziwacznej groźby:

- Jeśli mnie nie posłuchasz, zniknę z tego domu i nie zobaczysz mnie nigdy więcej.

S

Oboje zachowywali się tak, jakby zapomnieli o obecno-

ści córki. Leo patrzyła jak urzeczona to na matkę, odrzucają-

cą wszystkie racjonalne argumenty, to na ojca, który z silnego mężczyzny, pocieszającego przybitą nieszczęściem żonę, R

zmieniał się na jej oczach w człowieka zrezygnowanego i roz-dartego. Widziała w jego oczach lęk, potęgający się za każ-

dym razem, gdy matka powtarzała swoją groźbę.

Chciała się wtrącić, zapytać matkę, dokąd chce odejść.

Dlaczego chce zostawić ją, swój dom i swoją rodzinę. Jednak nie ośmieliła się poruszyć.

Nie mógłbym żyć bez ciebie, Miriam - powiedział w pewnej chwili ojciec. - Nie wierzę, abyś mogła nas opuścić, wiedząc, że...

Proszę cię... - Zerknęła na swoją czternastoletnią córkę, jakby zetknęła się właśnie z brakiem taktu. Mężczyzna nie powinien ujawniać swoich pragnień ani słabości w obecności dziecka.

Major Murphy podszedł do okna, gdzie siedziała Leo.

-Kochanie!

-Co teraz będzie, tatusiu?

-Wszystko będzie w porządku. Jak mówi twoja matka, już po wszystkim. Nie możemy...

-Czy wezwiemy doktora Jimsa? I ojca Gunna?

-Chodź ze mną, Leo. Zaprowadzę cię do łóżka.

-Chcę tu zostać, tatusiu, proszę...

-Z pewnością chcesz nam pomóc, udowodnić, że jesteś dzielna i postępujesz właściwie...

-Nie! Chcę zostać tutaj. Boję się.

Za oknem zapadł już zmrok. Krzaki majaczyły jak duże szare bryły, znikły już kolory, które cieszyły wzrok, kiedy ca-

ła trójka zdjęta trwogą po tym, co stało się w stróżówce, śpieszyła do domu.

Major Murphy wyprowadził córkę do kuchni, w rondelku podgrzał trochę mleka, po czym wziął dużą, srebrną pieprz-niczkę i potrząsnął nią kilkakrotnie nad mlekiem, przelewa-jąc je do kubka.

Następnie wszedł z Leo na piętro, do jej sypialni.

-Przebierz się i idź spać, bądź grzeczna - poprosił.

Odwrócił się do niej plecami, kiedy zdjęła swoją zieloną bawełnianą sukienkę, cienki trykot i majtki, założyła natomiast różową jedwabnowełnianą koszulę nocną, którą wycią-

S

gnęła z szafki o kształcie zająca. Uświadomiła sobie nagle, że kiedy rano chowała koszulę na miejsce, nic jeszcze nie wskazywało na nadciągający dramat. Cały koszmar zaczął się dopiero potem.

R

Weszła do łóżka i upiła trochę mleka.

Ojciec usiadł na brzegu łóżka, pogłaskał ją po głowie.

-Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - obiecał.

-Czy to możliwe, tato?

-Nie wiem. Powtarzałem to sobie na wojnie i poskutkowało.

-Niezupełnie. Zostałeś ranny i teraz masz kłopoty z cho-dzeniem.

-Nieprawda, mogę chodzić. - Wstał.

Na jego twarzy rysował się tak głęboki smutek, że Leo zebrało się natychmiast na łzy. Zapragnęła otworzyć okno, uklęknąć na parapecie i ze wszystkich sił zawołać o pomoc.

Zamiast tego zagryzła wargi.

-Muszę już iść na dół, Leo - powiedział ojciec.

Odniosła wrażenie, jakby stali się teraz sprzymierzeńcami po to, aby chronić tę nie znaną im dotąd matkę, która zaczę-

ła mówić inaczej niż dotychczas.

Od dawna lubiła grę w „jeśli”. Jeśli dojdę po schodach na górę, zanim stary zegar wiszący w hallu skończy wybijać godziny, pani Kelly będzie dziś w dobrym humorze. Jeśli kro-kusy przed domem zakwitną do wtorku, dostanę list od Harry'ego i Jamesa.

Teraz siedziała w mrocznej sypialni, obejmując oburącz kolana. Jeśli nie wyjdę z łóżka, wszystko będzie w porządku.

Doktor Jims przyjdzie i powie, że tamten wcale nie jest martwy... Jeśli on naprawdę nie żyje, ojciec Gunn powie, że to nie była wina mamy.

Jeśli nie wyjdę z łóżka i przesiedzę w ten sposób całą noc bez ruchu, okaże się, że to wszystko w ogóle się nie zdarzyło.

Obudziła się o świcie cała zdrętwiała. A więc jednak usnę-

ła! Teraz czary nie zadziałają. Nic się jej nie wydawało, to się zdarzyło naprawdę.

Już teraz nie ma sensu siedzieć tak z podkulonymi nogami. Wszystko na nic.

I to miałyby być zwyczajny dzień? Słoneczny dzień, w jaki psy S

baraszkuje sobie w najlepsze przed domem, Mattie podjeżdża na rowerze z pocztą, a z dołu dochodzą zapachy śniadania?

Leo wyskoczyła z łóżka i spojrzała na swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy. Nienaturalnie blada twarz, podkrą-

ż

R

one oczy, w których czai się lęk, potargane włosy.

Ubrała się szybko, zakładając to wszystko, co rzuciła wczoraj wieczorem na podłogę, kiedy ojciec stał obok niej, kryjąc przed nią twarz naznaczoną strachem.

Drzwi otworzyły się, do pokoju weszła matka. Wyglądała już inaczej niż wczoraj. Miała na sobie błękitny kostium, zczesła porządnie włosy, umalowała sobie usta i w ogóle sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie.

-Mam dobrą wiadomość - powiedziała.

Leo poczuła, że na jej twarz wracają rumieńce. A więc jednak tamten człowiek żyje! Doktor Jims zdołał go uratować!

Zanim jeszcze wypowiedziała cokolwiek, matka otworzy-

ła szafę i zaczęła wyjmować z niej sukienki Leo.

-Wyjeżdżamy na wypoczynek, wszyscy troje - oświadczy-

ła. - Doszliśmy z ojcem do przekonania, że tego właśnie nam trzeba. No jak, czy to nie wspaniała nowina?

-Ale... - Dalsze słowa Leo ugrzęzły jej w gardle.

-Ale musimy najpierw zjeść śniadanie, czeka nas długa jazda.

-Czy my uciekamy? - wyszeptała Leo.

-Jedziemy na cały tydzień i... Gdzie twój strój kąpielowy? Zamieszkamy w pięknym hotelu na wybrzeżu; wystarczy zbiec po schodkach, aby znaleźć się na plaży i kąpać do woli, dopóki nie

podadzą śniadania. Wyobrażasz to sobie?

Przy śniadaniu ojciec unikał jej wzroku, a Leo domyśliła się, że nie powinna wspomnieć nawet jednym słowem o wczoro-rajszych wydarzeniach. Ojciec najwidoczniej uznał razem z matką, że muszą uciekać.

Ktoś zapukał do tylnych drzwi i wszyscy troje drgnęli przerażeni. Był to jednak tylko Ned, opiekujący się ogrodem.

Leo słyszała, jak ojciec informuje go o wyjeździe i... daje in-strukcje.

Szklarnie są już w opłakanym stanie... gdyby Ned mógł

zrobić tam porządek...

A co z ogródkiem skalnym, panie majorze?

Nie ruszaj przy nim nic, to ważne. Rozmawiałem już S

z pewnym człowiekiem z Ogrodu Botanicznego w Dublinie; przyjedzie tu, aby rzucić na niego okiem. Wszystko ma zostać dokładnie, jak jest, dopóki on się nie zjawi.

-To dobrze. - Ned odetchnął z ulgą. - Czy mam zasypać R

tamten dół?

-Och, nie, zrobiliśmy to już wczoraj sami...

Jeśli nawet Ned był zdumiony, że inwalida wojenny i jego słabowita żona zdołali tak szybko zasypać dół, którego wyko-panie zajęło jemu dwa dni, nie okazał tego.

-A więc mam tam zostawić wszystko, jak jest?

-Dokładnie tak, Ned.

Leo poczuła, jak ogarnia ją zimna fala strachu.

Pamięć podsunęła jej ostatnią noc, którą spędziła z podkulonymi niewygodnie nogami; odgłos tajemniczych kroków na schodach; krzyki przy stróżówce. Ale teraz matka była zupełnie spokojna, przysłuchując się rozmowie z Nedom przy tylnych drzwiach, a nawet roześmiała się, kiedy ojciec wrócił

do pokoju.

-Myślę, że dla Neda była to radosna wiadomość. Zawsze się cieszy, kiedy odpada mu jakaś robota.

Leo usiłowała zwalczyć paraliżujący ją strach.

Często sny wydawały się jej rzeczywistością, czymś bardziej realnym niż prawdziwe życie. I pewnie to samo dzieje się teraz... Ponownie ktoś zapukał do drzwi. I znowu ten strach na twarzach całej trójki.

Tym razem był to Foxy Dunne.

-Słucham, Foxy? - Głos ojca nie wyrażał entuzjazmu.

-Jak się pan miewa? - Chłopiec nie uznawał żadnych ty-tułów. Nie mówił do księdza „ojcze”, nigdy też nie zwróciłby się do ojca Leo „panie majorze”.

-Dziękuję, dobrze, Foxy. A ty?

-Wspaniale. Wpadłem na chwilę, żeby się pożegnać z Leo.

Głos ojca przybrał nagle inne brzmienie, jego oczy wyrażały czujność.

-A skąd, jeśli mogę zapytać, wiedziałeś, że ona wyjeżdża?

-Nie wiedziałem - odparł pogodnie. - To ja wyjeżdżam, dlatego chcę się pożegnać.

-Ach, w takim razie wejdź.

Swobodnym krokiem Foxy minął kuchnię i wszedł do pokoju śniadaniowego.

-

Jak się pani ma? - przywitał się z matką Leo.

S

Uśmiechnęła się do tego niewysokiego chłopca, piegowatego rudzielca, jedyne z Dunne'ów, którego ubóstwo nigdy nie zdołało poskromić.

-Dokąd jedziesz? - zapytała grzecznie.

R

Nie patrząc na nią, zaczął wyjaśniać Leo:

-Wybieram się do Londynu. Nie wierzyłem, że naprawdę do tego dojdzie. Myślałem już, że utknę tu na dobre.

-Jesteś jeszcze za młody, żeby jechać do Anglii.

-Nikt nie będzie mnie pytał o wiek. Potrzebują kogoś, żeby przyrządzał herbatę dla robotników.

-Nie będziesz się bał?

-Po tym, co już przeżyłem z winy mego starego i ojca Maury Brennan? Obaj często przychodzą do domu pijani i chcą mi złoić skórę... Czego jeszcze miałbym się bać?

Mówił tak, jakby w pokoju nie było jej rodziców. Nie był

niegrzeczny, po prostu nie dostrzegał ich.

-Wrócisz kiedyś do Shancarrig?

-Będę tu przyjeżdżał co roku na Boże Narodzenie z gar-

ścią funtów w kieszeni... tak jak wszyscy z budowy.

-Masz zamiar nauczyć się zawodu? - zapytał major.

-Ja uczę się wszystkiego - odparł Foxy.

-Nie, miałem na myśli jakąś specjalność... no wiesz, na przykład murarkę... Zrobiłbyś mądrze, zdobywając kwalifikacje.

Wszystko będzie dobrze. - Foxy nie patrzył na niego.

Będziesz pisał? Opiszesz mi, jak tam jest? - Leo czuła, że jej głos nie wykazuje pełnego zainteresowania, jakiego zapewne oczekiwał od niej Foxy.

-Nigdy nie byłem dobry w pisaniu, ale, jak już mówiłem, będę tu przyjeżdżać na święta. Wtedy powiem ci, jak tam jest.

-Niech ci się wiedzie. Życzymy ci wiele szczęścia. - Matka Leo wstała, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Foxy obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

-Taak... Chyba przyda mi się trochę szczęścia. Ale waż-

niejsza jest praca. Muszę im udowodnić, że potrafię pracować.

-Jesteś jeszcze dzieckiem. Nie daj sobie zrujnować zdrowia. Powiedz im, że nie możesz ciężko pracować - poradził mu major.

S

Ale Foxy opracował już plan działania.

-Powiem im, że mam siedemnaście lat. Tak właśnie zrobię. Siedemnaście lat, tyle że nie rosnę jak należy. - Spojrzał

na Leo. - Zobaczymy się w Boże Narodzenie - obiecał, po R

czym wyszedł.

Na dziedzińcu podrapał Lance'a za uchem, drugiemu psu rzucił kij.

Inni ludzie bali się tych dwóch rozszczekanych labrado-rów. Inni, ale nie Foxy Dunne.

Nieraz myślała o nim podczas tego dziwnego wypoczynku, przebywając w odległym hotelu, gdzie nie miała nic do roboty prócz czytania książek z biblioteki. Parę razy poszła z matką i ojcem na plażę, gdzie zbierała muszle. Przeważnie jednak rodzice szli sami, zabierali jedynie psy. Sprawiali wrażenie, jakby łączyło ich teraz głębsze uczucie niż dotychczas, by-wały chwile, kiedy trzymali się oboje za ręce. Matka podnosiła nieraz z piasku kawałek drewnianka i wtedy ciskała go do wody, aby psy miały po co rzucać się w fale.

Leo nie sypiała zbyt dobrze w swoim małym hotelowym pokoju, gdzie szyby okna lśniły diamentowo. W dole pod urwiskiem huczał Ocean Atlantycki, gwiazdy świeciły tu inaczej niż w Shancarrig, gdzie często siadywała przy oknie i wpatrywała się w gęsty mrok, który okrywał tak dobrze jej znany ogród, krzaki bzu, krzewy ciągnące się aż do dużej że-laznej bramy oraz stróżówkę.

Przeszedł ją dreszcz na samo wspomnienie stróżówki. Tamtego ranka, kiedy wyjeżdżali z domu, nie śmiała nawet na nią spojrzeć. Z trwogą myślała teraz o powrocie, ale jednocze-

śnie pragnęła jak najszybciej oddalić się od tego dziwnego miejsca, gdzie spędzała obecnie ferie... Ferie, które nie powinny się w ogóle odbywać.

Biddy na pewno jest już w The Glen. Czy mogła coś odkryć? Ale matka i ojciec nie dzwonią do niej, nie wydają się w ogóle zaniepokojeni.

Leo natomiast czuła stałe dławienie w gardle. Nie mogła przełknąć ani kęsa z tego, co kelner postawił na stole.

- Córka nie czuje się dobrze, ale nie ma to nic wspólnego z jakością tych wspaniałych przysmaków.

Leo spojrzała na matkę z niedowierzaniem. Jak ona może S

klamać tak na poczekaniu, spokojnym głosem? Nic już nie jest tak, jak było.

Ogarnął ją lęk. Zapragnęła mieć teraz obok siebie jakąś przyjazną duszę. Ale nie Nessę, która natychmiast wytrzesz-R

czyłaby oczy, umierając ze strachu. Ani Eddiego Bartona, dla którego istniały głównie drzewa, kwiaty i rysunki. Ani Nialla Hayesa, który powiedziałby jedynie, że to typowe dla dorosłych: nigdy nie można na nich polegać.

Nie potrafiłaby też zwierzyć się ojcu Gunnowi, nawet na spowiedzi. A Maura Brennan zlekłaby się jeszcze bardziej niż ona.

Przez chwilę pomyślała o Foxym Dunne. Ale nawet gdyby był teraz blisko niej, nie opowiedziałaby mu o tamtym wydarzeniu. Zastanawiała się, jak on sobie radzi gdzieś daleko, na budowie w Londynie. Czy naprawdę sądził, że uwierzą tam, iż ma już siedemnaście lat? Ale on zawsze był śmiały i pewny siebie. Może mu jednak uwierzą?

Patrzyła uparcie w drugą stronę, kiedy samochód mijał

bramę The Glen. Tak jakby się bała, że drzwi stróżówki nagle się otworzą, ukazując sierżanta Keane'a i całą gromadę zaczajonych tam na nich policjantów.

Wszystko jednak wyglądało dokładnie tak jak przed wyjazdem. Psy biegały dokoła, uszczęśliwione, że są znowu w do-mu, a nie - jak jeszcze niedawno - zamknięte w wagonie ko-lejowym. Biddy nie odstępowała ich na krok, żadna najdrobniejszych nawet szczegółów tego nagłego urlopu. Stary Ned, który siedział w szklarni i palił papierosa, nagle ze zdwojoną energią wziął się do roboty.

Jak poinformowała Biddy, nie wydarzyło się nic szczególnego. Przyszedł list od paniczów Harry'ego i Jamesa, Mattie przyniósł też jakąś paczkę, ale zażądał za nią dodatkowej opłaty, bo nadawca nakleił za mało znaczków.

Biddy miała również drobną scysję z rzeźnikiem, ponieważ jak zwykle dostarczył na niedzielę wołowinę na pieczeń i zi-rytował się wiadomością o nagłym wyjeździe państwa Murphych. Potem zjawił się jeszcze sierżant Keane z pytaniem, czy przypadkiem nie pokazał się tu jeden z Cyganów, bo z ta-boru zgłoszono jego zaginięcie.

Biddy rozprawiła się krótko z nimi wszystkimi.

Mattie usłyszał od niej, że właśnie w tym domu wydaje się S

taką masę pieniędzy na znaczki, iż powinien się wstydzić wspominać o jakiejś groszowej niedopłacie. Rzeźnik odczuł na sobie cięty język Biddy, dowiadując się, że mógł sobie pozwolić na nową witrynę sklepu dzięki pieniądзом otrzymywanym od R

majora Murphy'ego i jego rodziny za najdroższe gatunki mię-

sa, tak więc naprawdę nie wypada, aby jeszcze narzekał.

Sierżanta Keane'a zapytała, czy naprawdę sobie wyobra-

ża, że jakiś cygański wyrostek mógłby się kręcić gdzieś na terenie The Glen.

Leo początkowo zdecydowała, że nie będzie się z nikim spotykać. Wolała siedzieć przy oknie, popatrując to na baraszkujące psy, to na starego Neda, usiłującego coś okopywać motyką, to na ojca, który kuśtykając, wychodził na spotkanie pana Hayesa, to znów na matkę, która ze słomkowym kape-luszem w rękę przechadzała się między krzewami bzu.

Nikt z Ogrodu Botanicznego w Dublinie nie zjawił się w The Glen, aby omówić sprawę ogródka skalnego, zaplanowanego w miejscu, gdzie niedawno został zasypany głęboki dół.

Kiedy pan O'Neill z miejskiego biura wynajmu nieruchomości zapytał ich, czy byliby zainteresowani wynajęciem stró-

żówki, rodzice Leo odpowiedzieli, że jeszcze nie teraz... Mo-

że kiedyś w przyszłości, jednak obecnie jest zbyt wiele niewyjaśnionych spraw - na przykład któryś z synów mógłby wrócić do domu i zapragnąć zamieszkać właśnie tam.

Nigdy dotąd nie rozważano kwestii powrotu Harry'ego ani Jamesa. Leo zorientowała się, że to jeszcze jedno z tych kłamstw, które ostatnio przechodzą matce tak łatwo przez gardło.

Pewnego dnia wstąpiła do nich po szkole Maura Brennan i zapytała, czy nie mogłaby zatrudnić się tu jako pomoc do-mowa. I tak musi gdzieś pracować, a więc dlaczego nie dla Leo, którą lubi. Leo była wstrząśnięta. Dla niej był to jeszcze jeden przykład świadczący o tym, że świat wariuje: Maura, która siedzi w klasie obok niej, chce przychodzić do nich i szorować podłogi!

Upłynęło parę tygodni i Leo zebrała się wreszcie na odwagę, aby wyjść z domu. Poszła do Eddiego Bartona; on i jego matka rozmawiali z nią tak, jakby wokół nich wszystko było normalne. Zaczęła w końcu wierzyć, że tak jest naprawdę.

S

Niebawem otrzymała pocztówkę z Londynu, na której nie-zdarnie napisane litery układały się w zdanie: „Szkoda, że Cię tu nie ma”. Wiedziała, że nadawcą jest Foxy, chociaż się nie podpisał. A w sobotę podczas spowiedzi ojciec Gunn zapytał, R

czy trapi ją coś szczególnego.

Serce skoczyło jej do gardła.

-Dlaczego ojciec tak myśli? - szepnęła.

-Wydajesz się ostatnio bardzo nerwowa, moje dziecko.

Jeśli jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć, pamiętaj, że za moim pośrednictwem mówisz do Boga.

-Wiem, ojczu.

-Tak więc, jeśli coś cię trapi...

-Rzeczywiście, coś mnie trapi, ale właściwie ta sprawa nie dotyczy mnie, lecz kogoś innego.

-Czy to twój grzech, moje dziecko?

-Nie, ojczu. Z całą pewnością nie. Tylko że ja nie potrafię tego pojąć. Bo... to dotyczy dorosłych.

Nastąpiła chwila milczenia.

Ojciec Gunn rozważał jej słowa. O co tu może chodzić?

Z pewnością zetknęła się naocznie z przejawem życia seksualnego ludzi starszych od siebie i to wywołało w niej nie-smak i zakłopotanie...

-Może te sprawy wydadzą ci się prostsze za jakiś czas -

powiedział wreszcie kojącym tonem.

-A więc nie muszę się tym przejmować?

-Nie, jeśli jest to coś, nad czym i tak nie masz kontroli, moje dziecko, i w co nie powinnaś się angażować.

Po tej rozmowie poczuła się znacznie lepiej. Trzykrotnie zmówiła „Zdrowaś, Mario”, jako pokutę za inne drobne grzechy, a to, co dręczyło ją najbardziej, przesunęła w najodleglejszy zakamarek swojego umysłu. Ksiądz powiedział przecież, że Bóg pomoże jej w odpowiednim momencie zrozumieć wszystko; tak więc nie musi zaprzętać sobie głowy tą sprawą teraz.

Przed rozpoczęciem nauki w szkole przyklasztornej postanowiła uczynić wszystko, co może, aby życie w The Glen wydawało się normalne. Dostosowała się do gry prowadzonej przez rodziców. Udawała odtąd, że tamtego letniego wieczoru, kiedy świat w jej oczach zamarł w bezruchu, nie stało się nic szczególnego.

S

Odtąd zaczęła znowu spotykać się z ludźmi, z którymi uczęszczała przedtem do szkoły. Przede wszystkim z Nessą Ryan, której matka nie cierpiała beczynności, oraz z Sheilą R

i Eileen Blake, które wróciły właśnie z ekskluzywnej szkoły z internatem i bez przerwy dopytywały się, czy mogą pograć w The Glen w tenisa. Leo wyjaśniła im, że kort wymaga solidnej naprawy - i w tym momencie uświadomiła sobie, że potrafi już kłamać jak matka. Spotkała się także z Niallem Hayesem, który wyznał, że chyba jest zakochany.

- Dlaczego wszyscy tak bardzo się śpieszą? - mruknęła Leo z dezaprobatą w głosie. - Foxy pojechał do Anglii pracować, chociaż jest właściwie na to za młody, ty jesteś za młody na miłość! A w ogóle... kim jest wybranka twego serca?

Nie chciał powiedzieć. Leo pomyślała, że może Nessa. Ale chyba nie. Nessa mieszka tuż obok niego, znają się od dziecka. W takiej sytuacji trudno się nagle zakochać. To zbyt kłopotliwe.

Spotkała się też z Nancy Finn, na którą w Shancarrig patrzono krzywym okiem. Miała piętnaście lat, a uchodziła za osobę zuchwałą i taką, co to strzela oczami na wszystkie strony. Czasem pomagała ojcu, stając w pubie za kontuarem, chociaż to miejsce nie cieszyło się dobrą opinią.

Nancy twierdziła, że chce pojechać do Ameryki i popracować tam jako kelnerka w barze. Taki miała zamiar, ale jej ojciec, Johnny Finn, uznał to za szaleństwo. Teraz Nancy opowiedziała Leo, że ojciec ma już wszystkiego dość. Od trzech tygodni nachodzi go policja i pyta, czy w pubie nie doszło przypadkiem do bójki między Cyganami a kimkolwiek innym. Zirytowany, odparł w końcu, że nie wpuszciliby do swego pubu żadnego cholernego Cygana, a kiedy sierżant zauważył, że nie jest to postawa chrześcijańska, ojciec Nancy zapewnił go, że policja śpiewałaby na inną nutę, gdyby on rzeczywiście wpuszczał do lokalu wszystkich Cyganów i brał

od nich pieniądze. Doszło do ostrej wymiany zdań i w efekcie policja prowadzi teraz stałą obserwację pubu, gotowa do natychmiastowej reakcji, gdyby choć jeden z klientów został obsłużony w pubie po czasie przewidzianym dla sprzedaży napojów alkoholowych - nawet gdyby upłynęło

do pięć minut.

Lato dobiegło końca, rozpoczęło się nowe życie, które oznaczało codzienną jazdę autobusem do szkoły w mieście.

R

Autobus włókł się drogami przez wioski i lasy, zatrzymywał

się na skrzyżowaniach, gdzie czekał na ludzi, którzy dochodzili ścieżkami do głównej drogi. W tym czasie Leo i Nessa powtarzały sobie pracę domową, na przykład wiersze, których miały się nauczyć na pamięć, albo tematy z algebry.

Bywały chwile, kiedy Leo zdawała się obserwować krajo-braz za oknem autobusu. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że oto jeszcze jedna rozmarzona dziewczyna patrzy na łąki z pasącym się bydłem, na zmieniające się barwy mijanych żywopłotów i kęp krzewów.

W rzeczywistości Leo Murphy nie dostrzegała wcale tych widoków, jej myśli krążyły nieprzerwanie wokół osoby matki, bladej, kruchej matki, która częściej niż kiedykolwiek przechadzała się ostatnio po ogrodzie, bez względu na pogodę, i szeptała coś do siebie.

Kiedyś Leo ujrzała matkę siedzącą pod krzewem bzu; obrywając machinalnie fioletowe płatki, powtarzała w kółko:

„Miałeś oczy koloru bzu, Danny, takie jak ciemny bez. A teraz są zamknięte”.

Mówiła o Danny'ch także w momentach, gdy na pół leżała, na pół siedziała w miejscu przeznaczonym na ogródek skalny. Pielęgnowała go codziennie, nawet w ulewne dni, dostrzegała najdrobniejszy chwast i wyrwała z ziemi natychmiast, zanim zdążył się rozwinąć.

-Przynajmniej utrzymuję w porządku twój grób, Danny

- mawiała. - Nie będziesz mógł powiedzieć, że nie przynosi-

łam ci tu kwiatów. Nie ma w Irlandii mężczyzny, który otrzymałby więcej kwiatów niż ty.

Kiedy Leo usłyszała te słowa po raz pierwszy, zdrętwiała z grozy. Już przedtem wiedziała, że zaginiony Cygan miał na imię Danny. Jego rodzina rozpowiadała wszystkim, że syn miał w Shancarrig dziewczynę. Oddalał się od obozowiska na długie godziny, a potem wracał uśmiechnięty i szczęśliwy, choć milczący. Podejrzewano, że mógł uciec z kimś z okolicy, ale sierżant zapewnił Cyganów, że nie zaginęła żadna z miejscowych dziewcząt.

S

- Nie brakuje nikogo prócz Danny'ego - skomentowała ten fakt matka zaginionego, posępna kobieta z ciemną, po-marszczoną twarzą, o nazwisku McDonagh.

Leo dowiadywała się o tym wszystkim od innych. Mnó-

R

stwo informacji przynosiła Nessa, gdyż w hotelu często rozprawiano na ten temat. W sennym życiu miasteczka była to jedyna sensacja od dłuższego czasu. Nessa nie mogła zrozumieć, dlaczego jej przyjaciółka Leo nie interesuje się tą sprawą, nie snuje domysłów jak inni.

W miarę upływu czasu matka Leo coraz bardziej traciła kontakt z rzeczywistością.

Leo nie próbowała już nawet rozmawiać z nią o szkole czy innych sprawach dotyczących życia codziennego, zaczęła natomiast traktować ją jak chorą.

-Jak się dziś czujesz, mamó?

-Nie wiem... naprawdę nie wiem - odpowiadała apatycznie. Kobieta, która jeszcze niedawno była uosobieniem elegancji i wdzięku; matka, która potrafiła zorganizować piknik, poprawić błędy gramatyczne albo nieprawidłową wymowę, krzywiąc się przy tym ze zgrozą... przestała istnieć.

Prawie nie tykała jedzenia, uśmiechała się błędnie do ojca, Leo i Biddy, jakby patrzyła na ludzi, których znała kiedyś, w odległej przeszłości, przemawiała do psów, nakazując im, aby strzegły grobu Danny'ego.

Biddy musiała słyszeć jej słowa. Musiałaby być głucha, aby nie wiedzieć, o czym mówi jej pani.

Konspiracja trwała jednak nadal.

Niebawem stary Ned przeszedł na emeryturę. Czasem przychodził Eddie Barton, aby ścinać trawę, nikt jednak nie zajmował się już ogrodem jak dawniej. Leo i jej ojciec pró-

bowali nieraz uporządkować trochę teren, ale zadanie przerastało ich siły. Jedyne ogródek skalny prezentował się znakomicie. Pani Murphy nieprzerwanie dbała o niego, nie rozstawiała się z sekatorem, którym wycinała natychmiast to, co nie powinno tam rosnać, sadiła natomiast drobne roślinki, które według niej mogły rozkwitnąć.

Na tle całego ogrodu, który coraz bardziej przypominał

dżunglę, skalniak wydawał się wspaniałym pomnikiem wystawionym na czyjaś cześć.

Pragnąc uchronić matkę przed uszami przypadkowych ciekawskich, Leo wyciągała od niej kawałek po kawałku szcze-S

góły tamtego koszmaru, który wydarzył się w momencie, gdy ona miała czternaście lat i nie rozumiała jeszcze otaczające-go ją świata. W momencie, zanim jeszcze świat stanął dla niej do góry nogami.

R

Matka pamiętała nie tylko oczy Danny'ego w kolorze bzu ale również jego silne ramiona i młode ciało. Pamiętała jego śmiech, a także porywczą i nienasyconą żądzę, zdającą się nie mieć końca. Leo czuła mdłości, słuchając opowieści matki, która opłakiwała utraconą miłość. Nie mogła znieść tego dziecięco kokieteryjnego zapału na twarzy matki, kiedy wspominała mężczyznę, któremu oddawała się w lesie na mchu, w sypialni na kocu, pod krzakami bzu i w stróżówce.

Mówiąc o stróżówce, matka zmieniała ton głosu, a jej twarz twardniała. Dlaczego musiał być tak chciwy? Dlaczego zależało mu tak bardzo na tych srebrach? Dlaczego chciał

przywłaszczyć sobie ich rzeczy? Co miał na myśli, podkreślając, że musi mieć jakieś wartościowe rzeczy, gdy uda się do Galway, aby mieć czym handlować? Posiadał przecież ją; czy nie ona stanowiła najwartościowszy skarb w tym domu? Spojrzenie oczu Miriam stawało się twarde jak kamień, kiedy przechodziła do tej części swojej historii, do chwil, kiedy oboje widzieli się po raz ostatni... kiedy tamten buszował po całym domu, dotykając wszystkiego, biorąc jedne rzeczy i odkładając inne, kiedy zabrał srebra i owinał je w obrus...

A ona biegła za nim, błagała, żeby odłożył wszystko na miejsce. „Powiesz, że ktoś się włamał... że gdy wróciłaś do do-mu, zorientowałaś się, iż wszystko, co wartościowe, znikło”.

Patrzył na nią swoimi oczami w kolorze bzu i uśmiechał się.

-Powiedziałaś mi, że nie może ode mnie odejść, że został mi zesłany.

Leo znała już te słowa na pamięć, mogłaby powtarzać je teraz razem z matką, która raz po raz muskała dłonią ziemię.

-Ale ty nie słuchałeś, Danny. Nazwałeś mnie starą. Mówi-

łeś, że dałeś mi miłość i rozkosz i że powinnam być ci wdzięcz-na.

-Powiedziałeś, że weźmiesz te sztucery, bo nam nie są potrzebne, ale tobie się przydadzą, bo będziesz polował... Prosiłam, abyś wziął mnie ze sobą... wtedy się roześmiałeś, nazwałeś mnie starą. Nie mogłam dać ci odejść, musiałam cię zatrzymać i właśnie dlatego... - Matka uśmiechała się i po

raz S

kolejny tklwym gestem przesuwala dłonią po ziemi. - No i jesteś tu ze mną, Danny. Teraz już nigdy mnie nie opuścisz.

Leo wiedziała już, dlaczego tamtej nocy ojciec, nie ba-cząc na ból i bezwładną nogę, męczył się jak szaleniec, zasy-R

pując dół. Zdawał sobie sprawę, że jego żona nie może wyznać prawdy przedstawicielom prawa. I ona też o tym wiedziała.

Opiekunki szkolne uznały Leo za osobę nadwrażliwą. Na jej temat rozmawiały tylko z majorem Murphym, gdyż jej matka nie pojawiła się nigdy w szkole.

Matka Dorothy, która znała trochę życie, doszła do przekonania, że pani Murphy nadużywa alkoholu. I stąd te kłopoty.

W przeciwnym razie znalazłaby czas na kontakt ze szkołą.

To bardzo niedobrze dla tego dziecka. Leo to miła dziewczyna, ale kryje się uporczywie pod skorupą twardą jak kamień...

Leo poinformowała ojca Gunna, że matka nie czuje się dobrze. Nie powinien myśleć o niej źle, jeśli czasem nie przyjdzie na mszę.

Ojciec Gunn zapytał, czy ma przyjść do ich domu, aby udzielić sakramentu.

-Nie jestem pewna, ojcie. - Leo przygryzła usta.

Ojciec Gunn też znał życie.

-Może w takim razie zaczekajmy z tym trochę - zaproponował. - Gdyby coś się zmieniło, wystarczy mnie powiadomić.

Przyszło jej do głowy, że w Shancarrig bardzo łatwo ukryć coś przed innymi.

Ale może jest to łatwe tylko dla mieszkańców The Glen, dużej rezydencji skrytej za wysokim ogrodzeniem, w gąszczu krzewów, za stróżówką?

Może trudniej ukryć swój sekret, kiedy się mieszka w cha-

łupach nad rzeką albo w którymś z segmentów The Terrace, gdzie każdy widzi twoje drzwi i okna, albo też w hotelu.

Starła się mieć matkę na oku, ale nie bez przerwy. Nie można stale czuć lęku i bólu, nikt by tego nie zniósł. Zdarza-

ły się długie godziny, kiedy Leo w ogóle nie myślała o matce S

ani o jej nie kończących się opowieściach. Bywały przecież in-ne wydarzenia w jej życiu: wycieczki szkolne, prywatki...

Właśnie na jednej z nich Niall Hayes pocałował ją i wtedy zderzyli się nosami. A potem, całkiem nieoczekiwanie, poca-

ł

R

ował ją Richard Hayes, starszy kuzyn Nialla. Tym razem no-sy nie przeszkadzały.

Richard Hayes był bardzo przystojny. Odkąd się tu zjawił, w Shancarrig wrzało jak w ulu. Leo współczuła Niallowi, gdyż była przekonana, że Niall durzy się w Nessie, a ta oczywiście oszalała na punkcie Richarda.

Faktem było też, że Richard nie krył swego zainteresowania Nessą. Chodził z nią na spacerunki, zabierał na przejażdżki albo do kina w mieście. Leo pomyślała w pewnym momencie, że to niebezpieczny typ, potem jednak wzruszyła ramionami.

Skąd niby miałyby to wiedzieć? Jej poglądy na temat miło-

ści i życia mogły w ogóle nie odpowiadać prawdzie.

Niektóre z jej koleżanek szkolnych chciały zostać pielę-

gniarkami; już teraz ubiegały się o pracę w szpitalach w Dublinie i w Anglii.

-Może i ja zostanę pielęgniarką, tatusiu? - zapytała kiedyś.

Ostatnio często rozmawiali wieczorami, spacerując; tak było również i tego dnia. Matka, jak zwykle w ciągu trzech ostatnich lat, nie odchodziła od ogródka skalnego i snuła tam swoje opowieści, których nikt nie słuchał, gdyż Biddy, nawet jeśli była przy niej, nie zwracała już na jej słowa żadnej uwagi-

-A chcesz być pielęgniarką?

-Tylko, gdyby to miało w czymś pomóc.

Ojciec już posiwiiał, sprawiał wrażenie, jakby bardzo się postarzał. Często wysyłał listy do synów, nalegając, aby nie przyjeżdżali do Shancarrig, zwłaszcza iż matka cierpi na chorobę psychiczną.

Obaj pytali oczywiście, dlaczego nikt nie próbuje jej leczyć. Napisali do doktora Jimsa, co major Murphy uznał za karygodne wtrącanie się w nie swoje sprawy. Na szczęście Jims Blake podzielał jego zdanie w tej sprawie: arogancja młodych ludzi każe im wierzyć, że są mądrzejsi od innych.

Skoro Frank Murphy twierdzi, iż z Miriam nie dzieje się nic złego, to widocznie tak właśnie jest. Doktor Jims, patrząc S

nieraz na bladą cerę Miriam i jej rozgorączkowane oczy, uwa-

żał ją za osobę przewrażliwioną, nieco zdziwaczałą, której nie jest w stanie pomóc. The Glen nie było domem, gdzie można by zalecić wizytę u psychiatry, aby wyjaśnić sprawę.

R

Przynajmniej nikt nie prosił go o przepisanie środków uspokajających lub nasennych. Już choćby za to mógł być im wdzięczny.

Zgodnie z obietnicą Foxy Dunne przyjeżdżał do domu na każde święta Bożego Narodzenia. Kiedy za pierwszym razem zjawił się przed tylnymi drzwiami The Glen, w nowej kurtce z zamkiem błyskawicznym i podpinką w szkocką kratę, zaskoczyło go zimne przyjęcie. To prawda, nigdy nie był tu witany zbyt ciepło, ale tym razem Biddy chyba przekroczyła miarę...

- W takim razie przekaż tylko Leo, że byłem. Ona wie, gdzie mieszkam - powiedział wyniosłym tonem.

-Z pewnością, jak wszyscy, wie aż za dobrze, gdzie mieszkają Dunne'owie, i wolałaby się tam nie pokazywać - odpar-

ła Biddy.

Ale jeszcze tego samego wieczoru Leo odwiedziła go w je-go chałupie.

-Przyszłam zapytać, czy nie chciałbyś wybrać się ze mną do lasu na spacer - powiedziała.

Najwidoczniej był mile zaskoczony, bo nie od razu znalazł

odpowiednie słowa. Tym razem jego przysłowiowy refleks zawiódł.

-No cóż... i tak nie zaprosiłbym cię tu do środka - mruknął w końcu. - Chodźmy do lasu.

Opowiedział, że w Anglii mieszka razem z jedenastoma ziomkami, wspomniał o picciu, przez które wielu z nich traci niemal cały swój zarobek.

-Dlaczego tam wracasz? - zapytała.

-Żeby się czegoś nauczyć... i odłożyć trochę pieniędzy.

Ale głównie, żeby się uczyć.

-Czego dobrego możesz się nauczyć od takich jak ci, któ-

rzy wszystko przepijają?

-Chyba tego, jak nie należy żyć i jak należy postępować.

Siedział na powalonym pniu i opowiadał o możliwościach tkwiących tam, dokąd pojechał, o drobnych przedsiębiorcach, z którymi zawiera się szybkie i korzystne kontrakty, S

o tym, jak się szuka dobrych fachowców: elektryka, hydraulika, stolarza. Potem wystarczy zorganizować ich w grupę i już ma się własny zespół do pracy. Trzeba jednak mieć przy tym głowę do liczb i zdolność nawiązywania kontaktów, a po-R

za tym starać się o zlecenia na pracę.

-I znajdziesz takiego człowieka? - zapytała.

-Boże, Leo, to właśnie ja jestem tym człowiekiem. O to właśnie chodzi!

-Poczuła wyrzuty sumienia, że go nie doceniła.

-Wiedziałaś, że mój ojciec był w mamrze? - mruknął.

-Tak. Słyszałam. Chyba wspomniała mi o tym Bidy.

Zastanawiała się przez chwilę, czy wyrazić mu współczucie, czy raczej zapewnić, że dla niej ta wiadomość nie miała znaczenia.

-Bardzo to przeżywał? - zapytała w końcu.

-Nie wiem, on ze mną nie rozmawia. Powinien był siedzieć tam dłużej. Uderzył kogoś deską, w której było pełno gwoździ. Jest niebezpieczny.

-Nie wdałeś się w niego - powiedziała nagle.

-Wiem, ale jednak nie zapominaj, z jakiej pochodzę rodziny.

-Jesteś, jaki jesteś, podobnie jak ja.

-A ty? Opowiesz mi coś?

-Nie. Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami. Odniosła wrażenie, jakby dał jej właśnie szansę zwierzenia się z własnych trosk.

Jednak Foxy nie mógł wiedzieć, że ich wyznania nie były-by sobie równe. O tym, jak się zachowuje jego ojciec, wiedzieli wszyscy w tej okolicy. O postępkach jej matki wiedziały jedynie trzy osoby.

Patrzył na nią przez chwilę, jakby na coś czekał. Potem mruknął:

- Zapytałem tak tylko, bez powodu.

Patrzył na nią, kiedy tak stała w płaszczu z paskiem, trzymając ręce w kieszeniach. Wiatr zarumienił jej policzki, rozwiewał rudawoziociste loki. Odniosła nagle wrażenie, jakby jego wzrok przeszywał ją na wylot, dostrzegając wszystko, odkrywając to, co ona chciałaby zataić.

-Nie lubię swoich włosów - powiedziała nieoczekiwanie.

-Są jak aureola - odparł.

S

Uśmiechnęła się.

Przyjeżdżał do domu zawsze przed Bożym Narodzeniem, a wtedy odwiedzał Leo i razem wybierali się na spacer. Przez R

cały tydzień, który spędzał w Shancarrig, spotykali się codziennie.

Nessa Ryan nie kryła swojej dezaprobaty.

-Wiesz oczywiście, że jego ojciec siedział w mamrze - powiedziała kiedyś do przyjaciółki.

-Tak, słyszałam - westchnęła Leo. Biddy powtarzała jej to bez przerwy, nie pozwalała o tym zapomnieć.

-Byłabym bardzo zdziwiona, gdybyś w tej sytuacji chodziła z nim nadal.

-Wiem. - To samo powiedział jej niedawno ojciec. Wtedy jednak nie zostawiła tych słów bez odpowiedzi. - Wydaje mi się, tato, że może także z nami ludzie woleliby nie utrzymywać kontaktów, gdyby wiedzieli o nas wszystko. - Ojciec spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby uderzyła go zniecka, a ona natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. - Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć... Po prostu uważam, że Foxy czuje się samotny, kiedy przyjeżdża do domu. Nie zapraszam go do nas, ale mam już siedemnaście lat, tato, prawie osiemna-

ście. Dlaczego nie możemy być bardziej wyrozumiali wobec innych ludzi, właśnie my?

W jego oczach dojrzała łzy.

- Idź, spaceruj po lesie, z kim tylko chcesz - powiedział

wreszcie zdławionym głosem.

Właśnie w święto Bożego Narodzenia Foxy zdradził jej swój wielki sekret: jest wreszcie na dobrej drodze do sukcesu. Ułożył się już z dwoma innymi, wspólnie będą zawierać umowy, najmować fachowców, zbiorą zespół. Koniec z pracą dla oszustów i typów, którzy zgarniają cały zysk dla siebie.

-Cały czas odkładam pieniądze i niedługo będę miał już tyle, aby móc wrócić jako człowiek majątny - dodał. - Wtedy podjadę do ciebie wielkim autem, podam Bidy swój płaszcz i rękawiczki, podejść do majora i poproszę go o twoją rękę. Twoja matka wyciągnie karafkę sherry i zacznie się zastanawiać nad suknią ślubną dla ciebie.

-Ja nigdy nie wyjdę za mąż - oświadczyła Leo. - Nie mogę opuścić The Glen.

S

-Możesz mi powiedzieć, dlaczego? - Jego wzrok także teraz zdawał się przenikać ją na wskroś, dostrzegać wszystko.

-Tak, kiedyś ci powiem - obiecała. Wiedziała, że dotrzy-
ma słowa.

Tego roku dał jej wreszcie swój adres. Wysłała do niego list i otrzymała krótką odpowiedź.

Dlaczego nie uczysz się pisać na maszynie, Leo? Masz gorszy charakter pisma niż ja. Teraz, kiedy zbliża się nasza wielka chwila, nie może tak być, że ani ty, ani ja nie potrafimy napisać porządnie listu.

Roześmiała się.

Nie powiedziała Nessie, że właśnie otrzymała od Foxy'ego Dunne'a coś w rodzaju oferty matrymonialnej.

Nie powiedziała też o tym rodzicom.

Matka zmarła pewnego jesienno-wieczoru. Podobno zawiniło tu nadmierne ochłodzenie organizmu. Do płuc dosta-

ło się za dużo wilgotnego zimnego powietrza, a to w połączeniu z infekcją... Dla kobiety, która zawsze była podatna na choroby, nie było ratunku.

Znaleziono ją przy ogródku skalnym, gdzie leżała w samej koszuli nocnej.

Kościół był wypełniony ludźmi. Major Murphy zaprosił

obecnych po ceremonii pogrzebowej do hotelu na drinki i kanapki. Był to zwyczaj nie praktykowany jeszcze dotąd w Shancarrig. Jednak major wyjaśnił, że na razie dom wiąże się dla niego i Leo ze zbyt smutnymi wspomnieniami, aby podejmować tam gości. Wyraził nadzieję, że ludzie potrafią to zrozumieć.

-Niebawem Leo zaczęła jeździć codziennie autobusem do miasta. W tej samej uczelni, w której Nessa ukończyła swój kurs biurowości, ona uczyła się teraz pisać na maszynie.

-Dlaczego nie chodziłaś na kurs razem ze mną? - zapyta-

ła Nessa.

-Bo nie był to odpowiedni moment. S

Foxy Dunne nie przysłał żadnych kondolencji po śmierci jej matki.

Nie poinformowała go o pogrzebie. Przypuszczała, że przyR

najmniej niektórzy członkowie jego rodziny utrzymują z nim kontakt, a więc przekażą mu wieści: nie tylko o tym, że panią Murphy znaleziono martwą, w koszuli nocnej, ale także o jej obłąkaniu. Przecież ten fakt nie był już żadną tajemnicą.

Kiedy jednak Foxy przyjechał na Boże Narodzenie, okaza-

ło się, że o niczym nie wiedział. Okazał Leo gorące współ-

czucie.

Zaprosiła go tym razem nie do pokoju śniadaniowego, lecz do salonu. Wspólnie rozpalili ogień w kominku.

Oba stare psy ułożyły się tuż obok, zadowolone, że znowu tchnięto w ten pokój życie.

Biddy już nawet nie była w stanie gderać. Zbyt wiele wydarzyło się ostatnio w tym domu. Fakt, że Foxy został zaproszony do salonu, tracił w porównaniu z tamtym wszystkim na znaczeniu.

Foxy opowiedział o swoich planach. W Anglii oglądał wiele miejsc, wiedział już, jak zabudowywać tereny. Na przykład The Glen. Można sprzedać większą część ziemi, postawić kilka domów i zatrzymać swój.

-Twój ojciec byłby chyba z tego zadowolony - dodał.

Za oknem ujrzeni samotną postać majora. Przechadzał się po ogrodzie w zapadającym zmierzchu, do furtki i z powrotem.

-Nie możemy sprzedać tej ziemi, nigdy - szepnęła Leo.

-Czy to wiąże się ze sprawą, o której miałaś mi kiedyś powiedzieć?

-Tak.

-To może powiesz mi teraz?

-Nie, jeszcze nie, Foxy.

-Czy śmierć twojej matki nie zmieniła niczego?

Znowu odniosła wrażenie, jakby on wiedział wszystko.

-Nie. Widzisz, nadal mieszka tu tata. Nie można niczego... zmieniać.

Pomyślała o wielkich koparkach, o ogródku skalnym, któ-

ry przestanie istnieć. Zniknie wraz z The Glen, podobnie jak znika wiele połaci ziem w Irlandii, dzięki czemu powstają tereny pod budowę domów dla Irlandczyków, którzy po latach S

ciężkiej pracy na obczyźnie wracają do kraju, aby tu zapaść korzenie.

Ludzie tacy jak Foxy wracają tam, gdzie ich dziedzictwo.

Ciało Danny'ego McDonagha, które leżało tak długo pod R

mauzoleum z kwiatów, zostałyby odkryte. Pytaniom nie było-by końca.

Skończyliśmy już dwadzieścia jeden lat. Możemy robić to, co uważamy za słuszne - nalegał Foxy.

-Ja miałam zawsze dużo swobody, robiłam, co chciałam.

-Ja też - zapewnił ją z zapalem. -I nie wyszedłem na tym źle. Jak i ty. Wiem, że zawsze, jeszcze kiedy byliśmy mali, pragnąłem ciebie. A ty? Czego ty pragnęłaś?

-Chciałam być bezpieczna - odparła.

Przyrzekł, że zadba właśnie o to, z myślą o niej. Tego wieczoru nie mówili dużo, o wiele mniej niż nazajutrz podczas spaceru po lesie Barna. Odprowadził ją do furtki The Glen i dostrzegł, jak szybko odwróciła wzrok od stróżówki.

-Coś się tutaj wydarzyło - powiedział.

-Zawsze wierzyłam, że masz dar jasnowidzenia.

-Opowiedz mi, Leo. My oboje nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.

Przez okno ujrzeli majora. Siedział w salonie przy kominku. Może widział ich wczoraj w tym miejscu i uznał, że warto wziąć z nich przykład? Leo spojrzała na Foxy'ego i zaczę-

ła opowiadać.

-Przynieś klucz - poprosił, kiedy umilkła.

Weszła do domu tylnymi drzwiami i zdjęła klucz z wieszaka w hallu. Razem, wyposażeni w świece, obeszli całą stró-

żówkę, miejsce będące niemym świadkiem tamtego tragicznego wydarzenia.

Foxy uniósł twarz dziewczyny ku sobie i spojrzał jej w oczy.

-Znowu masz włosy jak aureolę. Robisz to chyba, aby doprowadzić mnie do szaleństwa - szepnął.

-Czy naprawdę nie widzisz problemów, jakie się piętrzą, tych okropnych problemów?

-Nie widzę żadnego problemu, którego nie mogłaby rozwiązać ogromna płyta cementu na miejscu, gdzie teraz jest ogródek skalny - odparł Foxy.

S

R

Dom z kamienia i olbrzymie drzewo

Decyzja o zamknięciu szkoły została ogłoszona w 1969 ro-ku. Taki sam los spotkał wszystkie szkoły lokalne w całej Irlandii; od tej pory miały istnieć wyłącznie szkoły społeczne w miastach. Ale fakt ten wcale nie pocieszył mieszkańców Shancarrig, którzy zaszokowani spoglądali latem 1970 roku na ogłoszenie o wystawieniu budynku na sprzedaż.

Na sprzedaż

Tradycyjny budynek szkolny z kamienia. Zbudowany w 1899

roku. Zawiera trzy duże pomieszczenia klasowe, toalety oraz hall. Kompleks obejmuje także domek mieszkalny: dwie sypialnie i salonik/kuchnię z piecem.

Sprzedaż odbędzie się w drodze przetargu publicznego w dniu 24 czerwca. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do zmiany trybu sprzedaży.

Licytatorzy: O'Neill i Blake

Nessa i Niall Hayesowie przeczytali to ogłoszenie przy śniadaniu.

S

Okna ich pokoju stołowego wychodziły na hotel Ryana, skąd odjeżdżały już poranne autobusy. Choć tylko dorywczo, Nessa jednak pomagała rodzicom, w przeciwieństwie do sióstr, których w ogóle nie interesowała praca w hotelu.

Jeszcze się zainteresują, kiedy zobaczą, że można na R

tym nieźle zarobić - powiedziała kiedyś matka z posępną miną.

Wyobrażasz sobie? Wystawiają na sprzedaż szkołę. Nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe! - Niall dobiegł już trzydziestki. Nikt teraz nie mówił o nim „młody pan Hayes”, zwłaszcza iż od jakiegoś czasu jego ojciec wycofał się w firmie na drugi plan.

A co nie jest możliwe? - Danny Hayes miał cztery lata i zasypywał rodziców pytaniami. Uwielbiał długie słowa i wymawiał je starannie.

Nie będziesz chodził do tej samej szkoły co my. - Nessa wprawdzie otarła mu podbródek z resztek jajka. - My szliśmy pieszo, przez most, a ciebie czeka długa jazda do szkoły dużym żółtym autobusem.

Mogę iść tam dzisiaj? - zapytał Danny.

Po świętach Bożego Narodzenia - obiecała Nessa.

Czy nie jest na to za mały? - zaniepokoił się Niall.

Mówisz jak twoja matka. Ona też nie wypuszczałaby cię na drogę do szkoły, dopóki byś nie skończył dwudziestu lat.

- Nessa powiedziała to żartobliwym tonem, ale w jej głosie zabrzmiała także nuta gorzkości.

Przeprowadzka do The Terrace okazała się bardziej skomplikowana, niż jej się to początkowo wydawało. Wprawdzie teść chętnie przekazał sprawy firmy w ręce syna, ale Ethel Hayes nie była skłonna rezygnować tak łatwo ze sterowania rodziną.

Nastąpiły więc kierowane pod adresem Nessy złowiesz-cze ostrzeżenia przed zapaleniem płuc, gorączką reumatyczną oraz nadmiernym rozpieszczaniem i uleganiem kaprysom dzieci. Pani Hayes była przekonana, że Danny i Breda będą cierpieły na to wszystko, bo mają za dużo swobody, za mało dyscypliny i na domiar złego nie otrzymują tranu.

Może my ją kupimy? - zapytała nieoczekiwanie Nessa.

Na Boga, po co? - zawołał zdumiony Niall.

Żeby w niej zamieszkać. Dzieci miałyby dużo miejsca do zabawy... dziedziniec, drzewo i w ogóle... Byłoby wspa-S

niale.

Sam nie wiem. - Niall przygryzł wargi. Reagował tak zawsze, kiedy stawał w obliczu niespodziewanej propozycji.

Nessa zdążyła go już dobrze poznać.

R

-

Nie musimy łamać sobie tym głowy już teraz - powiedziała. - Do przetargu mamy jeszcze miesiąc.

Wprawdzie nakarmiła Danny'ego kanapką z jajkiem, dzieląc ją na mniejsze części; ostatnią z nich zjadła sama. Wsadziła Bredę do nosidełek.

-Tak mi to tylko przyszło do głowy - rzuciła lekkim tonem. - Ale jeśli przypadkiem będziesz rozmawiać z Declanem Blakiem, zapytaj go, jaka jego zdaniem może być cena.

Niall wyjrzał przez okno. Nessa stała już przed wejściem do hotelu. Portier wziął od niej nosidełka z Bredą, Danny natomiast pobiegł na tylny dziedziniec hotelowy, gdzie Nessa z matką zorganizowały plac zabaw dla dzieci, z piaskowni-cą i huśtawkami.

Był to jeszcze jeden z udanych pomysłów marketingowych dla dobra hotelu.

Jim i Nora Kelly przeczytali ogłoszenie w Galway, gdzie przebywali u Marii i Hugh'a. Właściwie mieli znaleźć się w tym momencie daleko stąd, ale na szczęście okazało się, że są bardzo potrzebni tutaj. Maria mogła urodzić lada chwila swoje pierwsze dziecko i chciała, aby rodzice byli przy niej.

Likwidacja szkoły to koniec pewnej ery - powiedziała. -

Na pewno mówią o tym teraz w całej Irlandii.

Nie tylko w Irlandii, przecież nasi ziomkowie znajdują się w każdym zakątku świata - sprostował Jim Kelly.

Miał pięćdziesiąt lat i znalazł już zatrudnienie w szkole miejskiej. Oczywiście wiedział, że nie będzie tam jak w Shancarrig, poznał jednak w nowym miejscu mnóstwo dzieci i cieszył się nie lada poważaniem. Człowiek, który kierował

w przeszłości całą szkołą, choćby nawet w małej miejscowo-

ści, musiał budzić szacunek.

Nora przeszła na wcześniejszą emeryturę i zdążyła odbyć wiele jazd pociągami, aby odwiedzić Marię nad brzegiem Atlantyku. We dwie spacerowały często plażą, dziewczyna w ciąży oraz kobieta, która była dla niej tak dobra jak rodzona matka. Jim był zadowolony, widząc, że żona nie prze-

jęła się zbyt mocno zamknięciem szkoły. Gdyby musiała przenieść się do szkoły w mieście, aby nauczać tam dzieci, byłoby to dla niej może zbyt duże przeżycie.

Maria przesunęła dłonią po brzuchu.

R

To dziwne, że ona nie pozna nigdy tej szkoły - szepnęła.

Ona albo on. Przecież to może być chłopczyk. - Jim wiedział, że płeć dziecka nie ma znaczenia ani dla niej, ani dla jej męża.

On i Nora odetchnęli z ulgą, kiedy Maria po kilku nader burzliwych znajomościach z różnymi młodzieńcami poznała wreszcie spokojnego, statecznego Hugh'a. Hugh zdawał się rozumieć, jak ogromne znaczenie ma dla Marii kontakt z rodziną w Shancarrig; stale znajdował jakiś pretekst, aby przywieźć ją tutaj.

-W każdym razie, kiedy dziecko będzie już wśród nas, przyjadę z nim do szkoły i powiem, że w tym miejscu mieszkali dawniej dziadek i babcia. - Maria urwała, przez chwilę spoglądała gdzieś w dal, jakby ogarnęła ją melancholia, ale otrząsnęła się szybko z tego nastroju. - Dość tego, stałam się strasznie sentymentalna. Zresztą... czy nie wygodniej wam teraz w tym ładnym domu? I macie wszędzie blisko, dokądkolwiek idziecie, nie tak jak na tamym wzgórzu.

Państwo Kelly zamieszkali w jednym z domków, które odremontowano, podnosząc w znacznym stopniu ich standard.

Nikt nie poznałby w nich teraz owych chałup, zajmowanych niegdyś przez nieokrzesanych Brennanów i Dunne'ów.

Chciałabym widzieć tam znowu dzieci - powiedziała No-ra. - Zdaję sobie sprawę, że może niewiele rodzin stać na kupno budynku szkolnego, ale to miejsce aż się prosi o dzieci. A może to ja staję się zbyt sentymentalna?

Nie widzę tu w okolicy nikogo, kto mógłby się zdobyć na tak duży wydatek. - Jim robił już w myślach przegląd sąsiadów.

Może, kiedy Hugh dorobi się majątku, my sami kupimy ten dom... a mała Nora będzie się mogła bawić pod czerwonym bukiem, tak jak ja się kiedyś bawiłam.

Nie odzywali się przez moment, wzruszeni. Oto Maria niechcący wyjawiała swój zamiar: jeśli urodzi się dziewczynka, da jej imię po swojej przybranej matce.

-Może powinna się nazywać Helen, jak twoja matka? - zasugerowała Nora, czując, że powinna coś powiedzieć.

-Druga córka otrzyma imię Helen - oświadczyła Maria.

S

I na tym stanęło.

Chris Barton, siedząc obok teściowej, przeczytała ogłoszenie na głos. Pomiędzy nią i matką Eddiego istniała więź

szczególnego rodzaju; odnosiły się do siebie właściwie jak R

siostry.

-I co o tym sądzisz? - zapytała Chris. - Może to nasza wielka szansa? Wspaniała okazja, aby

zaprezentować się ludziom? Można by tam urządzić coś w rodzaju centrum rzemieślniczego... Foxy dobudowałby kilka pawilonów z przeznaczeniem na pracownię... Myślisz, że to dobry pomysł, czy raczej jakaś zwariowana mrzonka?

Wiem, że jesteś bardzo odważna. Gdyby nie ty, w dalszym ciągu tylko bym obrębiała swoim klientkom różne drobiazgi albo podłużała im spódnice. - Pani Barton już dawno temu postanowiła odmawiać co wieczór dodatkowy dziesią-

tek różańca, dziękując w ten sposób Bogu i Matce Boskiej za przysłanie Chris do Shancarrig.

Sama już nie wiem, naprawdę... Zapytam Eddiego. On ma intuicję przy takich sprawach. Trzeba się dobrze zastanowić przed podjęciem decyzji, żeby potem nie żałować do koń-

ca życia. A wiem, że on potrafi wyczuć, jaki krok jest dobry, jaki zaś nie.

Tak było naprawdę. Pani Barton przekonała się już nieraz, że jej synowa rzeczywiście zdaje się na instynkt i gust Eddiego. I nie zasięga u niego rad dla pozorów, na pokaz, jak czyni to pani Ryan ani jak jej córka Nessa, która na siłę chce zrobić z Nialla mężczyznę zaradnego i pewnego siebie; nie, Chris naprawdę wierzy w rozum swojego męża. Pani Barton, myśląc o tym, czuła, jak rośnie jej serce.

Coraz rzadziej wspominała męża, który opuścił ją dawno temu... Od tamtego czasu upłynęło już niemal ćwierć wieku! A jednak bywały jeszcze teraz momenty, kiedy pragnęła, aby Ted Barton dowiedział się, jak świetnie radzi sobie jego syn... jak świetnie radzą sobie oboje bez niego.

Do domu wszedł Eddie, prowadząc za ręce bliźniaki. Roześmiał się, kiedy żona i matka odruchowo osłoniły rękami to, co leżało na stole, bojąc się, że dzieci zrzucą za chwilę wszystko na podłogę.

-Mogłabyś z nimi trochę posiedzieć? Chciałabym pójść z Eddiem na spacer do lasu Barna, porozmawiać z nim trochę.

-Ostatnim razem, kiedy mi to zaproponowałaś, wyszły S

z tego oświadczyły. Mam nadzieję, że dzisiejszy spacer nie oznacza, iż chcesz ode mnie odejść! - Roześmiał się, pewny, że nie musi się tego obawiać.

Babcia zajęła się troskliwie swoimi wnukami, a Chris i Ed-R

die poszli na spacer, jak zawsze ramię w ramię, w zgodzie ze sobą i otaczającym światem. W Shancarrig nikt już teraz nie zwracał uwagi na szkocki akcent Chris, tak jak nikt też nie dostrzegał jej krótszej nogi i buta o podwyższonym obcasie.

Przebywała tu od osiemnastego lub dziewiętnastego roku życia i zdążyła już wtopić się w tutejszą scenerię.

Usiedli pomiędzy drzewami i wtedy zapytała go, co sądzi o tym centrum. Czy to odpowiednia pora? A może pomysł jest niemądry? Wpatrywała się w niego, oczekując odpowiedzi, i ujrzała, jak jego twarz jaśnieje. Sam by nigdy na to nie wpadł, przyznał po chwili... dla niego była to zawsze szkoła,

miejsce, do którego uczęszczał w słońce i deszcz, gdzie się bawił i uczył.

Jego słowa stanowiły dla niej wystarczającą odpowiedź.

Powinniśmy tam według ciebie zamieszkać czy tylko pracować? - zapytała.

Dzieci miałyby istny raj.

Moglibyśmy sprzedać ten różowy domek. - Nazywała go tak od pierwszej chwili, kiedy go ujrzała.

-A matka?

-Przecież powiedziała, że zostawia go nam na własność.

-Ale co by potem zrobiła ze sobą? Już się przyzwyczaiła, że mieszka obok nas... - Pani Barton zajmowała jedno skrzydło różowego domku.

-Przeprowadziłaby się razem z nami, głuptasie! Możemy postawić tam mnóstwo domków, a ona wybierze sobie jeden z nich. Jeśli chodzi o drogę, prowadzi trochę pod górę, ale nie jest bardziej uciążliwa niż ta, którą matka chodzi od wielu lat.

Oczy Eddiego świeciły z emocji.

- Moglibyśmy skontaktować się z innymi, na przykład z tym małżeństwem, które zajmuje się garncarstwem, albo z tą tkaczką...

-Możemy otworzyć niewielki sklep, sprzedawać w nim

wyroby nasze i innych rzemieślników.

-Na początku Nessa mogłaby kierować do nas klientów, a Leo nawiązywałaby szersze kontakty.

-Więc jak, zrobimy to?

S

Objęli się, tak jak w tym samym miejscu przed laty, kiedy postanowili się pobrać i żyć razem szczęśliwie.

Również Richard przeczytał ogłoszenie.

R

Przez chwilę zastanawiał się, czy ten, kto kupi ten teren, każe ściąć drzewo na dziedzińcu. Co się stanie wtedy z imionami wyrytymi na pniu? Z imionami, które tworzyły historię?

Cały dzień w biurze rozmyślał o szkole.

Jazda do domu była męcząca, na ulicach tworzyły się korki. Richard czuł się zmęczony i spocony. Miał nadzieję, że Vera nie przygotowała na wieczór żadnej niespodzianki. Po powrocie do domu najchętniej... nie, nie wiedział nawet, co chciałby robić.

Zdawał sobie tylko sprawę z tego, na co nie ma ochoty: na pójście do klubu. Vera mogła już jednak zaplanować coś na wieczór, kilka drinków przy barze, kolację. Ale to będzie widoczne na pierwszy rzut oka. Jeśli Vera poszła do fryzjera, to znaczy, że coś jednak zaplanowała.

Odstawił samochód do garażu, ustawiając go z trudem obok auta Very.

Jimmy, ogrodnik, kosił trawę.

-Dobry wieczór, panie Hayes - powiedział i podniósł dłoń do czoła.

Trawnik wygląda wspaniale. Dobra robota - odparł Richard machinalnie, nie patrząc nawet na efekt jego pracy.

Według niego zatrudnianie ogrodnika w Dublinie na pełen etat świadczyło o rozrzutności.

Decyzję podjęła jednak Vera. Ona również kupiła ten dom i wypełniała go różnymi cennymi przedmiotami. Pienią-

dze były w przeważającej części jej i to ona ustalała, na co je wydać.

Znalazł ją na oszklonej werandzie i ze smutkiem stwierdził, że jednak była u fryzjera.

-Ślicznie wyglądasz - powiedział.

-Dziękuję, kochanie. Pomyślałam, że moglibyśmy wpaść do klubu, pobyć wśród ludzi... no wiesz, zamiast siedzieć tu cały wieczór i gapić się na siebie... - Obdarzyła go uroczym uśmiechem.

Prezentowała się znakomicie w tej cytrynowej sukni harmonizującej z równomierną opalenizną i blond włosami zaczesanymi wysoko do góry.

S

Nie wyglądała na swoje trzydzieści parę lat, tak samo zresztą jak i on. W przeciwieństwie jednak do niego usta-wicznie wypełniała czymś ich życie: nawiązywała znajomości, wydawała przyjęcia, bywała u innych, udzielała się w klubie R

golfowym.

Nie mieli dzieci i Vera podchodziła do tego faktu z irytującą nieco Richarda niefrasobliwością. Kiedy tylko rozmowa schodziła na ten temat, nawet w obecności innych ludzi, ona powtarzała stale to samo: gdyby zaszła w ciążę, byłoby dobrze, a skoro nie, to nie. Nie ma sensu chodzić na te wszystkie uciążliwe badania, aby odkryć, z czyjej to winy; tak jakby można tu mówić w ogóle o winie.

Ponieważ doświadczenie z Olive przekonało go już przed laty, że pod tym względem jemu nie można niczego zarzucić, pragnął, aby Vera zgodziła się przejść odpowiedni test.

Ona jednak uparcie odmawiała.

Na stoliku przed nią leżała otwarta gazeta.

-Spójrz, jakie urocze miejsce oferują na sprzedaż...

W Shancarrig, gdzie spędziłeś kiedyś parę lat.

-Wiem. Już to czytałem.

-Może by je kupić? Jak myślisz? Moglibyśmy urządzić tam miłe miejsce na wypady weekendowe, przyjmować gości, no wiesz. Byłoby przyjemnie.

-Nie.

-Jak to: nie?

-Po prostu NIE, Vero.

-Na jej twarz wystąpiły rumieńce.

-Nie wiem, dlaczego jesteś na mnie wściekły, pomyślałam jedynie, że to by ci się spodobało. Cokolwiek robię, myślę przy tym zawsze o tobie. Ale prawda jest taka, że trudno ci dogodzić.

Wyciągnął do niej rękę, ale ona już wstała i odsunęła się trochę.

-

Naprawdę, Richardzie. Nikt nie jest w stanie cię zadowolić. Na całym świecie nie ma takiej kobiety, która mogłaby tego dokonać. Może powinieneś być zostać kawalerem, zatwardziałym kawalerem? - Czowała się naprawdę zraniona i nie potrafiła tego ukryć.

-Proszę cię, wybacz mi, miałem okropny dzień. Jestem zmęczony, to wszystko. Przepraszam!

Zmiękła.

A więc wykap się, zrób sobie drinka, a potem wyjdziemy.

S

Poczujesz się znacznie lepiej, zobaczysz.

Tak, tak, oczywiście. Przepraszam za moje zachowanie -

odparł głucho.

I naprawdę nie sądzisz, że moglibyśmy urządzić tam na-R

sze gniazdko na weekendy?

Nie, Vero, naprawdę nie. Nie czułem się tam szczęśliwy.

Powrót w tamte strony nie byłby dla mnie radosny.

W porządku. Nie wspomnę o tym nigdy więcej - przyrzekła.

Wiedział jednak, że będzie się rozglądała za jakimś innym miejscem, do którego mogłaby zapraszać gości na weekendy, wypełniając ich życie jeszcze większą liczbą półnie-znajomych. Może nawet natrafi przypadkowo na miasto, w którym osiedliła się Gloria. Wiedział, że rodzina Darcych opuściła Shancarrig wkrótce po nim.

Leo siedziała w kuchni The Glen, usiłując bezskutecznie uczesać Moore'a. Miał tak samo niesforne i kędzierzawe włosy jak ona, ale ich barwę odziedziczył po ojcu. Liczył już sobie sześć lat i miał teraz wystąpić w spektaklu - ostatnim wystawianym przez szkołę w Shancarrig.

Moore Dunne wyrastał na większego urwisa, niż się wszyscy spodziewali, a swoje imię zawdzięczał uporowi ojca. Przebywając w Anglii, Foxy poznał wytworny - jak mu powiedziano - zwyczaj używania nazwisk rodowych jako imion.

Ponieważ matka Leo nazywała się Miriam Moore, Foxy nalegał, aby tak właśnie miał na imię ich syn.

Młodsza siostra Moore'a, Frances, była o wiele bardziej spokojna i uległa.

-Jeszcze ją ożywimy - zapowiadał Foxy.

W przeciwieństwie do innych przedsiębiorców budowlanych, którzy w pomyślnych latach sześćdziesiątych wrócili z Anglii ze sporymi oszczędnościami i zamiarem jak najszybszego wzbogacenia się, Foxy obrał drogę systematycznego rozwijania działalności, która zakładała nawiązywanie raczej przyjaznych stosunków z architektami.

Osiem małych domów, które wybudował na terenie posiadłości The Glen, miało styl i charakter niespotykany w innych miastach. Długi rząd młodych drzew miał zapewnić mieszkańcom tych domów prywatność oraz podkreślać łukos-

waty kształt dawnej alei.

Major Murphy zdążył jeszcze ujrzeć swoje wnuki, wkrótce jednak zmarł i został pochowany obok żony.

Z obszernego salonu The Glen Leo kierowała rozrastają-

R

cym się stale imperium budowlanym, stworzonym przez Fo-xy'ego. Pracowali teraz dla niego wszyscy krewni z miasta -

ci sami, którzy niegdyś zabronili jego ojcu wstępu do swoich sklepów. Kuzyni Brian i Liam czekali na każde jego sło-wo, odnosili się do niego z szacunkiem.

Ojciec Foxy'ego, stary Dunny, nie dożył chwili, kiedy mógł-

by ujrzeć efekt całkowitego ignorowania własnego syna; zmarł już wcześniej w przytułku. Bracia Foxy'ego, którzy nigdy nie zhańbili się stałą pracą, a część z nich miała jeszcze wyroki sądowe, znaleźli się w sytuacji emigrantów utrzymujących się na obczyźnie z funduszków przekazywanych im z do-mów: dostawali drobne kwoty pod warunkiem, że będą się trzymać z dala od Shancarrig.

Główne zmiany, jakie odnotowano na mapie miasta umieszczonej w hotelu Ryana, zasły dzięki działaniom Fo-xy'ego Dunne'a. To on zabudował na nowo teren nad rzeką Grane; za jedyny przejaw jego sentymentalizmu lub zemsty można uznać fakt, że był tam obecny, kiedy rozebrano chału-pę, w której podrastał.

Przedsiomek kościoła, przedmiot dumy ojca Gunna, Foxy wyremontował za tak niską cenę, że można to było uznać za prezent dla parafii.

Foxy dbał o należyty rachunek ekonomiczny swojej firmy. Księgi rachunkowe, prowadzone przez Leo, były regularnie sprawdzane. Najmem kupowanych i sprzedawanych posiadłości zajmował się ich przyjaciel, Niall Hayes. Ze stróżówki przychodziła codziennie Maura, aby posprzątać w domu i popilnować dzieci. Michael, jak zawsze, nie odstę-

pował jej nawet na krok. Był już duży i silny, zachował jednak umysł i czułe serce małego dziecka.

Moore Dunne przepadał za nim.

- Wolę go niż innych dużych ludzi - oświadczył.

Leo powtórzyła jego słowa Maurze.

Codziennie rano siadały razem przy stole i piły herbatę, aby potem udać się do swoich obowiązków: Leo przeglądała kolejne umowy zawarte przez męża, a Maura sprzątała do połysku cały dom. Dziś tematem rozmowy przy herbacie było ogło-

szczenie w prasie o wystawieniu ich starej szkoły na sprzedaż.

-Ciekawe, kto ją kupi? - zastanawiała się Maura.

-Wydaje mi się, że myśli o tym Foxy - odparła Leo. Jeszcze jej tego nie powiedział, ale czuła, że ma taki zamiar. Czę-

R

sto sprawiał wrażenie, jakby chciał wymazać wszelkie ślady tego, co było tu dawniej. I jakby nie zamierzał spocząć, dopó-

ki nie obejmie w posiadanie całego miasteczka.

Usłyszały, jak przed dom zajechał jego samochód.

Jak się miewa panicz Dunne? - zawołał Foxy do syna.

Nieźle - odparł z wahaniem Moore.

Tylko nieźle? Powinno być doskonale!

No tak, ale zdaje się, że w brzuchu Flossie rośnie drugi kotek.

To wspaniale - zawołał Foxy. - Może nawet będzie ich pięć?

A jak wyjdą z brzucha? - zdumiał się chłopiec. Maura zachichotała.

Tym już zajmie się mama - odparł Foxy. - Ja mam inne sprawy na głowie.

Chodzi ci o szkołę? - zapytała Leo.

Ach, więc już wiesz!

Spojrzała na niego, niskiego i ruchliwego, energicznego jak zwykle, noszącego od jakiegoś czasu ubranie skrojone na miarę, ale nadal przypominającego tamtego Foxy'ego z ich dzieciństwa. Weszła za nim do pokoju, który dawniej speł-

niał funkcję salonu; tu właśnie ojciec przechadzał się czę-

sto od ściany do ściany, podczas gdy matka siedziała jakby nieobecna duchem, a Lance i Jessie, nie bacząc na nic, spa-

ły przy kominku.

-Czy to potrzebne, Foxy? - zapytała.

-Co znaczy: czy potrzebne? - Objął ją i spojrzał w oczy.

-Czy nie mamy już wystarczająco dużo?

-Kochanie, przecież to kopalnia złota. Coś akurat dla nas!

Można postawić eleganckie domki dla bogatych dublińczyków, na lato lub na weekendy. Można wykończyć je pięknie, Chris i Eddie chętnie nad tym popracują. Podłogi wykładane terakotą... no, wiesz zresztą sama. - Wprost tryskał energią i zapałem. Uwielbiał takie wyzwania.

Może ma rację, może naprawdę trafiła się znowu okazja akurat dla nich... Ale dlaczego ona nie potrafi się pozbyć wrażenia, że wszystko jest tylko po to, aby się pokazać? Po-S

kazać się komuś niewidzialnemu, komu wcale na tym nie zależy?

Maddy Ross nie mogła się nadziwić, jak niezbadane są R

kroki Pana. Na przykład teraz: sprawił, że zamknięto szkołę w najbardziej odpowiednim momencie.

Od tej pory będzie miała wystarczająco dużo wolnego czasu, aby poświęcić się całkowicie Rodzinie. Cudownej Rodzinie Nadziei. Madeleine Ross była członkiem Rodziny Nadziei od trzech lat. A nie było to łatwe.

Przede wszystkim skomplikowała wszystko nieprzychylna prasa, która nagłośniła sprawę przekazanego im zamku i nieporozumień związanych z aktami własności.

Nikt przecież nie zamierzał niczego zdefraudować ani nikogo oszukać, ale gdyby wierzyć tym artykułom, można by po-myśleć, że Rodzina Nadziei to jakaś międzynarodowa szajka kombinatorów.

I jeszcze ta dziwaczna postawa ojca Gunna. Maddy nigdy nie darzyła go sympatią, zwłaszcza od chwili, gdy tak autorytatywnie osądził jej przyjaźń z ojcem Barrym. Gdyby ojciec Gunn okazał się człowiekiem bardziej tolerancyjnym, otwartym i liberalnym w sprawie miejsca miłości w boskim porządku rzeczy, wiele spraw mogłoby się ułożyć zupełnie inaczej.

Ale, co się stało, już się nie odstanie. Największym problemem była nie przeszłość, lecz obecna postawa ojca Gunna.

Oświadczył mianowicie, że Rodzina Nadziei nie jest żadną cudowną drogą ku temu, aby kontynuować dzieło boże na ziemi, lecz niebezpiecznym przejawem kultu, praniem mó-

zgow ludzi takich jak ona. Że Bóg chce, aby okazywać mu miłość i cześć poprzez konwencjonalne kanały Kościoła.

Trudno się nawet dziwić, że powiedział coś takiego. Podobne słowa padły dawno temu z ust ludzi pod adresem Stwórcy, kiedy wszedł do świątyni, aby przegnać stamtąd uczonych w piśmie i faryzeuszy. Powiedzieli Mu wtedy, że nie tędy droga. Mylili się, tak jak teraz myli się ojciec Gunn.

Ale to nic. Ojciec Gunn nie będzie kierować jej życiem. Jest teraz rok 1970, nie są to już tamte złe czasy, kiedy biedny ojciec Barry został wysłany jako misjonarz tam, gdzie ludzie nie byli jeszcze gotowi na jego przyjęcie.

Dobrze, że ojciec Gunn nie wie nic o polisie ubezpieczeniowej, wystawionej na nią przez jej matkę. Te pieniądze S

zamierzała dawniej przekazać mieszkańcom Vieja Piedra, zanim jeszcze cała sprawa utknęła w martwym punkcie.

Maddy Ross chodziła długo po lesie Barna, rozmyślając o pieniądzach, które może dać Rodzinie Nadziei.

R

Chcieli kupić jakiś teren, aby stworzyć na nim swój ośrodek.

Zastanawiała się od dawna, czy znajdzie się takie miejsce gdzieś w pobliżu. Wolałyby mieszkać w domu swej matki, blisko lasu i rzeki - tak bliskim jej sercu i obecnym w jej pamięci. A teraz znalazła wreszcie to miejsce.

Budynek szkolny będzie wystawiony na sprzedaż!

Tego wieczoru, siedząc już w swoim małym domu, stró-

żówce, Maura pokazała synowi fotografię szkoły.

-Wiesz, gdzie to jest, Michael? - zapytała.

Podniósł zdjęcie.

-Moja szkoła - odparł.

-Masz rację, to twoja szkoła - powiedziała i pogłaskała go po głowie.

Michael nie uczęszczał nigdy na normalne zajęcia szkolne, lecz czasem bawił się z dziećmi na dziedzińcu. Maura patrzy-

ła często ze ściśniętym gardłem, jak jej syn podnosi z ziemi liście buku; przed laty ona robiła to samo, a jeszcze wcze-

śniej jego wujkowie i ciotki, których nie ma już wśród ży-wych.

-Możemy się tam przejść dziś, jeśli chcesz, Michael. Popatrzeć na szkołę. Co ty na to?

-Zjemy przedtem kolację? - zapytał przezornie.

-Zgoda, zjemy trochę wcześniej - odparła.

Podawała mu jego talerz i kubek z bakelitu. Czasem opuszczał różne rzeczy na podłogę. Dlatego nie pozwalała mu dotykać swojej porcelany. Część znajdowała się w gablotce wi-szącej na ścianie, reszta porcelany leżała owinięta starannie w bibułki.

Maura O'Sullivan chodziła nieraz na lokalne licytacje, skupując okazjnie używaną porcelanę. Nigdy nie miała ca-

łego kompletu, ale to było bez znaczenia, bo i tak nie zapraszała nikogo na obiad. Wszystkie rzeczy

kupowała po prostu dla siebie.

Mijając różowy domek, pomachali rękami do Bartonów.

S

-Mogę wejść i pobawić się z bliźniakami? - zapytał Michael.

-Przecież mamy popatrzeć na twoją starą szkołę.

Przeszli przez most. Stojąca na nim grupka dzieci pozdro-R

wiła Michaela jak zawsze. Ale może tylko dlatego, że była przy nim matka. A gdyby jej kiedyś zabrakło? Przeszedł ją zimny dreszcz.

Przed szkołą ujrzała doktora Jimsa i jego syna Declana.

Blask zachodzącego słońca oświetlał tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”. W innym miejscu mogłaby się wydać duża; tu, pod czerwonym bukiem, sprawiała wrażenie malutkiej.

-Dobry wieczór, doktorze. - Maura przywitała się z nim oficjalnie.

-Cześć, Declan... - Michael objął syna doktora, który go pamiętał jeszcze siedzącego w wózekczku.

-Czasy się zmieniają - westchnął doktor Jims. - Boże, nie sądziłem, że dożyję takiego dnia...

Cóż to, kwestionujesz sens mojej pracy, tato? - roze-

śmiał się Declan.

Maura widziała już od jakiegoś czasu, że obaj są w dobrych stosunkach ze sobą. To z pewnością zasługa tej sympatycznej Ruth, żony Declana. Są ludzie, którym małżeństwo daje wiele szczęścia. Ale czy ona nie zaznała tyle samo miło-

ści i szczęścia, co inni?

Michael wodził wzrokiem po imionach wyrytych na pniu drzewa.

-Mamusiu, czy jest tu moje imię? - zapytał.

-W każdym razie powinno się tu znaleźć - uznał doktor Jims. - Przebywałeś przecież w tym miejscu podobnie jak inne dzieci z Shancarrig.

-Jeśli chcesz, ja je napiszę - zaofiarował się Declan.

-A co napiszesz?

-Pomyślmy chwilę... Najlepiej będzie tu, obok moich inicjałów. Widzisz? DB 1961. To ja.

-Nie narysowałaś serca!

-Wtedy nie kochałem jeszcze nikogo - wyjaśnił Declan.

Z namaszczeniem wyjął z kieszeni scyzoryk i wspólnie z Michaeliem zaczęli szukać najodpowiedniejszego miejsca na pniu buku.

Jak się czujemy? - zwrócił się do Maury doktor Jims. -

S

Ta bladość twarzy...

Wie pan, jaka jestem - westchnęła. - Zamartwiam się ciągle o to i tamto. Może bez powodu...

-Od ostatniej wizyty u mnie minęło już sporo czasu.

R

-Rzeczywiście. Ale tu nie chodzi o moje zdrowie, lecz o przyszłość.

-Och! W sprawach przyszłości nie możemy wiele zrobić. -

Uśmiechnął się do niej.

-Po prostu... czasem nachodzą mnie myśli... Bo gdyby coś mi się stało, co będzie... wie pan... - Przeniosła wzrok na Michaela.

-Dziecko drogie, przecież nie ma pani jeszcze nawet trzydziestki!

-Mam. W zeszłym tygodniu skończyłam trzydzieści lat.

-Mauro, mogę tylko powiedzieć, że każda matka zamartwia się o swoje dziecko. Dzieci to zarówno radość, jak i troska. A życie toczy się dalej.

-Tak, ale tylko dla zwykłych ludzi, zdrowych.

Michael pisnął z uciechy, podbiegł i przytulił się do niej.

-Zobacz, co on napisał! Zobacz, mamusiu.

Na pniu drzewa Declan wyrył serce, obok widniały litery: M. O'S. Po drugiej stronie serca pisał właśnie: „Od jego przyjaciół z Shancarrig”.

-Czy rozumie już pani, w czym rzecz? - zapytał doktor Jims.

Maddy Ross poprosiła siostrę Judith z Rodziny Nadziei, aby przyszła i obejrzała budynek szkolny. Siostra Judith przyznała, że miejsce byłoby idealne, zapytała jednak o cenę.

Maddy słyszała, że około pięciu tysięcy funtów, wyjaśniła przy tym, że z polisy ubezpieczeniowej może otrzymać nawet większą kwotę. Omówi to z prawnikiem, ale nie z Niallem Hayesem. Była przecież jego nauczycielką w szkole, a więc nie bardzo jej wypada załatwiać tego typu interesy właśnie z nim.

Dziecko Marii przyszło na świat w Galway. Była to dziewczynka i otrzymała imię Nora. Nora Kelly natychmiast zatelefonowała do pani Barton, aby podzielić się z nią tą dobrą nowiną. W dalszym ciągu obie zwracały się do siebie dość S

oficjalnie.

Pani Kelly, nie wyobraża pani sobie nawet, jak bardzo się cieszę. Uszyję dla małej plisowaną sukienkę.

Wkrótce Maria przywiezie córeczkę uroczyste do Shan-R

carrig i najpierw pokaże ją pani - obiecała Nora Kelly. Zapytała jeszcze o szkołę i czy znalazł się już nabywca.

Pani Barton nie odpowiedziała od razu. Nie była pewna, czy jej syn i synowa chcą utrzymać sprawę w tajemnicy. Nie mogła jednak okłamać kogoś takiego jak Nora Kelly.

Tak między nami, Eddie i Chris starają się zgromadzić odpowiednią kwotę. Chcieliby zbudować tam ośrodek rzemiosła. - Nastąpiła chwila milczenia. - Nie jest pani zadowolona z takiego pomysłu?

-Tak, tak. Tylko... chyba miałam nadzieję, że tam będą dzieci.

-Oczywiście, że będą. Chcą tam mieszkać razem z bliź-

niakami i ze mną. Takie są plany, pani Kelly, ale oczywiście nie można wykluczyć, że nic z nich nie wyjdzie.

-Byłoby wspaniale, pani Barton. Pomodłę się w pani intencji do świętej Anny. Przyjemnie pomyśleć, że nasze wnuki bawiłyby się razem pod tym drzewem.

Dixonowie przejeżdżali właśnie przez Shancarrig, kiedy ujrzeli budynek szkoły. Uradowani perspektywą jego kupna wstąpili do Nialla Hayesa, aby poznać więcej szczegółów.

Wizyta okazała się bezowocna.

-Na tabliczce jest przecież nazwisko licytatora i jego numer telefonu - oświadczył szorstko Niall.

-Pomyśleliśmy jednak, że skoro jest pan tu lokalnym prawnikiem, można by jakoś uprościć formalności. - Dixonowie, zamożni mieszkańcy Dublina, rozglądali się akurat za domem na weekendy. Przywykli już do upraszczania formalności.

-Niestety mógłby w tej sprawie zaistnieć konflikt interesów - powiedział Niall.

-Skoro pan sam jest zainteresowany kupnem domu, po co ta tabliczka? - zapytał Dixon.

-Żegnam państwa - uciął dalszą rozmowę Niall.

Okropni ludzie z tych prowincjonalnych prostaków - powiedziała pani Dixon na tyle głośno, aby Niall mógł usłyszeć S

jej słowa.

Jeszcze nigdy nie walczyliśmy ze sobą, prawda, Foxy? -

zapytała Leo, leżąc już w łóżku.

R

-Co masz na myśli? Całe nasze życie to jedna bezustanna walka!

-Nie chcę, żebyś kupował szkołę.

-Podaj mi jeden rozsądny powód.

-Nie potrzebujemy jej, Foxy. Naprawdę! To tylko dodatkowy kłopot.

Pogłaskał ją po twarzy, ona jednak zerwała się i usiadła na brzegu łóżka.

-Kochanie, interesy zawsze stwarzają pewien kłopot. Na tym polega ich urok. Dobrze o tym wiesz.

-Nie. Tym razem sprawa wygląda inaczej. Szkołę chcą kupić także inni ludzie.

-Naprawdę? Ale kupimy ją właśnie my.

-Nie, tu nie chodzi o konkurencję, lecz o zwykłych ludzi.

Takich jak Chris i Eddie, Nessa i Niall, panna Ross i chyba nawet Maura.

-Panna Ross! - Ze śmiechu aż się zwinął na łóżku. - Panna Ross z tym jej bujaniem w obłokach! Wyświadczymy wszystkim przysługę, nie dopuszczając, aby to ona kupiła szkołę!

-A inni? Mówię poważnie.

-Posłuchaj. Niall i Nessa są ludźmi interesu. Wiedzą więc doskonale, w czym rzecz. Niall zajmuje się czymś takim od ra-na do wieczora. Podobnie Chris i Eddie. Na pewno rozumieją. Nie wszystko w życiu się udaje.

Leo poczęła krążyć po pokoju. Przypomniała sobie nagle rodziców. Oni też kręcili się tak nieraz od ściany do ściany.

-Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tamtych dni. Foxy wyskoczył z łóżka, troskliwie otulił ją

szlafrokiem.

-Powiedziałem ci już. Podaj jeden rozsądny powód, sen-sowny powód, a natychmiast się wycofam.

-Maura.

-Och, Leo, daj spokój! Maura nie ma grosza przy duszy.

Prawdę mówiąc, podarowaliśmy jej tę stróżówkę. Skąd wzię-

łyby tyle pieniędzy? I w ogóle po co jej taki dom?

Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że przychodzi tam z Michaeliem co wieczór, a potem oboje stoją i patrzą. Widać, że z jakiegoś powodu zależałoby jej na tym miejscu.

S

-Nessa, wejdź do mnie na moment, dobrze?

-Dlaczego zawsze, kiedy mówisz do mnie takim tonem, czuję się jak małe dziecko, a nie jak twoja najlepsza pomoc-R

nica? - Nessa uśmiechnęła się do matki.

Breda Ryan napełniła dwa kieliszki sherry - nieomylny znak, że chodzi o coś ważnego.

I rzeczywiście. Oświadczyła, że ma pewien pomysł. Słyszała, że Nessa i Niall rozmyślają o kupnie szkoły, aby tam zamieszkać. Nieważne, skąd to wie, a Nessa nie musi zapewniać, że to wyłącznie jej sprawa. Ona jako matka chce jej powiedzieć, co następuje:

Byłoby głupotą opuszczać The Terrace, rezygnować z tego pięknego domu tylko dlatego, że stara Ethel jest prawdziwą diabolicą, a Nessa nie czuje się panią pod własnym dachem.

Wyjście z tej sytuacji jest proste: drobna przeprowadzka.

Przeniesienie rodziców Nialla do suterenu.

Ale, oczywiście, nie należy nazywać rzeczy po imieniu.

Trzeba przedstawić sprawę w ten sposób, że Foxy Dunne i je-go architekt wpadli na pomysł urządzenia dla starszych pań-

stwa mieszkania z osobnym wejściem.

Nessa słuchała pilnie.

-Przecież to tylko kwestia czasu - dodała matka. - Wyobraź sobie, że przenosiscie się do tego budynku szkolnego, a w następnym roku jego rodzice umierają. Nie byłabyś wtedy wściekła na samą siebie?

Zrzekać się dobrowolnie tak pięknej posiadłości! Zatrzymaj ją, nie pozwól, aby dzielono ją potem między jego siostry. Przecież to najpiękniejszy dom w mieście.

Może rzeczywiście masz rację - powiedziała Nessa z namysłem.

Na pewno mam.

Eddie wrócił do domu z objazdu. Znalazł już wystarczają-

cą liczbę ludzi, aby urzeczywistnić plan stworzenia ośrodka rzemiosła. Byli to akurat ci, z którymi on i Chris zawsze chcieli współpracować; paru z nich zetknęło się również z ich wy-robami. To miłe uczucie wiedzieć, że jest się znanym w całym kraju.

-Następne zadanie: rozmowa z dyrektorem banku.

S

-I przedstawienie projektu.

Eddie poprosił już ewentualnych użytkowników ośrodka o przygotowanie swoich kalkulacji, tak aby móc wyliczyć wszystko dokładnie i sporządzić kosztorys. Zażyczył sobie R

także paru słów o ich dotychczasowych dokonaniach, sukcesach i porażkach.

Przeczytał te raporty wspólnie z Chris.

-Lektura uświadomiła im, że miejsca oddalone od miasta nie mogą liczyć na wielu klientów, zwłaszcza jeśli połączenia komunikacyjne nie są za dobrze rozbudowane. I że lepiej być częścią społeczności niż izolować się od niej. Stopniowo dochodzili do przekonania, że budynek szkolny nie jest wcale tak wymarzonym miejscem, jak to sobie wyobrażali.

-Jeżeli weźmiemy pod uwagę te raporty - zastrzegła się Chris.

-Musimy je brać pod uwagę. Są dla nas jak wyniki badań

- odparł przygnębiony.

W takim razie lepiej, że dowiadujemy się o tym teraz, zamiast po fakcie - zauważyła Chris. - Ale to smutne patrzeć, jak rozwiewa się marzenie.

-Kto mówi o rozwiewaniu się marzeń? Czy nie mieliśmy planów wobec sklepu Nellie Dunne, kiedy jej już nie będzie?

Ucieszyła się, widząc uśmiech na twarzy Eddiego. - Chodź, powiemy matce. - Zerwała się z miejsca i ruszyła przodem do pokoju teściowej.

Nie obchodzi mnie, gdzie mieszkam, dopóki jestem z wa-mi - skomentowała ich wiadomość pani

Barton. Powiedziała też, że podobno również Foxy Dunne i Niall Hayes mają chęć kupić tę szkołę.

W takim razie lepiej nie robić sobie wrogów z dobrych przyjaciół, którzy mogą się też okazać dobrymi klientami -

orzekła Chris. I obie kobiety roześmiały się radośnie niczym para spiskowców.

Ojciec Gunn wiercił się niespokojnie na swoim wąskim łóżku. W myślach usiłował napisać list do biskupa. List, któ-

ry dałby mu władzę nad Rodziną Nadziei. Teraz wydawało się już pewne, że Madeleine Ross przekazała tamtym zło-wróźbnym typom pieniądze na zakup budynku szkolnego w Shancarrig. To zaś oznacza, że rozpanoszą się w samym środku parafii, będą odbierać mu parafian i głosić im swoją S

własną religię, stojąc w długich togach na brzegu rzeki.

Och, żeby tylko biskup wiedział, co zrobić!

I jaką korzyść przyniosły te wszystkie jego kroki sprzed wielu lat, mające nie dopuścić do skandalu? Czy dla Boga R

i parafii nie byłoby lepiej, gdyby ten na pół zwariowany ojciec Brian Barry i zwariowana zupełnie Maddy Ross uciekli razem daleko stąd? Może dzięki temu nie mieliby teraz do czynienia z tą przeklętą Rodziną Nadziei.

Po powrocie do domu Terry i Nancy Dixonowie odwiedzili Verę i Richarda Hayesów.

-Widzieliśmy wspaniały budynek szkolny. Moim zdaniem powinniśmy kupić go wspólnie - oświadczył Terry. - Stoi tam, gdzie kiedyś pracowałeś. W Shancarrig.

-Czytaliśmy już ogłoszenie w tej sprawie - powiedziała Vera i zerknęła na męża.

-I co? - Dixonowie wodzili po nich wzrokiem. Richard patrzył w inną stronę.

-Richard twierdzi, że nie był tam szczęśliwy - wyręczyła go Vera.

-Wcale mnie to nie dziwi - parsknęła Nancy Dixon. - Nie musielibyście jednak wcale przestawać z tamtymi ludźmi.

Shancarrig byłoby po prostu idealnym miejscem, aby wy-rwać się stąd. Widziałam tam naprawdę cudowne drzewo.

-Czerwony buk - odpowiedział Richard.

-Właśnie. Chcieliśmy zasięgnąć od razu języka u miejscowego prawnika, ale nie był skłonny do rozmowy.

-To mój wuj - wyjaśnił Richard.

Spojrzeni na niego zdumieni. Przecież rozmawiali z kimś młodym. Może z synem tego wuja?

Richard nie odpowiedział.

-Na pniu tego drzewa wszyscy wypisywali swoje imiona

- mruknął.

-No, no! Może i ty wyryłeś na nim swoje i dlatego nie możemy tam teraz pojechać? - wdzięczyła się Vera.

Nie. Nigdy nie napisałem tam swojego imienia - odparł.

Nadal wpatrywał się gdzieś w dal.

Dużo zgłosiło się chętnych z Dublina? - zapytał syna doktor Jims.

Nie, sądziłem, że będzie ich więcej. Może powinniśmy S

ponowić ogłoszenie.

Obaj przechadzali się teraz często po Shancarrig. Declan i Ruth budowali sobie dom, nie chcieli mieszkać w The Terrace. Woleli miejsce, gdzie byłoby więcej wolnej przestrzeni, R

także z uwagi na króliki i osiołka, kiedy już kupią je dla dzieci. Ruth była w ciąży. Doszli też do przekonania, że firma

„O'Neill i Blake - Handel Nieruchomościami" powinna mieć swoją filię w Shancarrig. Wielu turystów, którzy zatrzymywali się w hotelu Ryana, chciało teraz nabyć tu posiadłość. Fo-xy Dunne tylko czekał na sygnał, żeby zacząć z jakąś budową.

Za ile może pójść? - Doktor Jims nadal myślał o szkole.

Mieliśmy już ofertę na pięć. Wiesz przecież. - Ruchem głowy Declan wskazał na dom Maddy Ross.

-Nie chcemy ich.

-Tato, nie mogę zabawiać się w Boga. Muszę wybrać dla mego klienta najlepszą cenę.

Twój klient to ministerstwo edukacji, synu. Oni działają na oślep, w ogóle nie potrafią liczyć.

Wykonujesz swój fach rzetelnie. Ja w swoim zawodzie nie chcę być gorszy.

-Ale ja jestem też człowiekiem.

Nastąpiła cisza.

-Może ktoś przebiję ich ofertę - mruknął Declan bez przekonania.

-A Niall Hayes? Wycofał się?

-Tak. Podobnie jak Foxy Dunne; na szczęście. I Eddie.

To dobrze. Nie powinni się wzajemnie licytować.

-No proszę. Jednak masz jakieś serce - uśmiechnął się doktor Jims. -I nikt inny?

-W każdym razie nikt z poważnych klientów.

-Skąd wiesz, kto z nich jest poważny?

-W porządku, tato. Więc Maura, matka Michaela. Chcia-

łyby, abyśmy stworzyli tu dom dla dzieci takich jak jej syn, z opieką pielęgniarstwa. Ona by też pomagała. Dla takich jak Michael, którzy nie mają matek... tak powiedziała Maura.

-No proszę. Czy nie o to właśnie chodzi nam wszystkim?

- zawołał doktor Jims. - A jeśli tego chcemy, z pewnością do-pniemy swego.

Mało kto wiedział, jak przebiegały negocjacje i w jaki sposób udało się przekonać Rodzinę Nadziei, że nie przyspo-

S

rzyłoby im popularności ani uznania krzyżowanie mieczy z ludźmi, którzy pragną stworzyć dom opieki dla dzieci z zespołem Downa i na dodatek zebrali na ten cel odpowiednie fundusze. Słyszano jedynie wypowiedź Maddy Ross, która R

wyraziła zadowolenie z faktu, iż siostra Judith nie będzie musiała się stykać ze zbiorową ignorancją i bigoterią w Shancarrig.

Foxy i Leo postarali się o siostrzyczkę dla Moore'a i Frances; Chris i Eddie o braciszka dla bliźniaków; Nessa i Niall o braciszka dla Danny'ego i Bredy; państwo Hayes zdecydowali się z własnej woli przeprowadzić do sutereny The Terrace z osobnym wejściem; Declan i Ruth Blake zbudowali swój dom, a synowi dali imię James; wnuczka Kellych, Nora, zaczę-

ła chodzić - wszystko to stało się tuż przed otwarciem domu opieki w Shancarrig.

W prasie zamieszczono przychylny reportaż z tego wydarzenia, uzupełniony zdjęciami.

Trudno jednak było ukazać rzeczywiste znaczenie tego, co się stało, gdyż zdjęcia prezentowały jedynie budynek szkolny z kamienia oraz ogromne drzewo.

S

